



Agnieszka Olejnik

Mansarda
pod Aniołami

*Listy
i szepty*

FILIA

Agnieszka Olejnik

Mansarda
pod Aniołami

*Listy
i szept*

FILIA

ROZDZIAŁ 1

Tamta jesień była brzydka, zimniejsza niż zwykle, mokra i wietrzna. Mieczysławę Botulę wciąż poboлеваła głowa, raz i drugi zasłała podczas usuwania zeschniętych liści z rabat kwiatowych. Z dnia na dzień czuła się coraz gorzej, ale nie skarżyła się, choćby z tego powodu, że nie miała komu opowiedzieć o swoim samopoczuciu.

Wreszcie pewnego dnia wszelkie dźwięki zniknęły, a Mieczysława poczuła się wiotka jak kwiat, któremu ktoś zapomniał dolać wody do wazonu. Dokładnie tak. Nie była w stanie poruszyć żadną częścią ciała, wydać z siebie głosu ani zareagować w jakikolwiek sposób na czyjeś słowa.

Cisza, która otoczyła ją niczym miękkim kokonem, nie była jednak prawdziwą ciszą, lecz czymś w rodzaju szumu pulsującego w tempie bicia serca. Niekiedy ten rytm przyspieszał gwałtownie, ale bywało też, że zwalniał w nienaturalny sposób. Minęło sporo czasu – Miecicia nie umiałyby określić, czy były to dni, tygodnie, miesiące, czy może lata – zanim w owym szumie i w wewnętrznych szelestach własnego ciała nauczyła się drążyć swego rodzaju tunel, przez który jej świadomość wydostała się na zewnątrz, ku światu.

Najpierw pojawił się mężczyzna. Wiedziała, że go zna, ale nie potrafiła nadać mu imienia. Sama w sobie jego obecność nie była ani przykra, ani przyjemna. Jedynie błękitne oczy przybysza budziły w niej niejasny niepokój. Wyselekcjonowała to oblicze z kilku innych, tworzących jasne plamy – tamte twarze nic nie znaczyły, a ta jedna miała wielką wagę. Lecz Mieczysława nie wiedziała, dlaczego.

Ten właśnie niebieskooki mężczyzna zabrał ją z miejsca, w którym wszystko było obce, do dobrze znanego wnętrza. Nie była pewna, skąd je zna – czy to jej dom, czy raczej tego mężczyzny – ale czuła się w nim bezpiecznie. Zresztą pragnęła tylko spokoju. Chciała spać... Najlepiej już nigdy się nie obudzić. Sen wyciszał wszystkie te nagłe drgania pamięci, które usiłowały wyrwać się z zakamarków mózgu.

Wiotkość ciała ustąpiła jedynie po lewej stronie – po prawej pozostała nadal, przeszkadzała, męczyła, wręcz bolała. Ludzie o twarzach pozbawionych znaczenia kazali jej podnosić szklankę do ust, używać sztuczków i stawiać niezdarne kroki. Młody człowiek patrzący spod brązowych loków masował, oklepywał i szczypał, a wówczas Mieczysława jęczała z bólu. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, lecz nie potrafiła ułożyć odpowiednich słów. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, co się robi z językiem, żeby mówić.

Na koniec pojawiła się dziewczyna. Błękitnooki mężczyzna zniknął, ale dziewczyna miała jego spojrzenie, tak samo niebieskie i równie niepokojące. Mieczysławę z niewiadomych przyczyn irytowała ta barwa tęczy. Złościła ją także sama obecność tej energicznej istoty, nie mówiąc o jej nieustannym trajkotaniu, które przebijało się przez szumy i trzaski w głowie.

Miała na imię Lena. Tak powiedziała. Ta dziewczyna.

Pamięć wciąż pozostawała mętna niczym woda na mokradłach, ale zdarzały się dni,

kiedy Mieczysławie na chwilę robiło się w głowie klarowniej. Na przykład wtedy, gdy Lena wspomniała o poddaszu i roślinach. Wówczas na moment w umyśle chorej pojawiła się twarz bruneta o przenikliwym szarym spojrzeniu. Mówił coś, ale słów Mieczysława nie potrafiła sobie przypomnieć. Wiedziała jednak, że i twarz, i słowa były dobre.

Pogubiły się gdzieś zdarzenia niedawne, za to z czeluści zapomnienia zaczęły wyzierać te, które musiały mieć miejsce dziesiątki lat temu. Obrazy miały inną perspektywę, jak zdjęcia robione z dołu, z pozycji dziecka. Początkowo były równie nieostre, co odbicie w tamtej mętnej wodzie, którą Miecica gdzieś widziała i tylko nie była pewna, gdzie – ale później stały się boleśnie wyraźne.

Któregoś dnia Lena pokazała Mieczysławie zabawkę – wydzierganego na szydełku białego niedźwiadka, otulonego czerwonym szalikiem. Tego popołudnia po raz pierwszy Mieczysława obudziła się z poobiedniej drzemki w zupełnie innym miejscu. Zupełnie jakby ktoś przewinął w jej głowie szpulę z filmem i seans rozpoczął się od początku.

Rzeka pachniała tak, jak miała nie pachnieć potem żadna inna... Miecica stała na brzegu i po prostu wdychała ten zapach – aromat jesieni, nieznannej przyszłości i chłodnej wilgoci. Był listopad, zbliżała się zima. Lada dzień nurt skryje się pod lodową skorupą.

Po drodze do Leplówki mijala kapliczkę. Jak zawsze zatrzymała się na kilka minut, przyklękła i odmówiła modlitwę za rodziców. Za nieżyjącą już mamę i za ojca, który może nadal błakał się po świecie, nie mogąc wrócić do domu.

Powołali go do wojska jeszcze w trzydziestym dziewiątym i od tamtej pory nikt o nim nie słyszał. Mama została sama z trojgiem dzieci: Halinką, Mietką i Stasiem. Chłopiec był tylko o rok młodszy od Mietki, ale zginął zaraz na początku wojny, kiedy zaczęły się naloty. Głuptas jeden, myślał, że skoro szybko biega, ucieknie przed każdą bombą. Nie zdołał. Nawet nie było czego do trumny włożyć. Zakrwawione szmatki, i tyle.

Mamie było ciężko samej z dwiema córkami. Pobliskie Domaczewo zostało zajęte przez wojska radzieckie. Miecica pamiętała, jak matka zakopywała żywność w ogrodzie, tak bardzo się bała, że Rosjanie odbiorą im nawet te nędzne zapasy. Potem, w czterdziestym pierwszym, przyszli Niemcy. W poszukiwaniu partyzantów zaglądali w każdy kąt. Miecica długo jeszcze śniła taki sen: żołnierz w brzydkim niemieckim mundurze otwiera kufer z ubraniami, a tam trup, na poły już nadgniłe ciało jej ojca – i tylko twarz nienaruszona. Chociaż na jawie dziewczynka nie pamiętała nawet, jak tata wyglądał.

Miała dziesięć lat, kiedy wojna się skończyła. Wystarczająco dużo, by rozumieć, że świat nie zmieni się teraz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale na tyle mało, aby naiwnie wierzyć, że wszystko, co najgorsze, już za nimi. Myliła się.

Po pierwsze, nie mieszkały już w Polsce. Ich dom znalazł się w granicach Związku Radzieckiego. Po drugie, nadal panował głód. Ziemię i większość zwierząt gospodarskich zabrano do kolchozu. Do Botulów przyłgnęło pogardliwe i niebezpieczne określenie „kulaczki”. Mama rozchorowała się i całymi dniami leżała z opuchniętymi nogami, które podobne były raczej do kłód niż do ludzkich kończyn. Starsza siostra, Halinka, podjęła pracę w sierocińcu, a Miecica zajmowała się Paszką, dwuletnim synkiem lokalnego felczera, rodowitego Rosjanina. W zamian za opiekę nad dzieckiem mama Paszki karmiła

Miecią, czasem dawała jej podniszczone, niepotrzebne już ubrania, a raz nawet podarowała dziewczynce buty. Ale Mieczysława oddała je siostrze, bo na nią i tak były za duże – a zresztą Halinka była już panienką, jej pantofle bardziej potrzebne...

W czterdziestym siódmym wydawało się, że ich los poprawi się trochę, bo w Halince zakochał się Edward Knus z Domaczewa. Chłopak pochodził z rodziny olędrów, jak mówiono na potomków dawnych kolonistów niemieckich.

– Mowy nie ma – oświadczyła matka, gdy usłyszała, że Halinka chce iść za mąż za Edwarda. – On Niemiec, a Niemce ci ojca zabrali. I pewnie nawet nie katolik.

– Mamo, jaki znowu Niemiec? Olęder. Z dziada pradziada mieszkają w Domaczewie, po polsku przecież gadają. A że nie katolik, to co złego? Ewangelicy też pobożni ludzie.

– Musi być szpieg jaki, enkawudzista. Inaczej już by go dawno wywieźli, przecie w czasie wojny olędrów stąd wywozili.

Edward rzeczywiście uniknął wywózki do Wielkopolski i dalej pod Drezno, a to dlatego, że kiedy w czterdziestym czwartym ludność pochodzenia niemieckiego i holenderskiego wywożono z Domaczewa, przebywał akurat u dalekich kuzynów na Żuławach. Gdy wrócił, zastał puste chałupy, które zresztą wkrótce – z rozkazu władzy radzieckiej – spalono. Nastolatka przygarnęli sąsiedzi Białorusini, bo chłopak, choć zupełnie obcy i taki smarkaty, jak nikt znał się na rolnictwie i robieniu serów, a u nich chłopów w gospodarstwie brakowało, wszyscy na wojnie zginęli.

Stefania Botula psioczyła, że gorzej już córka trafić nie mogła, chłopak przecież sierota i obcy, nie nasz, że wstyd za mąż iść za Niemca, prawie jak za Ruskiego. Ale kiedy Halinka rozplakała się i jęknęła, że w takim razie mniejszy wstyd będzie pannie z brzuchem chodzić, matka ustąpiła i na ślub zgodę dała.

Miecia nie bardzo rozumiała, co ma tu do rzeczy brzuch, ale wkrótce pojęła, bo w rodzinie urodziła się śliczna dziewczynka, której dały na imię Antonina. Edward okazał się pracowitym, spokojnym młodzieńcem, a kiedy Stefania Botula umarła zaraz po narodzinach wnuczki, stał się prawdziwą podporą dla obu otepiałych ze smutku sióstr. Gdyby nie on, pomarłyby pewnie z głodu. Jak umiał, zajmował się Tosią, przynosił ją pogrążonej w apatii młodej matce do karmienia, a nawet zupełną część dnia gotował, żeby Halinka nie straciła pokarmu.

Smutek po śmierci mamy minął w końcu, jak mija zawsze, po każdej stracie. Edek pracował w kolchozie i zajmował się małym gospodarstwem, Miecia pilnowała małego Paszki, a Halinka dbała o dom i pielęgnowała Tosieńkę. Jakoś im się żyło, a choć głodno i w biedzie, to przecież wciąż mieli nadzieję, że skoro wojna minęła, z każdym rokiem musi być lepiej.

ROZDZIAŁ 2

Lena była ostatnio bardzo zmęczona. Kiedy tydzień po Nowym Roku Mieczysławę Botulę wypisano ze szpitala, lekarz nie miał dla jej wnuczki dobrych wieści.

– Wie pani, mogły się nałożyć dwie sprawy. – Potarł czoło z zakłopotaniem. – Problem w tym, że skoro pacjentka mieszkała wcześniej sama, zmiany mogły zachodzić niezauważenie.

– Jakie zmiany ma pan na myśli?

– Demencję – wyjaśnił. – Być może ona już wcześniej nie kojarzyła, zapominała, kim jest i gdzie się znajduje. Wylew mógł się zdarzyć zupełnie niezależnie od tego i teraz trudno nam ocenić, na ile stan babci jest wynikiem świeżych uszkodzeń mózgu, a na ile stanowi efekt procesów postępujących stopniowo, już od jakiegoś czasu.

– Panie doktorze, proszę tylko powiedzieć, czy możemy to ponaprawiać? – poprosiła Lena.

– Nie dawałbym wielkich nadziei.

– Rozumiem.

Tak więc wielkich nadziei dziewczyna nie miała. Właściwie liczyła już tylko na to, że babcia wróci do stanu z października, kiedy to Helena przyjechała z rodzinnego Karbowa do Lubka, żeby zająć się staruszką. Zamieszkała w kamienicy z figurkami aniołów na mansardowym poddaszu, zaprzyjaźniła się z pozostałymi mieszkańcami – i opiekowała się babcią Mieczysławą w nadziei na rychłą poprawę stanu jej zdrowia. Niestety, zamiast tego przyszło pogorszenie.

Wtedy, jesienią, wzrok staruszki wyrażał przynajmniej jakieś emocje. Wprawdzie nie mówiła, ale fukała, pojękiwała, reagowała na słowa wnuczki, a nawet zdarzało jej się krzyczeć podczas zabiegów. Teraz, po wyjściu ze szpitala, babcia zaczęła co prawda mówić, jednak Lena czasem myślała, że nawet tamte jęki były lepsze niż absurdalne słowa i zupełnie pozbawione sensu zdania wypowiedziane bez związku z tym, co się wokół babci działo.

Opieka nad staruszką była teraz trudniejsza również dlatego, że Mieczysława stała się zupełnie bierna. Wcześniej sama jadła posiłki, a jeśli szło jej to bardzo powoli i szybko się męczyła, Lenka pomagała jej trochę; lecz przynajmniej babcia chętnie otwierała usta i generalnie wyglądało na to, że chce współpracować. Teraz zajmowanie się nią przypominało pielęgnację gumowej lalki. Chora jadła bardzo niewiele, a żeby ją w ogóle zacząć karmić, trzeba było kilka razy dotknąć łyżką jej warg. Przeżuwała posiłki powoli, zapominała o przełykaniu, zamykała oczy. Lenka obawiała się, że babcia w każdej chwili może się zadławić.

Nieco tylko lepiej wyglądała sprawa korzystania z toalety – na szczęście staruszka pozwalała się zaprowadzić do ubikacji, w ślimaczym tempie stawiała krok za krokiem. Niestety, pewnego dnia stało się też to, czego od początku dziewczyna się obawiała – i trzeba było zacząć korzystać z pieluchomajtek. Na szczęście pierwsza wpadka z nietrzymaniem moczu zdarzyła się nie w łóżku, lecz na krześle, podczas jedzenia kolacji.

Niektóre wykonywane wcześniej przez Jakuba zabiegi rehabilitacyjne straciły sens, skoro pacjentka przestała reagować na polecenia, a jednak chłopak przychodził nadal, ponieważ masaże, oklepywanie czy oszczyptywanie były wskazane również w przypadku osoby zupełnie biernej. Lena doskonale wiedziała, że Jakub nalega na kontynuowanie zabiegów również dlatego, że w takie wieczory zostawał u Leny na noc. Początkowo miała wyrzuty sumienia, bo w końcu to nie było jej mieszkanie i nie powinna przyjmować w nim mężczyzny, jednak Kuba skutecznie wybił jej podobne myśli z głowy.

– Nie robimy nic złego. Nie chcesz chyba zamienić się w zakonnice, prawda? Przecież zachowujemy się dyskretnie – przekonywał. – Nie chodzę po mieszkaniu, siedzę cichutko w twoim pokoju i tyle. A że się trochę poprzytulamy, podarujemy sobie odrobinę miłości...? Co w tym złego? Każdy powinien dostać swoją porcję pieczyt.

– Ale niekoniecznie tutaj – oponowała Helena.

– W takim razie zabierz mnie do magicznej mansardy – droczył się.

– O nie! Nawet o tym nie myśl. Chodzę tam tylko po to, żeby podlać kwiatki.

– Właśnie. A poza tym nie chodzisz nigdzie, nie dajesz się nawet wyciągnąć na piwo z moimi przyjaciółmi. Raz w tygodniu babski wieczór z koleżankami, dwie noce w tygodniu ze mną i tyle masz ze swojego życia. Przecież nie możesz dać się tu zamurować żywcem! Gdyby nie moje pocałunki, już byś się dawno zamieniła w lód.

Niewątpliwie miał sporo racji. Helena sama niekiedy łapała się na tym, że więcej czasu i uwagi poświęca cudzym sprawom niż własnym. Zamiast szukać sposobów na rozładowanie napięcia coraz częściej towarzyszącego opiece nad babcią, zamiast sprawiać sobie drobne przyjemności i zadbać o własne szczęście, dziewczyna żyła problemami innych. Znacznie bardziej niż sobą interesowała się życiem pani Klary z pierwszego piętra, której nosiła smakołyki i z którą wychylała czasem kieliszeczek nalewki, żeby starsza pani nie czuła się samotna; godzinami dyskutowała z Francescą o jej pomysłach na asortyment sklepu o nazwie „Cudeńka”, przeżywała uczuciowe wzloty i upadki Beaty Markiewicz – wiarołomnej żony, która próbowała posklejać swoje małżeństwo, a wreszcie usiłowała pomóc osiemnastoletniej Marcelinie – dziewczynie tak kolczastej i zamkniętej w sobie, że wszystkim wydało się cudem, gdy pewnego dnia zaczęła normalnie odzywać się do rodziców.

Gdyby ktoś zapytał Helenę Botulę, czy jest szczęśliwa, bez wahania odpowiedziałaby twierdząco. Nie pozwalała sobie na inną interpretację. Z natury pogodna, nigdy nie narzekała, a ilekroć natrafiała na przeszkodę, pokonywała ją z uśmiechem i optymizmem. Tym swoim pozytywnym podejściem do życia zarażała innych, zjednując sobie ich serca, zdobywając szczerą przyjaźń i wdzięczność. Nie zauważała tylko, że w jej własnym życiu uczuciowym coś nie gra, jakaś nuta brzmi fałszywie.

Ilekroć Jakub obdarzał ją czułością, kulila się w sobie, jakby chciała cofnąć się o krok, zostawić trochę przestrzeni, stworzyć strefę, do której nikt nie będzie miał wstępu. Zastanawiała się, czy tak powinno być w miłości, i za każdym razem dochodziła do wniosku, że nie, nie powinno. Miłość to bliskość, mówiła sobie w duchu, a bliskość oznacza, że granice między jego ciałem a moim powinny się zacierać. Gdybym naprawdę kochała Kubę, odczuwałabym dotyk jego dłoni jak mojej własnej, jego skóra stapałaby

się z moją w jedno. Za każdym razem, gdy dopadały ją podobne myśli, usiłowała tłumaczyć to sobie racjonalnie, jak dziecku, które niewiele jeszcze rozumie: masz problem z otwarciem się na drugiego człowieka, ponieważ cię zraniono. Trochę potrwa, zanim znowu bezgranicznie zaufasz mężczyźnie.

Argument był słuszny. Lena dobrze wiedziała, że na pewne sprawy potrzeba czasu – a jednak bywało, że kiedy Jakub wychodził od niej rano, całując ją na pożegnanie i szepcząc czułe słówka, chciało jej się płakać – i wcale nie z powodu rozstania. Miała wrażenie, że jest jej smutno dlatego, że spędziła z nim noc.

ROZDZIAŁ 3

Marcelina schowała komórkę do kieszeni, kątem oka łowiąc spojrzenie Huberta Ksyka, który siedział w sąsiednim rzędzie ławek. Zerknęła na niego i mrugnęła porozumiewawczo. Nie odmrugnął, nie uśmiechnął się. Co za sztywniak! Pewnie chce jej okazać swoje święte oburzenie faktem, że na matematyce ośmieliła się pomyśleć o czymś innym niż równania z trzema niewiadomymi.

Kiedy Patrycja napisała w esemesie: *Czaderska ta nowa fryzura, ale kolczyków trochę żal. Idziesz do Gośki na imprezę?*, Marcelina odwróciła się i zrobiła do siedzącej w ostatniej ławce koleżanki minę, która miała wyrażać: „Jeszcze nie wiem”. Nie odpisała, bo nie była pewna, czy ma ochotę na powtórkę z rozrywki. Po ostatnim wyjściu wylądowała pijana na wycieraczkę sąsiadki z parteru, w kurtce pokrytej wymiocinami i z okropnym uczuciem, że robi z siebie szmatę.

– Marcelina? – powiedziała nauczycielka zachęcająco.

Dziewczyna spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. Po chwili skierowała spojrzenie na tablicę. Widniał tam układ równań, który zapewne należało rozwiązać. Uczennica wstała i poszła po kredę.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytała matematyczka.

Klasa gruchnęła śmiechem. No tak, widocznie nie chodziło o rozwiązanie, pewnie pytała o coś zupełnie innego.

– Przepraszam, zamyśliłam się – bąknęła dziewczyna, czerwona jak burak.

– Gdybyś jeszcze zamyślała się na inny temat niż kolor paznokci albo nowe dżinsy, byłoby świetnie – skwitowała zgryźliwie nauczycielka. – Ale skoro już tu jesteś, proszę, rozwiąż to równanie.

Oczywiście Marcelina nie umiała. To znaczy właściwie umiała, radziła sobie z takimi zadaniami w domu – ale teraz, pod obstrzałem kpiących spojrzeń i złośliwych uśmiezków, nie była w stanie myśleć.

– Kto pomoże? – Padło kolejne pytanie. – Hubert? Chodź do tablicy.

Kiedy brał kredę z palców Marceliny, spojrzał jej głęboko w oczy. Była ciekawa, czy dostrzegł tam cały bezmiar upokorzenia, które w tej chwili odczuwała.

Dlaczego niektórzy nauczyciele są tacy wredni, myślała, kiedy już usiadła i zaczęła przepisywać z tablicy obliczenia, wciąż z czerwonymi ze wstydu policzkami. Dlaczego nie umieją rozmawiać z nami tak, żebyśmy nie czuli się poniżeni? Jak na przykład pani Lena. Poszłam do niej cała zarzygana i przyznałam się, że omal nie dałam się przelecieć w parku obcemu chłopakowi – a ona potrafiła mnie wysłuchać i nie moralizować; zamiast tego pokierowała rozmową jakoś tak, że sama powiedziałam sobie: nigdy więcej.

Nigdy więcej – odpisała Patrycji, kiedy tylko Hubert wrócił na miejsce, a nauczycielka odwróciła się do tablicy, by zapisać kolejne działanie. Marcelina była ciekawa, czy chłopak znów spojrzy na nią z wyrzutem, ale unikał jej wzroku.

Kiedy wychodzili na przerwę, poczuła na ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni. Odwróciła się, przekonana, że to Patrycja.

– Potrzebujesz pomocy? Wytłumaczyć ci te równania? – zapytał cicho Hubert.

– Skądże! – prychnęła. – Przecież ja to rozumiem. Tylko akurat się zamyśliłam i kompletnie nie wiedziałam, o co jej chodzi. – Ściszyła głos, oglądając się, czy nauczycielka nie wyszła za nimi. – Czego właściwie ta baba ode mnie chciała?

– Pytała, czy potrzebujemy jeszcze jednej lekcji powtórkowej na równania, czy już przechodzimy do ciągów.

– A dlaczego akurat mnie? – sapnęła ze złością Marcelina. – Co to ja jestem, jakiś półgłówek?

– Zagadnęła o to kilka osób – wyjaśnił Hubert.

Pod pracownią chemiczną czekały na nią Patrycja i Aurelia, więc chłopak ulotnił się czym prędzej; podszedł do grupy kolegów stojących przy wejściu do sali gimnastycznej.

– O czym z nim gadałaś? – zapytała Aurelia z irytującą wyższością w głosie.

Marcelina zapomniała, że miała się do niej nie odzywać.

– Akurat z Hubertem jest o czym pogadać – odparła lekko. – Czego nie da się powiedzieć o niektórych twoich kumplach.

– Kogo masz na myśli? – obruszyła się koleżanka. – A, już rozumiem. Żal dupę ściska, że idę na studniówkę z Kamilem, tak? Mogłaś go sama zaprosić.

Patrycja roześmiała się sztucznie. Zapewne też jest zazdrosna, pomyślała Marcelina, a głośno powiedziała:

– Oczywiście, że mogłam. Różnica polega na tym, że nie chciałam, bo wolę iść z kimś, kto oprócz mięśni ma też mózg.

– O kim mówisz? – Spojrzenie koleżanek powędrowało za wzrokiem Marceliny w stronę Huberta Ksyka. – Żartujesz! – parsknęła Aurelia. – Mózg, owszem. Ale mięśnie? Gdzie ty widzisz mięśnie? Przecież to jest patyczak!

Cóż, nie można jej było odmówić racji... Hubert rzeczywiście był okropnie chudy. Albo może wydawał się taki z powodu swojego wzrostu? Był chyba najwyższy w całej szkole. Ale jest też najinteligentniejszy, powiedziała sobie w duchu Marcelina. Przynajmniej nie umrę z nudów.

– A wracając do imprezy u Gośki – odezwała się Patrycja, którą najwyraźniej irytował temat studniówki (może dlatego, że sama nie miała jeszcze partnera). – Dlaczego napisałaś, że nigdy więcej?

– Bo nie bawi mnie już upijanie się po kątach i obserwowanie, jak ktoś kogoś obmacuje. Wiecie co? Chyba wyrosłam z takich gówniarskich rozrywek.

– Teraz wolisz matkę? – rzuciła ironicznie Aurelia. – Zamiast podrywać porządne ciacho, wolisz obliczać trzy niewiadome z Ksykiem?

Marcelina spojrzała na nią z namysłem. Po raz pierwszy usłyszała, jak to naprawdę brzmi: „podrywać ciacho”. Żenada.

– Z Ksykiem albo bez Ksyka – odparowała. – Ale tak, wolę rozwiązywać zadania z matmy niż „podrywać ciacha”.

– Zmieniłaś się. – Aurelia zmrużyła oczy.

– Dopiero teraz to zauważyłaś?

– Nie mam na myśli fryzury czy ciuchów.

Obie, Patrycja i Aurelia, patrzyły na nią uważnie: pierwsza z ciekawością, druga

zaś z jakimś dziwnym wyrzutem.

– Ty też się zmieniałaś – odparła Marcelina. – Kiedy zakochałam się w Kamilu, robiłaś wszystko, żeby mi pomóc. Doradzałaś, jak mogłabym go poznać, w jaki sposób mam zagadać. A teraz wbijas mi szpilę, zapraszasz go na studniówkę i jeszcze się dziwisz, że mam do ciebie żal? Tak, żebyś wiedziała, że mam żal! Jestem na ciebie wkurwiona i chyba nieprędko mi przejdzie.

– Ale nie musisz prowadzić się z chudymi szachistami, żeby... – Ripostę Aurelii przerwał dzwonek na lekcję. – Żeby zrobić mi na złość.

– Pochlebiasz sobie – zdążyła jeszcze odpowiedzieć Marcelina. – Wbrew temu, co ci się wydaje, nie poświęcam ci każdej mojej myśli. Powiem więcej: tak naprawdę mam cię w dupie.

Kiedy weszła do pracowni chemicznej i zajęła miejsce obok Karoliny, klasowej grubaski, z którą jakiś czas temu posadziła ją nauczycielka, pomyślała, że w rzeczywistości nigdy nie знаła swoich przyjaciółek. Wymieniały się zdjęciami i lajkami na Facebooku, pisały do siebie bzdurne esemesy, chichotały i plotkowały, rozmawiały o nowych ciuchach i makijażu – ale w gruncie rzeczy nie mówiły sobie niczego ważnego.

Więc czy to wielka strata, że właśnie zepsuła wszystko? Że na przerwie nie będzie miała do kogo ust otworzyć, bo Aurelia z pewnością obrazi się na śmierć i życie, a Patrycja, jako ta niemająca własnego zdania, na wszelki wypadek także przestanie się do Marceliny odzywać?

Nie, to niewielka strata, odpowiedziała sobie w duchu. Właściwie żadna. Za to sporą stratą byłoby, gdyby tamten chłopak przeleciał mnie wtedy w parku. I wielką stratą byłoby, gdybym teraz po raz kolejny miała wrócić z imprezy zarzygana i pijana, a w konsekwencji zepsuć to, co w cudowny sposób ponaprawiało się w domu.

Sąsiadka z ławki spojrzała na nią niepewnie i chrząknęła cichutko.

– O co chodzi? – zapytała szeptem Marcelina.

– Dlaczego nie robisz zadań?

– Jakich?

– Drugie i trzecie ze strony siedemdziesiątej, na ocenę. Zamiast kartkówki.

Chemiczka często stosowała taką formę sprawdzania umiejętności. Marcelina rozejrzała się w popłochu po klasie. Prawie wszyscy pochylili już głowy nad kartkami, niektórzy nerwowo przeglądali zeszyty.

– Można korzystać z notatek? – Upewniła się.

Karolina pokiwała głową.

Marcelina zdążyła jeszcze uchwycić pełne troski spojrzenie Huberta. Niech lepiej pilnuje własnego nosa, pomyślała z irytacją, a potem szybko zabrała się do pracy. Na ten dzień wykorzystwała już limit wpadek i upokorzeń.

ROZDZIAŁ 4

Pani Klara przestępowała z nogi na nogę. Była osobą energiczną i nie lubiła czekać.

– Szybciej, kochana sąsiadko, bo nam wszystko z bagażnika ukradną – żartowała, choć doskonale wiedziała, że nic takiego się nie zdarzy. – Nad czym się tu zastanawiać? Czego nie miała pani na sobie przez ostatnie dwa lata, to do oddania. Tak czy nie?

Francesca pokiwała głową, ale wciąż stała niezdecydowana przy otwartej szafie.

– Może ten płaszcz – mruknęła wreszcie. – I jeszcze brązowy kardigan. Jest ciepły i ładny, ale okropnie mnie pogrubia.

– Pogrubia! – Roześmiała się tubalnie sąsiadka z góry. – Jakby taką chudzinę cokolwiek mogło pogrubić! – Ja to co innego, kształt doskonały, idealna kula. A ta kurtka męska? – zapytała nagle, wskazując coś po prawej stronie. – Ta granatowa, taka wielka. Potrzebna pani?

Francesca błyskawicznie zatrzęsnęła drzwiczki szafy.

– Potrzebna – ucieła. – Pomogę pani zanieść tamte rzeczy do samochodu.

Pani Klara spojrzała na nią uważnie, ale nie skomentowała tego dziwnego zachowania. Zapakowały płaszcz i kardigan w foliowy worek, po czym zaniósły do bagażnika starego volkswagena.

– Mariola z pralni zgodziła się to wszystko odświeżyć za darmo – oznajmiła z dumą starsza pani. – Ma się te znajomości.

Bardzo lubiła czuć się doceniana.

– Wspaniale, pani Klaro – odparła Francesca. – Gdyby nie pani pomysły, nic by z tego nie wyszło. Załatwiła pani zamykaną szafkę, teraz ta pralnia, po prostu rewelacja. Czy pani wie, że o akcji „Wspólna Szafa” pisali nawet w gazecie regionalnej?

– A myśli pani, że kto zadzwonił do redakcji? – Sąsiadka mrugnęła wymownie. – Trzeba być sprytnym. Nie można całe życie hołdować zasadzie: „Siedź w kącie, a znajdą cię”.

Francesca doskonale wyczuła, co kobieta próbuje przemycić między wierszami.

– Jedźmy – zakończyła rozmowę. – Bo muszę wracać do pracy.

Zawiozła panią Klarę do wspomnianej Marioli, pomogła wyładować odzież przeznaczoną do czyszczenia, a następnie odstawiła sąsiadkę z powrotem do kamienicy pod aniołami i wróciła do „Cudeniek” akurat wtedy, gdy Lena sięgała po telefon, żeby ją ponaglić.

– Jesteś nareszcie! – Dziewczyna westchnęła z ulgą. – Bo już się martwię o babcię.

– Dużo miałaś klientów?

– Niewielu, ale sprzedawałam zegar z szufladką.

– Z lawendą czy z wrzosami?

– Z wrzosami. I jeszcze przyszła jedna starsza pani... Pytała o szpatułki z zajaczkami. Twierdziła, że będziesz wiedziała, o co chodzi. Dwa razy się upewniałam, czy nie chodzi jej o szkatułki, ale nie, twierdziła uparcie, że szpatułki.

– A, tak. Takie ozdoby wielkanocne do doniczek. Całkiem zapomniałam, to co roku

na wiosnę świetnie schodzi. Zrobi się, zrobi.

– No dobrze, to ja już biegnę do babci. Dlaczego jesteś taka smutna? – Lena zatrzymała się w drzwiach, zapinając kurtkę. – Stało się coś?

– Nie, skądże. Zawiozłyśmy z panią Klarą odzież do czyszczenia. Wszystko dobrze.

– Okej, to do wieczora. Dzisiaj u Beaty – przypomniała dziewczyna i pobiegła na parking.

– Dzisiaj u Beaty... Jasne... – mruknęła pod nosem Włoszka, sama przed sobą udając irytację. – A może ja właśnie mam dzisiaj ochotę leżeć i płakać w spokoju? Człowiek nawet nie może złapać porządnego doła przez te przyjaciółki.

Pewnie tak by to właśnie wyglądało: po powrocie z pracy nalałaby sobie lampkę wina, ponieważ była sobota, a w soboty był czas na wino. Potem otworzyłaby szafę, żeby wtulić twarz w starą kurtkę Szczepana i moczyć ją łzami, aż materiał stałby się szorstki i nieprzyjemny. Wtedy można by się położyć na kanapie i, szlochając, dopić resztę wina. Rano męczyłby ją ból głowy i miałyby okropnie zapuchnięte oczy.

Ileż to wieczorów spędziła w taki sposób, ile nocy... Nie miała pomysłu, jak wyrwać się z kręgu beznadziei; nie była nawet pewna, czy chce się z niego wydostać. Choć dla znajomych miała zawsze uśmiech na twarzy, w głębi duszy z namaszczeniem pielęgnowała własny dramat – może dlatego, że był tak bardzo filmowy, romantyczny i cikliwy. A Francesca nade wszystko bała się, że jej życie stanie się puste i wyzute z uczuć jak życie mamy i ciotecznej babki Roberty.

Jej matka miała na imię Maria i była córką polskiego żołnierza, którego oddział podczas wojny walczył na wzgórzach nieopodal Piedimonte. Franciszek, ciężko ranny i uznany za zaginionego w akcji, został odnaleziony przez urwisów z miasteczka, którzy igrali ze śmiercią, bawiąc się na skałkach i szukając pustych łusek po nabojach, na których doskonale się gwizdało. Tamtego dnia natrafili na czołgającego się mężczyznę z krwawą miazgą zamiast twarzy. Tak oto dziadek – choć wtedy nikt nie przypuszczał jeszcze, że ten strzypek człowieka może kiedykolwiek stać się choćby czyimś mężem, a co dopiero ojcem i dziadkiem – trafił do rodziny Bianchi, która do końca wojny ukrywała go w murowanej piwniczce na wino. Nigdy nie dowiedział się, że o tym, czy go dobić, czy ocalić, zadecydowała dziecięca wyliczanka. Włosi w owym czasie nie byli pewni, kto jest ich sojusznikiem, a kto wrogiem. Ponieważ jednak wypadło na *salvare*, pozwolono, by sprawy potoczyły się swoim torem. Zdjęto z wojaka mundur i spalono natychmiast wraz z dokumentami i czapką z orzełkiem, bo przecież w razie gdyby Niemcy znaleźli rannego, zaczęłyby się kłopoty. A potem Bianchi odziali Franciszka w byle jakie chłopskie ubranie i postanowili udawać, że taki właśnie do nich trafił – milczący, pokiereszowany, zupełnie nieszkodliwy. Nikt go szczególnie nie pielęgnował, ale opatrzono mu rany, dostawał jeść i pić, było mu ciepło. Jak się okazało, to wystarczyło, by przeżył.

Dość długo nie pamiętał, kim jest, a ponieważ po wojnie wielu mężczyzn nie wróciło już do domów, został we włoskim miasteczku, gdzie każde męskie ręce były na wagę złota. Zresztą kiedy już przypomniał sobie, że nazywa się Franciszek i pochodzi

z Kielc, odnalazł także smutną część swoich wspomnień: rodzice nie żyją, a jedyny brat zginął, zanim Franek został ranny, jeszcze przed szturmem na Monte Cassino. Nie było już po co wracać do Polski.

Jego ojczysty język brzmiał niewyobrażalnie twardo i szeleszcząco, ale wkrótce nauczył się jako tako po włosku. Rodzina użyła mu nazwiska Bianchi, bo swojego nie pamiętał. Raz wydawało mu się, że zwie się Rzczuski, innym razem – Rzecki. Ponieważ początkowo zachowywał się dziwnie: przerywał zniemacka rozmowę, zastygał w bezruchu i pogrążał się w rozmyślaniach, przez jakiś czas traktowano go trochę jak słabego na rozumie i zlecano wyłącznie prace fizyczne, wymagające sporej krzepy, bo tej mu nie brakowało. Jednak dość szybko okazało się, że Polak przejawia dryg do interesów. Założył hotelik z niewielką restauracją, zatrudnił w nim całą swoją nową rodzinę, i w ten oto sposób rodzina Bianchi z drobnych sklepikarzy przekształciła się w ród hotelarski.

Franciszek ożenił się ze słodką Rosą z sąsiedztwa, na którą po swoim mówił Róża. Żona, po dwóch poronieniach, dała mu w końcu dziecko – córeczkę Marię. Niestety, kiedy dziewczynka miała zaledwie dwa lata, jej matka zmarła z powodu powikłań po kolejnej ciąży – tym razem pozamiacicznej. Tak oto Maria została sama z ojcem Polakiem o pokierszowanej twarzy i dziurawej pamięci. Z ojcem, który mówił dziwaczną mieszaniną polskiego i włoskiego, ale za to wyprowadził rodzinę z powojennej biedy na bezpieczne wyżyny dobrobytu.

Maria dorastała, karmiona wielką tęsknotą. Najpierw za mamą, potem za mityczną krainą z opowieści ojca – Polską. Kiedy wracała ze szkoły, jej liczni włoscy kuzyni biegli całą gromadą, śmiejąc się i docinając sobie nawzajem, ona zaś stawała ni stąd, ni zowąd, ze wzrokiem utkwionym w pagórkowaty horyzont, i marzyła, że pewnego dnia wyjedzie z miasta i zobaczy, co znajduje się za wzgórzami.

Franciszek umarł na serce, kiedy jego córka miała szesnaście lat. Zaopiekowała się nią ciotka od strony matki, pulchna, rubaszna Roberta, która nigdy nie wyszła za mąż, ponieważ uważała, że za dużo z tym zachodu. Jako doskonała kucharka mogłaby mieć każdego, jak mawiała – ale żadnego nie chciała. Marii dobrze było u ciotki, choć ta próbowała wykorzenić u siostrzenicy ów niepoprawny romantyzm, którego podstępne ziarno zasiał w niej ojciec.

Niezbyt ładna, niezbyt mądra, tak mówiono w miasteczku. Maria w to uwierzyła, przyjęła więc pierwszą propozycję małżeństwa, jaką jej złożono. W rzeczywistości była to raczej oferta biznesowa. Ponieważ absztyfikant był właścicielem drugiego hotelu w Piedimonte, uznano, że zamiast konkurencji lepsza będzie wielka rodzinna firma. W ten oto sposób dziewiętnastoletnia Maria została żoną sporo starszego wdowca, który nie miał dzieci z pierwszego małżeństwa, więc czym prędzej zabrał się za nadrabianie straconego czasu. Nazywał się Carlo Venuti, był gruby, brodaty, zawsze roześmiany i bardzo lubił wino. Mówiono o nim „król życia”. Zaledwie zdążył zapłodnić swoją młodziutką żonę, zginął w wypadku, o którym wszyscy wiedzieli, że nie zdarzyłby się, gdyby gruby Carlo nie opróżnił tego dnia dwóch butelek amarone – ale i tak mieszkańcy miasteczka przychodzili składać oszołomionej wdowie wyrazy współczucia, przeklinając złośliwość losu i złorzecząc kierowcy auta jadącego z naprzeciwka (który był trzeźwy i któremu na

szczęście nic się nie stało).

Francesca urodziła się osiem miesięcy po tej tragedii i otrzymała imię po dziadku Polaku. Matka śpiewała jej polskie kołysanki i uczyła polskich słów oraz krótkich zdań, które pamiętała z dzieciństwa. Opowiadała jej o kraju na północy, którego nigdy nie widziała na oczy, ale który jawił się jej jako najwspanialsze miejsce na Ziemi.

– Są tam góry zupełnie inne niż nasze wzgórza, czarne, zimne – twierdziła. – Twój dziadek opowiadał, że polskie pola mają inny kolor, a polski chleb inny zapach. Nawet niebo jest inne, a morze nie ma koloru wiecznego błękitu, lecz bywa granatowe, stalowe, srebrne albo ciemnozielone.

Francesca słuchała tych opowieści przed snem, tak jak inne dzieci słuchają baśni. Budowała sobie, cegielka po cegielce, dom ze swoich marzeń. Dom, który miał stanąć w Polsce, a nad nim miało być inne niebo niż to, do którego przywykła we Włoszech.

Dziewczynka dorastała, otoczona kobietami, których życie z różnych powodów było pozbawione miłości. Babka Roberta sama wybrała samotność, ale mama Franceski, wciąż przecież młoda i o romantycznej duszy, czuła się bardzo nieszczęśliwa. Nic dziwnego, że z biegiem lat zaczęła nieco dziwaczeć. W recepcji prowadzonego przez nią małego hotelu (bo po śmierci Roberty firma znowu podupadła i został tylko ten jeden) stał zawsze mały telewizorek, w którym Maria nieustannie zmieniała kanały w poszukiwaniu romansów i melodramatów. Nie zaznała miłości, więc oplakiwała cudze uniesienia, próbując chociaż w ten sposób ocalić swoje serce przed uwiędem.

Pewnego jesiennego dnia do miasteczka zawitał kierowca polskiej ciężarówki. Francesca, świeżo upieczona absolwentka szkoły średniej, wspominała potem ten dzień jako początek nowej epoki – aż dziwne, że nie mówiono o tym w telewizji, nie pisano w gazetach. Kierowca nazywał się Szczepan Traszka i już samo to wprawiło zarówno Marię, jak i Francescę w ożywienie, bo przecież pamiętały szeleszczące nazwisko Franciszka – głoski *sz* i *cz* pasowały do tego, co wiedziały o Polsce.

Szczepan pracował w jednej z firm transportowych, jakie powstawały po upadku muru berlińskiego, kiedy przedsiębiorczy młodzi ludzie próbowali rozkręcić własny biznes. Dotychczas Traszce trafiały się wyłącznie krótsze kursy, tym razem jednak zastępował kolegę. Niewielką, zgrabną ciężarówką przewoził mleko w proszku na południe Włoch.

Jechał autostradą. Za Rzymem zepsuła się pogoda. Gdyby nie ten deszcz, mówiła później Francesca, gdyby nie te wycieraczki, dopowiadał Szczepan, minęlibyśmy się, nie byłoby nas. Zaczęło padać, bo jesienią we Włoszech pada bardzo często, a deszcz z każdym kilometrem zamieniał się z drobnego kapuśniaczku w ulewę, w prawdziwe oberwanie chmury. Na wysokości Celleferro w ciężarówce Szczepana przestały działać wycieraczki. Pomyślał, że nawałnica zaraz ustanie, lecz stało się dokładnie na odwrót, zupełnie jakby tym wszystkim kierowała czyjaś złośliwa ręka – po szybie spływały potoki wody, jakby ktoś chlustał w auto z ogromnego wiadra. Szczepan zjechał więc na najbliższym zjeździe i tak znalazł się w miasteczku Piedimonte. Odszukał mechanika. Dowiedziawszy się, że trzeba wymienić silniczek, a sprowadzenie odpowiedniej części potrwa przynajmniej do kolejnego popołudnia, zostawił samochód, po czym udał się na poszukiwanie taniego noclegu.

Wcale nie stało się tak, że zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Francesca była tamtego dnia ubrana w tanią sukienkę i rozciągnięty sweter, miała nieporządnie spięte włosy i rajstopy poplamione na łydkach ciemnymi kropkami błota, ponieważ kiedy się rozpadało, pobiegła po książkę, którą zostawiła na stoliku w ogrodzie. Szczepan był wściekły na te wycieraczki i niespodziewane opóźnienie, miał na sobie pogniecioną koszulę z plamami potu pod pachami i stare spodnie od maturalnego garnituru, ponieważ porządnych dżinsów żał mu było zakładać na tyle godzin jazdy.

Wszedł do recepcji hoteliku. Zwabiły go czerwone okiennice i urokliwe kwiaty na parapecie, bo choć był październik, wciąż jeszcze kwitły pelargonie. Maria oglądała właśnie kolejny odcinek serialu „Santa Barbara”, więc nie zwróciła uwagi na nieporadny akcent gościa. Prawda była taka, że Szczepan po włosku umiał powiedzieć tylko kilka zdań, których przed wyjazdem nauczył się z rozmówek polsko-włoskich. Kiedy spróbował przejść na niemiecki, bo w szkole liźnął tylko rosyjskiego i właśnie niemieckiego, zawołała Francescę.

– Chodź – zwróciła się do córki swoim chropowatym od papierosów głosem. – Ja się z tym młodzieńcem nie dogadam. A ty się w szkole uczyłaś języków.

– English? – spróbowała Francesca, szczerze opatulając się swetrem, żeby nie było widać, jak bardzo byle jaka jest jej sukienka.

– Nein, nein – odparł zawstydzony Szczepan. – Deutsch, Russisch und Polnisch.

Przez chwilę patrzyła na niego jak na rzadki okaz pięknie upierzonego ptaka. Jakby to, że istnieje, było jakimś cudem.

– Polnisch? – powtórzyła drżącym głosem. – Polacco? Polonia?

Nagle zapomniała wszystkiego, czego nauczyła się od matki w dzieciństwie.

Szczepan wyciągnął ze sportowej torby rozmówki polsko-włoskie i przy kolacji, a potem przy winie wszyscy troje wyszukiwali słowa i zdania, które chcieli sobie powiedzieć. „Czy to prawda, że w Polsce jest inne niebo?” – Takiego zdania w rozmówkach nie było. „Czy to prawda, że chleb macie inny?” „Jakie są góry?” „Jakie jest morze?”

Szczepan wypytywał o dziadka – skąd się tu wziął, czy to możliwe, że był jednym z żołnierzy Andersa? Ale one nie wiedziały, bo przecież Franciszek nigdy nie opowiadał o wojnie, a już tym bardziej o czasach przedwojennych. Właściwie nikt nawet nie był pewien, że jego wspomnienia są prawdziwe, skoro pamięć miał podziurawioną niemieckimi kulami. Maria słuchała wyłącznie jego bajania o Polsce, a potem przekazała to własnej córce.

– Ale jak można nie wiedzieć – gorączkował się Szczepan. – Może macie jakieś dokumenty? Niemożliwe, żeby nic nie ocalało!

– Możliwe – odparła Maria, która znacznie lepiej niż Francesca rozumiała mowę przybysza. – Wszystko spalone, rozumiesz? Ukrywać niebezpiecznie. Nowe ubranie, nowe nazwisko, nikt nie wie, co będzie.

Gość z Polski miał zaledwie niejasne pojęcie o wojnie we Włoszech. Wiedział wprawdzie, że Włosi początkowo byli sojusznikami Hitlera, ale nie miał pewności, czy i kiedy przeszli na właściwą stronę. Zapewne mieszkańcy Piedimonte San Germano sami nie wiedzieli, czy za sprzyjanie Polakowi mogą zostać ukarani, czy przeciwnie – zostaną

za to nagrodzeni. Na wszelki wypadek nigdy nie zdradzili, skąd wziął się u nich mężczyzna z pokiereszowaną twarzą.

Z opowiedzianej łamaną polszczyzną historii rodzinnej Szczepan zrozumiał jedynie, że ojciec tej starszej kobiety nigdy nie odzyskał pamięci do tego stopnia, by odtworzyć swoje losy. Pamiętał natomiast z całą pewnością, że jego jedyny brat zginął we Włoszech, choć nie pod Monte Cassino, bo stało się to jeszcze przed szturmem.

– A właśnie, Monte Cassino. Byłyście tam? – ożywił się Szczepan. – Przecież to chyba niedaleko.

– Nie – odparła cicho Francesca. – Ja nie byłam.

Wybrali się więc nazajutrz starym, nieco już zdezelowanym fiatem, który pamiętał jeszcze czasy babki Roberty. Maria nie chciała jechać, zresztą ktoś musiał zostać w recepcji. Francesca tym razem założyła najładniejszą sukienkę z wełenki w kolorze czekolady i zamszową kurtkę. Wyszczotkowała włosy i pociągnęła usta szminką o leciutkim złocistym połysku. Denerwowała się, bo przecież nie znała polskiego na tyle, żeby swobodnie rozmawiać z młodym Polakiem.

Szczepan także ubrał się tego dnia w lepsze spodnie i założył sweter z wycięciem w serek. Był podekscytowany. Faktem, że jedzie na Monte Cassino, o którym śpiewał w szkole piosenkę, że odnalazł ślady polskiego żołnierza na włoskiej ziemi – i towarzystwem najpiękniejszej dziewczyny, jaką widział w życiu.

Nie rozmawiali zbyt wiele, bo oboje czuli się skrępowani faktem, że nie znają wspólnego języka. Wreszcie jednak, na poły po polsku, na poły dziwaczną mieszaniną włoskiego, angielskiego, niemieckiego i francuskiego, zdołali porozumieć się na tyle, by poczuć się dobrze w swoim towarzystwie.

Tego dnia nie padało, lecz wiał chłodny wiatr, który rozwiewał kasztanowe loki Franceski. W milczeniu wspięli się na wzgórze i chodzili między białymi kwaterami, a potem studiowali spis pochowanych na cmentarzu żołnierzy, choć przecież dobrze wiedzieli, że nie będzie tu brata Franciszka Rzczuskiego lub Rzeckiego, skoro zginął kilka dni przed szturmem. Mimo to oboje czuli potrzebę, aby nie przegapić nikogo; obojgu wzruszenie odbierało mowę.

Kiedy schodzili w stronę parkingu, dziewczyna potknęła się, a wówczas Szczepan chwycił ją za rękę i już nie puścił, dopóki nie stanęli przy samochodzie. Wtedy dopiero zabrał dłoń, a Francesca poczuła dojmujące zimno w miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się jego palce. Pojechali na ciasto i kawę, ona śmiała się zalotnie, a on pożerał ją wzrokiem.

Po południu okazało się, że brakująca część do auta została sprowadzona, wycieraczki działały bez zarzutu, więc Szczepan pożegnał się z właścicielkami hotelu i pojechał w dalszą drogę. Mogłam dać mu adres, myślała zrozpaczona Francesca, wówczas wiedziałby, że chcę, aby napisał. Ona sama miała jego adres spisany z paszportu; widniała na nim warcząca nazwa: Żary. Szczepan Traszka. Był od niej starszy o sześć lat. Wydał jej się dojrzałym mężczyzną.

Gdyby były to czasy telefonów komórkowych, z pewnością zadzwoniliby do siebie jeszcze tego samego wieczoru. Ale ich miłość zaczęła się dobre cztery lata przed tym, jak komórki stały się na tyle tanie, by mogli sobie na nie pozwolić zwykli zjadacze chleba;

podobnie było z komputerami i dostępem do internetu. Francesca spędziła dwa dni z głową w chmurach, zakochana do nieprzytomności we wspomnieniu uśmiechu chłopaka, niesfornych włosów i dotyku jego dłoni. Zapomni o mnie, myślała z rozpaczą, a ja będę tu wędła od niespełnionych marzeń, wyobrażając sobie, co mogłoby się między nami zdarzyć.

Trzy dni po wyjeździe Szczepana wybrała się na przechadzkę z koleżanką i jej bratem, bo pomyślała, że powinna się jakoś rozerwać. Veronica zaproponowała, żeby wybrali się na weekend do Rzymu, a Marco ścisnął znacząco jej łokieć. Dlaczego nie, powiedziała Francesca, jeśli tylko mama się zgodzi. Sezon turystyczny skończył się jakieś dwa tygodnie wcześniej, rzadko teraz zaglądali do nich goście.

Kiedy wracała do domu, zapadał już zmierzch. Zgodziła się, żeby Marco ją odprowadził, a on z kolei uparł się, by wzięła go pod rękę. Szli więc z udawaną powagą niczym małżonkowie wracający z kościoła. Co chwila wybuchali śmiechem, a Francesca pomyślała, że jej miłość do przystojnego Polaka jest jak motyl, bo żyje tylko kilka dni. Zaraz umrze, zniknie, uświadomiła sobie, i zanim Szczepan wpadnie na pomysł, żeby odnaleźć mój adres i napisać, nie będę już nawet pamiętała, jak wyglądał.

– Dalej pójde sama – zwróciła się do Marco, a ponieważ oponował, wyjaśniła: – Chcę się pomodlić przy kapliczce. Idź już.

Poszedł, bo do religijnego Włocha taki argument nie mógł nie przemówić. Dziewczyna podbiegła do kamiennej kapliczki i złożyła ręce do modlitwy.

– Proszę – wyszeptala. – Nie pozwól temu umrzeć. Ja przecież nie wiedziałam nawet, że motyle mogą mieć tyle kolorów.

Potem modliła się jeszcze bez słów, samym sercem, aż wreszcie ruszyła powoli drogą w dół, do hoteliku. Dopiero kiedy zauważyła, że na parkingu za domem stoi znajoma ciężarówka, puściła się biegiem.

Maria widziała, co się święci, lecz była mądrą matką. Rozumiała, że na nic zdadzą się dobre rady i ostrzeżenia, kiedy w grę wchodzi magiczna mieszanka miłości z młodością. Zostawiła zakochanych przy kolacji i poszła do siebie, wymawiając się bólem pleców.

– Nie mogłem, po prostu nie mogłem pojechać dalej – szepnął Szczepan, kiedy wreszcie odważył się dotknąć koniuszków palców Franceski. – Kiedy zbliżał się zjazd, nie byłem w stanie skupić się na jeździe, omal nie najechałem na jakąś furgonetkę.

Francesca kiwała głową, choć przecież nie rozumiała wszystkiego, co mówił. Ale jego oczy błyszczały tak, że nie mogła mieć wątpliwości, iż właśnie to chciałyby usłyszeć. No i ta ręka, skradająca się po obrusie, przykrywająca powoli grzbiet jej dłoni, a później wędrująca wyżej, ku nadgarstkowi.

Wreszcie Szczepan przesunął swoje krzesło, żeby nie odgradzał ich od siebie stół, a wtedy nie było już żadnych przeszkód, by wodzili po swoich ciałach opuszkami palców, całowali się jak pijani, popijali pocałunki czerwonym winem, a w końcu znaleźli się w jej pokoju i przez całą noc nie zmrzyli oka.

Dwieście osiemnaście dni.

Tyle trwał ich romans na odległość. Tyle wieczorów Francesca spędziła przy oknie, modląc się o bezpieczny powrót ukochanego.

Wystarczyło jej niecałe cztery miesiące, by przestudiować wszystkie podręczniki do nauki polskiego, jakie udało jej się kupić w Rzymie; zaopatrzyła się także w atlas i nauczyła się na pamięć tras, które pokonywał Szczepan. Listy, które pisała, stawały się coraz dłuższe, coraz mniej w nich było błędów i niezręczności językowych. Szczepan odpowiadał krótko, nie rozpisywał się – twierdził, że nie ma daru pisania. Opowiadał tylko, gdzie był ostatnio i kiedy będzie mógł przyjechać. Wreszcie udało mu się na stałe wskoczyć na miejsce kolegi, który jeździł włoską trasą; odtąd kochankowie widywali się częściej.

– Nie mogę tu zamieszkać – tłumaczył Szczepan stęsknionej dziewczynie. – Co bym robił? Hotelik nie wyżywi całej rodziny, przecież nie ma tu znów takiego ruchu turystycznego. Teraz nastały inne czasy, granice się otwierają, ludzie jeżdżą na wycieczki; szukają wielkich hoteli, w których można zakwaterować czterdzieści parę osób, a nie jak u was. Rodzinna atmosfera to nie wszystko. Zresztą nie znam języka.

– Więc co? – pytała Francesca. – Rezygnujesz ze mnie? Mam sobie szukać wesołego włoskiego chłopca, który będzie mnie tulił w samotne wieczory? Nie mogę tak dłużej, Szczepko – zmieniła końcówkę jego imienia, żeby brzmiało choć trochę po włosku. – Całe życie w tęsknocie, w czekaniu?

– Tak się nie mówi – wyszeptał, całując jej ramię. – Całe życie w czekaniu, to jest niepoprawnie po polsku.

– Ale prawdziwie – odpowiedziała, zanim dała się porwać namiętności. – Chcę, żebyś mi powiedział, co z nami będzie.

Nie dowiedziała się tego jednak. Poznała za to siłę jego pożądania, smak pocałunków i wszystkie odcienie rozkoszy, jaką mogą się obdarować młode, zgłodniałe ciała.

ROZDZIAŁ 5

Beata rozejrzała się nerwowo po mieszkaniu. Dochodziła dziewiętnasta, pieczarki zapiekane z mozzarellą czekały w piekarniku, kieliszki do wina, przetarte i błyszczące, stały w równym rzędzie na ławie... Zajrzała jeszcze do łazienki i w ostatniej chwili zgarnęła z kaloryfera biustonosz Marceliny. Niby żaden wstyd, zwłaszcza że gośćmi miały być same kobiety, ale Beata lubiła, żeby wszystko było idealnie.

Marek zabrał Jędrka na obiecany film o superbohaterach, a przy okazji podrzucił Marcelinę do galerii handlowej, ponieważ nadal nie kupiła sukienki na studniówkę i zaczynała panikować. Matka chciała jej pomóc w poszukiwaniach, lecz dziewczyna uparła się, że znajdzie coś sama. Prawdopodobnie po prostu nie chciała, żeby jej doradzano.

Beata miała wielką ochotę na babskie pogaduchy, dlatego zaprosiła na ten wieczór przyjaciółki. Chciała opowiedzieć im o wszystkim, co wydarzyło się w jej małżeństwie od czasu świątecznego wyjazdu – o tym, że noce stały się gorące, ale dni nadal pozostawały zimne i puste. I że nawet jeśli początkowo czuła się szczęśliwa i cieszyła ją każda pieszczota męża, każdy pocałunek, teraz przestało jej to wystarczać.

Pierwsza przyszła Lena, jak zwykle z półmiskiem pełnym pyszności. Tym razem przyniosła pieczone buraczki z rukolą i granatem.

– Skąd ty czerpiesz takie pomysły? – zapytała Beata z zazdrością, wstawiając wodę na herbatę. – Ja mam stały repertuar i bardzo rzadko zdarza mi się włączyć do naszego domowego jadłospisu coś nowego.

– A ja właśnie uwielbiam innowacje – odparła Lena. – Gdybym miała gotować w kółko to samo, wpadłabym w depresję. Oczywiście pomijam fakt, że właściwie ostatnio muszę pichcić w kółko to samo, bo babcia je tylko krupnik i pomidorową z ryżem. Przed pobytem w szpitalu było w porządku, a teraz zrobiła się strasznym niejadkiem.

– A jak się czuje?

– Ciśnienie się unormowało, serce też w porządku, tak powiedział lekarz. Ale ja mam wrażenie, że jest zupełnie nieobecna.

– W jakim sensie?

Lena usiadła, przysuwając sobie kubek z herbatą i wkładając do niego plasterki cytryny. Rozległo się pukanie do drzwi, więc Beata poszła do przedpokoju, by wpuścić Francescę.

– Wiesz, kiedy przyjechałam tu w październiku, babcia przynajmniej jakoś na mnie reagowała – ciągnęła dziewczyna nieco głośniej. – Nie słowami, nie gestami, ale jednak. Sama nie wiem, spojrzała ostrzej albo łagodniej, fuknęła albo właśnie nie fuknęła... i to też był jakiś komunikat. A przede wszystkim jęczała podczas zabiegów. Teraz tego nie robi. Niczego w ogóle nie robi. Czasem coś powie, ale to nie jest skierowane do mnie, tylko w przestrzeń. Do jakichś duchów przeszłości, czy ja wiem? Nie patrzy na mnie.

– Kto nie patrzy? – zapytała Francesca, wchodząc do pokoju i stawiając na stole butelkę prosecco. – Babcia?

– Tak. Mówię właśnie, że według mnie jest gorzej...

– Ale na coś przecież musi patrzeć – zdziwiła się Beata, która w międzyczasie wyciągnęła z piekarnika faszerowane pieczarki i teraz wniosła je do pokoju, roztaczając nieziemski zapach.

– Rany, jak to pachnie – pochwaliła Lena. – Ja poproszę od razu, dopóki gorące. A wracając do babci, to owszem, patrzy przed siebie, ale kiedy do niej mówię, zaciska powieki. Wiecie, jak to wygląda? Jakby uciekała z życia tu i teraz gdzieś w przeszłość, do jakichś swoich wspomnień.

– Ile właściwie twoja babcia ma lat? – zainteresowała się Włoszka. – Który rocznik?

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty – wyjaśniła Lenka. – A niedawno się dowiedziałam, że była na Syberii, wyobraźcie sobie. Muszę jeszcze trochę pogrzebać w tej historii, może odnajdę jakieś informacje o dziadku.

Przez chwilę jadły w milczeniu, rozkoszując się smakiem zapieczonej mozzarelli. Gospodyni naląła wina i zgasiła żyrandol, zastępując go delikatnym światłem kinkietu.

– A może pani Klara będzie wiedziała coś na ten temat? – zapytała Beata między jednym łykiem a drugim. – Ona mieszka tu od bardzo dawna.

– Nie, już z nią rozmawiałam. Chyba jednak jest znacznie młodsza od mojej babci.

– Pani Klara jest bardzo spostrzegawcza – odezwała się Francesca, dziwnie jakoś milcząca tego wieczoru. – I trochę, jak by nie patrzeć, wścibska.

– To dobra kobieta – podkreśliła gospodyni. – Opiekowała się Marcelinką, kiedy była malutka. Mówię wam, traktowała ją jak wnuczkę, była idealną nianią.

– Ja tylko twierdzę, że jest ciekawska – odparła Włoszka. – Może sobie być najlepszą nianią świata, ale nie powinna... Nie powinna...

Przyjaciółki patrzyły na nią w skupieniu. Milczenie przeciągało się, ale żadna nie chciała go przerwać, ponieważ czuły, że Francesca zbiera siły, by im coś powiedzieć.

– Zawiozłyśmy dziś ubrania do pralni – wyjaśniła w końcu. – Wiecie, te dla biednych i bezdomnych. I kiedy przeglądałyśmy odzież, pani Klara zobaczyła w mojej szafie męską kurtkę. Chciała, żebym ją oddała.

Beata zamierzała zapytać, po co Francesce męska kurtka, ale ugryzła się w język. Pomyślała, że niektóre historie muszą same dojrzeć do tego, by zostać opowiedziane. Zaledwie sformułowała tę myśl, Włoszka westchnęła głęboko i zaczęła mówić.

Popłynęła opowieść o dziadku Franciszku i miasteczku Piedimonte San Germano. O wietrze i deszczu, o spacerze na Monte Cassino oraz chłodnych palcach Szczepana, których dotyku już nigdy Francesca nie zapomniała. I o tym, jak po śmierci mamy, która od chwili, gdy zdiagnozowano u niej raka płuc, żyła zaledwie dwa straszne miesiące – młodziutka, zakochana Włoszka sprzedała hotelik i udała się w podróż do kraju, w którym spodziewała się znaleźć szczęście i spełnienie swoich najgłębszych tęsknot.

– Ale co się okazało? – dopytywała się Beata, która słuchała tej historii z wypiekami na twarzy. – Znalazłaś go w tych Żarach i co? Odkochał się?

– Nie to, że odkochał – powiedziała smutno Francesca. – Po prostu... miał narzeczoną. Spotykali się od czasów liceum, dziewczyna była trochę młodsza, poszła na studia i ustalili, że gdy tylko je skończy, pobiorą się i zamieszkają w mieszkanku, które szykowali dla nich rodzice. Szczepan nie wiedział, jak z tego wszystkiego wybrnąć, to już

była jedna wielka rodzina, wiecie, jego rodzice z przyszłymi teściami spotykali się na imieninach, grillowali na działce, razem spędzali Wigilię... Rozumiałam, że mu ciężko, ale przecież mnie kochał, nie umiał tego przerwać, choć próbował kilka razy.

– Nie chciałaś zamieszkać w Żarach? – zapytała nagle Lena. – Dlaczego osiedliłaś się tutaj?

– Kiedy przyjechałam, Szczepan w popłochu zabrał mnie na przejażdżkę, żeby porozmawiać, wyjaśnić mi wszystko. Wiecie, zamierzałam mu zrobić niespodziankę, pojawiłam się bez zapowiedzi. To było wiosną. Przywiózł mnie tu, do Lubuska, pewnie chciał mieć pewność, że nie natkniemy się na tę jego dziewczynę. Zabrał mnie na spacer do ruskiego parku, posadził na ławce i tłumaczył wszystko jak zapłakanemu dziecku.

– Mój Boże, ja bym chyba rzuciła się na niego z pazurami... – Lena zmarszczyła brwi.

– A ja na odwrót, opadłam z sił – odparła Francesca. – Uświadomiłam sobie, że nie mam już nic. Po śmierci mamy sprzedałam hotelik, z bliższej rodziny została jedynie ciotka Sofia pod Neapolem, ale przecież nie mogłam się jej zwalić na głowę. Miałam pieniądze, Szczepan ulokował mnie w hotelu i przyjeżdżał, kiedy tylko mógł. Pocieszał, obiecywał, że rozwiąże jakoś ten zasupłany... Jak wy to mówicie?

– Węzeł gordyjski – wtrąciła Beata. – Ale jego się nie rozwiązuje, tylko tnie. Jednym cięciem.

Włoszka spojrzała na nią oczyma pełnymi łez.

– No właśnie – westchnęła. – Tak należało zrobić. A ja chwyciłam się tych jego obietnic i czekałam. Kupiłam to mieszkanie, bo akurat pojawiło się ogłoszenie o sprzedaży, a ja się przestraszyłam, że mi się pieniądze rozejdą. Zamieszkałam tu i zaczęłam zarabiać na życie, jak się dało. To piekłam pizzę, to sprzedawałam na ryneczku. Przyszłość dla mnie nie istniała, nie planowałam, co będzie dalej, chodziło tylko o to, żeby przetrwać do następnej jego wizyty.

– A często przyjeżdżał?

– Często. Miał u mnie jakby drugie życie. Nie pytałam, co robi w tamtym, czy był już ten ślub, czy rodzice się czegoś domyślają... Nie chciałam wiedzieć. Z biegiem czasu, a trwało to trzynaście lat, przywykłam... Nauczyłam się cieszyć tymi okruszkami miłości...

– Ochłapami chyba – poprawiła ją Lena, która słuchała tej opowieści w coraz bardziej wojowniczym nastroju.

– Może i ochłapami, jeśli tak to oceniasz.

– Czy on cię w ogóle kochał?

– To dość okrutne pytanie – szepnęła Francesca. – Myślę, że tak. Pewnego dnia pojechaliśmy do Wrocławia. Weszliśmy do jakiegoś małego kościoła i... pobraliśmy się. Bez księdza, tylko my dwoje i Bóg. Przysięgliśmy sobie miłość, oddanie i uczciwość.

– Może jeszcze wierność? – prychnęła Lenka.

Beatę zdziwił ten sarkazm, który zupełnie nie pasował do radosnej, ciepłej Helenki. Widocznie bolała ją ta historia – była niczym sól na jakiejś jej sekretne zadrapania i odciski.

– Ja mu przysięgam – potwierdziła Francesca. – A on płakał.

Żadna się nie odezwała.

Beata kręciła tylko głową z niedowierzaniem. Jak długo byłaby w stanie czekać, aż ukochany mężczyzna podejmie decyzję? A jeśli on wcale nie miał zamiaru jej podejmować?

– I co w końcu? – zapytała wreszcie. – Dlaczego teraz nie przyjeżdża?

– Nie wiem. Pewnego dnia, a mija już prawie siedem lat, po prostu przestał. Kiedy widziałam go po raz ostatni, powiedział tylko: „Do soboty”. Nic więcej. Przecież gdyby zamierzał odejść, pożegnałby się jakoś, prawda? Zrobiłby coś, co potem, po pewnym czasie, zrozumiałabym jako pożegnalny gest. Jakoś by to zakończył. A on po prostu wyszedł i nie zjawiał się więcej. Zostawił u mnie kurtkę, maszynkę do golenia, ciepłe skarpety, kaptcie...

– Nie szukałaś go?

– Nie. Obiecałam mu, że nigdy nie skontaktuję się z jego narzeczoną ani z rodzicami. I słowa dotrzymałam. Pisałam jedynie listy, dziesiątki listów. Nigdy na żaden nie odpisałam.

– Ale przecież... Jemu się mogło coś stać!

Francesca zwiesiła głowę.

– Tak – potwierdziła. – Są takie dni, kiedy tego się boję najbardziej. Ale bywają i takie, gdy mam nadzieję, że coś mu się stało. Sama już nie wiem, co byłoby łatwiejsze.

Kiedy półtorej godziny później do mieszkania wszedł Marek, niosąc na rękach Jędrka, który zasnął w samochodzie, zastał kobiety w nie najlepszych nastrojach. Trzy przyjaciółki kiwały się w rytm sączącej się z odtwarzacza muzyki. Beata włączyła starą płytę Abby w nadziei na to, że radosne rytmy poprawią im humor – tak się jednak nie stało. Milczały, piły wino, co jakiś czas któraś z nich kręciła głowę i wzdychała, jednak nie znajdowały słów, by w jakikolwiek sposób podsumować opowieść Franceski, zamknąć ją i wysnuć sensowny wniosek.

Marcelina, która pojawiła się w drzwiach tuż za ojcem, była zła jak osa, bo oczywiście nie udało jej się wybrać sukienki. Wszystkie wydawały jej się albo infantylne, albo zbyt sexy. Chciała wyglądać interesująco, ale zarazem marzyła, żeby w tym, co na siebie włoży, krył się jakiś pomysł, pazur, żeby to było oryginalne i w jakiś sposób wyrażało jej osobowość. Jednym słowem – pragnęła niemożliwego.

Sąsiadkom z parteru nie pozostało nic innego, jak pożegnać się i wrócić do siebie. Lena troskliwie zajęła się babcią, zaś Francesca otworzyła szafę, wyciągnęła z niej kurtkę, której rano nie miała odwagi oddać pani Klarze, położyła się na kanapie i, wtulona w kołnierz, który nie zachował już ani odrobiny zapachu mężczyzny, zasnęła.

ROZDZIAŁ 6

Lena nie mogła spać. Trochę dlatego, że martwiła się o babcię, a trochę z powodu opowieści Franceski, która wprawiła dziewczynę w dziwny nastrój. Z jednej strony Helena czuła się rozdrażniona – tak, to dobre słowo. Była wściekła na tamtego mężczyznę, Szczepana, że uwikłał się w romans, o którym wiedział, że jest bez szans na szczęśliwe zakończenie. Złościła się także na przyjaciółkę, ponieważ godzenie się na rolę „tej trzeciej” i potulne czekanie, aż kochanek raczy sobie o niej przypomnieć, zupełnie nie pasowały do Franceski. Lena postrzegала ją jako kobietę świadomą własnej wartości, silną, pełną godności – a tymczasem dziś pokazała zupełnie inną twarz. Stała się na powrót tamtą gąską sprzed dwudziestu lat, zakochaną do szaleństwa.

Jak to jest, rozmyślała Lena, że nawet rozsądni ludzie kompletnie baranieją w obliczu miłości. Jak można stracić rozum do tego stopnia, że człowiek zaczyna robić świństwa... Bo przecież umawianie się z mężczyzną, który ma narzeczoną, jest właśnie świństwem, podobnie zresztą jak była nim zdrada Beaty. A najgorsze wydawało się Helenie to, że materia ludzkich uczuć i relacji jest tak delikatna, tak krucha. Potem nie da się już niczego naprawić, niczego nie wymaże się magiczną gumką. Jeśli żona Szczepana dowie się kiedykolwiek o Francesce, zostanie trwale zraniona, a jej rana już nigdy się do końca nie zablźni. Podobnie jak rana Marka Markiewicza.

Właśnie, Markiewicz. Lena miała zamiar porozmawiać z Beatą o jej małżeństwie, ponieważ wydawało jej się, że przyjaciółka jest smutna. Pod uprzejmym uśmiechem kryła jakieś wątpliwości, a Lena należała do ludzi, którzy wyłapywali takie niuanse, po czym natychmiast chcieli nieść pomoc.

– Ty lepiej pomóż samej sobie – westchnęła teraz, przekręcając się na drugi bok. – Potrzebujesz snu, dziewczyno, bo za dwie godziny trzeba będzie zaprowadzić babcię do toalety.

Lena rzeczywiście spała ostatnio niewiele. Wieczorami nie mogła zasnąć, wybudzała się też zupełnie przy nocnych przerywnikach poświęconych na czynności pielęgnacyjne wokół staruszki. Brakowało jej tego, co nazywała świętym spokojem – wyciszenia, choćby godzinki tylko dla siebie. Zdawała sobie sprawę, że ma to na własne życzenie, ponieważ przestała spędzać czas na mansardowym poddaszu. Był czas, że uciekała tam niczym do magicznego azylu. Opiekowała się roślinami doniczkowymi, czytała, słuchała muzyki i rozmawiała z aniołami.

Kiedy zrezygnowała z ucieczek na strych, wyrzekła się też chwil ciszy, spokoju i samotności. Dopiero teraz rozumiała, jak bardzo było jej to potrzebne. Zwłaszcza szeptane Serafinom zwierzenia i prośby pozwalały uporządkować myśli i wyrzucić z siebie to, czego nikomu innemu nie była w stanie powiedzieć.

No dobrze, wcale nie „nikomu innemu”. Był ktoś, komu – z niezrozumiałych zupełnie powodów – jeszcze niedawno potrafiła zwierzyć się z niemal wszystkiego. Tym kimś był Borys Magura, tajemniczy pisarz i miłośnik kwiatów, obecnie mieszkający za granicą. Lena przestała do niego pisać po tym, jak nagle uciął ich korespondencję jednym krótkim zdaniem. Od tamtej pory nie tylko nie czytała jego poprzednich maili, ale nawet

nie otworzyła ani razu skrzynki pocztowej.

Dni miały jej teraz zbyt szybko. Opieka nad babcią pochłaniała więcej czasu niż jesienią, a do tego doszła zwiększona liczba zamówień na włóczkowe maskotki. Lena wykorzystywała każdą wolną chwilę – dziergała, siedząc obok babci, oglądając wieczorne „Fakty” i rozmawiając z przyjaciółkami, kiedy te wpadały na herbatę. Późnym wieczorem na ogół zszywała poszczególne części zabawek, w soboty składała zamówienie na wełnę i akcesoria w hurtowni internetowej – a dwie noce w tygodniu poświęcała na miłość.

Właściwie „miłość” coraz rzadziej okazywała się słowem, którego Lena chciała używać do opisanía relacji, która łączyła ją z Jakubem.

Mimo najszczerzych chęci nadal nie czuła tego, co powinna – albo co wyobrażała sobie, że powinna czuć. Nie tłuło jej się w piersiach serce, kiedy Kuba miał przyjść; nie tęskniła, kiedy z jakiegoś powodu odwoływał spotkanie. Nie wzruszał jej widok szwu poduszki odcisniętego na jego policzku, nie miała ochoty na poranne pocałunki... Była tym rozczarowana – a ściślej rzecz ujmując, była rozczarowana samą sobą.

– Daj waszemu związkowi trochę czasu – radziła Beata, kiedy Lena zwierzała jej się z tych rozterek. – Pewne sprawy dojrzewają powoli. Jemu na tobie najwyraźniej zależy, a tobie... może zacznie zależeć. Tylko w filmach jest tak, że grom z jasnego nieba, miłość rodzi się z chwilą pierwszego spojrzenia w oczy i już wiesz, że to ten jedyny.

– A ty nie wiedziałaś? Zakochiwałaś się stopniowo?

– Ja? Nie – odparła Beata, nieco zmieszana. – Ja to właściwie od razu. Ale nie zawsze tak bywa.

Z kolei Francesca nie pozostawiła Lenie złudzeń.

– Nie ma mowy – oceniła, krytycznie marszcząc brwi. – Nie daję wam szans. Skoro do tej pory nie zatrybiło, to nic z tego nie będzie.

– Ale u niego zatrybiło – tłumaczyła Lena. – I u mnie chwilami też coś jakby załapuje. Na przykład na spacerze, kiedy mnie całował. I kiedy ta długonosa Marta się do niego dostawiała. Albo w sylwestra, gdy kochaliśmy się na dywanie i było nam tak...

– Tu nie chodzi o to, jak wam było. Lenka, z miłością jest tak, że kiedy cię dopadnie, to nie wątpisz w nią ani przez moment. Nawet nie wiesz wtedy, co to wątpliwości. To jest stan takiego otumanienia, że reszta świata przestaje się liczyć.

– Może nie każdy kocha właśnie w ten sposób – próbowała dyskutować Lena, jednak Włoszka spojrziała na nią takim wzrokiem, że dziewczyna zrezygnowała z dalszej dyskusji.

Próbowała podpytać rodziców, lecz oboje, oczywiście każde w innych słowach i w zupełnie odmienny sposób, powiedzieli jej mniej więcej to samo, co Francesca. Kiedy przyjdzie prawdziwa miłość, będziesz wiedziała. Jeśli się wahasz, to znaczy, że to jeszcze nie TO. Wcale jej to nie pocieszyło.

Jedno musiała przyznać – Jakub bardzo jej pomagał w szukaniu rozwiązania zagadki syberyjskiej przeszłości Mieczysławy. Najpierw usiłował rozpytać znajomych z Jasienia, czy czyjaś babcia albo dziadek nie ma takich wspomnień. Potem podrzucił Lenę do biblioteki w Jasieniu, gdzie dwie przemiłe panie – Irenka i Ula – natychmiast posadziły ją przy stoliku i zaczęły na wyścigi proponować książki o Syberii.

– Ale mnie w zasadzie nie o to chodzi – tłumaczyła Helena. – Nie szukam

informacji o deportacjach w ogóle, tylko o tej konkretnej zsyłce, na którą trafiła moja babcia. O ile dobrze zapamiętałam, została wywieziona z terenów dzisiejszej Białorusi w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, a więc już po wojnie. Wiem, że przynajmniej jedna osoba z Jasienia, pani Rozalia Gawryła, została deportowana w to samo miejsce. Ale pani Rozalia podobno już nie może mówić, a ja mam bardzo wiele pytań...

– Mamy tu w Jasieniu Związek Sybiraków – powiedziała z namysłem pani Ula. – A nawet jakiś czas temu młodzież z klubu dyskusyjnego spisała ich wspomnienia.

– Właśnie... Może zechce pani przejrzeć. – Pani Irena już biegła do regału, z którego po chwili przyniosła zbindowany plik zadrukowanych kartek. – Kto wie, czy nie natknie się pani na jakiś ślad rodzinnej historii.

– Dziękuję – szepnęła Lena, ze wzruszeniem gładząc folię, która pełniła rolę okładki. – *Syberjada jasięńska. Wspomnienia* – przeczytała na głos.

– Mamy kilka egzemplarzy. Jeśli pani chce, może pani zabrać jeden do domu.

Tamtego wieczoru Lena przestudiowała wszystkie historie zamieszczone w *Syberiadzie jasięńskiej*. W sumie piętnaście. W siedmiu pojawiła się nazwa „Domaczewo”, którą zapamiętała z opowieści Łukasza Gawryły. Dziewczyna sprawdziła daty. Zgadzały się – każda z osób, które mieszkały po wojnie w tym rejonie, została wywieziona na Sybir w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. W pozostałych ośmiu przypadkach były to wywózki sprzed czterdziestego piątego.

Lena upewniła się, czy autorką którejś z opowieści nie jest przypadkiem pani Rozalia Gawryła z domu Skorek – niestety, tak jak się spodziewała, nie miała aż tyle szczęścia. To by bardzo uprościło poszukiwania, pomyślała, ale przecież nie zawsze rzecz polega na tym, żeby było jak najprościej. Czasem im więcej trudu, tym większa satysfakcja.

Zastanawiała się, jak zareagowałaby babcia Miecia, gdyby wiedziała o tej lekturze. Z jednej strony mogło to przywołać obrazy, o których staruszka chciała zapomnieć – z drugiej jednak istniała szansa, że dzięki tym relacjom coś „drgnie” w babcinej głowie. Dlatego, niewiele myśląc, dziewczyna usiadła przy łóżku starszej pani i zaczęła odczytywać pierwszą opowieść. Mieczysława już po kilku zdaniach zatrzepotała gwałtownie dłońmi. Lena uznała, że to oczywisty objaw zdenerwowania, a może nawet lęku, postanowiła więc dalej czytać po cichu.

Z uwagą przeanalizowała każdą relację, kilkakrotnie ocierając łzy. Uświadomiła sobie, że skoro babcia wróciła z deportacji w pięćdziesiątym piątym, a niecały rok później urodził się jej jedyny syn, to Rozalia Skorek mogła mieć rację – zapewne Mieczysława była w ciąży już w chwili wyjazdu z Syberii. A to by znaczyło, że gdzieś w tych opowieściach może pojawić się wzmianka o dziadku, może przewinie się jego imię, może nawet on sam zabierze głos.

Lena wynotowała pojawiające się we wspomnieniach nazwiska – niestety, żadne z nich nie brzmiało „Skorek”, „Botula”, „Gawryła” ani „Lityński” – bo przypomniała sobie, że takie nazwisko widniało w akcie urodzenia taty. Skoro jednak osoby o takich nazwiskach nie pojawiały się w *Syberiadzie jasięńskiej*, należało znaleźć autorów opowieści i zapytać ich o Miecę, Rózię lub zaginionego Ryszarda Skorka. Innego wyjścia Lena nie widziała.

Jakub obiecał pomoc, ponieważ znał z nazwiska niektóre osoby wymienione we wspomnieniach sybiraków.

– Zdobędziesz dla mnie adresy? – poprosiła Lena. – A najlepiej także numery telefonów, żebym mogła się wcześniej umówić na rozmowę.

– Zdobędę. – Uśmiechnął się, przygarnął ją do siebie i mocno pocałował. – A ty mi się potem bardzo ładnie odwdzięczysz. Mam parę takich fantazji, które wciąż czekają na spełnienie, a wszystkie bardzo przyjemne...

Jedynym, czego teraz brakowało Lenie, był czas. Stan babci nie pozwalał, by zostawić ją samą na kilka godzin, a dziewczyna nie miała wątpliwości, że czekają ją rozmowy, których nie należy przerywać niecierpliwym ponaglaniami.

ROZDZIAŁ 7

Miecia zakończyła modlitwę przy kapliczce słowami: „I miej w opiece Tosieńkę”, ponieważ zawsze obawiała się, że Pan Bóg może przeoczyć dziewczynkę w swoich planach. Jej siostrzenica była tak maleńka, krucha i cichutka, tak nierzucająca się w oczy i grzeczna, że łatwo było nie zauważyć jej istnienia. Dla Mieci zaś ta kruszynka stanowiła centrum całego świata.

Biegła do domu przez pola, na skróty, ponieważ zbliżał się wczesny listopadowy zmierzch. Błoto oblepiało jej nogi, buty zamieniały się w ciężkie grudy, ale dziewczyna nie zeszła na ścieżkę, bo nadłożyłaby drogi. Halinka, starsza siostra, martwiła się, gdy Miecia wracała późno – a zdarzało jej się to dość często. Edward był w takie dni pochmurny, choć nigdy nie wytknął szwagierce, że postępuje niewłaściwie. W ogóle niewiele mówił.

Z daleka zobaczyła, że przed domem stoi wojskowy samochód z przyczepą. Serce Mieci zatrzepotało na myśl, że może to tata wrócił, odnalazł się po wojnie. Zaraz potem przyszło otrzeźwienie: gdyby nawet wrócił, to po co ta przyczepa... Tknięta złym przeczuciem, przyspieszyła kroku, a gdy wpadła do izby, ujrzała Edwarda chodzącego w tę i z powrotem z obłędem w oczach. Halinka siedziała na krześle i tuliła płaczącą Antosię.

– Dali nam dwie godziny na spakowanie – powiedziała starsza siostra na widok Mieczysławy. – Wywożę. Rewizję zrobili, czy broni nie chowamy, czy Edek nie zdrajca przeciw władzy radzieckiej, a teraz wywożę.

– Co takiego? – Dziewczyna nie rozumiała, bo wciąż jeszcze kołatała jej się w głowie myśl o powrocie ojca. – Co ty mówisz? Jakie dwie godziny?

Edward usiadł, złapał się za głowę i zaczął jęczeć. Miecia w lot zrozumiała, że nie można na niego liczyć.

– Dokąd wywożę? – zapytała rzeczowo. – Halinka! Dokąd?!

– Pewnie na Sybir.

Mietka stała przez chwilę jak słup soli. Edek zaczął głucho wyć, kolebiąc się w przód i w tył. Tosia ucichła, ale z jakiegoś powodu wcale to Mieci nie uspokoiło. Wybiegła z domu i pognąła do sąsiadów – nieopodal mieszkali Rosjanie, ale byli z tych dobrych ludzi, co to ostatnim okruszkiem chleba by się podzielili.

– Ratujcie – wydyszała Miecia, kiedy wpadła do ich chatupy. – Wywożę nas, mamy się pakować, a Edward ani słowa nie mówi, jakby mu rozum odebrało. Co ja mam zabrać?

Gospodyni, Luba Iwanowna, podniosła się natychmiast.

– Na Sybir diepartirujut? Ja pajdu s taboj, pamagu.

Poszły więc. Po chwili dołączyli do nich dwaj synowie sąsiadów, Pietia i Alosza. Miecia czuła się dziwnie, jak ogłuszona. Wiedziała, że chłopcy poszli zabić świnie, ale nie do końca rozumiała, po co. Przecież to był jeszcze młody warchlak, Edward dopiero na wiosnę planował świniobicie.

Luba Iwanowna tymczasem poszła do ich sieni, przystawiła drabinę, wlała na stryszek.

– Pakujem – zawołała łamaną polszczyzną. – Groch, mąku, kaszu. Wszystko nada pakować.

Halinka ocknęła się wreszcie. Odłożyła popłakującą Tosię do kołyski i zaczęła wyciągać ze skrzyni ciepłą odzież. Edward wciąż siedział przy stole i zawodził.

– Jak baba – powiedziała z niesmakiem Luba, gdy zeszła po drabinie. – Ty idź lepiej pomagać moim malczikom, mięso nada porąbać.

Ale z Edka pociechy nijakiej nie było. Halinka zebrała chusty i koce, a Miecia z sąsiadką zapakowały w walizkę świece i szmaty na onuce, bo podobno – tak mówiła Rosjanka – na Sybirze kto nogi odmrozi, ten nie przeżyje.

– Teraz mięso – zawołała Miecia. – Porąbimy i w co schowamy?

– Nie ma rady, trzeba wywalić wszystko z walizki – zadecydowała Halina, która nieco już doszła do siebie. – Mięso nasolimy i weźmiemy w walizkę, a szmaty można w tobolek zawiązać.

Nie zdążyły jednak. Zanim którakolwiek podeszła do drzwi, na podwórzu rozległy się okrzyki, a po chwili do wnętrza domu wtargnął oficer NKWD w towarzystwie dwóch żołnierzy z karabinami.

– No, Polaki – powiedział. – Już pora.

– Ale mięso... – zaczęła Halinka. – Świnia... Tylko porąbać.

– Mięso wam niepotrzebne, władza radziecka nakarmi, nie da wam zginąć. Już pora – powtórzył.

– Ale dziecko malutkie... I mięso... – jęczała jeszcze Halinka bez składu.

Żołnierze nie słuchali. Gestami pokazali, żeby wrzucać tłumoczek i walizkę na pakę. Halina chwyciła córkę i przycisnęła mocno do piersi. Obejrzała się na męża, który wciąż siedział przy stole.

– Edek – szepnęła. – Nie widzisz? Wyjeżdżamy.

Jeden z tych uzbrojonych szarpnął ją za rękaw, pchnął w stronę drzwi. Zachwiała się. W ułamku sekundy Edward zerwał się z krzesła i zaszarżował, jakby zamierzał powalić żołnierza na ziemię. Gruchnął strzał, po którym zapadła straszliwa cisza. Nawet Antosia wstrzymała oddech na kilka chwil, zanim rozsłochała się tak, jak to tylko dzieci potrafią.

– Zaatakował – oświadczył żołnierz oficerowi, który wpadł do środka. – Rzucił się na mnie. Ja w obronie własnej.

– Chodźcie, baby – szepnęła Luba, biorąc za rękę Micię i ciągnąc Halinę. Ta ostatnia stała jak porażona, patrząc na zwłoki męża, wokół których rosła kałuża krwi. – Chodź, dziecko ratuj.

Ciężarówka zawiozła ich na stację kolejową we Włodawie. Stały tam już pociągi towarowe. W wagonie, do którego trafiły Miecia i wciąż sparaliżowana z przerażenia Halina z dzieckiem, były jeszcze dwie inne rodziny. Mała Antosia płakała ciągle, choć już nie tak głośno. Miecia poskładała cały ich dobytek w jednym kąciku, po czym usiadły na deskach zwanych narami i w milczeniu czekały, co się z nimi stanie.

Na środku wagonu znajdował się piecyk, lecz nie było drewna ani węgla, żeby rozpalić. W rogu Micię zauważyła dziurę w podłodze; wiało przez nią przenikliwie zimno.

Dziewczyna wyciągnęła z tobołka dwa koce i okryła siebie oraz siostrę. Tosia kwiliła, więc Halina nakarmiła ją piersią.

Kiedy się siedzi w otępieniu i strachu, a przed oczyma wciąż ma ciało bliskiej osoby, która w jednej chwili żyje, a potem nagle leży z drgającymi nogami i dziurą po kuli w okolicach mostka, człowiekowi dziwnie mija czas. Niby powoli, jakby snuł się niczym dym z dogasającego ogniska, a jednak niepostrzeżenie staje się późno, za późno na cokolwiek.

*– Jak oni go pochowają? – szepnęła Halina, ledwie poruszając bladymi wargami.
– Nie wiedzą przecież, jak się nazywał.*

*– Luba im powie – pocieszyła ją Mieczysława, choć w tej chwili kwestia tego, czy na grobie Edwarda znajdzie się właściwe nazwisko, wydawała jej się zupełnie nieistotna.
– Najważniejsze, że Tosi nie skrzywdzili. I szkoda tego prosiaka. Mamy tylko mąkę i kaszę, trochę grochu. Co będziemy jeść? Jak ugotujemy, skoro wody nie ma?*

Halina nie odpowiedziała. Najwyraźniej wciąż była w szoku.

Do wagonu wciśnięto jeszcze trzy spore grupy ludzi – o ile Miecia zdążyła się zorientować, spokrewnionych ze sobą albo przynajmniej znajomych, może sąsiadów. Rozmawiali ożywionymi głosami, sprawdzali, czy nikt się nie zgubił. W końcu zrobiło się tak ciasno, że nie zmieściłby się już nikt. Wtedy żołnierz stojący na peronie zamknął drzwi.

– Wsio gatowa! – zawołał.

Lokomotywa zaryczała jak potwór i po chwili pociąg ruszył. Nikt nie powiedział im, dokąd jadą i jak długo potrwa ich podróż. Nie mieli jednak wątpliwości, że kierunek może być tylko jeden – wschód.

Stopniowo rozmowy cichły, ludzie siedzieli wtuleni w siebie; ich oczy miały przerażony, zwierzęcy wyraz. Tosieńka zasnęła przy piersi, więc Halina delikatnie opatulila ją chustą i przywiązała róg do swojego paska, żeby przez sen nie upuścić dziecka na podłogę. Miecia oparła głowę o ramię siostry i tak, kolebiąc się w rytm stukotu kół, przespaly pierwsze godziny jazdy.

ROZDZIAŁ 8

Marcelina zwlekała z otwarciem oczu. Stała tak z zaciśniętymi powiekami już od dobrych pięciu minut, zapaliła nawet kinkiet nad lustrem w łazience, jakby to mogło dodać jej odwagi. Nie dodało. Na wszelki wypadek odwróciła się tyłem i dopiero wtedy się zdecydowała. Jej spojrzenie padło na matową szybę kabiny prysznicowej. Nie odbijała obrazu z lustra, więc dziewczyna nadal nie miała pojęcia, jak wygląda. No dobrze, raz kozie śmierć, pomyślała w końcu i jednym ruchem okręciła się przez ramię.

Sukienka była śliczna. Dokładnie taka, jak Marcelina sobie wymarzyła – miała w sobie to „coś”: pomysł, oryginalność i świeżość. Prosta, grafitowa kreacja ze srebrnym połyskiem, nieco w stylu lat dwudziestych, odkrywająca ramiona, z obniżonym stanem i naszytymi u dołu czarnymi, lśniącoymi piórami. Marcelina wymyśliła, że założy do niej czarne rękawiczki powyżej łokci oraz długi sznur pereł. Wszystko pięknie – tylko niestety dziewczyna miała za duże piersi. Kobiety w dwudziestoleciu były najwyraźniej płaskie jak deski. Tak czy owak, sukienka odstawała przy pachach, tworząc coś w rodzaju wywietrznika, przez który można było sobie dokładnie obejrzeć biustonosz.

Odeślę, zdecydowała. W końcu cztery stowy piechotę nie chodzą. Odeślę, a potem powiem Hubertowi, że bardzo mi przykro, ale nie mogę mu towarzyszyć. Przecież i tak nie lubimy tańczyć, więc w sumie cała ta studniówka w naszym przypadku to jeden wielki wygłup.

A jednak bardzo chciała iść – sama już nie wiedziała, czy po to, żeby zrobić na złość Aurelii, wzbudzić zazdrość w Kamilu, czy po prostu pokazać całemu światu, że jest silna, niezależna i potrafi się dobrze bawić. Wreszcie postanowiła, że poradzi się mamy, jak by tę kieckę przerobić. Plecy wyprostowane, brzuch wciągnięty. Trzeba wyglądać tak, żeby mamie się spodobało, bo inaczej nie uniknie wykładu na temat kupowania drogich ciuchów przez internet. Rzecz w tym, że w normalnych sklepach nie było nic, na czym warto by oko zawiesić.

Poszła do kuchni. Ojciec jeszcze nie wrócił z pracy, a Jędrzek odrabiał lekcje w swoim pokoju. Dziewczyna spodziewała się, że mama przygotowuje kolację, jednak zastała ją siedzącą przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Na dźwięk otwieranych drzwi Beata podniosła głowę i spojrzała na córkę nieobecny wzrokiem.

– Jędrus odrobił lekcje? – zapytała.

Głos miała dziwny, jakby była pijana, a przecież Marcelina doskonale wiedziała, że to niemożliwe.

– Co się stało, mamó? – zapytała, choć przyszła tu w zupełnie innej sprawie.

– Nic, zupełnie nic. – I Beata rozplakała się jak dziecko. – Ja bym się w życiu nie spodziewała, a co dopiero tata.

– Czego byś się nie spodziewała? Mamó?

Ale nie udało jej się wycisnąć z matki nic więcej. Wreszcie Marcelina wzruszyła ramionami i po prostu sobie poszła.

Była rozżalona. Po pierwsze dlatego, że jak się zaczyna, to należałoby skończyć, a nie zaczynać jakąś historię i urywać w pół słowa, powodując, że teraz ona nie zmruży

oka, tylko będzie sobie wyobrażała, o co mogło chodzić. Może o rozwód, kto wie? A może na przykład tym razem to ojciec znalazł sobie jakąś miłość? Chociaż nie, to kompletnie nie pasowało do słów: „a co dopiero tata”. Tak czy inaczej, Marcelinie było przykro, że została tak potraktowana. Po drugie, matka nawet nie zauważyła, że jej córka kupiła sobie sukienkę na studniówkę. Przecież powinna, do jasnej choinki, zachwycić się i pochwalić albo wręcz przeciwnie: zacząć biadolić, że kupowanie przez internet jest bez sensu, ale co tam, można odesłać; najwyżej się coś kupi na miejscu. Marcelina nie umiałaby nazwać tego pragnienia po imieniu, ale prawda była taka, że chciała choć na chwilę stać się dla swoich rodziców najważniejsza. Ważniejsza niż ich problemy uczuciowe, niż Jędrak, niż praca i cała reszta świata.

Urażona i zła jednocześnie, zarzuciła na siebie ciepły kardigan i wyszła z domu. Przez chwilę stała niezdecydowana na klatce, aż wreszcie zapukała do mieszkania sąsiadki z naprzeciwka. Pani Klara była jej dawną nianią; dziewczyna nadal lubiła ją odwiedzać. Czasem, kiedy w jej duszy działy się rzeczy, z którymi nie umiała sobie poradzić, Marcelina szła po prostu do sąsiadki, siadała na dywanie i w milczeniu bawiła się z psem. Pani Klara potrafiła milczeć razem z nią, choć trzeba przyznać, że umiała też zagadywać ciszę. W dodatku jakimś cudem bezbłędnie rozpoznawała, czego dziewczyna akurat potrzebuje.

– No co? – zapytała tym razem, kiedy otworzyła drzwi. – Mów, bo widzę, że zaraz eksplodujesz.

– Nie eksploduję. – Marcelina uśmiechnęła się i przekroczyła próg. – Ale potrzebna mi rada, a mama siedzi w kuchni i beczy.

– Beczy? Znowu?

– Znowu.

– Kłóć się? – Pani Klara zniżyła głos. – Wydawało mi się, że jest lepiej. I na tych nartach byliście...

– Ale to już miesiąc temu. Zresztą w sumie jest lepiej, naprawdę. – Marcelina wystraszyła się nagle, że jeśli będzie niesprawiedliwa w ocenie sytuacji, to w jakiś głupi sposób zniszczy wszystko, co zdołało się jakimś cudem naprawić. – Nie słyszałam, żeby się ostatnio kłócili. Ale musiało się coś wydarzyć, skoro mama tak okropnie szlocha.

– Usiądź, Marcysiu, usiądź. – Pani Klara wskazała fotel w dużym pokoju. – Zrobię herbaty i wszystko mi opowiesz.

– Nie, ja właściwie przyszłam w innej sprawie – zaproponowała dziewczyna. – Bo widzi pani, kupiłam sobie kreację na studniówkę i trochę mi tu odstaje.

Marcelina zsunęła z ramion kardigan, odsłaniając miejsce, w którym sukienka źle leżała.

Sąsiadka zacmokała z dezaprobatą.

– Rzeczywiście, brzydko to wygląda. A nie założyłaś przypadkiem tego stanika, co powiększa piersi? Bo to wygląda tak, jakbyś tam miała za dużo...

– Nie, mam normalny biustonosz. Tylko tu po prostu nie ma zaszewek, to jest uszyte na takie płaskie deski.

– To prawda. – Starsza pani obeszła dziewczynę dookoła i obejrzała jej sylwetkę z każdej strony. – Ale sukienka naprawdę śliczna. Jakby do tego dobrać ładne buciki

i może jakiś naszyjnik...

– Myślałam o sznurze pereł.

– Tak, to będzie pasowało. Tylko te pachy... A może byś zajrzała do Helenki? Ona ma dryg do szycia, robi te maskotki na szydełku, szyje z filcu etui na telefony, torebki...

– Ale to chyba zupełnie coś innego...

– Innego czy nie innego, na pewno lepiej ci doradzi niż ja. Poszłabym z tobą, ale ja jestem u Mieczysławy niemiłe widziana. Idź, idź, nie żebym cię wyganiała, ale idź.

I starsza pani odprowadziła Marcelinę na klatkę schodową.

– Tylko potem zajdź do mnie powiedzieć, czy coś wymyśliłyście.

Dziewczyna zeszła na parter, choć właściwie przestała już wierzyć w powodzenie całego przedsięwzięcia. Lubiła panią Lenę i niejednokrotnie podziwiała jej rękodzieło, ale to przecież zupełnie inna para kaloszy – taka sukienka. Mimo to zapukała do drzwi na parterze, choćby dlatego, że nie miała ochoty wracać do mieszkania, do płaczącej matki, która nie zwracała na nią uwagi, i do kłótni, która wisiała w powietrzu, bo przecież zaraz ojciec wróci z pracy.

Pani Lena wysłuchiwała Marceliny i uważnie obejrzała sukienkę.

– Coś pięknego! – zawołała z entuzjazmem. – Zaczekaj chwilkę, tylko nakarmię babcię, bo zrobiłam pyzy z mięsem i jakoś ciężko nam idzie. A może chcesz trochę?

– Nie, dziękuję. Ale myśli pani, że coś się da zrobić? – zapytała nieśmiało Marcelina.

– Czy się da?! Kochana, nie takie rzeczy się robiło! To znaczy właściwie nie ja, tylko moja mama... Bo ona jest krawcową, wiesz? Ale ja jej sporo pomagałam, zresztą uwielbiam szyć. Nie mam tu wprawdzie maszyny, jednak z tego, co widzę, wystarczą zaszewki, mogę je zrobić ręcznie. Nie będzie tak idealnie jak ścięciem maszynowym, więc będzie trzeba czymś to zamaskować... O, już wiem! Wykorzystamy te piórka z dołu. Odprujemy kilka od spódniczki i przyszyjemy na szwie, na tej zaszewce, rozumiesz?

Marcelina nie rozumiała, ale było jej wszystko jedno. Patrzyła jak urzeczona na panią Lenę i myślała, że chciałaby mieć taką mamę. A jeszcze lepiej – sama chciałaby być właśnie taka. Pełna werwy, optymizmu i dobrej energii.

– Teraz muszę cię przeprosić – oznajmiła Helena bez skrępowania (i tego Marcelina także jej pozazdrościła). – Muszę się zająć moją podopieczną. Więc albo idź na razie do siebie, poucz się czy co tam masz do roboty, albo będziesz musiała posiedzieć tu w samotności, bo ja mam przy babci trochę takich intymnych czynności...

– Oczywiście! – Dziewczyna zerwała się z miejsca. – Nie chciałam przeszkadzać! Przyjdę za godzinkę, mogę? Nie będzie za późno?

– Nie, absolutnie, w sam raz. I koniecznie załóż tę bieliznę, w której pójdziesz na studniówkę. To też ma znaczenie.

– Dobrze, dziękuję.

W domu panowała głucha cisza. W kuchni Jędrus samotnie jadł kolację, bo mama zamknęła się w łazience. Marcelina poszła do siebie i szybko przebrała się w domowe ubranie. Uznała, że rodzicom pokaże się dopiero w wersji po przeróbce. Zresztą – czy ich to w ogóle obchodzi?

Wróciła do kuchni i usiadła naprzeciwko brata. Miał buzię umazaną powidłami śliwkowymi.

– Jest już tata? – zapytała.

Jakby w odpowiedzi rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Ojciec wrócił z pracy. Ciekawe, kiedy zaczną się kłócić, pomyślała Marcelina, ze względu na Jędrka starając się nie okazywać zdenerwowania.

– Zjadłeś? W takim razie pójdziemy do pokoju, poczytam ci *Magiczne drzewo* – zaproponowała.

– A zęby? – zapytał malec niepewnie.

– I tak jest na razie zajęte. Mama siedzi w łazience. Chodź, przynajmniej posprzątamy klocki.

Braciszek powłókł się za siostrą ospale. Był wyraźnie zmęczony. Marcelina pomyślała, że nic by się nie stało, gdyby ten jeden raz darować mu mycie, ale mama akurat wyszła z łazienki, więc można było zagonić małego pod prysznic. Potem Marcysia zaprowadziła go do pokoju i pomogła przebrać się w piżamkę. Pozbierali razem zabawki, poczytali, a ponieważ chłopczyk zasnął już w połowie rozdziału, dziewczyna poszła do siebie, założyła bieliznę, w której zamierzała wybrać się na studniówkę, i nieszczęsną sukienkę z „wywietrznikiem” pod pachami. Zrzuciła na wierzch kardigan, wzięła buty na obcasie i sznur sztucznych pereł, po czym postanowiła powiedzieć rodzicom, że idzie do sąsiadki z dołu. Jeśli przerwie im kłótnię, to tym lepiej, niech trochę otrzeźwieją.

Zamknęli się w pokoju ojca. Marcelina miała nadzieję, że może już jest po wszystkim i teraz rodzice robią to, po czym mama miała ostatnio takie rumieńce, ale nie – zza drzwi dobiegały zduszone szepty. Dziewczyna przysunęła się bliżej. Policzki jej płonęły. Czuła się paskudnie, że podsłuchuje, lecz nie potrafiła oprzeć się pokusie.

– Czyje? – Ojciec mówił głosem zimnym jak lód. – Po prostu wreszcie powiedz mi prawdę.

– Obrażasz mnie. – Słowa mamy były nabrzmiałe od powstrzymanego płaczu.

– Nie rozumiesz, co mówię? Byłeś tylko ty. Nie wiem, nie pytaj mnie, jak to się mogło stać.

– Zawsze miałem... Przecież uważałem!

– Ty głupku, nigdy nie ma stuprocentowej pewności! – wykrzyknęła mama, widocznie nie panując już nad sobą. – Uczą tego w szkole, a tobie trzeba tłumaczyć?!

Marcelina w pierwszej chwili nie rozumiała, czego dotyczy rozmowa. Zresztą chyba nawet nie chciała zrozumieć. Kiedy wreszcie dotarł do niej sens maminych słów, osłupiała. Mama jest w ciąży? To dobrze czy źle? Jedyne, co wydawało się teraz pewne – to że rodzice znów wszystko psują. Zupełnie jak wtedy, gdy zdrada mamy wyszła na jaw. Wówczas nagle, z dnia na dzień, cały spokojny świat dzieciństwa runął; rodzice zaczęli na siebie warczeć, kąsać się i kłócić z taką agresją, że Marcelina chciała jedynie zatkać uszy, wybiec z domu i nigdy nie wrócić.

Teraz też wybiegła. Trzasnęła drzwiami i po chwili gnała już przed siebie ulicą. Było bardzo zimno. Tylko dzięki temu zorientowała się, że płacze – w miejscach, gdzie łyzy wyznaczyły sobie ścieżki, szczypał ją mróz. Wreszcie ochłonęła. W każdym razie na tyle, że zawróciła i zapukała do pani Leny, która właśnie posprzątała po kolacji i zabrała

się za szycie filcowych gąsek do kolekcji wiosennej.

– Boże drogi, co się znowu stało?

– Nic – odparła ponuro Marcelina. – Godzinę temu wydawało mi się, że mam problem, bo moja sukienka na studniówkę jest totalnie do bani. Ale teraz... Wie pani, życie jest jednak cholernie interesujące. Teraz wiele bym dała za jeszcze kilka takich dupiastych sukienek, byle tylko nie mieć większych problemów.

– A jakie ty masz większe problemy? – zapytała łagodnie pani Lena, biorąc dziewczynę za rękę i prowadząc do kuchni.

– Moich starych – wypaliła dziewczyna, po czym szybko się poprawiła: – To znaczy rodziców. Znowu się nienawidzą.

Ostatecznie odpruły tylko kilka mniejszych piórek, ponieważ zaszewki wyszły bardzo ładnie, dyskretnie – i właściwie nie trzeba było niczego maskować. Jednak sam pomysł, żeby część piórek przeszyć ze spódniczki w okolice biustu, bardzo się Marcelinie spodobał.

– Jak ja się pani odwdzięczę? – zapytała dziewczyna, okręcając się przed lustrem i z zadowoleniem konstatując, że wygląda świetnie.

– Nie musisz tego robić – odrzekła Lena. – A z kim w końcu idziesz na tę studniówkę?

Marcelina zarumieniła się leciutko.

– Z Hubertem. Pamięta go pani? To ten szachista...

– A, wiem. Ten od psich siuszków i zamykanej szafki?

– Właśnie.

– Bardzo sympatyczny chłopak. Rozumiem, że on pełni w tym wypadku rolę kitu, prawda? Zgodnie z powiedzeniem: „Z braku laku dobry kit”. A skoro już chcesz mi się jakoś odwdzięczyć, to mam do ciebie ogromną prośbę: zrób tak, żeby ten chłopak nie odczuł, jak bardzo jest dla ciebie kitem.

– Rany, jak to okropnie brzmi...

– Tak, okropnie. I okropnie też musi się czuć taki zapchajdziura, nie uważasz?

– Ale przecież on nie wie.

– I dokładnie o to mi chodzi. Żeby nie wiedział. Żeby się nie domyślił.

Marcelina przybrała nieco urażony wyraz twarzy. Co ona sobie myśli, sądzi, że kim ja jestem? Pustą, głupią lalunią?

– Oczywiście, że się nie dowie – oświadczyła odrobinę wyniośle. – Zresztą ja nie mam zamiaru odgrywać przedstawienia, robić Kamilowi na złość, nic z tych rzeczy. Będę się dobrze bawić, na tyle, na ile to w ogóle możliwe, gdy się nie przepada za tańcem.

– A ja kocham taniec! – zawołała Lena. – Mój Boże, nie ma chyba na świecie drugiej tak oczyszczającej czynności. Kiedy tańczysz, uwalniasz się od złych myśli, od ciężaru na karku i w klatce piersiowej...

– Ja jakoś się nie uwalniam.

– A często tańczysz? Może za rzadko?

Marcelina zastanowiła się.

– Tak – powiedziała. – Chyba można to tak określić, że za rzadko. Pewnie dlatego,

że jestem sztywna jak kołek.

Przypomniała sobie tę rozmowę parę dni później, kiedy stała w auli, przestępując z nogi na nogę i nudząc się okropnie w towarzystwie Krystiana, z którym była ustawiona w parze do poloneza. Nauczycielka wyszła na chwilę, bo miała pilny telefon, zatem przyszli maturzyści powyciągali telefony i zaczęli esemesować, pstrykać sobie selfie albo przeglądać Facebooka. W drzwiach, oparty o futrynę, stał Hubert Ksyk i przyglądał się towarzystwu.

– Masz już partnerkę na studniówkę? – zapytała Marcelina, bo czuła się niezręcznie, stojąc w milczeniu obok kolegi z klasy.

– Nie, idę sam – odparł Krystian. – A ty?

Albo jej się wydawało, albo w jego głosie brzmiało coś na kształt nadziei. Właściwie był całkiem niczego sobie, tylko ubierał się gorzej niż źle.

– Ja z Hubertem – odpowiedziała. – Ale chyba Patrycja nie ma z kim pójść.

Krystian powiódł wzrokiem po grupce dziewcząt stojących w rogu.

– Daj spokój. – Zarumienił się nieznacznie. – Takich lasek to nawet nie pytam.

Marcelina parsknęła śmiechem.

– Co za ulga – odparła. – Czyli ja jestem wystarczająco brzydka, żeby mnie zapytać bez wielkiego strachu?

– No coś ty, w ogóle nie o to chodzi! – Wyglądał na okropnie zakłopotanego. – Nie miałem na myśli, że ty nie jesteś laska, tylko że... No wiesz, z tobą się normalnie rozmawia. Jak z koleżanką. A Patrycja to taka... gwiazda.

– Nie przesadzaj. Normalna, fajna dziewczyna.

Wzruszył ramionami. Marcelinie nagle wpadło do głowy, że można by go trochę ośmielić.

– Ona jest w gruncie rzeczy trochę skryta – szepnęła, zbliżając głowę do ucha Krystiana. – Wydaje mi się, że jej się podobasz, ale w życiu tego nie okaże.

Policzki chłopaka zapłonęły czerwienią.

– Jaja sobie ze mnie robisz – mruknął niewyraźnie.

Marcelina chciała zaprzeczyć, ale w tym momencie do auli wbiegła pani Barnasiewicz, matematyczka, której w tym roku przypadł w udziale obowiązek nauczania przyszłych absolwentów poloneza.

– Dzwoniła mama Mateusza – zawołała głosem piskliwym ze zdenerwowania. – Po prostu nie do wiary. Przecież on miał pójść w pierwszej parze! Próba generalna, pojutrze studniówka, a Mateusz złamał nogę!

Emilia z biol-chemu, która miała tańczyć z Mateuszem, zasłoniła usta ręką. Wyglądała na wstrząśniętą. Marcelina sądziła, że po prostu martwi się o kolegę, ale tamta zapytała ze złością:

– I co w związku z tym? Ja nie tańczę, tak?

Pani Barnasiewicz myślała przez chwilę, marszcząc zabawnie brwi.

– Co by tu zrobić? – mruzczała. – Chyba żeby Ksyk zatańczył...

– Nie ma mowy, pani profesor – odezwał się Hubert dobitnie. – Ja w tej szopce nie biorę udziału.

W tym momencie Marcelina podeszła do Ksyka i wzięła go za rękę. Zachowała się zupełnie spontanicznie i nie umiała by wyjaśnić, co nią kierowało. Chłopak spojrzał na nią zdumiony, ale nie cofnął dłoni.

– Pani profesor, Hubert jest przecież za wysoki dla Emilki. Do pierwszej pary musiałby przejść ktoś niższy, a Hubert mógłby pójść w ostatniej. Na przykład Krystian przeszedłby do Patrycji, Darek do Emilki, bo są podobnego wzrostu, a Hubert Ksyk spokojnie mógłby zatańczyć ze mną na końcu.

Była ciekawa, czy i teraz chłopak powie, że „nic z tego”, ale nie odezwał się słowem. Natomiast nauczycielka pokiwała z zapalem głową.

Marcelina złowiła zdziwione spojrzenie Patrycji, więc puściła rękę Huberta i podbiegła do niej, wymijając formujące się na nowo pary.

– Wydaje mi się, że ten Krystian coś do ciebie czuje – szepnęła. – Żał mi się go zrobiło, zwłaszcza że to fajny chłopak, tylko taki wiesz, nieoszlifowany. No i piekielnie skryty, w życiu by się nie przyznał, że mu się podobasz.

Patrycja patrzyła na nią ze zdziwieniem. Tymczasem Marcelina wróciła już do Ksyka, który wyglądał na oszołomionego.

– No co? – zapytała zaczepnie. – Emilce było przykro. Nie masz pojęcia, jakie to upokorzenie dla dziewczyny, kiedy nie ma partnera.

Wzruszył ramionami. Takie wyjaśnienie chyba mu się nie spodobało.

– To trzeba było jej oddać swojego – powiedział. – A mnie zostawić w spokoju.

Nauczycielka włączyła nagranie i dała znak, żeby zaczynać. Marcelina chwyciła rękę Huberta i pokazała mu, jak ma ująć jej dłoń. Odniosła wrażenie, że palce chłopaka lekko drżą.

– Przecież idziemy razem na studniówkę, prawda? – szepnęła. – Więc musimy się ze sobą oswoić, bo inaczej będziemy sztywni jak kije od miotły.

– Ale mieliśmy nie tańczyć.

– Cicho tam! – krzyknęła pani Barnasiewicz. – Marcyśka, ty trochę steruj Ksykiem, bo on przecież w ogóle dotychczas nie ćwiczył.

– Jestem pewna, że załapał, pani profesor. On tylko popatrzy i już wszystko wie.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Ku zdumieniu Marceliny rzeczywiście załapał. Pamiętał, ile kroków ma przypaść na każdy obrót, w którym momencie się uklonić i kiedy chwycić partnerkę w pasie. Musiała też przyznać, że jego dotyk był znacznie przyjemniejszy niż niepewny uścisk Krystiana – Hubert obejmował ją zdecydowanie i mocno. Ciekawe, jak by to robił Kamil, przeszło Marcelinie przez głowę. Skoro ramiona Huberta, chudej tyczki, wydają mi się tak silne, to jak by to było znaleźć się w objęciach Kamila, chłopaka o ciele kulturysty?

Westchnęła cichutko. Wbrew temu, co obiecała pani Lenie, miała jednak odrobinę nadziei, że studniówka przyniesie jakieś zmiany w sprawach sercowych. Może Kamil, ujrzawszy ją odmienioną, tańczącą z innym chłopakiem i kompletnie niezwracającą na niego uwagi, zapragnie – jak to kiedyś określiła sąsiadka – pogonić króliczka? Może zechce poprosić ją do tańca?

Do tego miejsca fantazja Marceliny pracowała jak należy. Tylko zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego ciągu.

ROZDZIAŁ 9

W pierwszą sobotę lutego przyjechał w odwiedziny ojciec Lenki. Obiecał spędzić ze swoją matką cały dzień, żeby Lena mogła się trochę rozerwać. Jakub nalegał na wyjazd do kina i może na zakupy, ale dziewczyna miała inny pomysł na wykorzystanie wolnego czasu: wybrała się do Jasienia, żeby odnaleźć mieszkających tam sybiraków i wypytać ich o babcię Miecię.

Kuba spisał się na medal: zdobył dla niej zarówno adresy, jak i numery telefonów osób, których nazwiska wynotowała sobie z *Syberiad* jasięńskiej. Lenka zadzwoniła do każdego z byłych zesłańców i poprosiła o spotkanie, po czym odbyła siedem wizyt, podczas których wysłuchiwała wstrząsających historii i wylała wraz z rozmówcami sporo łez. Następnie spotkała się z Jakubem i poszli razem na kawę, ale zamiast trzymać się za ręce i przytulać, czego najwyraźniej oczekiwał chłopak, Helena dzwoniła pod kolejne numery telefonów, które udało jej się zdobyć podczas rozmów z sybirakami.

Wieczorem, kiedy ojciec pojechał już do Karbowa, Lenka zatelefonowała do Łukasza Gawryły, żeby opowiedzieć mu, czego się dowiedziała – albo raczej: jak bardzo nie dowiedziała się niczego.

– Słuchaj, byłam dzisiaj w Jasieniu – zaczęła. – Rozmawiałam ze wszystkimi sybirakami, jakich udało mi się odnaleźć. To znaczy oczywiście szukałam tylko tych, którzy zostali deportowani już po wojnie, bo mówiłeś, że...

– Tak, tak – przerwał jej mężczyzna niecierpliwie. – Tylko nie wiem, po co. Przecież ja już ich wszystkich wypytywałem po kilka razy.

– Rozmawiałam także z panią Genowefą Karmelitą, ona jest...

– Wiem. Prezesem Koła Sybiraków w Jasieniu. Urodziła się na Syberii. Ale z panią Gienią też rozmawiałem. Ty natomiast miałaś porozmawiać z babcią.

– Czy ty nie rozumiesz, że moja babcia nie roz-ma-wia?! To znaczy wypowiada jedynie słowa bez związku, takie oderwane zdania, dociera to do ciebie?!

– Spokojnie, Helena. Nie kłóćmy się.

Lena nabrała powietrza, po czym wypuściła je głośno.

– Przepraszam, chyba wylewa się ze mnie frustracja. Wracając do sprawy: zdaje się, że z tego Domaczewa musiały pójść dwa różne transporty, zresztą może nawet więcej. Jeden dotarł gdzieś w okolice Kamieńska, do posesiłka Timluj. Tak zrelacjonowały mi moje dzisiejsze rozmówczynie. Nie znalazłam tego Timluja na mapie, ale to chyba nie ma dla nas większego znaczenia. W każdym razie kilka pań pamiętało albo twoją babcię, albo moją, albo obie; pani Jadzia przypomniawszy sobie nawet Ryszarda Skorka, tylko że nie umiały mi wyjaśnić, co się z nim stało, nie miały też pojęcia o krzyżyku z drewna. Wydaje mi się, że szukam nie tam, gdzie trzeba.

– Masz rację.

– Spotkałam się też z panem Zenonem, którego wywieziono do Usolja. Ale po pierwsze, on nie pochodził z okolic Domaczewa, a po drugie, także nic mu nie mówiło ani nazwisko Skorek, ani Botula.

– Przecież ci tłumaczyłem, że z każdym już...

– Ja wiem, Łukasz. Ale z babcią naprawdę nie da się porozmawiać.
– Tak, rozumiem. Już dobrze, Helena. Nic nie poradzimy.
– Jest jeszcze jedna szansa... – Lena zostawiła na koniec najważniejszą informację.
– Dość okrężną drogą, od pani Karmelity poprzez panią Halinę Skindzier i jeszcze kilkoro jej znajomych, dowiedziałam się, że swego czasu mieszkała w Jasieniu rodzina Sasów, też sybiraków. I że to byli, zaczekaj, jak to się nazywało... chyba olędrzy. Właśnie spod Domaczewa. Było ich całkiem sporo, jacyś kuzyni i pociotki, w każdym razie kilkanaście osób. Po powrocie z Syberii osiedlili się tutaj, ale potem stopniowo wyjeżdżali, niektórzy wracali na tereny nad Bugiem, bo ich ciągnęło w rodzinne strony, a inni przeprowadzali się do krewnych w Niemczech.

– Ale co to ma do rzeczy?

– Podobno jeden wnuk został tu, w lubuskim. Pani Zofia, która mi o nim opowiadała, wie jedynie, że mieszka w Zielonej Górze, no i zna nazwisko, chyba dość rzadkie: Sas. Jak sądzisz, dalibyśmy radę go znaleźć? Może by coś wiedział? Albo przynajmniej dalby nam namiary na babcię czy dziadka, którzy pamiętają zesłanie?

W słuchawce zapadła cisza.

– Może by się dało – odparł w końcu Łukasz. – Ale to na pewno nie będzie łatwe. Zielona Góra to nie malutki Jasień, nie będzie łatwo znaleźć człowieka tylko po nazwisku. Sas, mówisz? No dobra, poszperam i dam ci znać, jeśli coś znajdę. Ty też szukaj, może nam się uda. Dzięki za telefon. Cześć.

Późnym wieczorem rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Tego wieczoru przyjaciółki spotykały się na babskim wieczorze u Leny. Dziewczyna pokroiła przywieziony przez ojca maminy sernik z rosą i zaparzyła herbatę w czajniczku. Francesca przyniosła czerwone wino i kieliszki, ale kiedy zamierzała nalać Beacie, ta odmówiła stanowczo.

– Daj spokój – zachęcała Włoszka. – Po lampce wina świat wygląda bardziej kolorowo. I seks jest lepszy.

– Seks! – prychnęła Beata. – W dupie mam ten głupi seks.

Lena i Francesca spojrzały po sobie ze zdumieniem.

– Ale dlaczego? – wyszeptała Lena. – Coś się stało? Przecież mówiłaś, że się do siebie zbliżyliście...

– To, że mężczyźni raz nie wyjdzie, to jeszcze nie koniec świata – dodała Francesca domyślnie. – Może powinniście spróbować...

– Nie rozumiecie. Ja jestem... Jestem... – Beata zakryła twarz rękami. – A najgorzej, że on nie wierzy, że to z nim.

Zapadła głucha cisza.

– Jesteś w ciąży? – Upewniła się po chwili Lena nabożnym szeptem. – Rany koguta, nie wierzę.

Francesca wychyliła wino jednym haustem i nalała sobie jeszcze.

– I widzisz, jakie to, kurwa, niesprawiedliwe.

Lena nigdy nie słyszała, żeby Włoszka przeklinała. Zresztą chyba ona także była zaskoczona swoimi słowami.

– Co jest niesprawiedliwe? – Chciała wiedzieć Beata.

– To, że ty się łapiesz za głowę, że się złościś. Będiesz miała dzidziusia, przeżyjesz coś, o czym ja marzę, odkąd skończyłam dwadzieścia lat.

– To weź go sobie, tego dzidziusia!

– Co ty wygadujesz! – przeraziła się Lena. – Nie mówi się takich rzeczy!

– Bo co? Bo to już jest dziecko i będzie mu przykro? No to muszę cię rozczarować, to jeszcze nie jest dziecko. Nie słyszy i nie widzi. Składa się z głowy i ogona.

– Beata...

– Ja wszystko wiem. Byłoby ładnie, romantycznie, gdybym wpadła w zachwyty. Ale widzicie, nie wpadłam. To znaczy właśnie wpadłam, ale nie w zachwyty, zdecydowanie. Mam czterdzieści jeden lat. Mój mąż mnie nie kocha. Ja też go chyba nie Kocham, sama już nie wiem. Bzyknęliśmy się kilka razy na zgodę, to wszystko. Chciałam, żeby było jak dawniej, żebyśmy ze sobą rozmawiali, żeby dzieci znów się uśmiechały...

– Ale może...

– Nie przerywaj mi, Lenka. Nie masz pojęcia, jak to jest. Jakie to popieprzone, gdy trwasz w związku z kimś, kto nie chce na ciebie patrzeć, uważa cię za dziwkę, nie wierzy ci, nie ufa, bo kiedyś tam popełniłaś błąd, którego będziesz żałować do końca życia. Kto nie chce tego dziecka tak samo jak ty, choć przecież to nie on przytyje, będzie darł się na porodówce, oglądał w lustrze swoje zniekształcone ciało, jakieś takie obce, nienormalne... a potem nie spał po nocach, tylko przewijał i karmił, karmił, karmił!

Rozpłakała się wreszcie.

Lena czekała na to, ponieważ czuła, że w rozedrganej Beacie aż gotują się łyzy strachu i rozczarowania.

– Dlaczego sądzisz, że Marek nie chce dziecka? – odezwała się znowu Francesca.

– Powiedział ci to?

– Nie. Oświadczył natomiast, że się zabezpieczał, że zawsze miał prezerwatywę, więc ono nie może być jego. I że to bardzo sprytne, zajść w ciążę z kochankiem i natychmiast pójść do łóżka z mężem.

– A ty co odpowiedziałaś?

– Nic. Po co strzępić język, skoro on i tak nie uwierzy...

Francesca podniosła się nagle.

– Przepraszam was na chwilę, dziewczyny. Zapomniałam o czymś... Muszę coś pilnie załatwić. Zaraz wracam. – I wyszła.

Beata i Lena przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– A dzieci? – zapytała Lenka. – Jak zareagowały?

– Nie mają pojęcia o niczym. Najpierw chciałabym wiedzieć, na czym stoję, potem im powiem.

– Ale co to znaczy: na czym stoję? – Zdenerwowała się dziewczyna. – Na czym ty możesz stać? Przecież wiadomo, że nie usuniesz.

Beata pokiwała ponurą głową.

– Wiadomo – powtórzyła. – Wiesz, tu nawet nie chodzi o te wszystkie piękne słowa o ochronie życia i tak dalej. To jest na razie mała kijanka, a nie człowiek, i wierz mi, gdybym wiedziała, że któraś z tych pieprzonych prezerwatyw jest trefna, to wzięłabym

bez skrupułów pigułkę „dzień po”. Ale teraz, po sześciu tygodniach... Zresztą diabli wiedzą, ile to tygodni, nie byłam przecież jeszcze u żadnego lekarza.

– To skąd wiesz? Może wcale nie jesteś w ciąży...

– Zrobiłam test. Zresztą za trzecim razem już się wie, wierz mi. Nie mam miesiączki, cycki obolałe i tkliwe, mdłości...

– Rozumiem.

– I ta świadomość, że to będzie taki Jędrus albo Marcelinka. Że chociaż dopiero potencjalny, to przecież rośnie we mnie człowiek, który będzie lubił jednorożce albo klocki lego. Jak się już ma dzieci, wiesz, to trochę inaczej się na to wszystko patrzy...

– Na pewno. Ja nie mam dzieci, a też bym chyba nie dała rady, nawet gdyby to mi nie wiem jak bardzo komplikowało życie.

– No, sama widzisz.

Lena dołała sobie wina i wypła duszkiem, tak jak przedtem Francesca. Jakież to życie jest dziwne, pomyślała. Teoretycznie nic się nie dzieje. Mieszkamy na cichutkiej prowincji, w kamienicy na uboczu. A jednak każdy toczy w swoim świecie własne bitwy. Przegrywamy, wygrywamy, przelewamy krew i ronimy łzy. Jak w dziewiętnastowiecznej powieści albo w filmie, tyle tylko, że nikt się temu nie przygląda, nie słysząc oklasków i westchnień publiczności. Tak jak napisał kiedyś Borys: wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy cholernie samotni.

– Jak mu dasz na imię? – zapytała, widząc, że Beata znów schowała twarz w dłoniach. – Jeśli to chłopiec?

– Nie wiem. Może Artur?

– Dlaczego Artur?

– A dlaczego nie? Męskie imię, królewskie.

– Tak, to prawda. A Marek się zgodzi?

– Wiesz co? – powiedziała buńczucznie Beata, wstając. – Mam w dupie, czy się zgodzi. Skoro nie wierzy nawet, że to on jest ojcem, to niech zabiera swoje wiertarki, młotki i gwoźdźki, i niech idzie w diabły. Dziecko wychowam sama i sama wybiorę mu imię.

– Beata... – Lenka próbowała ją uspokoić, choć domyślała się, że ta huśtawka nastrojów jest jednym z objawów ciąży i na nic się zda głos rozsądku. – Zaczekaj, nie unos się honorem. Uspokój się, zanim wrócisz do domu. Gniew jest złym doradcą.

Na próżno. Przyjaciółka ucałowała ją w policzek, po czym zamasyżuje zamknęła drzwi, trzaskając nimi odrobinę za mocno i budząc babcię Miecię.

– No już, już, babciu – mruzczała Lenka, prowadząc staruszkę do łazienki. – Będzie dzidzius, wiesz? Na początku może być ciężko, ale potem się przecież wszystko poukłada. Jutro pójdę na poddasze i pogadam z Serafinami. Musi być dobrze.

ROZDZIAŁ 10

Francesca wcale niczego nie zapomniała. Wyszła, ponieważ czuła, że dłużej nie wytrzyma – wybuchnie, zacznie wrzeszczeć albo szlochać.

Temat macierzyństwa był dla niej zbyt trudny, bolesny, a z upływem lat – wbrew temu, czego oczekiwała – nic nie stało się łatwiejsze. Wręcz przeciwnie, zupełnie jakby to był wrzód – ta sprawa w niej pęczniała, stawała się coraz bardziej tkliwa i nabrzmiała; tylko patrzeć, jak pęknie i wyleje się coś paskudnego.

Włoszka zatrzymała się przed drzwiami swojego mieszkania, ale po namyśle odwróciła się i poszła na pierwsze piętro. Zapukała do drzwi mieszkania Markiewiczów, a kiedy się otworzyły, bez wahania weszła do środka.

– Dzień dobry – powiedziała cicho. – Muszę z panem porozmawiać. Możemy przejść do jakiegoś pomieszczenia, gdzie nie będą nas słyszały dzieci?

Marek Markiewicz, osłupiały i chyba trochę przestraszony, pokazał jej gestem kuchnię.

– Jędrzek śpi – mruknął. – A Marcelina jest na studniówce. O co chodzi?

– O pana. O was.

Mężczyzna wykrzywił usta w nieprzyjemnym grymasie. Zamknął kuchenne drzwi i włożył ręce do kieszeni.

– Widzę, że Beata poszła na skargę?

Francesca wstała, choć wcześniej usiadła na krześle z zamiarem przeprowadzenia spokojnej rozmowy. Teraz zmieniła zdanie.

– Niech pan posłucha – wysyczała. – To ja doradziłam jej, żeby spróbowała raz jeszcze. Żeby poszukała dla was ratunku. Parę lat temu popełniła błąd, to prawda. Nie jest z tego dumna, zrobiłaby wiele, żeby cofnąć czas. Ale nie może.

– A co pani do tego?

– Niech się pan zamknie i słucha! Nie rozwiedliście się, tak? Postanowiliście spróbować żyć razem. To niech pan, do cholery, przestanie rozgrzebywać tamtą sprawę. Inaczej do końca życia zostanie pan rogaczem. Nie rozumie pan, że to dla was nowa szansa?

– Skąd mam wiedzieć, że dziecko jest moje?

– Czy pan jest słaby na umyśle? – Włoszka wzięła się pod boki, tak jak robiła to jej babka Roberta, gdy się zirytowała. – Gdyby Beata kogoś miała, sądzi pan, że tkwiłaby w tym waszym chorym związku? Czego niby miałyby tu szukać? Przecież ona od dawna nie czuje się przy panu ani bezpieczna, ani kochana, ani nawet szanowana.

– Sama sobie na to zasłużyła.

– Znowu! Znowu wyciera sobie pan gębę tamtym zdarzeniem. A my nie mówimy o przeszłości, tylko o tym, co jest teraz! Nie rozumie pan?! Życie biegnie tylko w jednym kierunku! Ważne jest dziś i jutro, nigdy wczoraj! Chce pan tego jutra? Z Beatą, Jędrkiem, Marceliną i tym maleństwem, które się dopiero urodzi? Jeśli tak, to musi pan wykasować przeszłość. Jej już nie ma!

Marek nagle oklapł jak przebita opona. Odsunął krzesło, usiadł, oparł łokcie na

stole i złapał się rękami za głowę.

– Ja już sam nie wiem... A w ogóle, dlaczego się pani wtrąca? – wyszeptał. – Nie rozumiem, co pani ma z nami wspólnego.

– Już panu mówiłam: to ja doradziłam Beacie, żeby spróbowała. Ona tęskniła za panem, za waszymi zbliżeniami, ale bała się odrzucenia, dlatego namawiałam ją, żeby się odważyła...

Urwała, ponieważ dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi.

– Niech pan jej nie mówi, o czym rozmawialiśmy – zdążyła jeszcze szepnąć. – Niech pan powie, że pytałam o drewniane wieszaki na klucze.

Wyszła do przedpokoju, gdzie Beata powoli zdejmowała sweter, wpatrując się w lustro. Pod oczami miała smugi rozmazanego tuszu.

– Załatwione. – Francesca poklepała ją po ramieniu. – Musiałam się upewnić co do rodzaju drewna na wieszaki. A ty co? Nie wracasz już do Lenki?

– Nie – odparła słabo Beata. – Pójdę się położyć.

– W takim razie dobranoc. – Przyjaciółka cmoknęła ją w policzek. – Śpij dobrze i myśl o radosnych rzeczach. Może i to dziecko jeszcze nie słyszy, ale na pewno udzielają mu się twoje nastroje.

Sama też nie wróciła do mieszkania Leny, poszła do siebie. Nie zapaliła światła, po ciemku przeszła do dużego pokoju i usiadła w fotelu. Ulicą przejechało jakieś auto i omiotło ścianę z fotografiami smugą światła, na chwilę wydobywając z mroku twarze krewnych i przyjaciół z przeszłości.

Kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, każdy przejeżdżający samochód sprawiał, że Francesca zrywała się na równe nogi i podbiegała do okna. Od ostatniej rozmowy ze Szczepanem mijały kolejne lata, a ona nie przestawała wierzyć, że pewnego dnia mężczyzna jej życia wróci i weźmie ją w ramiona.

Nie zwierzyła się przyjaciołkom do końca. Bo prawda była taka, że Francesca nie wytrzymała – wtedy, przed siedmiu laty, po dwóch miesiącach bezowocnego czekania wybrała się do Żar, odnalazła adres, na który kiedyś pisała listy z Włoch, i spędziła kilka godzin w klatce schodowej bloku naprzeciwko, czekając, że może Szczepko wyjdzie na zakupy albo na przykład wyprowadzi psa na spacer. Ponieważ się nie doczekała, w rozpacz i upokorzeniu uczyniła coś, czego przyrzekła nigdy nie robić – poszła tam i zapukała do drzwi mieszkania z numerem szesnastym. Nogi miała zupełnie miękkie, kiedy czekała, aż ktoś otworzy. Nie wiadomo na jakiej podstawie wyobrażała sobie, że to będzie Szczepan, a za nim, w tle, pojawi się śliczna, młoda kobieta. Tak się jednak nie stało – drzwi otworzyła zażywna matrona pod sześćdziesiątkę z siateczką popękanych naczynek na policzkach.

– Dzień dobry. Słucham? Pani do kogo?

Francesca musiała oprzeć się o futrynę, bo straciła równowagę.

– Czy mieszka tutaj... Szczepan? Czy on tu mieszka? – wyszeptała.

Wówczas twarz kobiety zmieniła się, jakby ktoś starł z niej uprzejmość i zostawił tylko obcą, zimną maskę.

– To pani? – Upewniła się. – Ta Włoszka?

Francesca pokiwała głową. A więc opowiedział o mnie mamie, pomyślała.

– Proszę odejść i nigdy więcej tu nie przychodzić – powiedziała mocnym głosem pani Traszka. – I niech pani nie pisze już więcej tych głupich listów.

Drzwi zamknęły się cicho, ale Francesca długo jeszcze stała z twarzą przy futrynie, nie mogąc uspokoić rozszalałego serca.

Teraz, gdy siedziała w ciemności, próbując odtworzyć w pamięci rysy twarzy ukochanego mężczyzny, zabrzmiały jej w głowie własne słowa. Te, które wypowiedziała dzisiaj podczas rozmowy z Markiewiczem: „Życie biegnie tylko w jednym kierunku”.

Czy jej życie w ogóle jeszcze biegnie? Czy nie jest tak, że zwinęła się w kłębek i czołga się w kółko niczym wąż goniący własny ogon? Szczepan mieszka zaledwie dwadzieścia parę kilometrów stąd, ma zapewne dzieci i żonę, która być może już się zdążyła postarzyć. Jego życie, ich życie – państwa Traszków – toczy się dalej, może raz szybciej, raz wolniej, ale jednak dokądś zmierza. A Francesca? Wciąż na nowo odgrywa w wyobraźni sceny miłosne z czasów, gdy była młoda i zakochana do szaleństwa. Wraca do uniesień, która stały się jej udziałem, gdy Szczepan przyjeżdżał z trasy i odwiedzał najpierw kochankę, wpadał stęskniony w jej ramiona, całował ją łapczywie, w gryzał się w jej usta i płakał, zapewniając, że pewnego dnia przyjedzie i zostanie już na zawsze.

Zupełnie jakby oboje stali się bohaterami melodramatu... Może on właśnie tego potrzebował? U boku żony w Żarach wiódł spokojne, nudne życie wypełnione poczuciem bezpieczeństwa. Dostawał talerz zupy i gazetę do ręki, koszulę miał zawsze wyprasowaną. U Franceski czekało na niego coś, czego nie dostaje się w małżeńskim pakiecie: niepewność i tęsknota, namiętny seks i uwodzicielskie sztuczki, żeby zatrzymać kochanka na dłużej.

Co sprawiło, że w tamten straszny dzień przed siedmiu laty postanowił zrezygnować z tego atrakcyjnego dodatku? Francesca lubiła sobie wyobrażać, że zrobił to dla jej dobra. Kochał ją tak bardzo, że nie chciał jej dłużej zwodzić. Niech sobie ułoży życie, myślał, a ona bohaterko odpowiadała mu w scenach odgrywanych w wyobraźni setki razy: „Nie, kochany, będę na ciebie czekać choćby do śmierci”.

Dziś porównała swoją sytuację z historią Markiewiczów. Znów zabrzmiały jej w uszach własne słowa, że owszem, Beata zdradziła, popełniła błąd, którego żałuje, i gdyby tylko mogła, cofnęłaby czas. To oczywiste, czyż nie?

Czy Szczepan także chciałby cofnąć czas? Czy wymazałby ze swojego życia tamto spotkanie w Piedimonte, ich pierwsze nieśmiałe pocałunki i gorące noce? Czy wolałby, aby ona nigdy nie przyjechała do Polski?

Tak, to jasne. Teraz Francesca zobaczyła to bardzo wyraźnie. Jakim cudem nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy?!

ROZDZIAŁ 11

Od momentu, gdy ojciec Huberta Ksyka odjechał, zostawiając ich przed wejściem do pałacu w Brodach, w którym odbywała się studniówka, Marcelina nie wypowiedziała ani jednego słowa. Najpierw milczała dlatego, że Hubert wydał jej się kimś zupełnie innym. W świetnie skrojonym garniturze nie przypominał tyczkowatego licealisty, lecz raczej modela z jakiegoś designerskiego czasopisma. Nie przybyło mu urody, ale najwyraźniej ktoś mu doradził, jak się modnie ostrzyc, no i ta marynarka, koszula, spodnie... Zresztą on sam chyba zdawał sobie sprawę z tego, że znakomicie wygląda, bo zachowywał się z jakąś niedbałą pewnością siebie.

Kiedy w szatni pomagał jej zdjąć płaszcz, poczuła dotyk chłodnego powietrza na skórze ramion, które natychmiast pokryły się gęsią skórą. Wyczytała w jego oczach dezaprobatę i przez chwilę czuła się jak ktoś zupełnie nie na miejscu – jakby przyszła na eleganckie przyjęcie w skąpej koszuli nocnej. W każdym razie miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Hubert podał jej ramię, a ona chwyciła się go niczym koła ratunkowego. Jak dobrze, że jest taki normalny, przeszło jej przez myśl. Nie trzeba przy nim grać, prężyć się, wydymać usteczek i udawać kogoś, kim się nie jest. Zwyczajny chłopak, może nieco nudny i przewidywalny, ale przecież czasem chce się towarzystwa kogoś właśnie takiego.

Ustawili się do poloneza. Marcelina kątem oka wyłapała w tłumie obserwujących twarz Kamila. Na czole miał lok, który zapewne ułożył starannie przy pomocy żelu. Marynarka opinała mu się na ramionach i dziewczyna ze zdumieniem zauważyła, że wcale nie wygląda to dobrze. W każdym razie nie lepiej niż na szczupłym Hubercie.

Kiedy zabrzmiały pierwsze takty poloneza, podała dłoń partnerowi i poczuła, że drżą mu palce. Jej także drżały. Denerwowała się, choć przecież w gruncie rzeczy miała w nosie całą tę elegancką otoczkę. To tylko studniówka, mówiła sobie. Jeszcze jedna dyskoteka, tyle że pod inną nazwą i w innych strojach, ale przecież o to samo chodzi: żeby potańczyć, poczuć luz, może napić się po kryjomu i pocałować gdzieś w kącie. Czyż nie tak wyglądają imprezy nastolatków?

Czuła, że ktoś śledzi ją wzrokiem. Zerknęła raz i drugi, by się upewnić. Tak, to Kamil. Przyglądał się Marcelinie z niedowierzaniem. Chyba dopiero teraz mnie poznał, uświadomiła sobie. Podniosła wyżej głowę i mocniej ścisnęła dłoń Huberta. Odpowiedział jej tym samym.

Polonez poszedł im świetnie, nie pomylili żadnej ze skomplikowanych figur; nic dziwnego, że dostali owacyjną brawę. Zarumieniona pani Barnasiewicz, wywołana przez uczniów, wyszła na środek parkietu i z zawstydzonym uśmiechem wykonała głęboki ukłon. Następnie dyrektor szkoły wygłosił przemówienie, którego nikt nie słuchał, ponieważ wszyscy rozglądali się w poszukiwaniu swoich partnerów na resztę zabawy albo chcieli znaleźć rodziców, którzy filmowali lub robili zdjęcia – przecież najważniejsze, żeby jak najprędzej wrzucić fotkę na fejsa albo insta.

Marcelina i Hubert stali obok siebie, nagle strasznie zawstydzeni faktem, że nadal

trzymają się za ręce.

– Napiłabym się czegoś – wydukała w końcu dziewczyna, ponieważ zakłopotanie sięgnęło zenitu, a nie przyszedł jej do głowy żaden inny sposób, by przerwać krępujące milczenie.

– Chodźmy do stołu. – Hubert sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło.

Kiedy zajmowali swoje miejsca, Marcelina wciąż czuła na policzku ciepło czyjegoś spojrzenia. Sprawdziła – to Kamil zerkał na nią co jakiś czas, rozmawiając z Aurelią i śmiejąc się głośno. Może nabijają się ze mnie, pomyślała. Że nie miałam z kim iść i przyjąłam zaproszenie chudej tyczki. Niech się śmieją. Pokażę im, że chuda tyczka też może być fajna.

– Dlaczego mówiłeś, że nie tańczysz? – Zaczęła rozmowę, dziękując skinieniem głowy za nalanie coli. – W polonezie byłeś świetny. – Ponieważ Hubert zrobił zdziwioną minę, szybko dodała: – W każdym razie o niebo lepszy niż Krystian. Wiesz, nie ma nic gorszego, niż kiedy chłopak trzyma cię za rękę tak, jakby chwycił zdechłą rybę.

Parsknął śmiechem i pokraśniał. Chyba zrobiło mu się przyjemnie. Po chwili spowaźniał i wbił wzrok w talerz.

– Chyba wszystko zależy od tego, czyjej dłoni się dotyka – powiedział cicho. – Nie uważasz?

– Chyba tak – przytaknęła, choć nie bardzo wiedziała, o czym on właściwie mówi, bo właśnie udało jej się po raz kolejny przytrzymać wzrok Kamila, a to sprawiło, że oblało ją gorąco.

Ciekawe, czy poprosi mnie do tańca, myślała gorączkowo. Nie mogę pozwolić, żeby mu się wydawało, że na to czekam. Muszę tańczyć z Ksykiem, świetnie się bawić i udawać, że w ogóle nie pamiętam o istnieniu Kamila.

– Zatańczysz ze mną chociaż raz? – zapytała, zorientowawszy się, że cisza trwa już dziwnie długo. Nie była pewna, czy Hubert o coś jej nie pytał. – Bo ten polonez wyszedł nam naprawdę dobrze – dodała od razu, by uwiarygodnić swoją prośbę.

Chłopak znów zerknął na nią z radosnym zdziwieniem, które wzbudziło w niej dziwne poczucie winy.

– Mówiłem ci przecież, że nie potrafię. Nie tańczę – odparł.

– Ja też nie bardzo umiem. Ale wiesz, poprzyglądamy się trochę innym parom, poobserwujemy i wyciągniemy wnioski. Proponuję poprzestać na wolnych kawałkach, to się wydaje łatwiejsze. Do tych szybkich trzeba znać kroki.

– Daj spokój, szybkie... – Wzdrygnął się Hubert. – Jak się tak spojrzysz z boku na tłum tańczących ludzi, zwłaszcza kiedy wyłączysz dźwięk, to się nawet staje lekko obrzydliwe.

– Obrzydliwe? – Zdziwiła się Marcelina. – Bez przesady. Dziwne, czasem śmieszne... A czasem bardzo erotyczne. Ale obrzydliwe?

Hubert nie odpowiedział. Patrzył na pary, które kręciły się po parkiecie.

– Ten taniec na przykład nie ma w sobie nic erotycznego – zauważył po dłuższej chwili. – Spójrz, jakby się wszyscy pokładali, tak sennie się snują...

– Skoro sennie, to łóżkowo – odparła. – A skoro łóżkowo, to erotycznie. I nie ma o czym dyskutować. Popatrz, na przykład Marek z Alinką... On trzyma jej dłoń na

pośladku, ona kręci tyłkiem. Nie jest seksownie?

– W jej wykonaniu nie. Ani trochę – ocenił kwaśno Hubert.

– No dobrze, to teraz Jacek i Ewa. Bardzo blisko, policzek przy policzku, odnosi się wrażenie, że coś sobie szepczą.

– Pewnie on jej zdradza kody do jakiejś gry. Jest maniakiem komputerowym w najgorszym tego słowa znaczeniu.

– Ty nie jesteś?

– Nie, absolutnie. Grywałem w gry, kiedy byłem w podstawówce. Wyrosłem.

Marcelina nie powiedziała, jak bardzo jej się to podoba, pokiwała tylko głową.

– Tak moglibyśmy spróbować – zgodził się łaskawie Hubert. – Policzek przy policzku wydaje się okej.

– Popatrz lepiej na nogi. Krok do przodu, potem krok do tyłu...

– Krok w bok. Załapałem. Chyba najważniejsze, żeby zacząć w dobrym kierunku, w przeciwnym razie zmiążdżę ci stopy.

– Będziemy uważać. W takim razie jak zacznie się następna piosenka, startujemy.

W rzeczywistości odczekali trzy piosenki, zanim w końcu się podnieśli. A to rytm był za szybki, a to akurat się zagadali, bo zaczęli rozmawiać o literaturze młodzieżowej i ze zdziwieniem odkryli, że mają podobne gusta. Oboje uwielbiali *Igrzyska śmierci*.

– Naprawdę uważasz, że Katniss powinna wybaczyć Gale'owi? – zapytała z niedowierzaniem Marcelina, kiedy w końcu postanowili zatańczyć.

Hubert skinął głową, z powagą obejmując ją w talii.

– Ale on zabił jej siostrę, nie rozumiesz?

– Przecież nie chciał. Marcelina, czy naprawdę nie dostrzegasz, że... czasem wyższe cele wymagają ofiar?

– Nie takich. Nie tego rodzaju. Są takie ofiary, które nie powinny... Och, ty nic nie rozumiesz!

Pokłócili się zaraz na początku piosenki. Hubert z zaciętą miną prowadził dziewczynę w tańcu, krok do tyłu, krok do przodu, krok w bok. Marcelina miała równie poważny wyraz twarzy. Nie zamierzała więcej z nim rozmawiać. Nigdy! Jak mógł uważać, że życie małej dziewczynki było konieczną ofiarą?! Nawet jeśli chodziło tylko o postać literacką...

W pewnej chwili przycisnęła ją mocniej, zupełnie jakby chciał pokazać, że to on jest górą w tej słownej potyczce. Odpowiedziała mu zaciśnięciem palców na ramieniu, mocniejszym ruchem bioder, policzkiem przy policzku, tak jak sobie życzy; niech ma za swoje. Zanim się spostrzegła, zaczęli się poruszać we własnym rytmie, niezależnie od muzyki – wprawdzie jakimś cudem szło to ze sobą w parze, lecz w rzeczywistości było hipnotyczne, wypływające z rytmu ich serc i galopady myśli. O czym myślał Hubert, nie miała pojęcia. Ona sama także nie mogła uchwycić tego, co niczym wicher przelatywało jej przez głowę – było tam dziwaczne pragnienie ukarania tego chłopaka i podporządkowania go sobie, to znów niemożliwa do ujęcia w słowa radość z bycia młodą kobietą, z tego, że ktoś trzyma ją w ramionach i pragnie dotykać; bo choć Hubert nic takiego nie powiedział – i wiedziała, że nie powie – czuła, że tego właśnie chce.

Przetańczyli w ten sposób kilka piosenek, nie odrywając się od siebie, jej piersi na jego szczupłej klatce piersiowej, uda tak blisko, że dotykały się w tańcu, twarde brzuchy, policzki tuż obok siebie, na odległość przyspieszonego oddechu. Marcelina miała wrażenie, że chwilami muskali się ustami, ale nie była tego pewna, może tylko jej się wydawało, że gdy odwracała głowę, by rozejrzeć się po sali, Hubert robił to samo, lecz w przeciwnym kierunku, i wówczas zupełnie przypadkiem na ułamek sekundy spotykały się ich wargi. Jej oddech oszalał zupełnie, podobnie jak serce, które tłukło się niczym ten wróbel, który kiedyś, gdy była uczennicą podstawówki, wleciał do kantorka przy sali gimnastycznej; Marcelina do dziś pamiętała, jak bała się wówczas, że biedna ptaszyna roztrzaska się o ścianę.

– Odbijany! – Rozległ się nagle chropowaty głos. – Zatańczymy?

Dziewczyna rozejrzała się jak zbudzona ze snu. Na ramieniu poczuła dotyk ciężkiej dłoni i dopiero po chwili zorientowała się, że to Kamil.

Hubert spojrzał na nią pytająco.

– Czemu nie... – Starła się, by to zabrzmiało obojętnie.

Jej partner wydawał się urażony i bez słowa odszedł w kierunku stolika. Choć oglądała się w jego kierunku, nie zdołała złowić ani jednego spojrzenia. A pał go lichy, pomyślała ze złością. Mógłby się uśmiechnąć, mrugnąć do mnie, cokolwiek.

– Nie poznałem cię – szepnął Kamil wprost do jej ucha. – Ta fryzura, ciuchy i w ogóle.

– Tak – odparła, bo nie bardzo wiedziała, jak zareagować. – Czasem człowiek potrzebuje odmiany.

– Teraz jest o wiele lepiej. Bardziej sexy.

Marcelina milczała. Sexy, myślała, zależy co kto przez to rozumie. Bo właściwie czy bardziej sexy jest piękne ciało, lotny umysł, poczucie humoru, czy cięty język? Sama już nie wiedziała.

– Aurelia mnie zaprosiła – ciągnął Kamil. – To myślę, co mi szkodzi, pójdę, co nie? Żarcie jest za friko, picie, tańce, swawola. Ale nie spodziewałem się, że taką laskę tu wyhaczę. Niby cię wcześniej znałem, ale nie wyglądałaś nigdy tak...

– Jak? – zapytała zadziornie, bo była zła, że Hubert nawet nie zerka w jej stronę.

– No mówiłem ci już, seksownie.

Dłoń Kamila przesunęła się z talii w kierunku pleców; teraz obejmował jej kibić tak ciasno, że dotykały się ich brzuchy. Marcelina zamknęła oczy. To Kamil, myślała. Chłopak, o którym marzyłam od trzech lat. Ciało jak z żurnala. Same mięśnie. Tańczyć z kimś takim, to jak mieć samego Brada Pitta. W takim razie po co chciała sprawdzić, czy Hubert patrzy? Dlaczego złościło ją, że właśnie nie zamierza spojrzeć?

Kamil błędził ustami przy jej uchu. Szeptał coś, ale muzyka zagłuszała jego głos.

– Co takiego? – zapytała Marcelina.

– Pytam, czy masz chęć na fajkę. Chodź, wyjdziemy na chwilę.

Spojrzała na miejsce przy stoliku, ale Hubert gdzieś zniknął. Szarpnęła głową, rozejrzała się i dostrzegła go wreszcie; tańczył z Klaudią z klasy dziennikarskiej. A twierdził, że nie tańczy wcale, zdenerwowała się Marcelina.

– Jasne – odpowiedziała. – Na fajkę i na coś więcej, jeśli masz.

Kamil uśmiechnął się szeroko.

– Mam, oczywiście. Wszystko, co sobie panienska zażyczy. Chodź ze mną.

Kiedy szli do szatni, Marcelina odniosła wrażenie, że odprowadza ją spojrzenie Huberta. Nareszcie. Przecież o to jej od początku chodziło.

– Od początku? – szepnęła po chwili, zaciągając się papierosem. – Tylko gdzie był ten początek?

– Co mówisz? – Chciał wiedzieć Kamil, który nachylił się do niej tak, że niemal dotykał nosem jej twarzy.

– Nic ważnego – odparła. – Teraz nareszcie dobrze się bawię. Czytałeś może *Igrzyska śmierci*?

Spojrzał na nią zdziwiony, ale nie odpowiedział. Zamiast tego podał jej płaską butelkę słodkiej wódki. Pociągnęła bez wahania, a potem patrzyła, jak pije Kamil. Po chwili zrobił krok do przodu, zagarnął ją ramieniem, wydmuchując przy tym dym w mroźne powietrze, i pocałował. Marcelina pomyślała, że jego język jest gorzki. I że z pewnością ona po papierosie będzie smakować tak samo, więc może lepiej, że Hubert nie zechce jej pocałować.

ROZDZIAŁ 12

Beata długo polewała się gorącą wodą, zanim poczuła się na tyle silna i spokojna, by wyjść z łazienki i stawić czoła spodziewanej rozmowie z mężem. Obawiała się przede wszystkim własnej reakcji, tego, że zacznie płakać, po raz kolejny zabraknie jej argumentów albo raczej siły, by je wypowiedzieć.

Oczekiwała, że Marek przyjdzie do niej do kuchni, gdy będzie sobie szykowała wodę z miodem i herbatniki owsiane na rano. Ostatnio rozpoczynała dzień od ciastka popitego słodką wodą i tylko dzięki temu udawało jej się przetrzymać jakoś poranne mdłości. Rozmieszała łyżeczkę miodu w szklance wody, dodała parę rodzynek, ponieważ lubiła takie namoczone, grubiotkie. Celowo robiła to wszystko najwolniej, jak się dało. Była przekonana, że Marek za chwilę otworzy drzwi i zarzuci ją epitetami – a wołała je usłyszeć teraz, dopóki czuła się względnie spokojna.

Mąż nie przyszedł do niej jednak, a jej z kolei nie wystarczyło odwagi, by pójść do niego. Po cichu zniosła ciasteczko i termos z napojem do pokoju, postawiła na parapecie i okryła Jędrusia, który jak zawsze się rozkopał. Potem przykręciła kaloryfer i otworzyła okno. Powietrze miało zapach dymu, widocznie wiatr zawiewał od strony komina budynku z naprzeciwka. Beata uznała, że takie wietrzenie nie ma sensu i czym prędzej zamknęła okno. Kiedy zgasła lampkę i położyła się obok synka, drzwi pokoju otworzyły się i wszedł Marek.

– Śpisz? – zapytał głupio. Przecież musiał wiedzieć, że dopiero przed kilkoma sekundami zgasła światło.

– Nie – odparła szeptem.

Podszedł bliżej, usiadł na podłodze obok łóżka. Przez jakiś czas milczał, ale oddychał nierówno, nerwowo. Beata zastanawiała się, czy nie przyszedł oznajmić jej, że odchodzi, i przez moment myślała nawet, że w gruncie rzeczy to by nie było najgorsze rozwiązanie. Pod warunkiem, że płaciliby alimenty, bo sama ze swojej nauczycielskiej pensji nie utrzymałaby trojga dzieci.

– Czego byś chciała? – rzucił nagle, a jego głos zabrzmiał okropnie niepewnie. – Gdybyś mogła... No wiesz, jak wtedy, kiedy się było dzieckiem i człowiek czytał te wszystkie baśnie. Przychodzi wróżka albo łowisz złotą rybkę i masz tylko trzy życzenia.

– Zawsze byłam sprytna. – Zaśmiała się cicho Beata. – Zaplanowałam wszystko. Dwa pierwsze życzenia byłby trywialne, za to trzecie brzmiałoby: „Żebym miała jeszcze nieskończoną liczbę życzeń”.

– Faktycznie sprytnie – przyznał Marek. – Ale gdybyś jednak musiała zamknąć się w trzech?

– Po pierwsze, żeby nasze dzieci były zdrowe i szczęśliwe – odparła niemal bez namysłu.

– To są dwa życzenia.

– Okej, niech ci będzie. Dwa. Chociaż w zasadzie mogłabym tylko powiedzieć: żeby były szczęśliwe. Nie można być szczęśliwym, kiedy jest się chorym.

– No dobrze, ale wypowiedziałaś dwa, nie oszukuj. Więc jakie byłoby trzecie?

Z napięcia w jego głosie, bo przecież znali się tyle lat, zatem nie zdołał przed nią ukryć emocji, poznała, że jej odpowiedź będzie dla niego bardzo ważna. A od tego, co ona teraz powie, ogromnie dużo zależy. I tylko nie wiedziała, co chciałaby uzyskać, o co właściwie warto walczyć.

– Trzecie byłoby takie – odpowiedziała wreszcie – żebyśmy się kochali. Zawsze. Jak wariaci. Jak nastolatki, jak wiecznie głodni studenci.

Marek zamilkł na długo; na tak długo, że już zaczęła się zastanawiać, czy nie zasnął.

– Dlaczego „wiecznie głodni”? – zapytał w końcu.

– Bo tacy byliśmy, nie pamiętasz? Chleb z pasztetówką na śniadanie, na obiad zupka chińska, a na kolację piwo, bo nie starczało nam pieniędzy, żeby do tego piwa coś dokupić. No i głodni seksu, dotyku, miłości, siebie nawzajem. Tak było, Marek.

– Tak było – potwierdził.

– Więc gdybym mogła, tobym zrobiła z nami właśnie coś takiego. Żebyś przychodził stęskniony z pracy i czekał na moment, kiedy dzieci zasną, a my będziemy mieli dla siebie całą noc. Żebyś ja tak samo tęskniła za tobą. Żebyś, kiedy jesteś na mnie wściekły, bo okej, masz powód, więc żebyś mi to wykrzyczał, powywlekał do samych flaków, ale potem byś mnie dalej kochał. Rozumiesz? – Ostatnie słowa Beata wyszeptała, bo nie do końca panowała nad głosem.

– Rozumiem.

Ciemność wydawała się gęsta, aksamitna, miękka. Zegar na parapecie tykał sucho, jakby wskazówki o coś haczyły. Beata pomyślała o córce. Ciekawe, czy dobrze się bawi.

– Skąd wiesz, że nie kocham? – odezwał się nagle Marek. – Skąd możesz wiedzieć, co czuję? Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek odkryje, że został zdradzony. Kiedy uświadamiasz sobie, że znacysz tyle, co nic, że jesteś głównem na podeszwie.

– Nie mów tak. Wiele razy usiłowałam ci wytłumaczyć...

– Ale w tamtej chwili nic nie znaczyłem, przyznaj to – upierał się. – Kiedy szłaś z nim do łóżka, kiedy pozwalałaś mu się całować...

Beata podniosła się nagle. Usiadła obok Jędrusia, a potem zsunęła się na podłogę.

– Posłuchaj mnie uważnie – szepnęła – bo powiem to tylko ten jeden, ostatni raz. I mówię to cholernie poważnie. Jesteś gotów?

– Jestem – wychrypiał Marek.

Odszukała w ciemności jego dłoń, uściśnęła krótko, jakby chcąc dodać mu odwagi.

– W tamtym czasie ja sama też nie znaczyłam nic – powiedziała z wysiłkiem. – Tak to czułam. Że nie jestem już kobietą, że stałam się tylko wielofunkcyjnym robotem domowym. To, że ktoś mnie dostrzegł, że komuś się spodobałam i ktoś mnie zapragnął, podziało jak narkotyk. Nie jestem z tego dumna, Marek, ale to prawda, przyznaję. To prawda, że wtedy ty nie znaczyłeś dla mnie wiele. Podobnie jak cała reszta świata. Ale to nie była miłość do Roberta. Teraz wiem, że to była miłość do samego bycia kochaną, do tych emocji, do poczucia, że znów jestem młoda, że w ogóle żyję...

– Myślisz, że ja nie chciałbym się tak poczuć?! – wybuchnął Marek.

– Nie krzycz, obudzisz dziecko. Wiem, że chciałbyś.

Wzajemne pretensje i ciemność oddzieliły ich od siebie niczym czarna kurtyna.

– Rzecz w tym – podjęła po kilku minutach Beata – że takie emocje są jak ognisko

z papieru. Płonie intensywnie, ale wypala się w mgnieniu oka, a potem zostaje jedynie kupa paskudnego popiołu. Nie warto.

Mąż nie odpowiadał, ale widziała, że nie śpi. Leżał na dywanie z twarzą zwróconą ku sufitowi i szeroko otwartymi oczami.

– I właśnie dlatego powiedziałam, że chciałabym, abyśmy się znów kochali. Żebyśmy zbudowali coś na tym popiele. Żebyśmy przeżyli resztę życia, będąc naprawdę razem, bez poczucia winy, bez oszukiwania, lawirowania, głupich podchodów. Myślę, że można się tego nauczyć, że to się da zrobić. Ale wydaje mi się, że jest jeden warunek.

Czekała, aż zapyta, jaki, jednak nie zrobił tego. Sama podjęła temat:

– Oboje musimy stracić pamięć – powiedziała. – Ty i ja. Poznać się na nowo. Bez zahamowań, bez pruderii, bez tajemnic. Rozumiesz?

– Nie.

Teraz ona zamilkła. Nie miała pojęcia, czy jego „nie” znaczy, że on nie chce, czy naprawdę nie rozumie.

– Jedno pytanie, zanim stracę tę pamięć – odezwał się ponownie Marek. – Czy dziecko jest moje?

Beata podniosła się i ponownie usiadła na łóżku.

– Jeśli jeszcze raz ośmielisz się to zakwestionować, wypieprzę twoje rzeczy przez okno – oznajmiła z wściekłością. – A kiedy wybiegniesz, żeby szukać rozbitego laptopa, zamknę drzwi, zaś zapasowe klucze utopię w kiblu.

W jej głosie musiało zabrzmieć coś, czego się przestraszył, ponieważ natychmiast wyciągnął rękę i dotknął jej łydki.

– Już dobrze – oznajmił. – To mnie gnębi, tak po prostu.

– Gównu „po prostu”. Kochaliśmy się kilkanaście razy od świąt, prawda? Teoretycznie uważaliśmy, ale przecież prawie wszyscy ci, którzy zaliczają wpadkę, uważają.

– I co teraz będzie?

– Nic. To znaczy: coś. Ktoś. Może Magda? Magdalena? Co o tym myślisz?

Oddychał okropnie ciężko. Dlaczego tak ciężko oddycha, pomyślała.

– Nie, dwie córki na M, to nie brzmiałyby dobrze. Może Daria?

– Ładnie.

– A chłopiec?

– Łukasz. Artur. Albo Bartek.

Marek umilkł znowu. Tym razem Beata odważyła się go dotknąć. Miał mocne, męskie uda pokryte szorstkimi włoskami.

– Z tą utratą pamięci mówiłam poważnie – dodała jeszcze. – Masz na imię Marek, tyle pamiętam. Ale powiedz mi... Powiedz, co najbardziej lubisz. Chcę cię bliżej poznać. Jego oddech przyspieszył. Wyciągnął ręce i przyciągnął żonę ku sobie.

– Lubię, kiedy... Kiedy kobieta się nie wstydzi. Kiedy chce spróbować czegoś nowego.

– Na przykład?

– Na przykład kochać się w wannie. W pianie. Ona na górze.

Beata westchnęła. Szczerze mówiąc, tego wieczoru miała ochotę głównie na sen.

Ale piana? W sumie... dlaczego nie?

ROZDZIAŁ 13

Lena nie mogła sobie znaleźć miejsca. Babcia zasnęła wreszcie po wizycie w łazience i dziewczyna doskonale wiedziała, że powinna czym prędzej przyłożyć głowę do poduszki, żeby także złapać trochę snu. A jednak nie mogła się uspokoić.

Co mnie dręczy? Czego mi brakuje? Coś jest nie w porządku z moim życiem, z moją młodością? Francesca przeżyła wielką, szaloną miłość, która, choć nieszczęśliwa, do tej pory nie straciła kolorów. Beata odbudowuje swój związek i jest w ciąży. Marcelina pewnie w tej chwili tańczy w czyichś ramionach; mój Boże, mam nadzieję, że tego sympatycznego Huberta, a nie Kamila o boskim ciele i prawdopodobnie mózgu rozmiarów orzecha.

A ja? Właśnie mijają najlepsze lata mojego życia. Uciekają. Przesypują mi się między palcami jak złoty piasek nad morzem – niby takie śliczne, czyste i ciepłe, ale nic nie zostaje, otrzepie się dłonie i pójdzie dalej. A w dodatku, jeśli nawłazi do butów, to potem obciera i rani do krwi.

Pod wpływem impulsu zadzwoniła do Jakuba.

– Przyjedź – powiedziała. – Jestem smutna. Chciałabym, żebyś tu teraz był.

Nie musiała długo czekać. Zdażyła się tylko wykapać, gdy usłyszała cichutkie pukanie. Otworzyła i natychmiast znalazła się w jego ramionach.

– Kocham cię – wydyszał, całując ją i unosząc skraj jej koszuli nocnej. – Nie masz pojęcia, jak marzyłem, że kiedyś zadzwonisz i powiesz właśnie to: pragnę cię.

Nic takiego nie powiedziałam, pomyślała Lena, ale uznała, że nie warto mówić tego głośno. Poddała się gorącym pocałunkom, pozwoliła się dotykać i pieścić, sama również dotykała i całowała, choć bez takiego zapału. Wystarczyło jednak, aby obojgu im było dobrze.

Jakub został do rana. Przed świtem, kiedy Lena zrobiła kawę, bo uznała, że nie warto już nawet próbować zasnąć, usłyszała słowa, których chyba przez cały czas podświadomie się obawiała:

– Chciałbym, żeby tak już było zawsze. Przez całe życie.

Kuba siedział nagi na łóżku. Nie zapalili światła, ale przez okno wpadało chłodne światło księżyca, który wisiał już nisko nad horyzontem. Lena z przyjemnością patrzyła na umięśnione ramiona, płaski brzuch i mocne uda. Wiedziała, że Jakub gra w koszykówkę, trochę też ćwiczył na siłowni.

– Słyszysz? – ponaglił ją chłopak. – Traktuję to bardzo poważnie.

– Co?

– Nas. Nasz związek.

– A to już jest związek? – zapytała z powątpiewaniem. – Znamy się od niedawna, Kuba. Nie powinniśmy się spieszyć. Uprawiamy seks i jest nam fajnie, co dobrze wróży na przyszłość. Ale mam wrażenie, że czegoś między nami brakuje...

– Poznamy się przecież bliżej, kiedy zaczniemy razem żyć.

– Co masz na myśli?

– Może bym się do ciebie wprowadził? Pomagałbym ci w opiece nad babcią, miałyby codziennie przed snem zabiegi, ty zaś mogłabyś czasem wyjść z domu bez stresu, że zostawiasz ją samą. Choćby fryzjer czy kosmetyczka...

Lena odruchowo poprawiła włosy.

– Jakub, ty chyba nie rozumiesz podstawowej rzeczy. – Jej głos był twardy. – To nie jest moje mieszkanie i nie wolno mi podejmować takich decyzji.

Chłopak odstawił kawę na podłogę, a potem delikatnie wyjął kubek z rąk Heleny.

– Pragnę cię – szepnął, całując jej oczy, potem kolejno policzki, usta, brodę i szyję. – Każdego centymetra twojej skóry. Wszystkich tych ciepłych, pachnących kobietą zakamarków. Nie ma chwili, żebym o tobie nie myślał. Nie wystarcza mi już rola dochodzącego kochanka. Chciałbym naprawdę z tobą być, rozumiesz? Niby jak możemy się do siebie zbliżyć, skoro możesz mi poświęcić tylko dwa wieczory w tygodniu?

Lena oddychała coraz szybciej pod jego pocałunkami.

– Chcę z tobą jeść śniadanie i zmywać kubek po kawie – szeptał dalej Kuba w okolicach jej pępka, a potem schodząc niżej. – Chcę razem robić zakupy na obiad, dzielić się obowiązkami, patrzeć, jak dziergasz te swoje misie i zające, brać cię zniecka w kuchni i w łazience, kiedy zapagniemy miłości...

– Przecież mieszka z nami babcia – wydyszała Lena. – Czy ty w ogóle nie bierzesz tego pod uwagę?

Nie poznała jednak odpowiedzi, zresztą było to przecież pytanie retoryczne. Przez następnych kilka minut Jakub poświęcał całą uwagę jej ciału, jego zagłębieniom i wypukłościom, a kiedy wreszcie Lena odzyskała poczucie rzeczywistości, nie pamiętała nawet, o czym rozmawiali.

Ten dzień, choć zaczął się od czułości i rozkoszy, okazał się niedobry. Po pierwsze, przez nocne igraszki czuła się bardzo niewyspana. Na szczęście była niedziela, więc Jakub nie musiał iść do pracy. Lena zdrzemnęła się chwilę po nakarmieniu babci kaszą manną na mleku i wykonaniu wszystkich niezbędnych czynności pielęgnacyjnych. Drzemka trwała jednak zbyt krótko, by pozwolić dziewczynie nabrać sił, a zresztą sen w ciągu dnia zawsze przyprawiał ją o ból głowy i wywoływał dziwne rozdrażnienie.

Po przebudzeniu ugotowała pieczarkową i zmiksowała ją na krem, ponieważ daniami o takiej konsystencji łatwiej było karmić babcię. Jednak tego dnia staruszka nie przełknęła ani odrobiny, mimo że zupa wyszła wspaniała: gęsta od dobrej śmietany, aksamitna i aromatyczna.

– Babciu, otwórz chociaż usta, ja ci będę wlewać po troszeczku – prosiła Lena, choć już widziała, że nic z tego nie będzie. – Musisz jeść, jesteś już taka chudziutka...

Jednak starsza pani pozostawała głucha na jej błagania i dziewczyna zastanawiała się nawet, czy to nie jest tak, że babcia naprawdę nie słyszy. Nawet jeśli otwierała oczy i patrzyła na wnuczkę, na jej twarzy nie pojawiał się żaden, najmniejszy nawet ślad zrozumienia tego, co Helena do niej mówiła.

Po raz pierwszy, odkąd Lenka zamieszkała w kamienicy pod aniołami, dotarło do niej, że staruszka może umrzeć. Tu, teraz, pod jej opieką. Ta myśl przeraziła ją znacznie bardziej, niż można by się spodziewać, biorąc pod uwagę obcość między nimi; i wcale

nie dlatego, że Lena bała się śmierci jako takiej, lecz – ponieważ chodziło o babcię. Czyżby zaczynała ją kochać? Może z każdym dniem, niepostrzeżenie, stajemy się dla siebie ważne? Stajemy się rodziną, którą nigdy przecież nie byliśmy, choć łączą nas więzy krwi?

A jeśli tak, to być może Jakub ma rację: dopiero kiedy dzieli się z kimś dzień powszedni, kiedy towarzyszy się mu w codziennych sprawach – pojawia się między ludźmi prawdziwa bliskość. Tyle że zamieszkać razem można dopiero wtedy, gdy się ma własne lokum – a żadne z nich nie miało. Helena nie wyobrażała sobie, by chłopak wprowadził się do niej teraz, niejako w tajemnicy przed babcią, wykorzystując niemoc staruszki i jej brak świadomości tego, co się dzieje. Przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, jak o nim świadczy fakt, że w ogóle coś takiego zaproponował, lecz rozmyślania te przerwał dzwonek telefonu. Spodziewała się, że to rodzice, lecz na wyświetlaczu widniało imię „Łukasz”.

– Cześć, słuchaj, nie mogę znaleźć... – Przeszedł od razu do rzeczy. – No wiesz, tego faceta o nazwisku Sas. Nie ma go na Facebooku, w ogóle nie istnieje w mediach społecznościowych. A ty szukałaś?

Lena zawstydziała się, ponieważ prawda była taka, że nie zrobiła nic w tej sprawie.

– Pytam znajomych – zaczęła ostrożnie. – Ale jak dotąd nic. Zresztą niewiele osób tu znam, sam rozumiesz; ja przecież nigdzie nie wychodzę.

– No, prawie nigdzie – zauważył. – Randki z Jakubem jednak miewasz.

Albo jej wydawało, albo powiedział to z przekąsem. Poczwała się poirytowana.

– Ale to on przychodzi do mnie. Jest rehabilitantem mojej babci.

– Tylko?

– Nie, nie tylko.

Czekała na dalsze pytania, te jednak nie padły.

– Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz – poprosił Łukasz, zmieniając nagle ton. – Proszę.

Lena doskonale wiedziała, jak ważna jest dla niego ta sprawa. Zresztą dla niej samej także odkrycie tajemnicy z przeszłości babci Mieczysławy zaczęło nabierać coraz większego znaczenia. Tylko kompletnie nie miała pojęcia, gdzie szukać nowych tropów.

Staruszka spała, więc dziewczyna postanowiła skoczyć do sąsiadów piętro wyżej i zapytać Marcelinę, jak się udała studniówka.

Cichutko zamknęła drzwi i już po chwili siedziała w kuchni pachnącej plackami ziemniaczanymi.

– Zażyczyli sobie dzisiaj czegoś innego, niż zwykle jemy w niedzielę – oznajmiła Beata. – Nie rosół i nie schabowy, prosili. No to ja ogłosiłam bunt i powiedziałam, żeby sami sobie gotowali. Wiesz, z rosółem sprawa prosta, no i można zrobić jakąś zupę na następny dzień. A jak chcą czegoś innego, to niech robią sobie sami. Tak powiedziałam. I Marek wziął się za placki ziemniaczane.

– Pyszne – oświadczyła Lena z pełnymi ustami. – Powinien częściej pichcić. A ja właściwie wpadłam zapytać, jak tam Marcysia. Dobrze się bawiła?

– Nie mam pojęcia. Przywiózł ją nad ranem pan Ksyk, wiesz, ten dentysta.

– Nie znam. Nie miałam pojęcia, że jest dentystą.

– Bardzo sympatyczny facet. Nie komentował, po prostu zaczekał, aż Marcelina wtoczy się do mieszkania, uprzejmie się pożegnał i pojechał.

– A dlaczego miałby komentować? – Nie rozumiała Lena.

– Bo moja córka wróciła pijana – wyjaśniła Beata spokojnie. – I śmierdziała jak popielniczka. Marek był wstrząśnięty i chyba dlatego usmażył te placki... – Zaśmiała się niespodziewanie.

Lenka chciała powiedzieć, że najwyższy czas, aby oboje, matka i ojciec, przejrzeni na oczy i zrozumieli, że ich córka od dawna popała i zdarza jej się wracać do domu na rauszu. Po namyśle jednak zostawiła tę uwagę dla siebie. Nikt nie stanie się lepszym rodzicem tylko dlatego, że sprawi mu się przykrość prawdą wypowiedzianą prosto w oczy. Poza tym Beata była w ciąży i należało delikatnie obchodzić się z jej emocjami. Po trzecie wreszcie – i najważniejsze – grunt, że sama wreszcie zauważyła, co się dzieje z jej córką.

– A jak tam babcia? Lepiej?

Helena z ulgą powitała zmianę tematu.

– Nic nie lepiej. – Westchnęła. – Nie odzywa się, nie reaguje na moje słowa, dobrze że chociaż daje się prowadzić do łazienki... Ale dziś na przykład nie zjadła zupy. Tak bardzo chciałabym choć raz z nią porozmawiać. Choćby po to, żeby...

Urwała. Nie wtajemniczyła dotąd przyjaciółek w szczegóły zagadkowej przeszłości babci Mieczysławy.

– Żeby co? – dopytywała Beata.

Lena ponownie westchnęła. Powinna opowiedzieć czy nie powinna? A właściwie dlaczego nie? Przecież tak naprawdę nie wiadomo, o co chodzi w historii zaginionego Ryszarda Skorka, a poza tym Beata może znać kogoś, kto ma w rodzinie sybiraka – w końcu mieszka tu od dawna.

Popłynęła więc opowieść, choć pełna luk i niejasności, bo Helena sama wiedziała w gruncie rzeczy niewiele. Tyle że babcia została zesłana na Syberię już po wojnie, że w wagonie poznała Ryśka i Rózię Skorek, że potem Ryszard zniknął bez śladu, a kilka tygodni później, już na punkcie repatriacyjnym, przy Mieci znaleziono krzyżyk, który ponoć należał do niego.

Beata wysłuchiwała opowieści z zainteresowaniem, ale nie potrafiła pomóc. Nie pochodziła z Lubuska, lecz z Górzyna. Znała zaledwie kilka osób o syberyjskiej przeszłości, ale była pewna, że chodziło o wojenne zsyłki, ponieważ jako licealistka przeprowadzała z nimi wywiady do szkolnej gazetki. Pamiętała też, że niektóre emerytowane nauczycielki, które kiedyś uczyły w jej szkole, przeżyły deportację.

– Które to nauczycielki? – zapytała Lena z nadzieją, że usłyszy jakieś nowe nazwisko.

– Nie jestem pewna, ale na pewno pani Skindzier...

– A, z panią Haliną już rozmawiałam. I z panią Gienią Karmelitą, i jeszcze z kilkoma osobami z Jasienia. Jedyne sensowny trop, na jaki wpadłam, to rodzina Sasów, ale podobno wyprowadzili się z lubuskiego.

– Sasów? – powtórzyła Beata z namysłem.

– A co? Znasz jakiegoś Sasa?

– Sama nie wiem. No, oczywiście poza tym, że kojarzy się z królami, ale chyba jest coś jeszcze. Mam to dosłownie na końcu języka...

Do kuchni zajrzał Jędrzek, który właśnie wrócił z ojcem z piwnicy.

– Tata mi wyszlifował sanki – oświadczył chłopiec, kiedy przywitał się z Leną. – Wiesz, miały zardzewiałe nóżki.

– Chyba płozy.

– Tak, płozy. – Machnął ręką. – Tata mówi, że jak tylko spadnie śnieg, pójdziemy na górkę. Bo sport to zdrowie.

– Słusznie tata mówi. – Uśmiechnęła się Lena i poczochnęła chłopca po kędzierzawych włosach.

– Wiem! – zawołała Beata, łapiąc się za głowę. – Sport! Ten facet z gabinetu odnowy... Układali mi dietę i program ćwiczeń, kiedy się odchudzałam po ciąży... On się nazywał Sas.

– Poważnie?

– Tak. Jan albo Janusz... Nie jestem pewna. Ale Sas na pewno.

– A gdzie się mieści ten gabinet? – Lenie udzieliło się jej podekscytowanie. – W Lubsku?

– Nie, w Zielonej Górze. „Body and Soul”, tak się nazywa. Nie wiem, czy to aktualne, ale trzy lata temu pracował tam facet o tym właśnie nazwisku.

– Dziękuję ci, kochana! To jest już jakiś trop! – Lena uściskała ją, wzięła w palce jeszcze jeden rumiany placuszek i pobiegła do mieszkania na parterze.

Mieczysława leżała cichutko, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w sufit.

– Babciu, czy ty cokolwiek pamiętasz? – szepnęła wnuczka, pochylając się nad jej pomarszczoną jak rodzynek twarzą. – Czy w twojej głowie są jeszcze kolory, dźwięki i zapachy? Myślisz o czymś? Wspominasz? Śniesz? Jak to jest, tak całkiem zatopić się w sobie? Może właśnie toczysz w myślach długie rozmowy, może słuchasz kogoś, kto dawno odszedł... – Zawahała się na moment, a potem podjęła: – Znałaś kiedyś kogoś, kto nazywał się Sas?

Babcia zamrugnęła gwałtownie, a potem zacisnęła powieki.

Lena westchnęła. Nic z tego, babcia jej nie odpowie. Otworzyła laptopa i zaczęła szukać gabinetu odnowy „Body and Soul”. Znalazła kilka takich miejsc w Polsce, w tym to jedno, które ją interesowało: w Zielonej Górze. Wprawdzie po kliknięciu w zakładkę: „O nas” nie pojawiły się żadne nazwiska, Lena nie mogła więc sprawdzić, czy rzeczywiście pracuje tam Jan lub Janusz Sas, ale skoro miała dane kontaktowe, sprawa wydawała się prosta. Była jednak niedziela, toteż wykonanie telefonu należało odłożyć na następny dzień. Tymczasem zaś palce Leny odruchowo powędrowały do ikonki z pocztą i kliknęły: „zaloguj”.

Nie spodziewała się niczego poza spamem. Z dawnymi przyjaciółmi utrzymywała jedynie bardzo luźny kontakt – i właściwie wyłącznie telefoniczny lub facebookowy. Dlatego skrzynkę mailową otwierała rzadko, a w dodatku teraz, kiedy Borys przerwał korespondencję, sama myśl o poczcie elektronicznej była dla niej przykra. Być może dlatego nie odczytała tego listu od razu.

Temat: *Przepraszam*. Nadawca: *Borys Magura*. Data otrzymania: *31 grudnia*.

A więc ta wiadomość czeka na nią od sylwestra! Tamtej nocy, kiedy Lena kochała się na dywanie z Jakubem, a niebo rozświetlały fajerwerki, gdzieś na południu Francji samotny pisarz wystukiwał do niej list. Po co? Dlaczego? Za co Borys chciał przeprosić, to się wydawało oczywiste – ale dlaczego to robił?

Wstała, przeszła się kilka razy po pokoju. Po namyśle udała się na poddasze i podlała rośliny. Potem otworzyła okienko i popatrzyła z bliska na zatroskane twarze aniołów, ale nie zwierzyła im się z tego, co czuła – zapewne dlatego, że kompletnie nie umiała tego nazwać.

Wreszcie wróciła na dół, odważyła się i otworzyła wiadomość. Serce biło jej jak oszalałe, zdawało się podchodzić do gardła...

Pani Heleno,

to wszystko nie tak. Wszystko. Przepraszam. Nie wiem, czy powinienem Pani wyjaśniać powody, dla których napisałem tamten głupi, jednozdaniowy list. Jeśli to zrobię, być może powiem o kilka słów za dużo. Czy jest Pani gotowa, by przeczytać za dużo? Nie boi się Pani? Choćby tego, że coś się zmieni i wcale nie wiadomo, czy na lepsze. Tego, że nie będzie Pani wiedziała, co ze mną zrobić.

Z drugiej strony, jeśli tego nie zrobię – czy będzie Pani w stanie zapomnieć, że taki mail w ogóle był, że ja go – debil, kretyn i idiota – napisałem i wysłałem? Bo jeśli Pani nie zapomni, wówczas na jedno wyjdzie: nasza korespondencja zmieni się, przestanie Pani pisać do mnie takie listy. A ja bardzo chcę, aby Pani je pisała i aby były właśnie takie, jak dotąd, choć jeśli wyjawię Pani dlaczego, to będzie jednoznaczne z wyjaśnianiem powodów wysłania tamtego maila, czyli wszystko się zapętli.

Nie wiem, czy Pani rozumie, co mam na myśli. Sam się w tym gubię. Wiem tylko, że bardzo chciałbym cofnąć czas i nie wysłać tamtego zdania, a w zamian napisać coś zupełnie innego.

Więc jak? Zapomni Pani? Bardzo, bardzo proszę.

Borys

W klatce piersiowej wciąż tłukło jej się głupie serce, kiedy czytała ową dziwną wiadomość raz po raz i usiłowała zrozumieć. Nie udało jej się, a może zresztą rozumiała, ale chciała zrozumieć lepiej, więcej, dlatego kliknęła „odpowiedz” i czym prędzej napisała:

Proszę wyjaśnić. Tak, jestem gotowa, by przeczytać za dużo.

ROZDZIAŁ 14

Kolejne dni podróży mijaly bardzo podobnie. Było zimno, głodno i przez całe dni kołysało monotennie. Mieczysława miała początkowo problemy z fizjologią, ponieważ załatwianie się do dziury w kącie wagonu wymagało pozbycia się wstydu, a tego jako prawie czternastoletnie dziewczę nie potrafiła. Dojrzewała już, zaczynała stawać się kobietą – miała piersi jak jabłuszka, które przyciągały wzrok mężczyzn. Wreszcie jednak któraś ze starszych kobiet z rodziny Sasów wymyśliła, żeby przyczepić koc i zasłonić choć trochę „wychodek” przed oczami współpasażerów. A kiedy ktoś chciał „za ciężką potrzebą” i miał problem z odgłosami, współtowarzysze niedoli zaczęli śpiewać.

Tak było jednak tylko na początku – potem oswoili się ze sobą, spowszedniało im wszystko. Nie da się być wstydliwym, zachować choćby resztek niewinności, gdy tuż obok bezczelnie, bezwstydnie panoszy się śmierć. Najpierw umarła najstarsza kobieta, sąsiadka Sasów, której nazwiska Miecia nie poznała – wiedziała jedynie, że wszyscy nazywali ją babcią Józkową. Spała na górnej desce wraz z ciężarną Stefą Sas i kilkorgiem dzieci. Pewnego ranka jedno z dzieci chciało oskrobać szybę okienka ze szronu, bo bardzo chciało mu się pić – i nacisnęło kolanem na twarz babci. Nie poruszyła się, nie przebudziła. Stefa spojrziała i zaczęła krzyczeć, bo nigdy wcześniej nie widziała trupa.

Miecia i Halinka wiedziały już aż nazbyt dobrze, jak wygląda śmierć.

– Trzeba walić w drzwi – poradziła Halina, nie przestając karmić Tosienkę. – Niech otworzą, bo choć zimno, to ciało szybko się zacznie psuć.

Młody chłopak o charakterystycznym profilu, chyba starszy brat nieśmiałej blondyneczki siedzącej na desce naprzeciwko, zerwał się i zaczął uderzać pięściami w drzwi wagonu. Po chwili dołączył do niego kulawy Włodek Sas, kilka kobiet zaczęło krzyczeć. Dzieci pobudziły się i zaczęły płakać.

Wreszcie pociąg się zatrzymał, a strażnicy otworzyli drzwi.

– Czego, Polaki? – zapytał jeden z nich, rudzielec, któremu zawsze świeciły się oczy do Mieci. – Jeszcze nie pora na kuszanie.

– Martwą kobietę mamy! Trupa! Babcia Józkowa nie żyje!

– A, kiedy tak, to dawajcie.

Zabrali ciało babci na stację i rzucili niczym worek ziemniaków pod ścianą malutkiego budynku.

– Ale przecież nazwisko, nazwisko! – Zdenerwowała się Halinka. – Nikt nigdy nie pyta o nazwisko, nawet nie będzie co na grobie napisać.

– Nieważna familia – pouczył ją inny strażnik. – I tak w ziemi pajdiot, jak my wsie.

– Ale może jak wrócimy... Na grób ktoś przyjdzie, odwiedzi.

– Halinka – odezwała się cicho Miecia. – Przecież nawet nie wiemy, jaka to stacja.

– Nigdy nie wrócimy – powiedziała nagle jedna z kobiet siedzących w przeciwległym kącie. – Nigdy. Słyszycie? Zgnijemy tam, na Sybirze, i nikt po nas nie zapłaci, nikt nie znajdzie naszych kości. W ziemi pajdiom, jak mówił ten żołnierz.

– Ty tego nie słuchaj – szepnęła Halina do siostry. – Obiecuj mi, Mieciu, że wrócisz,

nawet jeśli ja umrę. Wrócisz, będziesz dbać o dom, o grób mamy i Edwarda. I zajmiesz się Antosią, dobrze? Przysięknij.

– Dobrze, przysięgam. – Miecica pokiwała głową, usiłując stłumić łzy.

Blondyn o modrych jak chabry oczach, ten sam, który przedtem walił w drzwi, teraz wychylił głowę z wagonu.

– Skoro już stoimy, to może choć kapiatok dajcie – poprosił. – Dzieciom pić się chce.

Strażnicy psioczyli pod nosem, ale ostatecznie pasażerowie dostali wrzątku – to było jedyne, czego im podczas postojów nie żalowano. Miecica rozmieszała trochę kaszy jęczmiennej z gorącą wodą i nakryła garnuszek ręką, żeby ziarna zmiękły. Najczęściej jadły taką właśnie półsurową kaszę, choć czasem, gdy dostali od strażników trochę drewna, można było napalić w piecyku i wtedy gotowało się coś w rodzaju jałowego krupniku albo grochówki. Raz dziennie zesłańcy dostawali też dorsza, ale był tak słony, że potem cierpieli katusze z pragnienia.

Kiedy pociąg znów ruszył, Halinka wzięła dziecko i położyła się na górze, obok Stefy z brzuchem. O czymś tam szeptem rozmawiały, Stefa martwiła się, czy nie urodzi w podróży, bo brzuch raz po raz pobolewał ją i robił się twardy jak kamień.

Na półce obok Miecici zrobiło się trochę luźniej. Z ulgą rozsiadła się wygodniej, podkulila nogi; udało jej się zasnąć. Przysnęło jej się, że do wagonu wchodzi Edward z przestrzeloną piersią i mówi: „Przyszedłem po ciebie, Halinka”. Miecica krzyknęła, a wtedy Edward zaczął ją szarpać za ramiona.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że to wcale nie duch Edwarda.

– Już dobrze, to tylko zły sen – mówił chłopak z włosami jasnymi jak len. Błękit jego oczu wydawał się nierzeczywisty. – Ty jesteś Mietka, tak? Słyszałem, jak siostra woła na ciebie. A ja mam na imię Rysiek. Masz tu pół suchara. Rózia wzięła na zapas, ale trzeba jeść, bo spleśnieją.

– Rózia to twoja siostra? – Upewniła się Mieczysława. – Ta jasnowłosa dziewczynka?

– Tak. Trochę przestraszona, bo mama jedzie w innym wagonie, ale przecież ja się nią zaopiekuję. Mam już siedemnaście lat. – Wypiął dumnie klatkę piersiową.

– Nasza mama nie żyje. Umarła niedawno, tylko Tosienkę zdążyła przytulić.

– A mąż twojej siostry? W innym wagonie?

– Nie. Zabili go tuż przed wywózką – chlipnęła Miecica. – Enkawudzista go zastrzelił, bo... On chyba nieprzytomny był, tak szedł na ślepo, jakby śmierci szukał.

– Nie płacz... Ja się tobą zaopiekuję. Nie płacz. – Rysiek objął ją najpierw niezgrabnie, jedną ręką, a potem już śmieiej zamknął ją w ramionach i kołysał, kiedy płakała.

W tym smutku, w tej swojej wypłakiwanej właśnie zadawnionej rozpacz, dziewczyna nie zauważyła, że jego ręce jakoś dziwnie błędzą w miejsca, których wcale nie trzeba dotykać, żeby kogoś pocieszyć. Po prostu przez chwilę było jej ciepło, spokojnie i bezpiecznie.

ROZDZIAŁ 15

Od rana bolała ją głowa. Chyba bardziej od całonocnego hałasu i z nerwów niż od alkoholu, bo wypła w gruncie rzeczy niewiele. W każdym razie znacznie mniej niż niektóre jej koleżanki. Ale nawet jeśli mniej, to i tak dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu tego, co się wydarzyło między nią a Kamilem.

Kiedy Marcelina wypła przyniesioną przez chłopaka płaską buteleczkę wódki, nabrała niezwykłej odwagi. Nagle poczuła się dość dzielna, by pójść i przerwać Hubertowi ten głupi taniec z Klaudią. W końcu przyszedł na studniówkę z Marceliną, to z nią powinien tańczyć – albo ewentualnie wcale, skoro zapewniał, że nie potrafi. Mogłoby przecież dobrze się bawić, siedząc przy stoliku; rozmawiać, śmiać się, wspominać gimnazjum albo nawet znów się pokłócić o jakąś książkę. Kiedy Hubert w dyskusji z nią wyłuszczał swoje racje – a czynił to zapalczywie i z absolutnym przekonaniem, że ma słuszość – Marcelina czuła się w jakiś sposób doroślejsza od swoich koleżanek. One nie toczyły dysput o ulubionych bohaterach literackich i nie rozprawiały na temat tego, kim zostaną w przyszłości. W zasadzie rozmawiały głównie o ciuchach, błyszczkach, podkładach i korektorach pod oczy.

Marcelina nie zauważyła, kiedy przekroczyła granicę między podchmieleniem a upojeniem. Zanim się spostrzegła, kręciło jej się w głowie, a język w przedziwny sposób odmawiał posłuszeństwa.

– Dokąd chcesz iść? – Kamil przytrzymał ją za rękę, widząc, że dziewczyna robi krok w kierunku sali balowej. – Oczekaj trochę. Jesteś narąbana, a tam są przecież nauczyciele.

– Nie jestem narąbana – odparła, ale był to moment, w którym czuła już, że coś niezrozumiałego dzieje się z jej ustami i całą resztą ciała. – Chcę tylko porozmawiać z Hubertem.

– To ten wysoki? – zapytał Kamil z kwaśną miną. – Aurelia wspominała, że nawet go nie lubisz. Kujon i szachista, co?

– A jest coś w tym złego, że szachista? – Rozległ się niski głos gdzieś za nimi.

Marcelina obejrzała się i zobaczyła Ksyka niedbale opartego o kolumnę przed wejściem do pałacu. Przez głowę przemykały jej myśli; jedna za drugą, zbyt szybko. Od jak dawna tu stoi? Po co wyszedł? Chciał się przewietrzyć? Niepokoił się o mnie? Był zazdrosny? Widział, jak się całowaliśmy? I potem jak piłam wódkę? A może wyszedł na zewnątrz dopiero przed chwilą?

– Nic złego – rzucił kpiąco Kamil, zabawnie rozstawiając ramiona, jakby coś okrągłego wyrosło mu pod pachami. – Jedni lubią klocki, niektórzy się bawią lalkami, a inni drewnianymi ludzikami na czarno-białych kwadracikach. Mnie nic do tego, czym ty się bawisz.

– Marcelina, wszystko w porządku? – Hubert najwyraźniej postanowił go zignorować.

– W porządku – powtórzyła.

Chciała pójść z nim do środka, bo zaczynała dygotać z zimna albo może z nerwów,

lecz bała się, że nie do końca panuje nad własnym ciałem. Stała więc, wczepiona dłońmi w barierkę, z głupią nadzieją, że Hubert podejdzie i weźmie ją za rękę albo zachowa się jak jakiś cholerny królewicz: zanieśie ją na salę balową. On jednak postął jeszcze chwilę, a potem po prostu odwrócił się i poszedł.

– Dupek – wycedził Kamil, po czym otoczył dziewczynę ramieniem. – No nic, trzeba będzie wracać, bo sprzątną nam sprzed nosa najlepsze przekąski. Zapalimy jeszcze po jednym?

Papieros po alkoholu smakował wspaniale i Marcelinie znów zakręciło się w głowie.

– Masz jakąś gumę czy coś? – zapytała. – Strasznie będę śmierdzieć po takim zestawie.

– W pierwszej chwili myślałem, że chodzi ci o inną gumę. – Zaśmiał się oblesnie Kamil. – Niestety nie mam, ani jednej, ani drugiej.

– Głupek.

– Chodź... – Przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz. – Rany, jak ty mi się teraz podobasz, z tą fryzurą i w ogóle. Będiesz ze mną chodzić? Przyjdiesz pod halę w przyszłym tygodniu? Pójdziemy na bilard.

– Okej, przyjdę – obiecała Marcelina słabym głosem, ponieważ po wypalonym papierosie zaczęło jej się robić niedobrze.

Resztę studniówki spędziła, siedząc przy stole i hamując mdłości – a potem, kiedy ustąpiły, starając się przetrwać ból głowy i nie patrzeć w stronę Huberta, który tańczył z kolejną dziewczyną. Nie szło mu jakoś szczególnie dobrze, ale też nie gorzej niż innym chłopakom.

Kamil się ze mną umówił, powtarzała w myślach Marcelina, usiłując wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu i radości. Zapytał, czy będę z nim chodzić. Potem skupiła się na pocałunkach; chciała przypomnieć sobie, co czuła, ale wyszło jej, że poza gorzkim smakiem nie zapamiętała nic szczególnego. Może wcale nie jestem w nim zakochana, myślała. Albo może to wszystko jest przereklamowane, a westchnienia i jęki rozkoszy w filmach to zwyczajna ściema.

Tak czy owak, była umówiona na randkę z Kamilem, a przecież od dawna o tym marzyła. Postanowiła zrobić wszystko, żeby to spotkanie poszło jak należy. Nie będzie pić piwa ani palić, ubierze się seksownie, ale nie wyzywająco; przekona się, czy ma o czym rozmawiać z tym „ciachem”, czy potrafi się dobrze bawić w jego towarzystwie. Jeśli nie, to po prostu wycofa się z tej znajomości. A jeżeli tak, to... zostanie dziewczyną najprzystojniejszego chłopaka w Lubsku. Teraz, chwilowo, nie czuła może wielkiego zapалу ani entuzjazmu, ale to się przecież nie liczy. Na kacu chyba nikt nie szaleje z radości.

Nie miała ochoty wstawać z łóżka. Słyszała przez zamknięte drzwi swojego pokoju, że pani Lena przyszła w odwiedziny. Zapewne chciała zapytać, jak się spisała sukienka – i czy Marcelina dotrzymała słowa. Miała przecież sprawić, żeby Hubert dobrze się bawił. Ze wstydem musiała przyznać sama przed sobą, że zawałiła na całej linii.

A gdyby tak do niego zadzwonić? Można by jakoś rozładować nieprzyjemne napięcie – bo podczas drogi powrotnej oboje milczeli, uśmiechając się sztucznie jedynie w tych nielicznych momentach, kiedy pan Ksyk usiłował ich zagadywać. Hubert miał do niej żal, to było oczywiste, choć przecież w gruncie rzeczy nie zrobiła nic złego. Zatańczyła z Kamilem raptem jeden raz, potem wyszła na papierosa (okej, również na kilka łyków wódki – ale przecież prawie wszyscy pili) i trochę się poprzytulała (ale tego Ksyk nie widział... chyba). Potem, kiedy wróciła, siedziała już do końca imprezy przy stole, czekając, aż ten cholerny dryblas wróci do niej i poprosi ją do tańca. Nie doczekała się jednak. Może więc to ona powinna mieć żal do niego, a nie odwrotnie?

Całe to pokrętne tłumaczenie nic nie dało, bo Marcelina i tak czuła się paskudnie. Wstała, otworzyła okno, żeby trochę przewietrzyć pokój i własną głowę, po czym sięgnęła po komórkę i wybrała numer Huberta.

Odebrał po dłuższej chwili.

– Masz mój numer? – Zdziwił się zamiast przywitania.

– Sam mi go dałeś, nie pamiętasz? – prychnęła. – Kiedy się umawialiśmy, że twój tata nas odwiezie...

– Pamiętam – przerwał. – Ale sądziłem, że już go wykasowałeś, bo przestałem być potrzebny.

Marcelina przez chwilę nie mogła znaleźć słów, tak wiele goryczy usłyszała w jego głosie.

– Co to znaczy „potrzebny”? – zapytała cicho. – Mam w kontaktach ludzi, których lubię, a nie tych, którzy są mi potrzebni.

– To mi nawet pochlebia... – Zaśmiał się, a Marcelina wyobraziła sobie jego twarz i paskudny grymas, jaki musiał temu towarzyszyć. – Przyjemne z pożytecznym.

– Ale o co ci chodzi? Że twój tata nas podwiózł? Trzeba było mówić, mój ojciec by przyjechał po imprezie, zresztą mógł nas też zawieźć do Brodów.

– Co ty chrzaniisz? – syknął Hubert. – Jaki tata, o czym my w ogóle mówimy?!

– Też chciałabym to wiedzieć.

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

– Ja mówię o tym twoim chłoptasiu. Kiedy obściskiwałaś się z nim na zewnątrz, ja poprosiłem do tańca Aurelię. Żal mi się jej zrobiło, bo podpierała ścianę. Opowiedziała mi o wszystkim.

– Czyli o czym?! – wykrzyknęła Marcelina, tłumiąc łzy.

– O tym, że byłem kołem ratunkowym, że chciałaś ze mną pójść na studniówkę ze złości, z rozżalenia...

– Co ty pieprzysz?!

– Nie pieprzę! Mówię, czego się dowiedziałem. Zaprzeczysz? Powiedz, ale szczerze. – W słuchawce na moment zapadła cisza. – Dlaczego zaproponowałaś, żebyśmy poszli razem? Powiedz mi prawdę.

Ostatnie słowa Hubert wypowiedział bardzo ostrożnie – nie szeptem, ale jakoś tak miękko i błagalnie.

Marcelina nie mogła skłamać.

– Przecież wiesz, jak było – odpowiedziała równie cicho. – Ja nie miałam z kim iść

i ty nie miałeś. Tyle. Nic więcej. Dopiero potem...

Mysłała, że zwróci uwagę na to „potem”, ale on przyczepił się do „nic więcej”.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem. – Nic? Kompletnie nic więcej? Bo jeśli o mnie chodzi, to tak, znacznie więcej... Ale nie będę się wywnętrzał, nie będę ci się zwierzał... Tak czy owak, przepraszam. Zrobiłem z siebie durnia i musiało ci być niezręcznie.

– O czym ty mówisz?! – Marcelina chciała zadać to pytanie, lecz on już się rozłączył i mimo że dzwoniła jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem odrzucał połączenie.

ROZDZIAŁ 16

Choć Lena sprawdzała pocztę kilka razy w niedzielny wieczór (a nawet w nocy), odpowiedź od Borysa Magury nie nadeszła. Od sylwestra minęło – jak by nie patrzeć – sporo czasu. Mogło być tak, że przez pierwsze kilka dni stycznia Borys zaglądał do skrzynki z nadzieją na odpowiedź, a potem po prostu zrezygnował. Wydawało się to najprostszym i bardzo prawdopodobnym wyjaśnieniem, ale mimo to dziewczynę dręczyła obawa, że przyczyna milczenia może być inna: pisarzowi mogło się coś stać. Nie bardzo wiedziała, na czym właściwie opiera się ten niepokój, ale w jakiś sposób była przeświadczona, że Borys Magura potrzebuje pomocy.

Żeby zająć myśli czym innym, wróciła do syberyjskiej przeszłości babci Mieci. W poniedziałek zatelefonowała do gabinetu odnowy „Body and Soul” i zapytała o możliwość spotkania z panem Sasem.

– Koleżanka odchudzała się z wami jakiś czas temu – wyjaśniła ostrożnie. – I bardzo polecała mi właśnie osobę o tym nazwisku. Nie pamiętam: Jan czy Janusz...

– Janusz. Mamy tu kilku świetnych trenerów personalnych, ale jeśli chce pani ćwiczyć akurat z Januszem, to mogę panią umówić najwcześniej na czwartek. Na szesnastą.

Dobrze więc, jedna sprawa była załatwiona – a w każdym razie załatwienie jej się rozpoczęło – i to sprawiło, że Lenie, nieuleczalnej optymistce, natychmiast poprawił się humor. Wykorzystując dobry nastrój, zabrała się za zszywanie wydzierganych części lalek i zajaczków, a potem powkładała je do koszyka. Wieczorem zapukała do Franceski, żeby przekazać jej wykonane maskotki i zapytać, czy Włoszka nie miałaby ochoty w czwartek wybrać się do Zielonej Góry.

Francesca miała ochotę, jak najbardziej.

– Zamknę sklepik wcześniej, to żaden problem – oznajmiła. – Tęsknię już za wiosną, a najlepszym znanym mi sposobem na jej przywołanie jest kupienie sobie nowej sukienki. Nie wiedziałaś? – dodała, bo Lena zrobiła zdziwioną minę. – Co roku tak robię. Kiedy wpadam w szal zakupów, ani się obejrzę, a już przychodzi wiosna.

– Po prostu zawsze bierze cię na te zakupy pod koniec zimy. – Śmiała się Lena, ale przyjaciółka kręciła głową z całkowitą powagą i tylko oczy jej migotały rozbawieniem.

Ustaliły podział obowiązków na najbliższe tygodnie: Lena miała się zająć cięciem jasnozielonego filcu i przyszywaniem do niego wydzierganych z kordonka kwiatuszków – w taki sposób, aby powstała imitacja ukwieconego trawnika. Tak przygotowanym filcem zamierzały oklejać okrągłe tekturki, a na nich układać przygotowane przez Francescę pisanki.

– Myślę także o kurczaczkach z filcu, które zawieszałoby się na gałązkach owiniętych zieloną bibułą – zdradziła swoje plany Francesca. – Ale to dopiero w marcu, na razie mamy co robić. Aha, i dziś klientka z Zabrze złożyła zamówienie na misia. Ma być brązowy i mieć co najmniej trzydzieści centymetrów, ale dodatki i całą resztę zostawia tobie.

– Dobrze. Brązowy miś, zrobi się. – Lena nie traciła dobrego humoru. – A poza

tym? Poza pracą? Co słyszeć?

Ale Francesca nie chciała się zwierzać. Zaraz po tym, jak odsłoniła się przed koleżankami, opowiadając im historię swojego romansu ze Szczepanem Traszką, zamknęła się ponownie we własnym świecie i nikogo nie wpuszczała do środka. Lena czasem myślała, że powinna coś z tym zrobić, na przykład spróbować odnaleźć tego Traszkę, ale brakowało jej podstawowych informacji. Teraz, patrząc na posmutniałą nagle przyjaciółkę, zastanawiała się w duchu, jak mogłaby jej pomóc. Niczego jednak nie wymyśliła.

Wróciła do domu, przygotowała kolację, umyła babcię i ułożyła do snu, a nawet poczytała jej na dobranoc *Zabić drozda*, bo to akurat wypożyczyła z biblioteki. Nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony staruszki, poszła się wykąpać i zdążyła wyjść z łazienki akurat w samą porę, by odebrać telefon od Jakuba.

– Jak tam, kochanie? – zapytał. – Myślałaś o tym?

Przez chwilę w popłochu zastanawiała się, o co on właściwie pyta.

– Bo ja nieustannie o tym myślę – podjął Kuba. – Teraz na przykład leżałbym w łóżku i czekałbym, aż się wykąpiesz...

– Już to zrobiłam – mruknęła Lena.

– I wiesz, przychodzisz do mnie, taka ciepła i miękka, wsuwasz się pod kołdrę i od razu napotykasz moje wygłodniałe dłonie...

Zapewne powinna być pod urokiem jego czułych słówek, ale zamiast tego musiała powstrzymać śmiech, ponieważ wyobrazila sobie głodne, zębate, kłapiące szczękami dłonie czekające na nią pod kołdrą.

– Zanurzyłbym się w te wszystkie twoje miękkości i zagłębienia, i nie wyszedłbym do rana...

– Chodzilibyśmy wiecznie niedospani – zauważyła trzeźwo Lena.

– O mnie się nie martw, wolę być niewyspany, ale spełniony w miłości, niż wyspany jak świstak i wyposzczony.

– Nie chodziło mi o ciebie. W każdym razie nie tylko.

– A ty? – Zaśmiał się. – Ty sobie odeśpisz w dzień, w końcu co masz wielkiego do roboty? Pomyśl, kochanie, mielibyśmy dla siebie całutkie noce. Wycalaowałbym każdy centymetr twojej skóry, zacząłbym od stóp, ssałbym każdy paluszek...

Snuł te swoje fantazje jeszcze przez jakiś czas, podczas gdy Lena milczała urażona, bo wciąż wracały do niej echem słowa: „w końcu co masz wielkiego do roboty”. Niech to szlag, kto jak kto, ale on powinien rozumieć, że opieka nad starszą osobą wyczerpuje zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

– Muszę kończyć, bo babcia się obudziła – przerwała mu wreszcie, wykorzystując moment, gdy zrobił przerwę na oddech.

– Ale pomyślisz? – zaszemrał czule. – Zastanowisz się?

– Sama nie wiem – odparła chłodno. – Te wszystkie twoje wizje nie są wcale takie ponętne, wiesz? Bo ja jednak cholernie lubię się wyspać. Nawet jeśli nie mam nic wielkiego do roboty.

I przerwała połączenie.

ROZDZIAŁ 17

Francesca powitała z radością propozycję, aby towarzyszyć Lenie w wyprawie do Zielonej Góry. Ostatnio jej życie ograniczało się do pracy: odnawiania staroci, projektowania nowych cudeniak, a potem ich wykonywania – oraz jedzenia i spania. Od czasu do czasu dawała się wyciągnąć pani Klarze „na kijki” – bo sąsiadka z góry była wielką entuzjastką nordic walking. Z przyjaciółkami Włoszka spotykała się tylko dwa razy w tygodniu, chyba żeby jako spotkanie towarzyskie traktować krótkie wizyty Leny, kiedy ta przynosiła wykonane maskotki.

Nawet na dobre wino Francesca nie miała ochoty, co u niej było objawem czegoś naprawdę niedobrego. Przejdzie mi, kiedy wreszcie zrobi się cieplej, myślała. Albo przynajmniej jaśniej. Bardzo tęskniła już do słońca, do długich dni i ciepłych nocy – w takim świetle przecież urodziła się i dorastała; chłód oraz ciemności polskich jesienno-zimowych nocy były dla niej czymś obcym i na dłuższą metę nie do przyjęcia.

Już we wtorek wywiesiła w drzwiach „Cudeniak” kartkę z informacją, że w czwartek sklepik otwarty będzie tylko do czternastej. Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, przejrzała zawartość szafy i uznała, że nie ma niczego zielonego. Aby przywołać upragnioną wiosnę, musi sobie sprawić zieloną sukienkę. Albo płaszcz, torebkę, cokolwiek. Po prostu potrzebowała zieleni i może trochę... poświęcenia uwagi samej sobie.

Lena podjechała pod sklep już po pierwszej.

– Jakub przełożył zabiegi na jutro – wyjaśniła z lekkim rumieńcem. – Wziął dziś wolne i przyszedł już przed południem, więc zrobiliśmy razem obiad i uwinęłam się ze wszystkim nieco szybciej.

– To stąd te nieco potargane włosy? – domyśliła się Francesca ze śmiechem, a Helenka spiekła raka, szybko poprawiła fryzurę i zabrała się za przeglądanie archiwalnego numeru czasopisma „Moje Dekoracje”, z którego obie czerpały inspiracje do nowych cudeniak.

Gdyby do mnie przyszedł ukochany, pomyślała ze smutkiem Francesca, to nie wyszłabym z domu ani minuty wcześniej, niż to konieczne. Czerpałabym z jego obecności tyle ciepła, tyle miłości, tyle... energii na resztę życia...

Stop, upomniała się w duszy. Nakręcłam się i lada moment zacznę beczeć. Na takie myśli mogę sobie pozwolić wieczorem, kiedy nikt nie widzi moich łez.

– Czy ma pani dzwonki? – zagadnęła klientka, która oglądała właśnie drobiazgi na półkach.

– Oczywiście – odparła Francesca. – Mam, i to bardzo różne. Decoupage na styropianie i drewnie. Są też płaskie zawieszki w kształcie dzwoneczków... Nie wiem, czy o to pani chodzi...

– Nie, chodzi mi o prawdziwy dzwonek, metalowy. Żeby dzwonił. Nie jakies tam kwiatki, motywy świąteczne i tak dalej. Dzwonek, rozumie pani?

– Rozumiem. Ale takich zwykłych nie mam.

Lena spojrzała na nią łagodnie, jakby chciała ją uspokoić. Niepotrzebnie. Francesca

była spokojna. Po latach prowadzenia sklepu przyzwyczała się do dziwnych rozmów z klientami.

Niektórzy po prostu nie potrafili przyjąć do wiadomości, że „Cudeńka” to sklep z rękodziełem, a w związku z tym nie kupi się tu na przykład czerwonego budzika, metalowego dzwonka ani zestawu sztućców. Można natomiast nabyć ręcznie zdobione ramki do zdjęć, wieszaki na ubrania, pojemniki na biżuterię, skarbonki, osłonki na doniczki bądź też oryginalne ozdoby świątecznego stołu.

Przed czternastą przyszło jeszcze paru klientów, w tym wysoki mężczyzna, który szukał upominków dla swoich nastoletnich córek na Dzień Kobiet.

– Zostało jeszcze ponad miesiąc, sporo czasu – powiedziała Francesca. – Jeśli ma pan jakiś pomysł, mogę go zrealizować.

– Sam nie wiem... – odparł, łapiąc się za głowę. Widać było, że czuje się bezradny.

– Kiedyś kupowałem kwiaty i czekoladki, wie pani. Ale teraz obie są na diecie...

– Więc może same kwiaty? – wtrąciła się Lena.

– Problem w tym, że córki zawsze oddawały kwiaty matce i u niej na stole układały piękny bukiet. A teraz... Teraz... – Zabrakło mu odwagi, by dokończyć.

Francesca i Lena patrzyły na niego wyczekująco.

– Żona zmarła pół roku temu – wydusił wreszcie. Jego ciemne oczy zrobiły się wilgotne. – I boję się, że moje dziewczyny nie będą umiały się cieszyć z kwiatów. Jeszcze na to za wcześnie.

– Ma pan rację – przytaknęła Francesca. – W takim razie proszę się nie spieszyć. To muszą być przemyślane prezenty.

– Myślałem, że może pani doradzi...

Spojrzały na siebie. Lena pokręciła głową w odpowiedzi na nieme pytanie przyjaciółki.

– W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Ale zastanowię się, razem się zastanowimy – obiecała Francesca. – Teraz musimy pana przeprosić... Koleżanka ma ważne spotkanie w Zielonej Górze, a drogi są śliskie...

– Tak, oczywiście, przepraszam. Zajrzę w przyszłym tygodniu. Nie za wcześnie?

– Nie, na pewno coś zdążę wymyślić. Do zobaczenia.

Podliczyły pieniądze, posprzątały i zamknęły sklep. Miały jeszcze trochę czasu, więc postanowiły wstąpić gdzieś na kawę przed wizytą w „Body and Soul”. Ustaliły też, że gdy Lenka będzie rozmawiała z Januszem Sasem, Francesca przejdzie się po sklepach.

Jechały do Zielonej Góry przygaszone i w melancholijnym nastroju. Francesca zadumała się nad tym, kiedy ostatnio dostała kwiaty od mężczyzny. Jej związek ze Szczepanem, choć pełen uniesień i żarliwości, był w gruncie rzeczy pozbawiony takich zwyczajnych, drobnych gestów. Ona czekała stęskniona, on przyjeżdżał wyposzczony seksualnie, rzucali się więc na siebie, a potem spędzali kilka godzin, spleceni ciasno, zaplątani w siebie, jakby to miało sprawić, że on nie będzie musiał wracać do swojej żony, a ona – zostać sama.

Przestań, upomniała się w myślach. Miałaś nie rozpamiętywać, nie wracać do wydarzeń sprzed lat. Szczepana już nie ma, zniknął... Dokonał takiego, a nie innego wyboru. Myśl lepiej o zleceniu na prezenty na Dzień Kobiet.

– Nie zapytałyśmy o wiek tych córek – odezwała się. – Bez sensu. Jak mam wymyślić upominki, skoro nie mam pojęcia, kto ma być nimi obdarowany?

– Rzeczywiście – zmartwiła się Lena, najwyraźniej także wyrwana z zadumy. – No to może pokombinujemy z takimi uniwersalnymi rzeczami. Na przykład szkatułki na biżuterię. Z tego ucieszy się nawet jedenastolatka.

– Ale przecież powinnam była zapytać o tyle rzeczy... Jakie są te córki, co lubią. Bo dla romantyczki idealne byłoby pudełeczko w kwiaty, na przykład wiesz, to z piwonią na wieczku i kremową koronką dookoła. A dla praktycznej, konkretnej dziewczyny lepsze będzie takie w kolorze drewna, na przykład to z latarnią morską.

– Masz rację. A jeszcze mamy jedno popielate z znakiem tao.

Zamilkły na chwilę, zastanawiając się nad jakąś alternatywą dla szkatulek na biżuterię.

– Chyba żeby coś z tą dietą – odezwała się nagle Lena.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, ten facet powiedział, że obie są na diecie. Może więc dać im coś, co ma związek z odchudzaniem?

– Tylko co?

– Na przykład pięknie ozdobione herbaciarki, a w nich różne gatunki herbatek ziołowych. Czystek, herbata zielona i czerwona, rooibos, bratek, skrzyp, pokrzywa, morwa biała. Do tego na ładnym papierze, takim z fakturą, wydrukowałyby się wskazówki, która herbatka na co jest wskazana.

– Świetny pomysł! – Ucieszyła się Francesca. – Lena, ty jesteś naprawdę niesamowita!

– Dziękuję. – Helenka uśmiechnęła się z wdziękiem. – Ale to nie zmienia faktu, że dobrze byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o tych dziewczynach.

– Powiedział, że to nastolatki.

– Ale równie dobrze mogą mieć lat jedenaście, jak i dziewiętnaście. To znacząca różnica.

– Masz rację.

Kiedy dojechały do Zielonej Góry, okazało się, że mają jeszcze czterdzieści minut do umówionego spotkania. Gabinet odnowy „Body and Soul” znajdował się w centrum, więc Lena zaparkowała pod budynkiem filharmonii. Przyjaciółki wysiadły i, chowając głowy w kapturach, bo lodowaty wiatr zaczął drobnym deszczem, przeszły się kawałek po zielonogórskiej Starówce w poszukiwaniu przyjemnej kawiarenki.

– Całkiem niczego sobie był ten klient – odezwała się Lena ni przypięt, ni przylatał, kiedy już każda z nich z rozkoszą wdychała aromat swojej kawy.

– A co ci się nagle przypomniało? – Zaśmiała się Francesca.

– Nie wiem, tak sobie. Miał ładne oczy. Ciemne, prawie czarne.

– Tak.

– W ogóle trochę przypominał z wyglądu Włocha, nie uważasz?

– Może odrobinę... Chociaż nie wszyscy Włosi są brunetami o ciemnych oczach.

– Wiem. Dowód na to siedzi przede mną i pije ze mną kawę.

– Właśnie.

– Ale wracając do tego faceta – kontynuowała Helena – uważam, że był interesujący. Jakoś nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, że panowie po czterdziestce mają tyle męskiego uroku.

O co jej chodzi, pomyślała Francesca. Chce, żebym zajęła czymś myśli i zapomniała o Szczepanie? Jeśli tak, to głupio się do tego zabiera.

– Naprawdę ci się podoba? – zapytała, udając całkowitą powagę. – Jeśli chcesz, mogę cię z nim skontaktować. Dam mu twój numer i powiem, że robisz na szydełku wspaniale...

– Nie o to chodzi – przerwała szybko Lena. – Tylko... Po raz pierwszy dostrzegłam, że mężczyzna... Wiesz, tu nie chodzi o wygląd, tylko jakiś rodzaj wewnętrznej siły. Nie umiem tego nazwać. Może mam na myśli dojrzałość, której nie mają niektórzy... chłopcy? Sama nie wiem.

Z rumieńca na twarzy dziewczyny Francesca wywnioskowała, że Lena nie mówi tego jedynie po to, by zainteresować przyjaciółkę mężczyzną ze sklepu. Musiał jej się naprawdę spodobać. Zapewne w głębi duszy jest romantyczką i ujęła ją ta historia o kwiatach. Albo porównuje płochosć fircyka Jakuba, z którym się spotyka (Francesce jakoś nie podobał się ten chłopak) z powagą i statecznością tego... No właśnie, nie знаła nawet jego nazwiska.

Teraz, kiedy Lena poruszyła ten temat, Włoszka uświadomiła sobie, że tamten facet ze sklepu rzeczywiście był interesujący. Brunet z leciutkim muśnięciem siwizny. Oczy miał ciemne, tak jak mówiła Lena, i mocno zarysowane brwi. Ale nie chodziło jedynie o wygląd. Wrażenie zrobiła na niej troska, z jaką mówił o córkach, czułość w jego głosie, to, jak się odsłonił, jaki był bezbronny przy całej swojej męskiej twardości, gdy wspominał o śmierci żony...

Ciekawe, co powie na herbaciarki, pomyślała. A jeśli pomysł mu się nie spodoba, wrócimy do szkatulek na drobiazgi. Ewentualnie można zrobić też drewniane kolczyki, nastolatki lubią pomysłową biżuterię...

– Na mnie już pora. – Helena przerwała jej rozmyślenia. – Zostawić cię tu czy podrzucić do jakiegoś centrum handlowego?

– Zostanę tutaj. Pochodzę po sklepach, a potem podejść do Tesco na zakupy spożywcze i tam się spotkamy. Wiesz, gdzie jest Tesco?

– Trafie, mam GPS. Ale to nie jest za daleko, żebyś szła pieszo? Pogoda taka paskudna... – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Skądże, jakie znów daleko? Przejdę się, tu w okolicy jest mnóstwo fajnych butików. No, jedź i wypytaj tego Sasa.

– Taki mam zamiar. Pa. – I już jej nie było.

Francesca westchnęła.

Lena była taka rzutka, energiczna, tak bardzo wypełniała ją wiara w to, że świat zmierza we właściwym kierunku, a ją samą czeka wiele dobrego... Chyba tak właśnie powinno być i zapewne tak samo myślała w młodości Francesca... Przed laty...

Zapomniała już, jak to jest czekać z nadzieją na kolejny dzień. Zapomniała, czym w ogóle jest nadzieja. Starła się cieszyć drobiazgami, znajdować przyjemność w na pozór niewiele znaczących sprawach, jak kawa lub wino z przyjaciółką, dobra muzyka,

nowa apaszka. Ale teraz, gdy siedziała nad pustą już filiżanką, dotarło do niej z całą jaskrawością, jak bardzo usiłowała udawać sama przed sobą, że jakoś się trzyma.

– Rozsypuję się – szepnęła. – Jak rzeźba z piasku. Jeszcze trochę, a wyschnę i rozpadnę się w pył.

ROZDZIAŁ 18

Janusz Sas okazał się świetnie zbudowanym mężczyzną w trudnym do ustalenia wieku. Był zupełnie łysy, ale za to o oczach okolonych tak długimi, gęstymi rzęsami, że wydawały się pociągnięte masarą.

– Więc nie chodzi pani o treningi i dietę? – zapytał z wyraźnym rozczarowaniem.

– Bardzo przepraszam! – zawołała Lena impulsywnie, bo wyglądał na naprawdę zawiedzionego. – Nie mogłam tak po prostu poprosić o pana numer telefonu. To znaczy... pewnie mogłam, ale zapewne nikt by mi go nie dał. Więc uznałam, że umówię się niby na poradę z trenerem personalnym... Oczywiście zapłacę normalnie, jak za poradę dietetyczną.

– Będzie pani musiała. – Roześmiał się. – Inaczej pani stąd nie wypuszczą.

– Rozumiem.

Mężczyzna westchnął, poklikał coś w komputerze, po czym odchylił się na krześle.

– W takim razie niech pani mówi, o co dokładnie chodzi.

– Tak, już wyjaśniam. Otóż szukałam kogoś o nazwisku Sas, ponieważ to mój jedyny trop wiodący na Syberię.

Pan Janusz drgnął nieznacznie.

– Jeśli się nie mylę, pana babcia albo może dziadek, albo oboje... zostali po wojnie deportowani.

– Nie myli się pani. Dziadek.

– Panie Januszu! – zawołała Lena, błagalnie składając dłonie. – Proszę mnie z nim skontaktować! Zaraz wyjaśnię moje intencje.

Zwięźle i rzeczowo, starając się pomijać nieistotne szczegóły, opowiedziała, co udało jej się ustalić o losach babci Mieci.

Pan Janusz zmarszczył czoło.

– Coś się w tym nie zgadza – powiedział. – Moi bliscy nie pochodzili z Domaczewa.

– Nie szkodzi. Mogło być tak, że jechali innym transportem, ale ostatecznie trafili do tego samego posesji. No wie pan, do tej samej osady.

– Wiem, wiem. Tylko mój dziadek wymawia to przez „a”. Pasiólek.

– I gdzie teraz mieszka dziadek? – zapytała Lena z nadzieją. – Czy mogłabym z nim porozmawiać?

– Nad Bugiem, we Włodawce. Wrócił w rodzinne okolice, bo uparł się, że chce choć naoddychać się przed śmiercią tamtym powietrzem.

– Ale jest w dobrej formie? Pamięta wszystko?

– No, powiedziałbym, że pamięta nawet więcej niż wszystko. – Roześmiał się Janusz Sas. – Dziadek ma skłonności do koloryzowania, więc niełatwo będzie uzyskać od niego czystą prawdę, nieskażoną jego fantazją. Ale słuchanie go to czysta przyjemność, jest urodzonym gawędziarzem. Jedyne problem stanowi fakt, że dziadzius nie najlepiej słyszy, więc rozmowa przez telefon odpada, musiałaby pani tam pojechać.

– Ojej, ale jak ja się wybiorę na drugi koniec Polski? – zmartwiła się nagle Lena,

do której dopiero teraz dotarło, jaka odległość dzieli ją od Bugu. – Przecież mam chorą babcię pod opieką.

Przez chwilę milczeli oboje.

– Poproszę ojca, żeby mnie zastąpił – zdecydowała wreszcie Lena. – Chyba dwa dni by wystarczyły, prawda? Wyjechałabym raniuteńko, pod wieczór porozmawiałabym z pańskim dziadkiem, a nazajutrz rano ruszyłabym w drogę powrotną.

O tym, że jest kiepskim kierowcą i nigdy nie wypuszcza się tak daleko, nie wspomniała, bo przecież nie był to problem Janusza Sasa. Poprosiła go o numer telefonu, pożegnała się, zapłaciła za „poradę dietetyczną” i pojechała do Tesco, gdzie miała się spotkać z Francescą.

Włoszka czekała już w pasażu handlowym, jedząc lody i przeglądając jakieś kolorowe czasopismo.

– Jak tam? Kupiłaś coś? – zagadnęła Lena.

– Tak, zobacz. Pistacjowa marynarka i granatowa sukienka. Co na to powiesz?

– Śliczna. To znaczy śliczny kolor, bo całości nie widzę – odparła Lena, zaglądając do toreb z zakupami. – Mam na myśli marynarkę. Bardzo wiosenna.

– No właśnie. Może odpędzi zimę. A teraz opowiadaj, jak tam spotkanie?

– Dobrze. To znaczy nie dowiedziałam się wprawdzie niczego konkretnego, ale przynajmniej mam nowy kontakt.

– Ale powiesz mi, o co właściwie chodzi? – zapytała Francesca. – Bo jak dotąd wiem jedynie tyle, że cała sprawa ma związek z babcią.

Helena westchnęła, poszła zamówić dwie kawy oraz lody dla siebie, a dla przyjaciółki ciastko, po czym usiadła przy stoliku i po raz kolejny opowiedziała, co już wie o przeszłości babci Mieci.

– To żaden dowód – orzekła Włoszka kategorycznie. – To, że Mieczysława była w posiadaniu krzyżyka, kompletnie nie dowodzi, że miała coś wspólnego ze zniknięciem chłopaka. Mogła go znaleźć. Albo ten Rysiek mógł go jej podarować, a potem pójść na przykład dalej w las i tam zaginąć. Mogło go zaatakować dzikie zwierzę. Oglądałam kiedyś film o Syberii, były tam wilki i niedźwiedzie.

– Wszystko się zgadza. – Westchnęła znów Lena. – Tylko wówczas babcia by tego krzyżyka nie ukrywała. Wyobraź sobie tę sytuację: młodziutka dziewczyna idzie do lasu, dogania ją tam chłopak, który się w niej podkochuje. Uznajmy, że się oświadcza... Daje jej krzyżyk, rzecz dla niego bardzo cenną. Ona, załóżmy, odrzuca jego oświadczenia. On idzie dalej w las, ona wraca do posesji. Chłopak znika bez śladu, a ona co? Nie opowiada koleżance i zarazem siostrze tego chłopaka, Rózi, co się wydarzyło?

– To nie ma sensu. Gdyby odrzuciła oświadczenia, nie przyjęłaby krzyżyka.

– Załóżmy, że nalegał. Albo ona dała mu jeszcze nadzieję...

– Okej. W takim razie może nie chciała o tym mówić. Czuli się niezręcznie, bo nie wiedziała, jak postąpić.

– Ale po co by ukrywała ten krzyżyk?!

– Tak, ja również tego nie rozumiem – potwierdziła Francesca i obie zamilkły, wpatrując się w przechodzący holem galerii handlowej wielobarwny tłum.

Jakiś mężczyzna, zamawiając kawę, obrzucił Włoszkę wzrokiem pełnym uznania.

Wyprostowała się pod jego spojrzeniem, jakby przybyło jej pewności siebie, a ubyłoby lat.

– Chyba zmienię fryzurę – rzuciła nagle. – Potrzebuję metamorfozy. Co byś powiedziała, gdybym drastycznie skróciła włosy?

– Nie, błagam! – Lena popatrzyła na nią z wyrzutem. – Masz takie cudne kędziory!

– Ale chociaż do ramion... I zaczęłabym je prostować. Te loki są strasznie nieporządne.

– Twoje loki są prześliczne – poprawiła ją przyjaciółka z miną znawcy. – Ale jeśli czasem masz ich dość, po prostu spinaj je w kok. Gdy skrócisz do ramion, to już nie upniesz. Nawet końskiego ogona nie zrobisz.

– Odrosną.

Włoszka wydawała się absolutnie przekonana o swojej racji, więc Lenka odpuściła. Takiej kobiecie będzie ładnie w każdym uczesaniu, powiedziała sobie w duchu. Jeśli potrzebuje odmiany, to czemu nie. Włosy rzeczywiście odrosną, a może Francesca poczuje się lepiej: młodziej, odważniej? Bo chyba właśnie tego ostatniego jej brakowało – odwagi, żeby coś jeszcze zrobić ze swoim życiem.

Zupełnie jakby słyszała te myśli, przyjaciółka zaczęła nagle mówić:

– Wiesz, bardzo mi pomogło to, że opowiedziałam wam o Szczepanie. Nie zdawałam sobie przedtem sprawy, że utrzymywanie tej historii w sekrecie jakoś mnie... zakorkowało.

Ostatnie słowo wypowiedziała z nieznacznym wahaniem, więc Lena pospieszyła z pomocą:

– Zablockowało – podpowiedziała.

– Tak, właśnie zablockowało. Nigdy się nie przyznałam, że ciągle czekam. Udawałam sama przed sobą, że dawno zapomniałam o tamtej miłości, że po prostu nie spotkałam już później nikogo interesującego. Ale prawda jest taka, że spotykałam, i to wielokrotnie. Tylko nie pozwalałam sobie na flirt, nawet na jakiś szczególny uśmiech, bo to by było tak, jakbym się zgodziła na fakt, że zostałam porzucona, że on mnie wcale nie kochał. I jeszcze... jakbym ja sama go zdradziła.

– Oszalałaś? Francesca, jakie znowu „zdradziła”?! Przecież to on zrezygnował z ciebie, wybrał żonę i mieszkanie kupione przez teściów!

Przyjaciółka spojrzała na Lenę z wyrzutem, ale natychmiast zamaskowała to smutnym uśmiechem.

– Może to dlatego, że jestem bardzo religijna – wyjaśniła. – A my przecież wzięliśmy ślub w kościele.

– Bez księdza – przypomniała Helena.

– Ale przed Bogiem. Bóg jest ważniejszy od duchownego. Przynajmniej we Włoszech, bo tu u was różnie bywa...

Lena roześmiała się serdecznie.

– Masz rację, że różnie, niestety. Ale wracając do sprawy: chyba najwyższa pora, żeby zamknąć przeszłość, nie sądzisz? Może rzeczywiście obetnij te włosy...

– Tak zrobię. – Zgodziła się Francesca ochoczo. – A w takim razie, skoro mam zacząć nowy etap życia, to jeszcze sobie kupię nową bieliznę. Wyszukałam taką jedną, ale wydawała mi się za droga. Chodź, sama zobaczysz, jaka piękna.

Dopiły kawę, wstały od stolika i poszły do sklepu z bielizną, gdzie obejrzały – rzeczywiście prześliczny – kremowy komplet w drobne blad różowe groszki.

– Bierz! – powiedziała Lena bez namysłu. – Na nowy etap życia to jest absolutne *must have*.

– A ty? Nie kupisz sobie ładnej bielizny? Przecież...

– Nie – ucięła. – Nawet nie zaczynaj. Moja relacja z Jakubem jest skomplikowana i budzi we mnie dziwaczne poczucie winy. Przyjdę w którąś niedzielę, to otworzysz butelkę wina i wtedy wszystko ci wytłumaczę. Ale nie dziś.

– Dobrze, nie dziś. Poczekać. Ale jeśli mogę coś doradzić: nie duś tego w sobie zbyt długo. Potem strasznie trudno się z takich spraw oczyścić.

Lena westchnęła i wyszła ze sklepu, zatrzymując się przy drzwiach i patrząc, jak przyjaciółka płaci za zakupy. Problem w tym, pomyślała, że ja nawet nie mam się z czego zwierzać. Bo o tym, że nie jestem zakochana w Jakubie, a jednak z nim sypiam, przecież Francesca już wie. Po co mam o tym mówić po raz kolejny? Wcale nie jestem dumna z takiego układu.

ROZDZIAŁ 19

Marcelina szykowała się na randkę z zaciętą miną. Tak, pójdzie pod halę i tak, właśnie tak, spędzi udany wieczór w towarzystwie Kamila. Nawet jeśli przez tego głupiego Huberta Ksyka cała ta sprawa zupełnie przestała ją cieszyć.

Od poniedziałku w szkole ostentacyjnie ją ignorował. Omijał wzrokiem, odwracał głowę, kiedy przechodziła. Marcelina miała ochotę podejść do niego i zrobić coś zupełnie absurdu, na przykład uszczyplić go w policzek albo złapać za nos. Wówczas nie mógłby dłużej udawać, że ona nie istnieje.

Na polskim powtarzali treść lektur. Polonistka czytała tematy rozprawek, a uczniowie mieli dopasować książki, na podstawie których mogliby udowodnić daną tezę. Marcelina wyłączyła się na chwilę, rozmyślając o tym, w co się ubrać na czwartkowe spotkanie z Kamilem – i oczywiście właśnie w tym momencie została wywołana do odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia. – Zaczerwieniła się okropnie, pochylając głowę nisko nad notatkami.

– Ale nie masz pojęcia, jaka lektura pasuje, czy może o co cię pytałam? – zapytała bezlitośnie polonistka.

– Obstawiam, że jedno i drugie – dobiegł z tyłu szept.

To był głos Huberta. Na szczęście nauczycielka nie pastwiła się nad uczennicą dłużej, zapytała Kaśkę, która miała tego pecha, że jako najniższa siedziała w pierwszej ławce.

Na przerwie Marcelina nie wytrzymała i podeszła do Ksyka, który stał przy parapecie i jadł bułkę drożdżową.

– Mam tego dość – oświadczyła hardo, ale wbrew wojowniczo nastawieniu oczy natychmiast jej zwilgotniały. – Ty mnie zwyczajnie zwalczasz. Znęcasz się.

– Znęcam się? – powtórzył z niedowierzaniem, ale widać było, że trochę mu głupio.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? Po prostu od czasu naszej pamiętnej studniówki nie zwracam na ciebie uwagi. Przestałaś być dla mnie interesująca.

On także starał się brzmieć jak twardziel, ale policzki zapłonęły mu rumieńcem. Nie był wcale brzydki ten Hubert Ksyk. A szare oczy i mocne brwi miał nawet bardzo ładne.

– Kłamiesz – oznajmiła Marcelina z nagłym przyplływem pewności siebie. – Widzę, że to nieprawda. Nie możesz mi wybaczyć, że zaprosiłam cię z braku lepszego pomysłu, okej, rozumiem to. Ale nie oszukuj sam siebie, nie przestałam być interesująca. I ty dla mnie też nie przestałeś... To znaczy, nie myśl sobie... Fajnie się z tobą rozmawia. Sądzę, że moglibyśmy być kumplami. Co najmniej.

– Co najmniej? – powtórzył głupio, chowając nadgryzioną bułkę za plecami.

– Tak, co najmniej – powtórzyła. – A może nawet moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Ale przestań zachowywać się jak obrażony, nadęty bubek.

– Dupek się mówi – poprawił ją. – Nadęty dupek. Tak to szło.

– Bubek też pasuje. Chciałam być delikatniejsza.

Hubert uśmiechnął się wreszcie, choć był to raczej półuśmiech.

– Dziękuję – mruknął i znów wgrzył się z apetytem w drożdżówkę. – Za tę delikatność.

Marcelina odetchnęła. Teraz wreszcie zaczął przypominać tamtego fajnego chłopaka, z którym spierała się na temat *Igrzysk śmierci*.

– Nie ma za co – powiedziała i czując się dziwnie lekko, poszła na trzecie piętro, pod pracownię komputerową, bo po przerwie mieli informatykę.

W kolejnych dniach nie rozmawiali ze sobą. Jakoś nie nadarzyła się okazja. Marcelina coraz częściej zahaczała spojrzeniem o twarz Huberta, starała się przyciągnąć jego wzrok, a jeśli wreszcie jej się to udało, uśmiechała się, na co on odpowiadał także uśmiechem, ale jakimś nieprzytomnym – zupełnie jakby myślał o czymś (lub o kimś) innym. Irytowało ją to i sprawiało przykrość. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od pamiętnego jesienno-wieczoru, kiedy spotkała Huberta wracającego z szachów, a on zaproponował, że ją odprowadzi – czuła się przez niego leciutko, bo leciutko, ale jednak... adorowana. I że było to więcej niż przyjemne.

A więc o to chodzi, zrozumiała teraz, mierzając przed lustrem kolejną bluzkę. Zapewne identycznie było z Kamilem. Doskonale wiedział, że wpatruję się w niego jak w obrazek, sterczałam pod halą, czekałam, aż się do mnie odezwie, i zatykało mnie z wrażenia, kiedy wreszcie zagadnął. Ale pewnego dnia przestałam robić to wszystko i wtedy on poczuł się dokładnie tak, jak czuję się teraz. Zabrakło mu tego uwielbienia, które wcześniej widział w moich oczach.

Wreszcie Marcelina zdecydowała się na zestaw: czarne dżinsy i czarna bluzka z fantazyjnym wzorem w kolorze fukcji. Pociągnęła usta ciemnym różem, poprawiła włosy i ostatni raz psiknęła lakierem, po czym nachyliła się do lustra, żeby sprawdzić, czy ma dobrze rozprowadzony podkład.

– Czy to możliwe, że Hubert czuje do mnie to samo, co ja niegdyś do Kamila? – szepnęła do swojego odbicia. – I że zastosował dokładnie ten sam trick, który podpowiedziała mi pani Lena? Zadbał o wygląd, na studniówce pokazał mi się od innej strony, a potem zaczął udawać obojętność... I czy to możliwe, że na mnie zadziało to tak samo, jak na Kamila?

Jeśli tak, pomyślała ponuro, kiedy już założyła kurtkę i wyszła z domu, to by oznaczało, że, po pierwsze, ulegam manipulacji. Mogłabym być nieco bardziej skomplikowana i nieprzewidywalna. A po drugie, dodała jeszcze, po co, do jasnej cholery, idę na to spotkanie z Kamilem, skoro już dałam się zmanipulować i ostatnio nieustannie myślę o Hubercie?

Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na ostatnie pytanie. Sama nie wiedziała, czy przypadkiem nie kieruje nią zraniona dziewczęca ambicja, bo przecież, jak by nie patrzeć, przedtem Kamil niemal jej nie zauważał, a w dodatku Aurelia zaprosiła go na studniówkę – więc teraz Marcelina chciała w jakiś sposób odegrać się na nich obojgu.

Na pewno nie bez znaczenia było także to, że Kamil imponował jej i zwyczajnie wzbudzał jej zainteresowanie. Jaki jest? Czy wszystkie te wyobrażenia, które pielęgnowała od trzech lat – że jest męski, silny, opiekuńczy – okażą się prawdziwe?

I wreszcie trzecia możliwość: że to próżność w najczystszej postaci każe jej iść na randkę z chłopakiem, o którym rozmawiają wszystkie nastolatki w miasteczku.

Jakkolwiek było naprawdę, poszła na to spotkanie.

Kamil już czekał przed halą sportową i palił papierosa. Marcelina, której przypomniał się pocałunek na studniówce, skrzywiła się na ten widok. Podeszła, udając nonszalancję i wyluzowanie. W rzeczywistości była tak skrępowana, że do bólu zaciskała palce w kieszeniach kurtki.

– Cześć – rzucił Kamil. – Co tak długo? Zmarzłem kurewsko.

Nie żeby ona sama nie przeklinała, zdarzały jej się znacznie wulgarniejsze określenia. A jednak w tym momencie wydało jej się to dziecinne i zwyczajnie brzydkie. Czy to możliwe, pomyślała, że tak się zmienia pod wpływem tego chudego szachisty? A może znajomość z panią Leną i te jej wszystkie dobre rady dały mi do myślenia?

Nie przyszło jej do głowy, że po prostu dorośleje i przestają jej imponować kozackie gesty i odzywki, a u przedstawicieli płci przeciwnej zaczyna cenić to, co jako dziewczynka podziwiała w swoim ojcu: spokój, siłę charakteru, dojrzałość, inteligencję oraz coś, co tata nazywał „klasą”.

– Trzeba było nie czekać – powiedziała zaczepnie. – Skoro tak zmarzłeś.

– Oho, chyba mamy okres – mruknął Kamil, rzucił niedopalonego papierosa na ziemię i przydepnął. – Chodź, moja nowa dziewczyno, trzeba ci poprawić humor. – Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Dokąd idziemy? – zapytała Marcelina.

Wcześniej wspominał coś o bilardzie. Nigdy nie grała, ale zawsze chciała spróbować. Mógłby ją nauczyć. To mogłoby być nawet romantyczne, w każdym razie takie bywało w filmach o miłości. On chwyta kij, on poprawia go w jej dłoniach, pokazuje, jak trzymać, nachyla się nad nią, dotyka jej pleców...

– U jednego mojego kumpla jest impreza – wyjaśnił Kamil. – Starzy wyjechali po towar, wiesz, mają budę na Łęknicy i jeżdżą gdzieś tam pod Łódź po ciuchy.

– Ale mieliśmy pograć w bilard – powiedziała słabo. Nigdy nie miała siły przebicia.

Nie zwrócił na to uwagi. Przez chwilę szli pogrążoną w mroku ulicą. Marcelinie było bardzo niewygodnie z dłonią w jego dłoni. Ze skrępowania miała okropnie sztywną rękę i przez cały czas myślała tylko o tym, jak zabrać ją, żeby wypadło naturalnie. Zawsze sądziła, że zanim chłopak i dziewczyna zaczną się trzymać za ręce, do czegoś musi między nimi dojść. I nie miała na myśli seksu, tylko... jakąś bliższą zażyłość.

Kiedy skręcili w uliczkę wiodącą wzdłuż brzegu rzeki Lubszy, przyszło jej do głowy, że może zawiązać sznurówki martensów. Wcale się nie rozwiązały, ale poprawienie ich było świetnym pretekstem, żeby zabrać dłoń, tym bardziej że zaczęły jej marznąć palce, a rękawiczek nie wzięła.

– Na bilarda to tylko jak jest mój kuzyn, bo wtedy nie płacę – odezwał się wreszcie Kamil. – Wiesz, on robi w tym jakby salonie gier.

– Co robi? – Nie rozumiała Marcelina.

– No robi. Pracuje. Co ty, kurwa, jesteś taka ę-ą?

Właściwie nie powinna być zniesmaczona, skoro sama także przeklinała. Tylko... kiedy się samemu wypowiada takie słowa, nie słyhać, jak paskudnie brzmią.

– Nie jestem ę-ą, po prostu w pierwszej chwili nie zrozumiałam.

Kamil zaśmiał się i przygarnął ją ramieniem. Teraz było jej przynajmniej ciepłej, choć wciąż niezbyt wygodnie. Ręce trzymała w kieszeniach, zaciśnięte kurczowo w pięści, aż paznokcie wbijały się we wnętrza dłoni. Rozejrzała się nerwowo.

Dlaczego tak się denerwuję? Przecież Hubert mieszka w zupełnie innej części Lubuska, pomyślała...

Na szczęście mieszkanie kolegi Kamila znajdowało się przy ulicy Chopina, a więc niedaleko. Zadzwonili domofonem, drzwi otworzyły się i weszli do klatki schodowej wysokiej kamienicy. Zza drzwi na parterze dobiegała głośna muzyka.

– Wbijamy – powiedział Kamil i po chwili byli już w środku, otoczeni gęstym dymem papierosowym, dźwiękami o hipnotycznym rytmie i niemal zupełną ciemnością.

Marcelina z trudem opanowała pragnienie ucieczki. Nie czuła się swobodnie w towarzystwie Kamila ani na studniówce, ani na ulicy, a co dopiero w takim miejscu.

Podszedł do nich chłopak, którego kojarzyła z widzenia; wiedziała, że ma ksywkę „Robo”, domyśliła się więc, że zapewne na imię mu Robert. Nikt nie zadał sobie trudu, by kogokolwiek komukolwiek przedstawić; po prostu gospodarz nieco bełkotliwie powiedział:

– Siema, ziomy. Kurtki na podłogę, bo i tak spadają.

Kamil pociągnął Marcelinę do kuchni i sięgnął pod stół, gdzie ustawione jeden na drugim stały ośmiopaki piwa.

– Była zrzutka – wyjaśnił. – Ja stawiam.

– Nie, dzięki. Dziś nie piję.

– Jak: nie pijesz?! Na studniówce chęptałaś, aż miło.

– No właśnie, chęptałam. Już się nachęptałam i więcej nie chcę.

– Przestań się wygłupiać. – Kamil zaśmiał się i znów objął ją ramieniem. – Ja przecież nie mówię, żeby się od razu najebać. To tylko piwo.

Właściwie miał rację. Marcelina nade wszystko nie lubiła przyciągać nadmiernej uwagi. Uznała więc, że bezpieczniej będzie wtopić się w otoczenie, a najłatwiej było to zrobić, biorąc w dłoń otwartą puszkę, zapalając papierosa. Potem wystarczy po prostu odczekać trochę, aż towarzystwo przestanie zwracać na nią uwagę, i będzie można się ulotnić.

W pokoju, do którego przeszli, gdy już wzięli po piwie i zapalili po papierosie, zabawiała się na kanapie jakaś para. Marcelina nie miała odwagi patrzeć w tamtą stronę, ale w półmroku wydało jej się, że dziewczyna jest w dżinsach i biustonoszu. Jedyne źródło światła stanowiło akwarium rzucające dziwną zielonkawoniebieską poświatę na twarze nastolatków. W fotelach siedziały dwie dziewczyny i kołysały się w rytm muzyki. Na dywanie drzemał jakiś chłopak z dreadami.

– Chodź, pogapimy się na rybki – zaproponował Kamil i skierował się w stronę akwarium.

Marcelina poszła za nim, stąpając ostrożnie, by nie przewrócić puszki z piwem i popielniczki pełnej niedopałków, którą umieścił sobie tuż przy głowie śpiący chłopak.

Usiedli na podłodze.

– Patrz, ta wielka jest ohydna, nie? – zagaił Kamil, wskazując na jedną z rybek. –

Takie ma obleśne gały.

– Musi być oślizgła.

– No.

– Ale ta w paski jest śliczna.

– No.

Gdyby Hubert zaprosił mnie na randkę, pewnie też by tak było, pomyślała Marcelina. Nie wiedzielibyśmy, o czym rozmawiać i zapewne nasza konwersacja byłaby równie nieporadna, pełna półsłówek, nic nieznaczących uwag, głupich pytań i jeszcze głupszych odpowiedzi. W takich sytuacjach nie porusza się ważnych tematów.

– Dlaczego wywalili cię ze szkoły? – zapytała nagle, jakby na przekór własnym myślom.

– A na co komu szkoła? – Kamil wzruszył ramionami. – Nie chodziłem, urywałem się z lekcji, to mnie wylali. Mam w dupie szkołę, powiem ci szczerze. Trzeba być sprytnym, to się liczy. Prawda jest taka – ściszył głos i nachylił się do niej, muskając nosem jej ucho – że jak jesteś bystra, to nie zginiesz. Ja już pierwsze parę tyśiąków zarobiłem, teraz czekam na pierwszy milion. A wtedy zobaczymy, kto będzie cienko śpiewał, czy ja, czy te pedalskie koleśie, co kończą szkoły.

– Dlaczego od razu „pedalskie”? – Obruszyła się, choć przecież nie mówił o nikim konkretnym. – Niech każdy żyje, jak chce.

– No właśnie. I niech nikt się nie wpieprza w to, jak ja żyję.

Marcelina nie miała pewności, czy ta uwaga skierowana była do niej, bo w końcu pytając o przyczyny wydalenia ze szkoły, na swój sposób właśnie się „wpieprzała”. Aby pokryć zakłopotanie, pociągnęła z puszki, choć początkowo miała szczerzy zamiar nie pić. Zamierzała tylko trzymać piwo, żeby się nie wyróżniać.

Z piwem jest jak z orzeszkami, pomyślała po paru minutach, gdy zorientowała się, że wypija już połowę; człowiek postanawia sobie, że sięgnie tylko po jeden, a po chwili ręka sama wystrzela po kolejny. I tu tak samo, bierze się mały łyk, potem drugi; następnych nawet się nie zauważa.

Do domu dotarła krótko przed północą. Miała paskudny smak w ustach, głównie z powodu wypalonych papierosów, bo piwa ostatecznie nie wypija dużo – nie dokończyła nawet drugiej puszki, którą Kamil uparł się dla niej otworzyć.

Była zła na siebie. Po co w ogóle tam poszła? Rozmowa z Kamilem się nie kleiła, więc na początku głównie gapili się na rybki. Potem chłopak wypił drugie piwo i zabrał się do obściskiwania i całowania, co już zupełnie jej się nie podobało, zwłaszcza że w mieszkaniu Roberta robiło się coraz tłoczniej, a niektórzy z nowych gości byli jej znajomymi ze szkoły. Kamilowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że mają publiczność, jednak Marcelinie nie mieściło się w głowie, że można się całować, kiedy obok na podłodze siedzi ktoś, kto pali papierosa i kiwa się w rytm muzyki. Opędzała się od chłopaka jak od muchy, odwracała głowę i gorączkowo myślała, jak wyjść z imprezy, nie robiąc przy tym zamieszania. Sama przed sobą nie przyznawała się, że nie chciała zostać zauważona, aby nikt następnego dnia nie opowiedział Hubertowi, że widział ją z Kamilem.

W końcu udała, że musi iść do toalety. Poszła tam rzeczywiście, postąpiła chwilę przed lustrem, poprawiając odrobinę rozmazany makijaż i w duchu wymyślając sobie od idiotek, ponieważ nie potrafiła przypomnieć sobie choćby jednego powodu, dla którego w ogóle chciała się spotkać z Kamilem. Całe zauroczenie jego osobą prysło jak bańka mydlana. Co jej się kiedyś podobało w tym chłopaku? Modne ciuchy? Wysportowane, zgrabne ciało? Twarz o regularnych rysach? A jakie ma znaczenie twarz i ciało, kiedy ktoś okazuje się zwykłym prostakiem?

Wyszła z łazienki i szybko założyła kurtkę, którą wygrzebała ze sterty na podłodze. Wymknęła się bezszelestnie. Choć było bardzo późno, nie bała się wracać sama ciemnymi ulicami – przeciwnie, odczuwała ulgę, jakby właśnie udało jej się uniknąć niebezpieczeństwa.

Zdawała sobie sprawę, że musi okropnie śmierdzieć dymem i alkoholem. Pewnie matka będzie się wściekać, pomyślała z niechęcią. Teraz, kiedy była w ciąży, stała się szczególnie wrażliwa na zapachy – no i bardziej nerwowa niż kiedykolwiek przedtem. Marcelina przeszukała kieszenie w nadziei na znalezienie gumy do żucia, ale bez sukcesu. Trudno, będzie awantura. Chyba że rodzice już śpią.

Dochodząc do kamienicy z aniołami, zadarła głowę i spojrzała na facjatkę z rzeźbami Serafinów. Przypomniała sobie, co mówiła o nich pani Lena – że spełniają życzenia. Dorosła kobieta, a bajdurzy jak dzieciak, pomyślała wtedy Marcelina. Teraz jednak zatrzymała się i szepnęła:

– Rzecz w tym, że ja sama nie wiem, o co prosić. Może po prostu zróbcie tak, żeby wreszcie było dobrze.

Postąpiła jeszcze chwilę, zupełnie jakby miała nadzieję usłyszeć odpowiedź. Dopiero po chwili dotarło do niej, że w mieszkaniu na piętrze pozapalane są wszystkie światła, również w pokoju Jędrusia. Coś się musiało stać. Przerażona Marcelina wbiegła do budynku i pognała na górę, przeskakując po trzy stopnie.

ROZDZIAŁ 20

Odkąd Beata zorientowała się, że jest w ciąży, nie przespała normalnie ani jednej nocy. Wciąż dręczyły ją głupie sny, w których albo rodziła dziwne istoty, które były wszystkim, tylko z całą pewnością nie dziećmi (na przykład jedna z nich miała ciało nietoperza, a głowę jaszczurki), albo traciła Jędrusia w jakimś wypadku, albo dla odmiany usiłowała uratować Marcelinę przed gwałtem – zresztą bezskutecznie. Po takich koszmarach budziła się w środku nocy zlane potem i wystraszona, po czym leżała do świtu, usiłując zasnąć ponownie albo przynajmniej nie wstawać, żeby nie dopadły jej poranne mdłości.

Od kilku dni źle się czuła, ale złożyła to na karb niewyspania oraz pogody – nad zachodnią Polską przechodził właśnie front chłodny, na przemian lało i rozpogadzało się, ale cały czas było zimno i wietrznie. Na środę miała zaplanowane dwa sprawdziany z mapy i przeliczenia skali w piątym klasach, jednak gdy omal nie zemdląła podczas porannego suszenia włosów, musiała uznać, że szkoła nie jest najważniejsza i że zwyczajnie musi pójść do lekarza.

Marek zawiózł ją do przychodni i zostawił w poczekalni, ponieważ na dziewiątą miał umówione spotkanie z klientem.

– Najwyżej wrócisz taksówką – powiedział, widząc jej bladą twarz. – Nie mogę tego odwołać. Facetowi popękały ściany i będziemy pisać odwołanie w sprawie odszkodowania.

– Dam sobie radę. – Machnęła ręką Beata. – Jedź już.

Odsiedziała swoje, czując się coraz gorzej i coraz bardziej żałując, że nie zamówiła wizyty domowej. Obawiała się, że wymiotuje za chwilę na kolana siedzącej obok otyłej kobiety, która zajmowała półtora miejsca, przez co Beata musiała tkwić na ławce ściśnięta jak szprotka, ponieważ po drugiej stronie usiadła matka z dzieckiem na kolanach.

W końcu nadeszła jej kolej. Lekarka obrzuciła Beatę uważnym spojrzeniem, skrupulatnie zbadała, po czym, widząc kolor jej twarzy, kazała położyć się na leżance i przez chwilę po prostu głęboko oddychać. Następnie wypisała jej skierowanie na całą masę badań oraz zwolnienie z pracy na tydzień.

– Przede wszystkim pora już na pierwszą wizytę u ginekologa – powiedziała tak stanowczo, że Beata poczuła się skarcona.

– Przecież nie muszę potwierdzać ciąży, nie mam żadnych wątpliwości. To moje trzecie dziecko. A ciąża to nie choroba. Za pierwszym razem pracowałam do siódmego miesiąca, za drugim – do połowy piątego. Poza mdłościami w pierwszym trymestrze czułam się znakomicie.

– Ale ja nie namawiam pani, żeby od razu brać zwolnienie na cały okres trwania ciąży. Jednak wizyta u ginekologa w tych pierwszych tygodniach jest bardzo ważna. Warto zrobić USG, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie dobrze.

– A co może nie iść dobrze? – mruknęła Beata, która była tego dnia w wyjątkowo kłótliwym nastroju.

– Nawet sobie pani nie wyobraża, ile rzeczy może nie iść dobrze – odparła sucho

lekarka.

Do domu Beata faktycznie wróciła taksówką, bo nie miała siły na spacer, choć zazwyczaj dystans, jaki dzielił ulicę Bukową od przychodni lekarskiej, pokonywała w niespełna dziesięć minut. Teraz czuła się tak słaba, że każdy krok stanowił dla niej wyzwanie.

Zaniepokoiły ją słowa pani doktor.

Ile rzeczy może pójść nie tak z dzieckiem – oczywiście doskonale wiedziała. Gdy była w pierwszej i drugiej ciąży, zaczytywała się w książkach na temat porodu, położu, a także dziewięciu miesięcy stanu odmiennego. Z wielkim upodobaniem dowiadywała się, jakie zmiany zachodzą w małym ciałku w kolejnych tygodniach, a także jak rozwija się dziecko po narodzinach. Tak było również wtedy, gdy miał przyjść na świat Jędrus, choć przecież za drugim razem teoretycznie już wszystko wiedziała. Teraz zupełnie nie miała na to ochoty – ani na czytanie, ani nawet na rozmowy o ciąży.

Kiedy wreszcie znalazła się w domu, przebrała się w lekką koszulę nocną, zaparzyła sobie zielonej herbaty, położyła na talerzyku kawałek pleśniaka z powidłami (Lena nadal usiłowała pozbyć się zapasów z babcinej piwnicy, więc co parę dni obdarowywała sąsiadów wypiekami albo przynajmniej słoczkami z przetworami) – po czym usiadła na kanapie i pogрузzyła się w rozmyślaniach.

Jako biolog z wykształcenia lubiła obserwować naturę i często porównywała ludzkie postępowanie do instynktownych zachowań zwierząt. Tym razem kiedy rozmyślała o własnych odczuciach, przypomniała jej się pewna sytuacja z dzieciństwa.

Zawsze spędzała wakacje u dziadków mieszkających w leśniczówce. Dziadek miał wyżlicę Korę, rodowodową, rasową. Brała nawet udział w jakichś konkursach łowieckich. Po jednym z takich konkursów zapadła decyzja, że Kora będzie mieć młode. Co za geny, powtarzał dziadek, co za niezwykły instynkt... Znalazłem jej odpowiedniego kawalera, świetny rodowód, pies karny, odważny; to będą wyżyły nad wyżyłami.

Suczka oszczeniła się następnej wiosny, o czym babcia natychmiast powiadomiła wnuczkę, gdyż znała jej zainteresowanie zwierzętami. Beacie udało się ubłagać rodziców i pojechali na weekend do leśniczówki. Szczeniaczki miały dopiero dwa dni. Śmieszne, pasiaste niczym dziczki, z zamkniętymi oczkami i zarośniętymi maleńkimi uszkami... Zabawnie posapywały, ssąc mamine sutki, a ogonki sterczały im przy tym prosto w niebo. Tylko jeden malec leżał na brzegu legowiska, wyraźnie drobniejszy od innych. Babcia przyłożyła go do brzucha suki, ale albo nie umiał ssać, albo nie miał siły.

– Jest zimniejszy niż pozostałe – powiedziała Beata, delikatnie biorąc go w dłoń i jeszcze raz usiłując nakłonić do jedzenia. – Babciu, dlaczego Kora go nie wylizuje? Rozgrzejmy go! Damy mu mleka łyżeczką.

– Natura jest mądra, wnusiu – odparła wtedy babcia. – Kora go nie chce, od początku nie zajmowała się nim tak, jak pozostałymi szczeniakami. Widocznie czuje, że on i tak nie ma szans na przeżycie. Zapewne jest chory, może ma jakąś wadę wrodzoną... Matka wie najlepiej, wyczuwa takie sprawy szóstym zmysłem.

Beata płakała wtedy jak bóbr. Szczeniaczek rzeczywiście nie dożył następnego dnia, więc pewnie zarówno Kora, jak i babcia miały rację, jednak dziewczynka nie mogła

przestać myśleć o tym, że gdyby wtedy pomogły temu małemu, bezbronnemu stworzonku, gdyby jednak wtrąciły się trochę w tę „mądrość natury”, przeżyłby i wyrósł na wspaniałego psa.

Teraz, popijając zieloną herbatę, zastanowiła się nad słowami babci: „Matka wie najlepiej”. A co, jeśli to prawda? Jeżeli fakt, że ona sama tym razem nie potrafi cieszyć się z ciąży, coś znaczy? Jeśli te głupie sny to właśnie mądrość natury, nawet nie przecucia, a pewność, że coś pójdzie nie tak? Może to dziecko nie powinno się urodzić? Bo raz, że nieplanowane, spójrzmy prawdzie w oczy – niechciane; a dwa, że być może chore?

Aż podskoczyła, gdy z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Marek.

– Jak tam? – zapytał.

Z jakiegoś powodu wzruszyło ją, że zadzwonił. W ogóle łatwo się teraz wzruszała.

– Mam tydzień zwolnienia – powiedziała. – I muszę jechać do ginekologa, porobić badania. A w ogóle to... Może tego dziecka nie powinno być? Co? Jak myślisz, Marek? Przecież my się wcale nie cieszymy.

I rozplakała się żałośnie w słuchawkę. Płakała, nie słuchając, jak mąż próbuje ją uspokajać, jak wreszcie rozłącza się ze słowami: „Już jadę”. Szlochała jak dziecko, któremu nic, ale to zupełnie nic się nie udaje, i nie przestała nawet wtedy, kiedy Marek wpadł jak wichler do mieszkania, nie zdejmując kurtki ani butów, wbiegł do pokoju i runął na kolana przy kanapie, obejmując jej nogi i powtarzając raz po raz:

– Ale co ty mówisz, Becia? Co ty opowiadasz? Dlaczego tak powiedziałaś?

Wreszcie zrobiło jej się lepiej. Może wypłakała już wszystkie łzy, a może po prostu opadło z niej to okropne napięcie? Przestała łkać, wydmuchała nos w przyniesiony przez męża papier toaletowy i położyła się na kanapie, przykrywając sobie twarz poduszką. Marek usiadł na brzegu i nerwowo gładził jej łydki.

– Nie mów tak więcej – powiedział głucho. – Na początku rzeczywiście się nie cieszyłem. Nie wiem, może zresztą nadal się nie cieszę, może jeszcze nie potrafię. Ale jestem pewien jednego: przyjdzie taki moment, że ten maluch stanie się dla nas najważniejszy na świecie. Słyszysz?

Beata odmruknęła spod poduszki coś, co równie dobrze mogło być potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. Sama nie była pewna, co to było.

– Chciałbym tym razem zrobić wszystko, jak należy – dodał jeszcze Marek, choć już chyba bardziej do siebie niż do niej. – Dla Marceliny i Jędrka nie mieliśmy tyle czasu, ile powinniśmy. Praca, kredyt, zabieganie, pośpiech, wieczne zmęczenie... Tak łatwo zapomnieć, co się naprawdę liczy. Ale teraz będzie inaczej, zobaczysz.

Tym razem nie chciało jej się nawet mruknąć. Było jej dobrze, kiedy tak mówił – spokojnie, bezpiecznie i sennie. Gdyby jeszcze wpadł na pomysł, żeby przykryć ją kocem...

O dziwo, domyślił się. Po chwili Beatę otoczyło puszyste, miękkie ciepło. Zapadła w sen i po raz pierwszy od bardzo dawna zupełnie nic jej się nie śniło.

Obudził ją odgłos otwieranych i ponownie zamykanych drzwi. Ktoś musiał zajrzeć do pokoju, a gdy zobaczył, że Beata śpi, wycofał się delikatnie. Może to Jędrus,

pomyślała, i nagle serce ścisnęło jej się na myśl o tym, że jej synek potrzebuje towarzystwa, ale nie zdecydował się obudzić mamy. Zadała sobie pytanie, dlaczego. Czy dlatego, że bał się mojej reakcji? Ostatnio stałam się taka nerwowa, pokrzykuję, strofuję wszystkich, nie radzę sobie z emocjami.

Wstała ostrożnie, sprawdzając, czy nie ma zawrotów głowy. Zrobiło jej się słabo, ale przytrzymała się oparcia sofy i po chwili poczuła się lepiej. Powoli, poruszając się blisko ściany, żeby w razie czego móc się podeprzeć, wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni.

Jędrzek siedział przy stole, a policzki miał umorusane dżemem porzeczkowym. Marcelina smażyła naleśniki.

– Nie ma obiadu – powiedziała z wyrzutem. – A ja mam dzisiaj randkę i zamiast się szykować, przygotowuję bratu jedzenie.

– Źle się czułam, byłam u lekarza – wyjaśniła Beata, czując, jak narasta w niej bunt. – A nawet gdybym czuła się dobrze, nie widzę powodu, żebym to ja musiała zawsze robić obiad.

– Kiedy ja sobie urodzę dziecko, to nie będę wymagała, żebyś ty je karmiła – wysyczała Marcelina. – Sama będę dbać o swoje potomstwo. Ale póki co, to nie ja zaliczyłam wpadkę.

I wyszła z kuchni, zostawiając placuszek na patelni.

Spali się, pomyślała Beata, i przez chwilę miała ochotę po prostu na to popatrzeć. Najpierw pojawią się ciemne kropki, potem naleśnik zrobi się czarny i zacznie dymić, aż w końcu zwęgli się całkiem.

– Poproszę jeszcze – odezwał się cichutko Jędrzek, a serce Beaty znów zalała fala tkliwości.

Podeszła do kuchenki i zdjęła rumiany krążek na talerz.

– Z dżemem to niezbyt zdrowo. – Zmarszczyła brwi. – Jeśli chcesz, szybko ugnieciemy twarożek.

– Nie, ja najbardziej lubię dżemowe naleśniki.

– Dżemowo-porzeczkowe czy dżemowo-wiśniowe?

– Dżemowo-czerwone – odparł chłopczyk z całą powagą.

Beata roześmiała się i niemal dosłownie poczuła, jak z tym śmiechem spada z niej jakiś ciężar, ulatuje i uwalnia ją od dziwnego poczucia, że nie ma za grosz energii. Usmażyła jeszcze kilka naleśników, a z resztek ciasta zrobiła malutki placuszek, na którym wyrysowała serce i wypełniła je masłem czekoladowym.

– To na deser. Dla najcudowniejszego mężczyzny mojego życia.

Jędrzek dziobnął widelcem w sam środek czekoladowego serca.

– Marcysia mówiła, że będziesz miała jeszcze jednego synka – powiedział cichutko. – Wtedy jemu będziesz robiła takie serduszka, tak?

– Nie, kochanie. Po pierwsze nie wiadomo, czy to będzie synek. Może mała dziewczynka. A po drugie, będę wówczas smażyła więcej placuszków i rysowała więcej serduszek.

– Ale wtedy on będzie twoim najcudowniejszym mężczyzną – upierał się Jędrzek. – Marcelina powiedziała, że zawsze najmłodszy mają lepiej.

– Co za głupstwa – prychnęła Beata. Znów zrobiło jej się słabo, ale nie mogła teraz przerwać rozmowy. – Cóż to za mężczyzna, który robi siusiu w pampersa, pomyśl tylko! On będzie moją dzidzią, a ty pozostaniesz moim mężczyzną, a w dodatku pomocnikiem. Bez ciebie nie dam sobie rady.

– A w czym ja ci będę pomagał? – Oczy chłopca zrobiły się wielkie. – Ja nie umiem się opiekować dzidziusiem.

– Będziesz ekspertem od zabawek. Skąd ja bym wiedziała, jaką kupić grzechotkę, jakie auto, jakie klocki... Ty się na tym znasz najlepiej. Kiedy byłeś malutki, doradzała mi Marcelina, ale teraz urosła i już niczego nie pamięta.

Jędrzek sapnął z przejęciem.

– A jeżeli to będzie dziewczyna? – Zasmucił się. – Ja przecież nie wiem, jakie lalki są najlepsze i w co je ubierać, i tak dalej.

– Nie wszystkie dziewczynki bawią się lalkami – wyjaśniała cierpliwie Beata. – Znam sporo takich, które wolą klocki. Przynies katalog Lego z zeszłego roku, przejrzymy zabawki dla maluchów.

Zaferowany Jędrus pobiegł do pokoju, a Beata z westchnieniem ulgi położyła się na kanapie. Nadal czuła się źle, w dole brzucha miała dziwny ciężar, zupełnie jak przed miesiączką, brakowało jej energii, a w uszach huczało, jakby gdzieś w sąsiedztwie pracowała betoniarka. A jednak poczuła przyływ optymizmu – jakby to, że Jędrzek zacznie wyszukiwać w katalogu zestawy klocków dla braciszka lub siostrzyczki, załatwiało jakiś wielki problem. Kiedy synek wrócił, z namaszczeniem zaczęli przerzucać kolejne strony katalogu, dyskutując na temat klocków Duplo oraz zestawów dla dziewczynek.

Trzy godziny później Beata obudziła się na kanapie z dziwnym uczuciem wilgoci między nogami. Krzyknęła, choć gdyby ją zapytano, nie wiedziałaby, dlaczego to zrobiła. Po prostu instynktownie poczuła, że potrzebuje pomocy.

Do pokoju wszedł Marek.

– Co się stało? – zapytał. – Coś ci się śni...?

Urwał, wpatrując się w jakiś punkt tuż obok ud żony. Beata chciała się podnieść, ale zakreśliło jej się w głowie i opadła z powrotem na miękkie poduchy sofy.

– Leż spokojnie – powiedział Marek tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pójdę tylko do tej młodej z parteru, poproszę, żeby zajęła się Jędrkiem.

– A gdzie Marcysia? – zapytała słabo Beata, która już wiedziała, że trzeba będzie jechać do szpitala, bo sięgnęła ręką i poczuła lepkość krwi.

– Na randce, nie wiesz? – prychnął. – Niestety, nikt mnie nie słucha, kiedy mówię, że na to jeszcze za wcześnie.

Beata chciała zaproponować, ale nie miała już siły. Zemdląca.

ROZDZIAŁ 21

Lena chyba po raz setny zastanawiała się, czy mówienie do babci Mieci ma jakikolwiek sens. Ilekroć próbowała rozmawiać ze staruszką, pokazywać jej wydziergane właśnie maskotki albo czytać przyniesione z biblioteki książki, odnosiła wrażenie, że stan podopiecznej na jakiś czas pogarsza się nieznacznie. W każdym razie tak to wyglądało. Starsza pani wypowiadała oderwane od siebie słowa, narzekała na wszy, pytała o jakiś koc, kazała zastrzelić psa, zaś podczas snu jej powieki zaczynały podrygiwać, jakby dręczyły ją niechciane obrazy, marzenia senne czy może wspomnienia.

Tego wieczoru dziewczyna miała nadzieję, że babcia zaśnie szybko, ponieważ zaplanowała sobie chwilę relaksu na poddaszu. Zamierzała podlać rośliny i przetrzeć im listki z kurzu, posłuchać muzyki klasycznej, a na koniec sprawdzić, czy Borys wreszcie odpisał. Dokładnie w tej kolejności – tak postanowiła i to miała być próba silnej woli. Jeśli nie odpisał, to Lena do niego napisze. Tak jak prosił: otwarcie, szczerze, po prostu wyzna mu swoje uczucia.

Jakie to były uczucia? Rzecz w tym, że nie miała pojęcia. Było jej przykro, to jedno wiedziała na pewno. I wtedy, kiedy chciał przerwać ich dziwną korespondencję, i tym bardziej teraz, kiedy nie chciał podjąć jej ponownie. A może chciał, tylko nie zdawał sobie sprawy, że Lena czeka?

Babcia zasnęła wreszcie, jednak spała niespokojnie, miała urywany oddech, jakby w tym śnie szlochała. Lena wiedziała już, że z relaksu pod mansardowym dachem nic nie wyjdzie, ponieważ w tej sytuacji nie odważyłaby się zostawić staruszki bez opieki nawet na godzinę. Postanowiła jednak uratować ze swojego planu, ile się da. Pójdzie na poddasze i podleje kwiaty, a potem szybko wróci, by sprawdzić, co u babci. Następnie otworzy pocztę i może napisze list. Tak czy owak, właśnie kładła dłoń na kłamce, gdy na schodach rozległ się tupot, a kiedy dziewczyna wyjrzała na klatkę schodową, ujrzała przerażonego Marka Markiewicza.

– Mogłaby pani? – wysapał błagalnie. – Czy może ja do pani przyprowadzę?

– Jędrka? – Zrozumiała natychmiast.

– Tak, bo żonę... do szpitala.

– Już idę – odparła bez zbędnych pytań. Dowie się wszystkiego później, teraz najwyraźniej trzeba było szybko zająć się Beatą.

Pobiegła na górę, nawet nie zamykając drzwi. Beata, blada jak ściana i potargana, siedziała na kanapie i zakładała płaszcz. Jędrus płakał cichutko w korytarzu.

– Zaraz powinna wrócić Marcelina – rzucił jeszcze Marek. – Może gdyby pani do niej zadzwoniła, to przyszlaby wcześniej, bo ja...

Lena widziała jego rozdygotane dłonie i pomyślała, że bezpieczniej byłoby, gdyby to ona sama zawiozła Beatę do lekarza – jednak po pierwsze, ze względu na Jędrusia lepiej było, aby został z nim ktoś w miarę zrównoważony, po drugie zaś uważała, że małżonkowie powinni być w takiej sytuacji razem. Cokolwiek się zdarzy.

– Spokojnie. My tu sobie z dzielnym ośmiolatkiem znakomicie poradzimy. W ogóle nie ma problemu. Jedźcie już.

Przytulila chłopca i razem odprowadzili Markiewiczów do drzwi.

– Głodny? – zapytała, kiedy wyszli, starając się, żeby to zabrzmiało raźnie i beztrąsko. – Robimy sobie jakąś specjalną kolację?

Jędrak pokręcił głową. Miał trochę nieobecne spojrzenie i ciągle zerkał w stronę dużego pokoju, gdzie na sofie czerwieniły się dwie małe plamki krwi.

– W takim razie jeśli nie jesteś głodny, to może zechcesz mi pomóc? – Lenka próbowała za wszelką cenę odwrócić jego uwagę. – Miałam właśnie zamiar pójść na poddasze, bo muszę podlać kwiaty pana Borysa. Znasz go? Tego pana z poddasza? – zagadywała, ciągnąc chłopca za rękę.

Ku jej zdumieniu chłopczyk pokiwał bardzo energicznie głową.

Lena stanęła jak wryta.

– Znasz? – Upewniła się. – Myślałam, że nikt... To znaczy, że raczej ukrywał się przed sąsiadami. No, nieważne – zreflektowała się i dodała sztucznie ożywionym tonem:

– W takim razie może opowiesz mi o nim?

– Jest duży – rzucił Jędrak bez namysłu. – Większy niż tatuś. I ma brodę.

– Aha. Rozumiem. Jak Święty Mikołaj?

– Nie, czarną. Troszkę białą, ale bardziej czarną.

– No dobrze. – Lena indagowała dalej, otwierając drzwi wiodące na poddasze i chwytając chłopca za rękę. – A co poza tym? Jaki jest? Miły czy nieprzyjemny?

– Miły – odparł z powagą. – Raz wyszedł do mnie na podwórko i dał mi balonika. Niebieskiego.

– Naprawdę? Ciekawe, skąd go miał.

– Powiedział, że dostał w sklepie, ale ja myślę, że należał do niego. Tylko się wstydził przyznać.

– Dlaczego miałby się wstydzić?

Jędrak puścił dłoń Leny i pobiegł przed siebie kilka kroków. Najwyraźniej spodobała mu się otwarta przestrzeń poddasza.

– Bo niby duży, a bawi się balonem – wyjaśnił takim tonem, jakby to było zupełnie oczywiste. – Jak się nie ma synka, to się nie można bawić.

– A jak się ma?

– Wtedy można – orzekł. – Mój tata się bawi kolejką i autami. Choć ostatnio rzadko. Najczęściej chce coś budować.

– Budować? – powtórzyła Helena. – Z klocków?

– Nie, z drewna. Majsterkować.

No tak, przecież wiedziała, że Marek Markiewicz był złotą rączką. Chciała wrócić do interesującego ją tematu Borysa Magury, ale krępowała się wypytywać chłopca dłużej.

– Chodź, nabierzemy wody do konewki i podlejemy kwiatki. Pan Borys bardzo je lubi i przed wyjazdem poprosił moją babcie, żeby o nie dbała. A skoro babcia zachorowała, ja muszę to robić.

Ale Jędrak nie zainteresował się kwiatami, natychmiast podbiegł do okna i wyjrzał na podwórko.

– Może już wrócili – zastanowił się zatroskany. – Skąd będą wiedzieli, gdzie jestem?

– Nie wrócili. Przecież dopiero co pojechali!

– Ale mogą wrócić. – Upierał się chłopczyk. – Chodź na dół, Lena.

Dziewczyna rozumiała, dlaczego malec jest niespokojny, ale też doskonale wiedziała, że powrót do domu niczego nie zmienia.

– Zaraz pójdziemy, obiecuję – powiedziała ciepło, lecz stanowczo. – Tymczasem podleję rośliny. Jeśli nie chcesz mi pomagać, to po prostu usiądź w tym wielkim fotelu i poczekaj. Kwiatki muszą dostać wody, na pewno uczyliście się o tym w szkole.

Jędrzek miał wyraźnie niezadowoloną minę, ale posłusznie usiadł.

– Ciekawa jestem, czy wiesz, co jeszcze jest potrzebne roślinom – zagadnęła po chwili, podlewając dorodną szeflerę.

– Słonko – odparł chłopiec.

– Świetnie!

– I ziemia.

– Brawo, widzę, że jesteś specjalistą. Powinieneś mieć własny ogródek.

– Tak jak twoja babcia?

– Właśnie tak samo.

W tym momencie rozdzwoniła się jej komórka, która leżała na biurku, i oboje z Jędrkiem rzucili się, żeby odebrać. Dzwoniła Beata.

– Słuchaj, ja muszę zostać na jakiś czas. Powiedzieli, że prawdopodobnie kilka dni... Marek posiedzi ze mną, dopóki mnie nie przyjmą na oddział, wiesz, to zawsze trochę trwa. Marcysia wróciła? Bo nie odbiera telefonu...

– Nie, nie wróciła. Chyba. Jesteśmy z Jędrusiem na poddaszu, podlewamy kwiaty. Zaraz zejść z nim na dół...

– Pozapalaj wszędzie światła, on się wtedy mniej boi.

Helena bardzo chciała zapytać o przyczynę krwawienia, ale nie odważyła się, ponieważ obawiała się słowa „poronienie”.

– Nie martw się o nas, damy sobie radę. Najwyżej wezmę chłopca do siebie i zrobimy sobie noc filmową. – Usiłowała żartować, bo to wydało jej się w tej sytuacji najlepszym wyjściem.

– Marcysia na pewno zaraz wróci – powiedziała Beata takim tonem, jakby się modliła. – No nic, muszę kończyć. Daj mi Jędrusia na chwilę.

Lena podała telefon dziecku, które i tak przez cały czas siedziało z uchem przyklejonym do jej głowy, żeby nie uronić ani słowa.

– Mamusiu? Jesteś zdrowa?

– Tak, synku. Tylko troszkę leciała mi krew. Ale to nic nie bolało.

– To dobrze. Kiedy wrócisz?

– Jeszcze nie wiem, bo pan doktor musi mnie zbadać. Niedługo wróci Marcelina, zaopiekuje się tobą, poczyta ci, a jutro zaprowadzi do szkoły. No i będzie tata.

– Dobrze. Ja jestem z Lenką na strychu, wiesz? Tu gdzie te aniołki.

– Wiem, kochanie. No, muszę już kończyć, dobranoc.

– Dobranoc.

Lena wzięła od Jędrka telefon i przytuliła chłopca mocno, bo miał oczy pełne łez.

– Wiesz co? – szepnęła. – Dobrze, że wspomniałeś o aniołkach. Bo ja mam taki

jeden sekret. One spełniają prośby.

– Naprawdę? – Malec szybko wytarł powieki.

– Naprawdę. Tylko te prośby muszą być mądre. Głupich nie spełnią. Nie można sobie na przykład zażyczyć odrzutowca albo mercedesa.

– Ja nie chcę mercedesa – powiedział Jędrzek takim tonem, jakby rozmawiał z nic nierozumiejącą pięciolatką.

– No dobrze, chodź, w takim razie pogadamy z nimi.

Lena podeszła z chłopcem do owalnego okienka i uchyliła je, po czym wzięła chłopca na ręce, żeby mógł zobaczyć twarze aniołów.

– Poznaj moich przyjaciół – powiedziała. – To są Serafyny. Poproś je cichutko o to, co dla ciebie ważne. Jeśli chcesz, zatkam uszy.

Jędrus z powagą skinął głową. Lena postawiła chłopca na podłodze, zakryła dłońmi uszy i odwróciła się, pozwalając mu wyszeptać prośby w aksamitną ciemność zimowej nocy. Kiedy złapał ją za łokieć na znak, że już po wszystkim, zamknęła okno, posyłając przy tym Serafinom błagalne spojrzenie. Jeśli wiara może czynić cuda, pomyślała, to proszę, niech to dziecięce, niewinne serduszko sprawi, że rodzina Markiewiczów zostanie uzdrowiona. Dosłownie i w przenośni.

Zanim zeszli na dół, Lenka wzięła jeszcze z biurka wizytówkę Borysa Magury. Przyszło jej bowiem do głowy, że skoro widnieje na niej numer telefonu, to mogłaby na przykład napisać esemesa i poprosić o odpowiedź na list. Oczywiście jeśli w skrzynce odbiorczej nadal nie było maila – bo jeszcze nie miała odwagi sprawdzić.

Jędrus trzymał Lenę za rękaw, jakby się bał, że ona także go zostawi. Zeszli na parter i cichutko zajrzeli do babci Mieci, która na szczęście spała twardo. Potem Lenka zaprowadziła chłopca do jego mieszkania, przykryła dyskretnie ręcznikiem plamki krwi na kanapie, a także zgodnie z sugestią Beaty pozapalała wszędzie światła. Dopilnowała, żeby Jędrzek się umył i przebrał w piżamkę, po czym przekazała go w ręce przerażonej Marceliny, która wpadła chwilę wcześniej do mieszkania z oczami jak spodki, rozsiewając woń dymu i alkoholu oraz hałasując tak bardzo, że zza drzwi naprzeciwko wyrzały wystraszona pani Klara oraz jej jamniczka.

Lena wróciła do domu w samą porę, by uspokoić babcię Miecię, która trzepotała rękami na kołdrze, zapewne wyrwana ze snu ujadaniem Nitki.

ROZDZIAŁ 22

Z każdym dniem stawali się słabsi i głodniejsi. Było coraz zimniej i coraz mniej mieli nadziei, że dożyją końca podróży. Nie wiadomo skąd pojawiły się wszy, a zaraz potem choroby.

Najpierw rozchorowali się najstarsi. Po babci Józkowej umarła pani Borkowska, która już od dnia wywózki nie domagała. Potem niemal wszyscy kolejno zaczęli narzekać na bóle brzucha, niektórzy mieli biegunkę, zdarzało się, że ktoś wymiotował. Miecia czuła się nie najgorzej, ale Halina niemal zupełnie się odwodniła. Pokarm straciła prawie do cna. Kiedy podawała Tosieńce wyschlą, zwiotczalą pierś, obie bezgłośnie płakały.

Dziewczynka gasła z dnia na dzień, stawała się bledsza, cichsza i coraz bardziej apatyczna, aż któreś nocy, jakoś po trzech tygodniach podróży, przestała oddychać. Halina siedziała otępiała, tuląc do siebie zimne ciało córeczki, Miecia zaś dostała spazmów i do rana wyła niczym zwierzę.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, było już zupełnie jasno. Kobiety uradziły, że trzeba siłą odebrać Halinie małego trupka, bo jasne było, że matka jest w szoku i dobrowolnie się z dzieckiem nie rozstanie. Miecia, szlochając, wzięła od siostry sztywne już ciało Tosi, mówiąc, że chce ją tylko lepiej ubrać. Owinęła dziewczynkę w ciepły koc, jedyny czysty, jaki im jeszcze został. Był szary i trochę gryzący, ale zrobiony z najlepszej wełny. Gdy Tosia się urodziła, Halina przywiązała mu na rogu czerwoną tasiemkę od uroku. Miecia zaszlochala na ten widok, bo przypomniała sobie, że wtedy żyła jeszcze mama.

Kiedy drzwi rozwarły się i któryś z żołnierzy krzyknął, by „Polaczki” wysłały kogoś z wiadrem po jedzenie i kapiatok, z wagonów zaczęto wynosić zwłoki tych, którzy zmarli tej nocy. Rysiek Skorek zaproponował, że zanieśe Tosieńkę na stację – żeby oszczędzić tego Mieci i Halinie. Mietka dobrze wiedziała, że przy okazji chłopak chce zajrzeć do sąsiedniego wagonu, którym jechała jego matka. Zgodziła się.

– Tylko przykryj ją dobrze – poprosiła. – I połóż w bezpiecznym miejscu.

Obiecał, że tak zrobi, uścisnął dziewczynie dłoń i pobiegł. Miecia usiadła na swoim miejscu i siedziała długo w milczeniu, usiłując nie myśleć o tym, że Tosieńki już nie ma. Miejsce na podółku Haliny, gdzie przez ostatnie miesiące zawsze było dziecko, wydawało się dziwnie puste, wklęsnięte.

Nagle Mietka poczuła, że musi przytulić Tosię po raz ostatni. Gdzieś w okolicy serca ukłuł ją taki ból, jakby tęsknota wgryzała się w ciało od środka. Dziewczyna zerwała się i podbiegła do drzwi wagonu. Zanim któryś z braci Sasów przyniesie zupę w wiaderku, ona zdąży podbiec do budynku stacji i ostatni raz wziąć Antosię na rękę.

Halina krzyczała za nią, kobiety wołały rozpaczliwie, ale Miecia na nic nie zważała, wyskoczyła z wagonu i biegła, ile sił w nogach. Wiedziała, że musi się spieszyć, bo pociąg nigdy nie czekał na tych, co nie zdążyli – raz kobiecie z trzeciego wagonu ucięło nogi; zagapila się na stacji, a gdy pociąg ruszył, pobiegła i usiłowała wskoczyć, bo w środku były jej dzieci. Została tam na torach. Wykrwawiła się pewnie na śmierć, a może dobił ją jakiś litościwy enkawudzista... Jej dzieci zmarły wkrótce potem; cały transport o tym

mówił na postojach.

Kątem oka Mietka zauważyła, że jeden z żołnierzy przeladowuje broń. Pewnie myślał, że chce uciec, a przecież biegła tylko do stacji. Ogarnęła wzrokiem cztery ciała, leżące jedno obok drugiego. Martwi ludzie wyglądali, jakby spali, śniąc jakieś bardzo poważne sny. Mróz wyostrzył ich rysy, a może zresztą zrobiła to sama śmierć. Tosi nie było wśród trupów. Mietka stanęła bezradnie i rozejrzała się w poszukiwaniu szarego koca. Nie było go nigdzie. Gdzie Ryszard mógł położyć dziewczynkę?

Nagle powietrze przeszył odgłos wystrzału. Miecia krzyknęła ze strachu i zgięła się w pół, pewna, że to do niej strzelają, ale nie – jeden z żołnierzy wycelował w stronę niemilosierdzie wychudzonego psa, który tarposił coś w śniegu. Chybił. Dziewczyna wyprostowała się i bezwiednie ruszyła w tamtą stronę. Poznała bladobłękitny kolor wełny – to becik, w który zawinięta była Tosieńka. Na śniegu nie było krwi, nic się maleńkiej nie stało, pomyślała i chciała odebrać dziecko wściekłe głodnemu zwierzęciu, ale nagle cały świat zgasł niczym świeczka zdmuchnięta potężną siłą Boskiego oddechu.

Ocknęła się w wagonie, na górnej desce, wtulona w ramię Haliny.

– Zabił tego psa? – szepnęła. – Zastrzelił go?

Siostra spojrzała na nią szklistym wzrokiem i Mieczysława zrozumiała, że nie uzyska od niej odpowiedzi. Ani na to pytanie, ani na żadne inne. Halina była z nią jedynie ciałem, jej dusza podążyła już za Tosią i Edkiem. To tylko kwestia czasu, kiedy umrze, opuści siostrę. A wówczas, planowała po cichu Miecia, rzucę się pod pociąg. Nie pojedę dalej sama.

Ostatecznie od Rózi Skorek, cichej blondyneczki, dowiedziała się, że pies porwał ciałko dziecka i uciekł. Żołnierz nie zastrzelił go, bo w głębokim śniegu wcale niełatwo było trafić.

– A koc? – zapytała jeszcze Mietka, choć było jej już właściwie wszystko jedno. – Co stało się z kocem? Rysiek miał przecież przykryć Tosię.

Ale Rozalka nie miała pojęcia, co się właściwie wydarzyło na stacji. Miecia rozmyślała o tym podczas kolejnych ponurych dni i nocy, dochodząc ostatecznie do wniosku, że Rysiek wcale nie okrył dziecka, bo gdyby to zrobił, gdyby opatulił je w sztywny, gruby koc, pies tak łatwo nie zwąchałby zdobyczy i nie porwałby ciała.

W takim razie – co zrobił z ciepłym pledem? Nie przyniósł z powrotem do wagonu, bo Miecia poznałaby go po wstążeczce na rogu. Musiał zanieść mamie, zrozumiała nagle. Dał moją Tosię na pożarcie oszalałemu z głodu psu – tylko po to, żeby jego starej matce było cieplej.

Nie dała po sobie poznać, jak bardzo znenawidziła chłopaka po tym odkryciu; choć może powinna rozumieć, że zmarłej dziewczynce na nic się już nie zda żaden ciepły pled, a osłabionej kobiecie w sąsiednim wagonie mógł uratować życie. Zresztą nawet jeśli to rozumiała – ani nie potrafiła, ani nie chciała Ryśkowi wybaczyć. Gdyby choć położył ciałko gdzieś wysoko, rozpamiętywała. Albo gdyby powiedział mi prawdę, że koc zabrał dla mamy...

Wreszcie przyszedł też taki dzień, kiedy Miecia pomyślała: gdyby chociaż przyniósł ten koc tu, z powrotem, dla nas. Dla mnie. Zimno, głód i potworne zmęczenie odbierały

zesłańcom silną wolę, godność, resztki człowieczeństwa. Mieczysława także stała się jak zwierzątko. Gdyby któryś z współpasażerów miał coś do jedzenia, ukradłaby bez wahania i nie podzieliłaby się nawet z siostrą.

W chwili, kiedy to zrozumiała, znienawidziła samą siebie.

ROZDZIAŁ 23

Francesca zaparzyła sobie wielki kubek herbaty i z westchnieniem podeszła do drzwi sklepiku. Przekręciła zamek i zdjęła tabliczkę z napisem „zamknięte”. Wprawdzie do dziesiątej zostało jeszcze szesnaście minut, ale równie dobrze mogła otworzyć „Cudeńka” już teraz.

W oczekiwaniu na klientów zaczęła ustawiać na półkach nowy towar.

Miała świeczniki z bielonego drewna oraz zakładki i breloczki z filcu, ponadto Lena skończyła kilka nowych maskotek – wyszły naprawdę prześlicznie. Była tam i Myszka Baletnica w różowej spódnicy, i Pan Borsuk, a nawet dwa bliźniacze Serafyny, których w pierwszej chwili Francesca miała zamiar wcale nie sprzedawać, tylko zachować dla siebie.

– Nie rób tego. – Powstrzymała ją wówczas Lena. – Dla ciebie zrobię specjalne, ładniejsze. Te są na sprzedaż.

Włoszka zgodziła się na to, choć z żalem, bo aniołki naprawdę były przepiękne.

– Okej – powiedziała do siebie, kiedy już poustawiała nowy towar. – Teraz wybiorę fryzurę.

Zaparzyła sobie na zapleczu cały dzbanek ulubionych ziół, a potem uruchomiła laptopa i otworzyła folder z wybranymi wcześniej zdjęciami modelek.

Uparła się na obcięcie włosów na krótko, choć drastyczną zmianę odradzały jej zarówno Lena, jak i Beata.

– Gdybym ja miała takie włosy... – wzdychała ta ostatnia – tobym ich nigdy w życiu nie skróciła nawet o centymetr. Przecież to najpiękniejszy atrybut kobiety.

– Atrybut! – prychnęła Włoszka. – Na co komu kobiece atrybuty! Chodzi mi wyłącznie o wygodę i samopoczucie, no i wiecie... Żeby coś się zmieniło.

– Tylko po co zmieniać coś, co jest niemal idealne – mruknęła pod nosem Beata, nie dyskutowała jednak dłużej, bo chyba widziała, że to nie ma sensu.

Ostatecznie wspólnie wybrały siedem propozycji krótkich fryzur. Choć wówczas Francesce wydawało się, że mniej więcej wie, czego chce – teraz patrzyła bezradnie na fotografię i w żaden sposób nie potrafiła podjąć decyzji. Udało jej się wyeliminować tylko jedno uczesanie, ponieważ uznała, że wymaga ono zupełnie prostych włosów.

– Niech zadecyduje los – postanowiła teraz, po raz kolejny klikając w zdjęcia. – Zapytam pierwszą osobę, która nas dziś odwiedzi – zwróciła się do drewnianego pajacyka ze sznurkowymi nóżkami, którego wykonała w ubiegłym tygodniu i którego natychmiast zarezerwowała Beata z myślą o swoim dziecku.

Pajac patrzył na Włoszkę z powątpiewaniem.

– Nie gap się – ucięła. – Czasem trzeba zdać się na przypadek.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, dzwoneczek przy drzwiach zadźwięczał perliście i do sklepu wszedł pierwszy klient. Francesca rozpoznała go – to był ten sam mężczyzna, który niedawno prosił o radę w sprawie prezentu na Dzień Kobiet.

– Dzień dobry – przywitał się. – Szedłem właśnie do pracy i zobaczyłem, że u pani już otwarte... Pomyślałem, że wstąpię i zapytam, czy wpadła pani na jakiś pomysł.

Lena miała rację, mówiąc, że jest przystojny. I nie chodziło nawet o rysy twarzy – raczej o sylwetkę. Wysocy, szczupli, dobrze zbudowani mężczyźni zawsze zwracają na siebie uwagę, pomyślała Francesca. Może tak samo to działa w drugą stronę? No, może poza wzrostem, bo bardzo wysokie kobiety miewają chyba kłopoty ze znalezieniem partnera.

– Pomysł? – powtórzyła. – Owszem, wymyśliłyśmy coś z koleżanką. Ale zanim panu powiem, co to takiego, poproszę o radę. Mam tutaj – odwróciła laptopa w jego stronę – kilka zdjęć. Proszę mi doradzić: którą fryzurę powinnam wybrać?

Mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę z takim wyrazem twarzy, jakby niezupełnie rozumiał, czego się od niego oczekuje.

– Przepraszam – mruknęła Francesca. – To się może wydawać błahe i pewnie rzeczywiście takie jest, ale dla mnie... Jest to sprawa w jakimś sensie symboliczna.

– Tak, tak, rozumiem – powiedział, choć prawdopodobnie sytuacja nadal wydawała mu się absurdalna.

– Wie pan, chciałabym, żeby nadchodząca wiosna, do pewnego stopnia oczywiście, była dla mnie jakimś nowym początkiem. – Sama się dziwiła, że mówi tak otwarcie. Zupełnie nie czuła skrępowania, które w sposób naturalny pojawia się w rozmowach z nieznanymi. Może dlatego, wytłumaczyła sobie, że on wcześniej otworzył się przede mną, mówił o nieżyjącej żonie i o córkach...

– Więc pani także? – zapytał cicho mężczyzna i spojrzał jej w oczy.

Francesca zarumieniła się nagle, a wtedy on odwrócił wzrok i wpatrzył się w zdjęcia na ekranie komputera.

– Ta jest ładna – zdecydował po chwili. – Pani ma loki, więc wydaje się, że to idealna fryzura dla pani.

Pokazał fotografię przedstawiającą uczesanie podobne do tego, jakie nosiła Meg Ryan w filmie *Miasto aniołów*. Francesca oglądała niedawno ten melodramat i dobrze zapamiętała fryzurę głównej bohaterki.

– A kolor? – zapytała jeszcze. – Powinnam rozjaśnić włosy, czy pozostać przy mojej rudości? Jak pan uważa?

Spodziewała się, że powie „rozjaśnić” – w końcu mężczyźni podobno wolą blondynki – ale natychmiast pokręcił głową.

– Rudość – odparł. – To jest bardzo ognista rudość, energetyczna. Niech pani tego nie zmienia.

– Dobrze. – Jego stanowczość w tym względzie sprawiła Francesce wielką przyjemność. – A teraz wróćmy do ważniejszego tematu, czyli prezentu. Wymyśliłyśmy z koleżanką herbaciarki.

– Co takiego?

– Herbaciarki – powtórzyła. – Takie pudełeczka z przegródkami na różne rodzaje herbaty. Mam tu jedno, ale raczej nie dla nastolatki, bo w stylu retro. Proszę zobaczyć.

Mężczyzna miał niepewną minę, jakby pomysł nie przypadł mu do gustu. Odwrócił się i jego spojrzenie powędrowało ku półce, na której stała postarzana bordowa herbaciarka z sylwetką baletnicy oraz nutami na pięciolinii. Pokiwał głową z uznaniem.

– Proszę spojrzeć – tłumaczyła Włoszka. – Tu są przegródki, akurat to pudełeczko

ma ich sześc, ale mogę zrobić też większe. Do przegródek powkładalby pan herbaty... Różne, ziołowe, owocowe i tak dalej. Dołączyłby pan do tego taką „instrukcję obsługi”, rozumie pan, która herbata ma jakie działanie. Wspominał pan, że córki są na diecie...

– Tak, obie. Oszaleć można – mruknął. – Czego bym nie kupił, to źle. Białe pieczywo niedobre, śmietana niedobra, żółty ser to samo zło. Wie pani, ja już nie nadażam.

Interesująco się uśmiechał, kiedy to mówił; niby z irytacją, ale jednocześnie widać było, że fanaberie córek go bawią.

– A rzeczywiście... mają powody? – zapytała ostrożnie Francesca. – Mają z czego chudnąć?

– Chyba tak – przyznał mężczyzna. – Żona też była raczej pulchna, a w dodatku chyba żadne z nas nie dbało o zdrowe odżywianie.

Na co umarła? – chciała zapytać, lecz nie odważyła się, a zresztą on zaraz dopowiedział, jakby słysząc jej myśli:

– Miała raka jelita grubego. Wiedziała, że umiera i przed śmiercią... Nie wiem, nie było mnie przy tym, ale Ania twierdzi, że mama przykazała im zadbać o siebie. Więc dbają. Tak, jak potrafią.

Francesca zamrugowała szybko, chcąc za wszelką cenę powstrzymać łzy.

– Muszę iść – zreflektował się nagle mężczyzna, zerkając na zegar ozdobiony motywem kwiatów jabłoni. – Może zajrzę do pani, kiedy będę wracał... A gdybym nie zdążył, to jutro. Bo przecież nie dokończyliśmy rozmowy.

– A może pójdźmy gdzieś na kawę – rzuciła rozpaczliwie Francesca, ponieważ sprawiła jej przykrość myśl, że następnym razem mogą nie mieć okazji porozmawiać sam na sam. – Powinien mi pan opowiedzieć o córkach, żebym mogła dobrać odpowiedni styl – rzuciła wyjaśniająco. – Oczywiście jeśli podoba się panu pomysł z herbaciarkami.

– Tak, chyba mi się podoba – przyznał ostrożnie.

– Zatem proszę zadzwonić, kiedy znajdzie pan wolny wieczór. – Wręczyła mu wizytówkę, dziwiąc się sama sobie, że brnie w to dalej. – Wezmę ze sobą wzory serwetek, napijemy się kawy albo herbaty i wybierzemy odpowiednie motywy.

Patrzył nieufnie. Zapewne nie przywykł, żeby kobiety zapraszały go do kawiarni.

Ja też nie przywykłam tego robić, pomyślała Francesca. Ale co szkodzi spróbować. Korona mi z głowy nie spadnie, nawet jeśli on zacznie się wykręcać i ostatecznie odmówi.

Nie wykręcił się, nawet nie próbował. Ze zdziwieniem (ale chyba było to raczej miłe zdziwienie) wziął wizytówkę, pożegnał się i poszedł do pracy. Francesca zaś natychmiast wybrała numer znajomej fryzjerki i umówiła się na strzyżenie. Nazajutrz o siódmej. Potem zatelefonowała jeszcze do Beaty, żeby delikatnie podpytać o tę najważniejszą rzecz. Dowiedziawszy się z wielką ulgą, że udało się utrzymać ciążę, Włoszka odetchnęła głęboko, wypila duszkiem cały kubek naparu z czystka, morwy białej i pokrzywy, po czym wróciła do codziennych obowiązków.

Tego dnia nie miała wielu klientów, mogła więc pracować w skupieniu. Założyła jeden ze swoich poplamionych farbą fartuszków i pieczołowicie ozdabiała styropianowe pisanki, które następnie nadziewała na zielone druciki. Będą z tego ozdoby do doniczek

z hiacyntami.

Była ciekawa, jak nazywa się ciemnowłosy mężczyzna. Usiłowała dobrać imię do jego twarzy, ale nie pasowało żadne z tych, które przychodziły jej do głowy: Patryk, Mateusz, Konrad. Nie, nic z tych rzeczy. Jego imię powinno być tradycyjne, mieć w sobie sporo męskiej powagi, ale też smutek i tęsknotę.

Zaśmiała się sama z siebie, ostrożnie nakładając pędzelkiem klej na motyw z serwetki. Smutek i tęsknota, myślałby kto. Facet stracił żonę, może cierpi na depresję, ale dlaczego miałby od razu nosić nostalgiczne imię? A zresztą co to w ogóle znaczy? Imię to jedynie słowo, zlepek głosek, nic więcej. Dopiero poprzez skojarzenia z osobami, które znamy albo które sobie wyobrażamy, takie słowo może stać się smutne, mroczne lub tajemnicze. Dla Franceski na przykład „Szczepan” już zawsze będzie brzmiało mniej więcej tak, jak odczuwa się słowo „cierpienie” albo „rozdarcie”. Z kolei imię „Franciszek” kryło w sobie melodię zapamiętaną z dzieciństwa, coś tak swojskiego i kojącego jak zapach domowego ciasta i świeżo parzonej kawy.

Ciche trzaśnięcie drzwi zaalarmowało ją, że ktoś wszedł do sklepu. Francesca przerwała pracę i zamierzała pójść obsłużyć klienta, ale usłyszała głos Leny.

– To ja – rzekła przyjaciółka, wchodząc na zaplecze. – Wpadłam, bo chcę ci powiedzieć o moim nowym pomysle. Zamierzam robić wianki na drzwi. Mam kilka projektów. Po pierwsze, sam wianek z bukszpanu, a jako ozdoby wyduszki przepiórcze i serduszka drewniane albo ostatecznie z tworzywa, oczywiście ozdobione jakimś delikatnym motywem. Druga opcja to wianek z wikliny, troszkę mchu, a pisanki szydełkowe albo ewentualnie uszyte z resztek materiału...

– Nie masz maszyny – przypomniała jej spokojnie Francesca. – Nie porywaj się z motyką na słońce.

– Nie porywam się. Wczoraj dzwoniła mama i właściwie to ona rzuciła ten pomysł. Wiesz przecież, że jest krawcową, szyje między innymi komplety kuchenne, rozumiesz, fartuszek i rękawice... Ma sporo ścinków materiału w wiosennych kolorach i zaproponowała, że może mi z tego zszywać jajeczka, zajączki i pisklaki, a ja to sobie wypcham silikonowymi kulkami i wykończę. Nie robi tego dużo, bo to jednak sporo zabawy z takimi drobiazgami, ale wystarczy na kilkadziesiąt wianuszków. Te z bukszpanem i mchem trzeba by sprzedać od razu, ale mam też pomysł na wianki szydełkowe – te mogłyby poczekać na następny rok, gdyby się nie sprzedały.

– Okej, zrób kilka i zobaczymy, jak zareagują klienci. Tymczasem pomysł nad czymś walentynkowym, bo to już za tydzień.

– A te breloczki w kształcie serc? I puderka na czekoladkę?

– Sprzedane. Poszły też wszystkie małe maskotki, wiesz, białe miśki z serduszkami w łapkach.

– To świetnie!

– Tak, ale potrzebujemy czegoś świeżego. Pomyślisz?

– Pewnie, że pomyślę.

Francesca uśmiechnęła się szeroko.

Mieć taką współpracownicę to czysta przyjemność. Czasem zastanawiała się, jak właściwie funkcjonowała, zanim Lena przyjechała do Lubka. Co robiła wieczorami, jak

spędzała niedzielne popołudnia – i skąd czerpała energię do dalszej pracy? Nie znajdowała odpowiedzi.

– A co tam u Beaty? – zagadnęła.

– Nie wiem. To znaczy wiem tyle, co ty. Wspominała mi, że dzwoniła też do ciebie.

– Powiedziała jedynie, że udało się utrzymać ciążę.

– Zgadza się. Ma zostać w szpitalu przez parę dni, potem co najmniej miesiąc zwolnienia, ale chyba nie wróci do pracy przed porodem. Popłakiwała.

– Z jakiego powodu? – Francesca nie zrozumiała. – Przecież z dzieckiem wszystko dobrze.

– Ale wiesz, ona chciała być aktywna przez całą ciążę, a tymczasem będzie musiała głównie leżeć – wyjaśniła Lena, dla której było oczywiste, że bezruch i brak zajęcia stanowią powody do ubolewania.

– Jasna cholera! Że też ludzie nie potrafią cieszyć się tym, co mają!

Zapewne w głosie Włoszki zabrzmiała histeria, bo przyjaciółka rzuciła jej spojrzenie pełne troski i niepokoju.

– Właściwie dlaczego ty... – zaczęła, ale po chwili widocznie się rozmyśliła, bo nie powiedziała tego, czego Francesca się spodziewała.

Równie dobrze sama mogła odpowiedzieć na niezadane pytanie.

– Dlaczego nie zrobiłam sobie dziecka z jakimś wakacyjnym kochankiem? – podjęła. – O to chciałaś zapytać?

Helena pokiwała głową. Zarumieniła się i chyba było jej głupio, że draży ten temat.

– Owszem, był taki plan. – Francesca postanowiła sobie z niej zakpić. – Zastanawiałam się nawet, skąd wziąć dawcę nasienia. Tak go w myślach nazywałam; nie ojcem, nie partnerem, tylko dawcą. Pomyślałam, że gdyby na przykład pojechać nad morze w pełni sezonu, to chętnych młodych ciał byłoby pod dostatkiem. Bzyknąłby mnie taki na plaży i po sprawie. Tylko wiesz, w grę wchodziło jeszcze kryterium intelektualne. Niby mówią, że inteligencję dziedziczy się po mamusi, ale na wszelki wypadek lepiej zadbać o to, żeby dawca spermy nie był idiotą, nie sądzisz?

Lena wyglądała na okropnie zakłopotaną.

– No już, nie wygłupiajmy się. – Roześmiała się Francesca. – Przecież żartuję. Wiem, że to się może wydawać proste... I chyba w gruncie rzeczy takie jest. Kobieta, która pragnie mieć dziecko, zawsze ma takie wyjście z sytuacji, prawda? Zresztą istnieją przecież banki spermy, nie trzeba nawet wdawać się w głupie romanse. Dla chcącego nic trudnego. Ale ja jestem Włoszką, dla mnie rodzina to świętość. Wychowywałam się bez ojca, więc to oczywiste, że nie chciałam zafundować mojej córce tego samego losu.

– Córce? Skąd wiesz, że córce?

– U mnie w rodzinie zawsze najpierw rodziły się dziewczynki – szepnęła Francesca, a potem zamilkła i przez długi czas nie mogła powiedzieć nic więcej, bo głos odmówił jej posłuszeństwa.

Kiedy została sama, zastanowiła się nad własnymi słowami. Czy jej życie stałoby się lepsze, szczęśliwsze, gdyby miała dziecko? Tyle razy odczuwała pokusę, by oszukać Szczepana, powiedzieć mu, że mogą się kochać bez zabezpieczenia – i zająć w ciążę. Już

nawet nie chodziło o to, że wówczas on musiałby się wreszcie określić i dokonać wyboru; chodziło wyłącznie o nią, Francescę. O pustkę w jej życiu. Albo o wypełnienie tej pustki.

A jednak nie odważyła się, choć przecież wiedziała, że owszem, byłaby szczęśliwsza. Nie odważyła się nawet nie dlatego, że skazałaby swoje dziecko na niepełną rodzinę, na wieczną tęsknotę za ojcem i dopytywanie się, jaki jest, co lubi, dlaczego z nami nie został. I również nie z tego powodu, że przysięgała Szczepkowi wierność, a wierność zawiera w sobie także prawdomówność, uczciwość wobec tej drugiej osoby. Nie, ładnie byłoby wierzyć, że to z tak szlachetnych powodów Francesca ostatecznie nie zdecydowała się na macierzyństwo – ale prawda była inna, znacznie bardziej prozaiczna. Po prostu bała się, że nie poradzi sobie finansowo. Siedem lat temu nie miała jeszcze „Cudeniak” i choć jakoś sobie radziła, mając się różnych zajęć, to jednak brak poczucia bezpieczeństwa sprawił, że stchórzyła. Kiedy Szczepan zniknął z jej życia, żałowała tego po stokroć, ale nie była nawet w stanie pomyśleć o tym, że inny mężczyzna mógłby go zastąpić.

I tylko w samotne noce, przepłakiwane aż do świtu, przychodziło jej do głowy, że czas ucieka, jej kobiecość wędnie powoli i niedługo będzie za późno, więc jeśli rzeczywiście miałaby zostać matką, to właśnie słyhać ostatni dzwonek.

Kiedy Francesca skończyła czterdzieści lat (upiała się wówczas w samotności winem, nie mówiąc nikomu o swoich urodzinach, bo dziwnie zawstydziała ją ta okrągła liczba), uznała, że ów „ostatni dzwonek” właśnie przebrzmiał. I zapewne zupełnie przestałaby myśleć o macierzyństwie, gdyby nie jeden fakt. A mianowicie taki, że Beata Markiewicz była od niej o rok starsza.

ROZDZIAŁ 24

Marcelina pomachała na pożegnanie Jędrkowi i odczekała chwilę, dopóki braciszek nie zniknie za drzwiami szkoły. Obiecała, że zajmie się malcem jak rodzona matka, więc od kilku dni szykowała mu ubranie, śniadania i kanapki, odprowadzała do szkoły, a po lekcjach odbierała ze świetlicy. Obiady dostawali od pani Leny, która nawet nie chciała słyszeć o odmowie (obrazila się też, kiedy tata chciał jej za te posiłki płacić), a popołudniami, jeśli Marcelina musiała gdzieś wyjść, Jędrus zostawał u pani Klary, sąsiadki z naprzeciwka.

Poprzedniego dnia podczas odwiedzin w szpitalu dziewczyna opowiedziała mamie, jak to wszyscy mieszkańcy kamienicy dopytują, w czym mogliby pomóc, jak pani Lena dzierga dla maluszka ośmiorniczkę (bo podobno noworodki lubią chwytać w rączki coś, co przypomina im pępowinę), a Włoszka z parteru ozdabia szkatułkę z pozytywką, która gra tak pięknie, że Marcelina aż się pobeczwała. Słuchając tych nowin, mama także się rozkleiła, więc potem pocieszały się nawzajem i takie właśnie, śmiejące się przez łzy, zastał je tata, który przyszedł z bukietem kwiatów.

Idąc teraz do szkoły, Marcelina zastanawiała się nad tym, że w życiu właściwie nigdy nic nie wiadomo. Rodzice kłócili się, aż iskry leciały, i jeszcze kilka miesięcy temu nie dałaby złamanego grosza za to, że mogą się pogodzić i spędzić razem resztę życia. Tymczasem wszystko się pozmieniało. Tata przychodził do szpitala z kwiatami i co chwila dotykał dłoni chorej, a mamie wilgotniały oczy. A raz, kiedy sądzili, że Marcelina nie widzi, ojciec szybko podniósł maminą rękę do ust i pocałował, ale wcale nie tak, jak to się robi zwyczajowo, tylko namiętnie; zanurzył usta we wnętrzu dłoni i wpił się w nią, wywołując rumieniec na twarzy żony, a przy okazji córki.

Przed szkołą Marcelina spotkała Patrycję. Koleżanka wyglądała na zaaferowaną.

– Słuchaj, nie mogę nic wymyślić, ratuj! – szepnęła, biorąc Marcelinę pod rękę. – Wiem, że Krystian ma dla mnie bilet do kina na walentynki, a ja dla niego nie przygotowałam kompletnie nic. Co mam mu kupić?

– A kiedy są walentynki? – zapytała skołowana Marcelina. W chaosie ostatnich dni i w całym tym domowym zmartwieniu zupełnie zapomniała, że to już prawie połowa lutego.

– W piątek, nie pamiętasz? – Patrycja spojrzała na nią jak na kosmitkę.

– Mama jest w szpitalu. Trochę się wyłączyłam z życia towarzyskiego.

– No, nie wiem... Słyszałam, że zaliczyłaś niezłą imprezkę u Roba. Było coś?

– Co masz na myśli? – Marcelina odsunęła się z niechęcią. – Co to w ogóle znaczy: „było coś”?

– No wiesz, buzi buzi, przytulańce i te sprawy. Klaudia mówiła, że przyszedł z Kamilem, ale wyszła sama. Poprzytykaliście się?

– Nie, po prostu miałam dosyć tego smrodu – ucięła Marcelina, zła jak osa, że plotki o niej i Kamilu mogły dotrzeć także do uszu Huberta. – A co do prezentu na walentynki, to może zajrzyj do tego sklepu koło rynku, wiesz, „Cudeńka”. Moja sąsiadka sprzedaje tam drobiazgi. Kiedyś widziałam białe misie z serduszkami.

- Poważnie? Dla chłopaka miś?
- A dlaczego nie? Chodzi o coś symbolicznego, prawda?
- W sumie racja.

Weszły do budynku szkoły. Marcelina rozglądała się w poszukiwaniu wysokiej sylwetki Ksyka i wreszcie dojrzała ją w tłumie. Chłopak stał do niej tyłem. Nie odwrócił się aż do dzwonka, a gdy trzeba było wejść do klasy, wyraźnie unikał jej wzroku. A więc życzliwi donieśli mu, co trzeba, pomyślała ze złością.

Na angielskim usiłowała się skupić, bo solennie przyrzekła samej sobie, że nigdy więcej nie da się przyłapać na błędzeniu myślami gdzie indziej. Miała dość wychodzenia na idiotkę. Co więcej, pragnęła zaimponować czymś Hubertowi, który był świetny z języków, dlatego od kilku dni wieczorami wkuwała słówka i powtarzała stronę bierną. Wywołana do odpowiedzi dostała piątkę i całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie odwrócić się i nie sprawdzić, czy on na nią patrzy.

Walentynki, też coś. Dla niej ważniejsze było to, że po weekendzie złączą się upragnione ferie. Nie będzie trzeba zrywać się po ciemku i szykować Jędrka do szkoły. Zresztą mama niedługo wróci ze szpitala. Walentynki. Marcelina była pewna, że nic nie dostanie, bo przecież Hubert boczył się na nią. Wszystko, co udało się wcześniej naprawić, teraz znów się zepsuło – a to przez tych wrednych plotkarzy, którzy nie potrafią pilnować własnego nosa.

Zresztą Ksyk pewnie i tak nigdy by nie wpadł na to, żeby wysłać jej kartkę albo podarować choćby lizaka w kształcie serca. Gbur, mruk, odludek... Ciekawe, co by zrobił, gdyby to ona wysłała mu upominek.

A właściwie dlaczego nie?

Późnym popołudniem Marcelina zajrzała do pani Leny, która robiła właśnie porządki w piwnicy.

– Może w czymś pomogę? – zaproponowała nastolatka.

– Nie, nie trzeba, dziękuję. Już kończę. Wywaliłam dzisiaj chyba ze dwadzieścia słoików z modrą kapustą... To znaczy modra to ona była wiele lat temu, teraz zrobiła się już sina ze starości. Powoli zbliżam się do końca, jak widzisz.

Marcelina rozejrzała się. Nie miała pojęcia, jak piwnica pani Botuli wyglądała przedtem – w tej chwili było to po prostu pomieszczenie wypełnione słoikami, na których zalegała grubaśna warstwa kurzu.

– Mogę o coś zapytać? – zaczęła niepewnie.

Pani Lena przerwała porządkowanie przetworów i odwróciła się. Miała brudne smugi na policzkach i rozczochrane włosy, ale mimo to nie wyglądała śmiesznie, lecz sympatycznie. Co takiego ma w sobie ta kobieta, przemknęło Marcelinie przez głowę. Jakim cudem sprawia, że wszyscy się zmieniamy, że nasze życie staje się lepsze?

– Czy wypada, żeby dziewczyna podarowała chłopakowi coś na walentynki...? Nawet jeśli on tego nie robi? – wypaliła.

Helena Botula spojrzała na nią poważnie.

– Coś mi się wydaje, że usiądziemy na beczkach po ogórkach kiszonych – powiedziała. – I utniemy sobie dłuższą pogawędkę. Opowiedz wszystko po kolei.

Marcelina westchnęła. Było jej wstyd, ale po namyśle uznała, że pani Lena i tak wie o niej wystarczająco dużo... Właściwie to chyba nigdy przed nikim dziewczyna nie odstoniła się tak bardzo, jak właśnie przed nią. Zwierzała się z największych upokorzeń, przyznawała do błędów, korzystała z rad i pomocy sąsiadki. Więc równie dobrze może jej powiedzieć, że najwyraźniej zaczyna się w Hubercie... Zaczyna... A w każdym razie, że dziwnie jej zależy na tym, co sobie ten Ksyk o niej pomyśli.

Dwie godziny później w skupieniu dziobała drutem w kolejne oczko szalika, który robiła z miękkiej, szarej włóczki. Lena sprzedała jej jeden motek (oczywiście chciała podarować i z wielkimi oporami przyjęła pieniądze), pożyczyła druty i pokazała, jak robić lewe oczka. Marcelina kiedyś umiała dziergać, więc wystarczyło sobie przypomnieć – całkiem nieźle jej szło. Wełenka była śliczna, cieniowana, łagodnie przechodziła z jednego odcienia szarości w drugi, od popielu aż do czerni; szalik z każdym przerabianym rzędem robił się coraz ładniejszy.

– W ogóle nie rozumiem, nad czym ty się zastanawiasz – oświadczyła jej pani Lena. – Jeśli masz ochotę obdarować czymś chłopaka, do którego czujesz sympatię, to po jakie licho zważasz na głupie konwenanse? Chcemy równouprawnienia, prawda? Chcemy być traktowane tak samo jak mężczyźni. A tymczasem same sobie narzucamy jakieś ciasne ramki, w których potem wijemy się, choć nam niewygodnie. Dziewczynie nie wypada? Chłopak musi pierwszy okazać zainteresowanie? A niby dlaczego? Zupełnie się z tym nie zgadzam.

Jędrzek już spał. Tata zajrzał do Marceliny z groźną miną, chcąc ją zapewne skarcić za siedzenie zbyt długo przy komputerze, ale gdy zobaczył, czym się zajmuje, wycofał się z bardzo głupim wyrazem twarzy. Dziewczyna zaśmiała się pod nosem. Przyjemnie było zadziwiać ludzi – oczywiście pod warunkiem, że było to pozytywne zaskoczenie.

Parę minut po północy szalik był gotowy.

Marcelina przyszyła jeszcze w rogu maleńkie serduszko z metalu, które dostała od Leny – z napisem „Made with care”. Takie serduszka znajdowały się na maskotkach sprzedawanych w „Cudeńkach”, więc Lena miała ich dużo.

Teraz wystarczy to jakoś ładnie opakować, pomyślała Marcelina, gdy skończyła pracę. Podejdę do niego w piątek, jak gdyby nigdy nic, i dam mu zawiniątko. Zdziwi się, ale weźmie, bo przecież nawet jeśli się na mnie bocy, ciekawość będzie silniejsza od tych głupich fochów. Muszę to zrobić po lekcjach, żeby potem nie umrzeć z zakłopotania... W końcu nie wiadomo, jak zareaguje. Jeśli jest mną naprawdę rozczarowany, to mógłby chcieć oddać mi szalik, pewnie powiedziałby też coś przykrego tym swoim przemądrzałym tonem. Więc dam mu to, a potem ucieknę, i jego w tym głowa, żeby zrobić następny krok.

Kiedy zasypiała, czuła się lekka i po raz pierwszy od bardzo dawna – zadowolona z siebie.

ROZDZIAŁ 25

Helena odetchnęła z ulgą, kiedy zamknęła drzwi za Jakubem. Za każdym razem z coraz większym utęsknieniem czekała na moment, aż chłopak wyjdzie. Co z tego, że był czuły, troskliwy, zakochany i namiętny, że pomagał jej w opiece nad babcią Miecią, a nawet raz i drugi skoczył na zakupy? Mimo wszystkich jego zalet Lenka nadal rozmyślała o tym, że ten związek nie ma szans na szczęśliwe zakończenie – nie jest tym, czego szukała. O ile w ogóle czegokolwiek szukała.

Babcia jęknęła przez sen, więc Helena zajrzała do niej, ale staruszka nie otworzyła oczu. Schudła ostatnio. Cerę miała woskową, nieładną. Jadała bardzo niewiele, wyłącznie papki lub zmiksowane zupy – niczego twardego nie można jej było podać, bo zupełnie przestała gryźć pokarmy. Lena przypominała sobie, że jeszcze nie tak dawno jej podopieczna chętnie jadła pizzę – teraz byłoby to nie do pomyślenia.

Muszę się spieszyć, pomyślała dziewczyna. Jeśli chcę rozwikłać zagadkę zaginionego Ryszarda Skorka, rozsypać jakoś tę tajemniczą historię, to trzeba to zrobić, dopóki istnieje choćby cień szansy, że babcia rozumie, co się do niej mówi. Może nawet jest w stanie bezwiednie odpowiedzieć na któreś z pytań? Przecież czasem się odzywa. Jeśli poznam jej historię, może dostrzegę jakiś sens w tych strzępkach zdań.

Wzrok Leny padł na zegar. Czy już za późno, żeby zadzwonić do ojca? Kiedy po rozmowie z Januszem Sasem poprosiła, żeby przyjechał i zastąpił ją w opiece nad babcią Miecią – wtedy Lenka mogłaby się wybrać do Włodawki, odnaleźć starszego pana Sasa i wypytać go o wszystko – ojca akurat rozłożyła angina i nie było mowy o tym, by ruszył się z domu. Ale przecież od tamtej pory na pewno zdążył poczuć się lepiej.

Dochodziła dwudziesta druga i Lena uznała, że może jeszcze wykonać połączenie. Wybrała numer ojca.

– Cześć, tato – zaczęła. – Jak tam, już wyzdrowiałeś? Pamiętasz moją prośbę?

– Pamiętam... – W jego głosie zabrzmiała niepewność.

– I jak będzie?

– Nie zaczęłaś na odpowiedź, czy wyzdrowiałem.

Lena zamilkła. Tym razem w głosie ojca usłyszała już nie niepewność, lecz gorzyc i chyba coś w rodzaju lęku. Co się stało?

– Tato? Wyzdrowiałeś? Przecież musiałeś już wyzdrowieć, powiedz!

– Nie, kochanie, nie bardzo. To znaczy tamta angina, oczywiście, minęła bez śladu, tylko że... Złamałem nogę.

– Co takiego?! – Przeraziła się Lena. – Tatusiu, co ty mówisz?! Dlaczego mnie nie zawiadomiliście? Jak to się stało?

– Jak się stało? Dureń ze mnie i tyle. – Aleksander Botula zdenerwował się nieco.

– Było ślisko, a ja poszedłem do ogrodu, żeby dać ptakom ziarna. Zamiast najpierw posypać ścieżkę piaskiem... Ot, stary, a głupi. A zawiadamiać cię nie było po co. Przecież w niczym mi nie pomożesz, tylko byś się martwiła.

– I tak się martwię.

– Nie ma czym, córeczko. Tyle że niestety ci nie pomogę, nie będziesz mogła

pojechać do tej Włodawy.

– Nawet o tym nie myśl, tato, to teraz nieważne. Dbaj o siebie.

Helena zadzwoniła jeszcze do matki, żeby zapytać, jak sobie radzą, po czym popłakała trochę na myśl o tym, że nie może nawet pojechać do Karbowa i ucałować ojcowskich policzków. Bardzo potrzebowała towarzystwa, by się komuś wyzalić, a nie chciała o tej porze zawracać głowy Francesce. Po cichutku wymknęła się na poddasze, otworzyła małe okienko i runęła na kolana.

– Kochane Serafiny, wiem, że dawno z wami nie rozmawiałam, ale dziś jest taki wieczór, taka noc... Dziś potrzebuję was bardziej niż kiedykolwiek. Proszę, pomóżcie moim rodzicom. Martwię się o tatę, no i jak mama sama da sobie radę. Pomóżcie też babci Mieci i Beacie, wszystkim tym, którzy są chorzy i potrzebują sił. Pomóżcie Francesce odnaleźć radość i może nową miłość, rzućcie też okiem na Marcysię i Jędrusia, i ich ojca. Rany, dużo tych próśb, wiem o tym. Dla siebie nie proszę o nic, bo przecież jakoś sobie radzę, nie jest źle. Tylko... Tyle smutku i problemów jest dokoła. I nawet ten strych... – Lena wykonała rękoma szeroki gest, jakby chciała nim objąć poddasze, rośliny, a nawet książki na regałach – wydaje mi się dziś smutny. Przecież mieszkanie nie może być radosnym miejscem, kiedy jego właściciel ukrywa się gdzieś przed światem, samotny i emocjonalnie poharatany. Więc jeśli można... to jeszcze pomóżcie panu Borysowi, żeby w jego życiu też zapaliło się nowe światełko.

Po tej przemowie pomodliła się jeszcze bez słów, w duszy, tym razem do Boga, i zrobiło jej się znacznie lżej.

Poczytała trochę, licząc na to, że dopadnie ją zmęczenie, ale na nic się to zdało. Dochodziła pierwsza w nocy, a sen odszedł na dobre. Lena zeszła na parter i zajrzała do babci. Staruszka właśnie się przebudziła, więc wnuczka zaprowadziła ją do toalety. Potem, ponieważ wciąż nie mogła zasnąć, otworzyła laptopa z zamiarem przejrzania wiadomości. Skrzynka pocztowa była pusta.

Pierwsza dwadzieścia pięć, czternasty lutego. A więc zaczęły się walentynki. Ciekawe, czy Marcelina zdążyła na czas z szalikiem dla tego sympatycznego Huberta. I czy Marek Markiewicz odwiedzi dziś Beatę z naręczem kwiatów. Albo z serduszkową bombonierką.

Znacznie mniej ciekawiło Lenę, co wymyśli Jakub, by uczcić to dziwne, komercyjne święto. Nigdy nie przepadała za walentynkami. Po pierwsze dlatego, że była z tych mało kochliwych kobiet. Jedyne wielkie uczucie, jakie jej się dotąd przytrafiło, narodziło się pewnej jesieni kilka lat temu, lecz nie dotrwało do lutego. Po drugie – prawdziwa miłość wydawała się Helenie czymś zbyt intymnym, żeby ją ubierać w krzykliwe barwy serduszek owiniętych w błyszczący celofan.

Dziewczyna westchnęła i usiadła wygodniej, biorąc laptopa na kolana. Jej wzrok padł na leżący na ławie prostokątny kartonik, który parę dni wcześniej przyniosła z poddasza. Wizytówka Borysa Magury. Właściwie po co ją zabrała? Ach tak, oczywiście: żeby napisać esemesa. Była bowiem coraz bardziej przekonana, że Borys może nie mieć pojęcia o czekającym na niego w skrzynce pocztowej krótkim mailu.

Sięgnęła po telefon komórkowy. Tak dawno nie pisała do Borysa, że teraz miała problem z doborem słów. Wreszcie napisała po prostu: *Panie Borysie, jakiś czas temu*

odpisałam Panu, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Pozdrawiam, Lena.

Czuła się dziwnie podekscytowana, jakby w żołądku miała nadmuchany balonik. Tak dobrze byłoby znów nawiązać kontakt z panem Magurą, móc wymieniać z nim szczerze listy, prosić o radę i przyznawać się do obaw i wątpliwości. Przez dobre pół godziny trzymała w dłoni telefon, co chwila zerkając na wyświetlacz w oczekiwaniu na wiadomość, choć przecież była noc i wydawało się oczywiste, że nikt normalny o tej porze nie odpisuje na esemesy. Po jakimś czasie powieki zaczęły Lenie ciążyć i postanowiła zdrzemnąć się nieco, bo przecież czekał ją kolejny ciężki dzień przy babci, a po południu zapewne wizyta Jakuba.

Obudziło ją nagłe przeczucie, że babcia zapewne zasiusiała łóżko, ale kiedy pobiegła do sypialni staruszki, przekonała się z ulgą, że prześcieradło jest suche. Babcia Mieczysława leżała z szeroko otwartymi oczami, wyraźnie czekając na wnuczkę. Lena pomogła jej wstać, mocno objęła w pasie i zaprowadziła do łazienki.

– Złe nowiny, babciu – powiedziała, kiedy wróciły już do sypialni. – Tata złamał nogę. Miał tu do nas przyjechać i zastąpić mnie na trochę, ale nie może. Słyszysz, co mówię? Twój syn, Aleksander.

Czarne oczy babci zwięzły się w szparki. Zważywszy, że od Nowego Roku staruszka niemalże wcale nie używała mimiki, było to dość niezwykle.

– Pamiętasz swojego syna? – zagadnęła jeszcze Lena, chcąc ponownie uzyskać ten sam efekt, jakikolwiek zresztą, byle wreszcie odnieść wrażenie, że babcia przynajmniej słyszy, co się do niej mówi.

Mieczysława oparła głowę na poduszce i wpatrzyła się w sufit.

– Aleksander – powtórzyła Lena. – Twój syn.

– Nikt się nie dowie... – odparła nagle babcia.

– O czym? Babciu, o czym nikt się nie dowie? Skrywasz jakąś tajemnicę?

Staruszka skierowała na wnuczkę spojrzenie, w którym kryło się szaleństwo.

– Boga nie ma, nie przejmuj się – szepnęła. – W cerkwi można tańczyć. – Po czym powieki starszej pani opadły i babcia znów pogrążyła się w swoim świecie.

Helena westchnęła z głębi serca.

Była zmęczona. Miała naprawdę serdecznie dość. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że wcale nie trafiła źle – Jakub opowiadał jej o pacjentach z zaawansowaną demencją, o ludziach niepoznających swoich najbliższych, agresywnych, przeklinających, robiących na złość domownikom. Babcia Miecia była w porównaniu z nimi idealną pacjentką. A jednak zajmowanie się nią dzień w dzień od kilku miesięcy stało się niemożliwie frustrujące. Lena była osobą, która nie przywykła do tego, że jej wysiłki nie przynoszą rezultatów, a poczucie bezradności i kompletna bezsilność były dla niej chyba najgorszym koszmarem. Nic dziwnego, że wypowiedanie słów, które nieodmiennie trafiały w próżnię, uśmiechanie się do zimnej maski, w jaką chwilami zamieniało się babcine oblicze, i codzienne wykonywanie tych samych czynności – wpędzało ją w depresję.

– Jeśli się jakoś nie zdystansuję, postradam zmysły – powiedziała do siebie, przygotowując mannę na mleku dla babci.

Nagle przypomniała sobie o esemesie do Borysa Magury. Pobiegła do swojego pokoiku, ale w telefonie nie było dla niej żadnej wiadomości. Otworzyła więc laptopa i z mocno bijącym sercem uruchomiła program pocztowy.

Tak. Czekał na nią list. Wysłany o piątej dwadzieścia. A więc Borys Magura znacznie wcześniej rozpoczął dzień. Zresztą nieistotne. Ważne, że w końcu napisał. Dziewczyna zwlekała jeszcze kilka minut, zanim otworzyła wiadomość – zupełnie jak wtedy, kiedy ma się na talerzu coś pysznego, ale człowiek postanawia zjeść najpierw te mniej smaczne dodatki, by potem móc w spokoju delektować się ulubionym smakiem.

Pani Leno,

to już nie będzie takie proste. Nasza przyjaźń rozluźniła się nieco, wyblakła – i doskonale wiem, że z mojej winy. Stchórzyłem, uciekłem, wycofałem się jak ślimak do muszli. Dlaczego? Ponieważ wystraszyłem się drgnienia czegoś ciepłego, o co już siebie nie podejrzewałem; myślałem, że jest zamrożone na dobre. Pamięta Pani baśń o Królowej Śniegu? No więc właśnie jakiś czas temu do mojego serca trafił okruch paskudnego, diabelskiego zwierciadła. To, co brzydkie, widziałem po stokroć brzydsze, a tego, co piękne, nie dostrzegałem wcale.

W sylwestrową noc napisałem do Pani, ponieważ się wystraszyłem – pomyślałem, że jeśli zabiję to malutkie ciepłe „coś”, to już nigdy nie przestanę żałować, nigdy nie spotka mnie nic dobrego. Pani jednak nie odpisała. Zaglądałem do skrzynki codziennie przez cały styczeń i za każdym razem rozczarowanie było tak samo bolesne. Uznałem więc, że niektóre trupy są martwe do końca, na amen, nie da się ich wskrzesić. Obiecałem sobie nie sprawdzać poczty przynajmniej przez pół roku, tekst nowej książki wysłałem z innego adresu, a sprawy wydawnicze załatwiałem telefonicznie, żeby nie mieć pretekstu... Żeby nie oszukiwać.

Wczorajszy esemes wyrwał mnie z głębokiej niemocy. Od wielu tygodni nie byłem w stanie nawet zasiąść do pisania nowej powieści. Miałem zupełną blokadę, nie mogłem napisać ani słowa – aż do chwili, gdy zobaczyłem wiadomość od Pani. Mój Boże, czy to możliwe, że się mijamy? Że Pani sprawdzała maile wtedy, gdy ja postanawiałem tego nie robić, a ja szukałem ich wówczas, kiedy Pani zamierzała nie napisać nigdy więcej?

Czy to nie jest dobry pomysł na powieść? Dwoje ludzi, którzy szukają siebie po omacku...

Pani Leno, co u Pani? Proszę do mnie napisać. Dobry, ciepły list. Tak jak dawniej. Proszę znaleźć we mnie powiernika, przyjaciela, kogoś bliskiego. Proszę znowu roztopić kawałek lodu w moim sercu.

Borys

Lenka przeczytała wiadomość dwukrotnie, pierwszy raz bardzo szybko, a za drugim razem – wczytując się w sens każdego zdania. Nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Z jednej strony Borys trafił dokładnie w sedno. Przecież dopiero co myślała o tym, że potrzebny jest jej powiernik, za taką relacją tęskniła. Z drugiej strony – tamten mail wysłany w sylwestrową noc zapowiadał coś zupełnie innego. Lena odszukała go i przeczytała ponownie:

Nie wiem, czy powinienem Pani wyjaśniać powody, dla których napisałem tamten głupi, jednozdaniowy list. Jeśli to zrobię, być może powiem o kilka słów za dużo. Czy jest Pani gotowa, by przeczytać za dużo? Nie boi się Pani? Choćby tego, że coś się zmieni i wcale nie wiadomo, czy na lepsze? Tego, że nie będzie Pani wiedziała, co ze mną zrobić?

Zapowiedział, że „powie o kilka słów za dużo”. Czyż to nie była zapowiedź wyznań? Czy Lena tylko sobie wmówiła, że nastąpi jakieś przekroczenie granic, wyjawienie długo skrywanych sekretów?

No tak, ale z drugiej strony zaczął ten dzisiejszy list od tego, że ich przyjaźń „rozluźniła się i wyblakła”. Może Borys po prostu nie ma już ochoty jej się zwierzać – albo może ochotę, owszem, ma, tylko odwaga się ulotniła, ponieważ jego poranione serce zamarzło na nowo? Tak czy inaczej poprosił o odnowienie tej dziwnej przyjaźni, a ponieważ Lena pragnęła tego samego, po prostu zabrała się za redagowanie odpowiedzi – spontanicznie, bez zastanawiania się nad tym, co powinna, a czego nie powinna pisać.

Panie Borysie!

Rzeczywiście wiele się zmieniło od tamtych jesiennych dni, kiedy pisałam do Pana pierwsze listy – i niestety, nie są to zmiany na lepsze. Proszę nie sądzić, że jestem malkontentką, wręcz przeciwnie, więcej we mnie niepoprawnej optymistki, biadolenie i narzekanie zupełnie nie są w moim stylu, jednak sytuacja, w której się znalazłam, działa na mnie naprawdę depresyjnie.

Babcia Miecia jest w coraz gorszym stanie. Na ogół nie reaguje na to, co się dzieje dookoła niej, na słowa i sytuacje, które powinny ją obchodzić.

Kiedy przyjechałam do Lubka, byłam rozczarowana jej zachowaniem, ponieważ przeważnie fukała z niezadowoleniem, cokolwiek zrobiłam i jakkolwiek usiłowałam ją zabawić. Teraz widzę, że należy cieszyć się z tego, co mamy – okazuje się bowiem, że zawsze może być gorzej. I właśnie jest. Obecnie babcia nie reaguje wcale. Jest tak, jakbym opiekowała się wielką lalką, która wypowiada słowa pozbawione znaczenia. Bardzo mnie to frustruje, czuję się nieszczęśliwa i jakaś taka... zbyteczna. A może nieudolna? Nie potrafię nazwać własnych odczuć.

No dobrze, jednak biadole. Zmienię więc temat. Opowiem Panu o czymś, co zaprzęta moje myśli od jakiegoś czasu i nie daje mi spokoju. Może znajdzie Pan w tym inspirację na nową książkę? Jest to mianowicie historia z czasów powojennych – epizod syberyjski z życia babci Mieci. Otóż dowiedziałam się, że staruszka skrywa jakąś tajemnicę, w każdym razie na to wygląda, bo pewności nie mam. Pewna kobieta z Jasienia, Rozalia Gawryła z domu Skorek, przez niemal sześćdziesiąt lat odwiedzała Mieczysławę co miesiąc, prosząc o wyjawienie pewnej informacji, ale babcia milczała jak zaklęta. Sekret zaś dotyczy tego, co się stało z Ryszardem Skorkiem, który pewnego dnia na Syberii wyszedł z baraku z zamiarem oświadczenia się Mieci, po czym zniknął bez śladu.

Wyobraża Pan sobie taką historię? Wie Pan, co mnie w niej najbardziej szokuje? Cierpliwość pani Rozalii. Sześćdziesiąt lat! Ona musiała być absolutnie przekonana, że babcia Miecia wie coś o losach Ryszarda. Albo nawet była pewna jej winy i te wizyty stanowiły rodzaj wyrafinowanej zemsty. Jak Pan sądzi?

Pojawił się pewien trop w tej historii, ale by go zbadać, musiałabym pojechać do Włodawy, gdzie mieszka starszy pan o nazwisku Sas, olęder spod Domaczewa. Podobno był w tym samym posesiołku na Syberii i sądzę, że może coś wiedzieć. Jednak nie dam rady wybrać się w taką podróż, nie zapewniwszy babci opieki – a jedyną osobą, która mogłaby mnie zastąpić, jest mój tata – który właśnie złamał nogę. Bardzo się o niego martwię.

Znów schodzę na smutne tematy, zauważył Pan? Zarządzam więc ponowną zmianę. Trochę ploteczek, a co mi tam.

W naszej kamienicy pod aniołami wciąż coś się dzieje, i choć są to historie malutkie, toczące się w swoim rytmie i pewnie niezauważalne dla osób z zewnątrz, to przecież każdego dnia pisze się nasze życie. Na przykład Francesca, Włoszka z parteru, postanowiła się odmienić na wiosnę. Wprawdzie wiosny jeszcze nie ma, ale przecież za dwa tygodnie zacznie się marzec, możemy więc uznać, że jedną nogą przyszło już do nas przedwiośnie. (Czy Pan także co roku czeka na ten szczególny zapach mokrej ziemi i czegoś nieuchwytnego w powietrzu? Ja bardzo). Tak więc Francesca zaczęła od kupna nowej sukienki i zmiany fryzury. Wygląda teraz ślicznie i wydaje mi się, że wraz z tą zewnętrzną metamorfozą nabrała pewności siebie. Z kolei u Markiewiczów z pierwszego piętra urodzi się maleństwo. Czy to nie cudowne? Ja wprawdzie nie należę do tych młodych kobiet, które już czują zew instynktu macierzyńskiego (nie, żeby nie chciała mieć potomstwa, lecz może jednak po trzydziestce), ale i tak bardzo się cieszę. Dzieci mają w sobie tyle cudownej, nieskażonej niczym ciekawości oraz prostego zachwyty nad światem! Pamiętam, jak mojej dawnej licealnej koleżance urodziła się córeczka – kiedy je odwiedziłam, było upalne lato i malutka leżała sobie w wózku golotka, tylko w pampersie. Była różowiułkim, bezzębnym berbeciem. Wzięłam ją na ręce i poszłam w cień smukłej brzozy, żeby nie narażać delikatnej skóry na dotyk palącego słońca. Malutka Kasia natychmiast wyciągnęła łapkę w kierunku wiotkich gałązek, które zwieszały się wokół nas, a jej oczy zrobiły się zupełnie okrągłe z zachwyty i zadziwienia. Bo jak to? Takie zielone firanki z brzozowych listków?

Pomyślałam wówczas, że cudownie będzie mieć własne dziecko i pokazywać mu świat, objaśniać go, bawić się w odkrywcę. Ja wprawdzie nie byłam tak wychowywana, raczej odkrywałam wszystko sama, przy okazji płątania się pod nogami rodziców, bo na wsi dzieci nie zostawia się przed telewizorem, lecz zabiera do zwierząt, w pole albo do ogrodu. Poznawałam więc przyrodę wszystkimi zmysłami, chłonąc zapachy, kolory, dotykając mokrej gleby i suchego ziarna, i wszystko to niezmiernie mi się podobało.

Zauważył Pan, że otaczają nas wspaniałości, których na co dzień nie dostrzegamy? Oglądałam kiedyś króciutki film pokazujący człowieka, który dzięki specjalnym okularom po raz pierwszy ujrział kolory. Innym razem – wideo ze szpitala, w którym niemowlęciu założono aparat słuchowy i ono po raz pierwszy usłyszało głos swojej mamy. Obie reakcje były cudowne, dokładnie takie, jakie być powinny – bo przecież to są właśnie CUDA: miłość i czułość w głosie kochającej osoby, kolor kwiatów, nieba, trawy i koktajlu truskawkowego...

Czy Pan się irytuje, Pani Borysie, kiedy wypisuję takie rzeczy? Czy Pan należy do tej grupy osób zgorzkniałych, które już od dawna żadnych cudów wokół siebie nie widzą? Mam nadzieję, że nie. Tym bardziej że mieszka Pan w pięknym miejscu – wyobrażam sobie

*francuskie winnice, pola lawendy, błękit nieba i morza. (Czy widzi Pan morze z okna?)
Proszę mi opowiedzieć o urodzie świata, który ma Pan wokół siebie.*

*Pozdrawiam Pana serdecznie, bo choć mogłabym tak pisać i pisać, muszę wracać
do codziennych obowiązków.*

Lena

ROZDZIAŁ 26

Niby wcześniej czuła się bardzo zmęczona, ale teraz, kiedy pobyt w szpitalu wymusił na niej odpoczynek, Beata nie mogła znieść bezczynności. Marzyła o tym, żeby pozwolono jej wrócić do domu i zająć się czymś sensownym, choćby pomóc Jędrkowi w lekcjach albo uporządkować ubrania w szafie.

– Leż, czytaj i delektuj się słodkim lenistwem – tłumaczyła jej Francesca, która przyjechała w odwiedziny w walentynkowy poranek. – Kobiety zawsze narzekają, że nie mają czasu dla siebie. Wykorzystaj te parę dni. Wyobraź sobie, że to wcale nie jest szpital, tylko jakaś rajska wyspa, gdzie wybrałaś się na wakacje.

Przyjaciółka siedziała na krześle przy jej łóżku, na szczęście dwie pacjentki, które leżały w sali wraz z Beatą, poszły na „spacer” po korytarzu.

Beata prychnęła.

– Aleś wymyśliła! Rajska wyspa, rzeczywiście. Jedna babka, ta spod okna, okropnie chrapie, a druga szlocha od chwili, gdy się obudzi, aż do zaśnięcia. Na szczęście dość dużo drzemie w ciągu dnia.

Włoszka spoważniała.

– Dlaczego szlocha? – zapytała cicho. – Straciła dziecko?

– Gdyby straciła, już by jej tu nie było. Wszystkie mamy szansę donosić, ale nie sądzę, żeby ciągły płacz mógł w tym pomóc. Grunt to myśleć pozytywnie.

– Pewnie masz rację.

– À propos pozytywnego myślenia, wyglądasz fantastycznie w tej nowej fryzurze. Jakoś tak optymistycznie. I na pewno młodziej.

– Widzisz? A odradzałaś mi...

– Myliłam się – przerwała Beata. – Ale czekaj, bo ja tu widzę coś jeszcze. Nowa fryzura, odważniejszy makijaż, zrobione paznokcie, bo przedtem zawsze miałaś jakieś przebarwienia od bejcy... No i do tego dzinsy opięte na pupie. Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

Francesca zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Taki jeden facet... Pamiętasz? Mówiliśmy ci z Lenką, że szukał prezentów dla córek na Dzień Kobiet...

– Tak. I wymyśliłyście herbaciarki. Dobrze kojarzę?

– Dobrze. No więc wyobraź sobie, że ten klient wrócił parę dni temu i ja mu dałam... Dałam mu mój numer i poprosiłam, żeby zadzwonił, bo powinniśmy się spotkać na kawie i wtedy on by mi opowiedział o tych córkach...

Beata aż się podniosła na łóżku.

– Poważnie?! Zaproponowałaś mu randkę? Fajny jest?

– Bardzo fajny. – Rumieniec znów wrócił na policzki Włoszki. – A skoro postanowiłam wprowadzić jakieś zmiany, no wiesz, przemeblować sobie życie na wiosnę, to pomyślałam, że powinnam spróbować... Nie chodzi mi nawet o niego, ale ogóle o randki.

– Bardzo słusznie pomyślałaś! – Beata chwyciła przyjaciółkę za rękę i mocno

ścisnęła. – Zwłaszcza że wyglądasz jak milion dolarów, dziewczyno! Po prostu grzechem byłoby nie wychodzić z domu, chować się przed światem. Szczęścia trzeba szukać, ono samo nie przyjdzie.

– Z tym szczęściem nie przesadzaj, to zbyt wielkie słowo. – Twarz Franceski spochmurniała. – Ale prawdą jest, że ostatnio poza wami z nikim się nie spotykam. Przed laty miałam sporo znajomych, ale wiesz, to się wszystko jakoś rozmyło. Kiedy ludzie łączą się w pary, przestają lubić wiecznych singli. Pewnie widzą w nich zagrożenie.

– Albo są zwyczajnie zazdrośni o wolność.

– Nie ma czego zazdrościć, wierz mi. Owszem, widzę liczne zalety życia w pojedynkę. Pewnie już bym nie umiała z tego zrezygnować, zmienić wieloletnich nawyków, dopasować się do cudzych dziwactw i przyzwyczajęń. Jestem skazana na ten rodzaj samotności, ale w zamian dostaję niezależność.

– Nie mów: jestem skazana. – Beata pogładziła ją po ramieniu. – Jeśli już, to powiedz: wybieram samotność i niezależność. „Skazana” nie brzmi dobrze. Wiesz, ostatnio sporo czytałam o podświadomości, o tym, ile dobrego lub złego możemy uczynić samym sobie właśnie tym, jakie wybieramy słowa, w jaki sposób myślimy o sobie.

Przyjaciółka spojrzała na nią z powątpiewaniem, lecz nie skomentowała.

– Pewnie myślisz, że zwariowałam, ale uwierz mi, jestem przy zdrowych zmysłach, a na dodatek to lekarz zalecił mi pozytywne myślenie. Podobno istnieją mocne dowody na to, że człowiek, który wierzy w powodzenie jakiegoś przedsięwzięcia, ze znacznie większym prawdopodobieństwem osiągnie sukces.

– Mam czytać *Potęę podświadomości* albo inne bzdury?

– Ostrożnie, nie nazywaj tego bzdurami tylko dlatego, że nie jesteś przekonana co do prawdziwości tych teorii. Jesteś katoliczką, prawda? No widzisz, a ja nie jestem. Mimo to nie nazywam twojej wiary bzdurą, bo mam wystarczająco dużo pokory, żeby przyznać, że być może czegoś nie wiem, nie rozumiem.

– Ale co ty porównujesz?! – Francesca wyraźnie się zdenerwowała. – Z jednej strony religia poparta kilkoma tysiącami lat tradycji, a z drugiej odkrycia... pseudonaukowców.

– Nie, kochana. Widzę, że niczego nie rozumiesz. Nie obraż się. Te sprawy mają ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż ci się wydaje. W obu chodzi o stan umysłu, który nazywamy wiarą. Mówi się przecież, że wiara czyni cuda. Jeśli w coś wierzysz, przyczyniasz się do tego, żeby to coś się ziściło. Jeśli będziesz wierzyć, że właśnie odmieniasz swoje życie na lepsze, ono się naprawdę zmieni. Ale gdy powtarzasz sobie wciąż, że jesteś „skazana” na samotność, pozostaniesz samotna.

Beata umilkła.

Francesca przyglądała się czemuś za szpitalnym oknem. Nie wyglądała na przekonaną.

– Pójdę już – odezwała się po chwili. – Niech każda z nas pozostanie przy swoim zdaniu. W sumie jakie to ma znaczenie, w co kto wierzy, dopóki jesteśmy przyzwoitymi ludźmi?

– Właśnie. Lena na przykład rozmawia z tymi aniołami z mansardy...

– No, to już jest kompletny bzik.

– A mnie się wydaje, że ona robi dokładnie to, o czym ja mówię: myśli pozytywnie. Te szeptane aniołom próby to nic innego, jak właśnie próby upewnienia samej siebie w przekonaniu, że będzie dobrze. I zauważ, że na ogół to działa.

– Jakie tam „działa”. Przecież z panią Mieczysławą nie tylko nie jest coraz lepiej, ale wręcz jej stan się pogarsza. No nic, Beatko... – Francesca nachyliła się i cmoknęła przyjaciółkę w policzek. – Muszę iść do pracy. W każdym razie trzymaj za mnie kciuki, bo ostatecznie nie dokończyłam, tak mnie zagadałaś tą podświadomością. Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że ten facet ze sklepu wczoraj zatelefonował i zaproponował spotkanie w SoFa Café. Dziś o siódmej wieczorem.

– Dobrze, moje kciuki należą do ciebie. Ale ty pamiętaj, żeby myśleć pozytywnie. Nie kombinuj za dużo z wątpliwościami, po prostu nastaw się, że będzie świetnie.

– Tak zrobię. No, trzymaj się. Poglaskaj maluszka od cioci.

Kiedy Beata została sama, natychmiast położyła dłonie na podbrzuszu i zgodnie z życzeniem przyjaciółki „pogłaskała maluszka”. Teraz, kiedy bóle brzucha nieco ustały, nie musiała już tego robić, ale ciepło w tym miejscu nadal przynosiło jej ulgę. Wbrew temu, co powiedziała Francesce, bardzo się bała. Umierała ze strachu, że straci dziecko, a uczucie to było tym dotkliwsze, im bardziej uświadamiała sobie, że oboje z Markiem nie chcieli, by to maleństwo pojawiło się w ich życiu. Właśnie dlatego – gdy lekarz powiedział jej o potędze formułowanych myśli i słów – natychmiast poczuła się tak, jakby to ona swymi negatywnymi emocjami zrobiła krzywdę istocie, którą nosiła w łonie.

– Nie przesadzaj – uspokajała ją Lena poprzedniego dnia, kiedy Beata zadzwoniła i zwierzyła jej się z tych obaw. – Gdyby tak było, to nie rodziłoby się na świecie tyle dzieci z nieplanowanych ciąż, po prostu kobiety pozbywałyby się ich za pomocą negatywnych myśli i emocji. Ja oczywiście wierzę w siłę pozytywnego myślenia, ale tu chyba jest bardzo konkretna przyczyna zagrożenia poronieniem, prawda? Wspominałaś coś o niedoborach...

– Tak, lekarz mówił o witaminie D i magnezie. Zwłaszcza ta witamina. Aha, i jeszcze z grupy B. Podobno mam niedokrwistość z braku B6 albo coś w tym rodzaju. Wiesz, byłam trochę oszołomiona i nie wszystko rozumiałam, ale uspokoił mnie, że to będzie na wypisie.

– A co z pracą?

– Nawet nie chciał o tym mówić, kazał mi bezwzględnie przyjąć zwolnienie.

– I bardzo dobrze. – Helena pokiwała głową. – Odpoczniesz, zadbasz o siebie...

– I umrę z nudów.

– W takim razie umrzemy razem. – Roześmiała się Lena. – Bo ja już zaczynam dostawać kręcka. Teraz przynajmniej w każdej chwili będę mogła cię odwiedzić i strzelić sobie herbatkę na pocieszenie. A jak zrobi się ciepło, to będziemy schodzić do ogródka, ja będę pielęgnować babcine rośliny, a ty napawać się słońcem i zagadywać mnie, żeby mi lepiej szła praca.

– Wiesz – szepnęła Beata. – Jak ty o tym mówisz, to zwolnienie lekarskie od razu zaczyna mi się podobać. Powinnaś zostać psychologiem.

Marcelina zatelefonowała zaraz po szkole. Oddychała ciężko, jakby biegła.

– Kiedy wracasz do domu, mamó? – zapytała.

– Dziś mamy piątek, tak? – Upewniła się Beata. – Więc może po weekendzie. Już nie plamię, brzuch też mnie prawie nie boli, więc lekarz obiecał, że w poniedziałek podejmie decyzję.

– Wiadomo, od czego to krwawienie?

– Jakies niedobory witamin. – Beata postarała się, aby to zabrzmiało beztrzesko, ponieważ nie chciała martwić córki. – Lepiej powiedz, jak tam w szkole.

– Dobrze. I z nauką i... w ogóle. Dobrze.

Beacie wydało się, że córka chce jej się z czegoś zwierzyć, ale w słuchawce rozległo się dziwne pikanie.

– To minutnik. Lecę, mamó. Muszę odebrać Jędrka z kółka plastycznego.

– Ojej, kółko! Jędrus miał przynieść kawałek filcu! Na lodówce była przyczepiona karteczka...

– Przyniósł. – Uspokoiła ją Marcelina. – Znalazłam. Mamuś, my sobie naprawdę świetnie radzimy.

– A tata? Też sobie radzi? – zapytała cicho Beata.

– Sam ci powie. No, biegnę, pa!

Rozłączyła się.

Nie do wiary, jak wydorosłała, pomyślała Beata. Jeszcze pół roku temu to była kolczasta, zbuntowana nastolatka. W sumie, jak się nad tym zastanowić, to rzeczywiście miała powody, żeby się buntować. Gdyby nie Lena i te jej anioły, zapewne miałyby je nadal.

Marek przyjechał wieczorem, po pracy. Wręczył żonie bukietek malutkich różyczek i kopertę. Beata chciała ją otworzyć natychmiast, ale poprosił, żeby tego nie robiła.

– Przeczytasz, kiedy już pójdę – powiedział. – Tymczasem opowiedz, jak się czujesz. Co tam u malucha?

„Maluch” – tak nazywali rosnące w jej brzuchu dziecko. Nie odważyli się nadać mu pieszczotliwego imienia, jak to robili przy Jędrusiu i Marcelinie. Jędrak, zanim się urodził, był Pyszczkiem, a Marcelina – Rybką. To trzecie póki co nie miało swego miana i Beata odczuła to w tej chwili jak wyrok – jakby w ten sposób wyrażali swoją niewiarę w to, że dziecko z nimi zostanie.

– Jak nazwiemy „malucha”? – zapytała, podążając za własnymi myślami. – Przecież musi mieć imię. Był już Pyszczek, była Rybka, a teraz?

Marek spojrzał na nią poważnie. Może myślał o tym samym, bo wypalił:

– Dziubdzius? Co o tym sądzisz?

Roześmiali się oboje.

– Dobrze, niech będzie. No więc u Dziubdziusia wszystko w porządku. Nie mam plamienia, brzuch mnie prawie wcale nie boli. Lekarz tłumaczył, że wyściółka macicy jest za cienka z powodu niedoboru witaminy D, ale to się wyrówna i powinno być dobrze.

– A progesteron? Badali?

– Badali, ale jest w normie, więc to nie mogło być przyczyną...

– Aha. Dobrze.

Marek umilkł, a Beacie wydało się, że jest wzruszony albo zakłopotany.

– Lekarz wziął mnie na rozmowę – odezwał się po chwili. – Powiedział, że nie wolno nam teraz... No wiesz.

Beata spiekła raka.

– Obywaliśmy się bez tego tyle czasu. – Rzuciła szybkie spojrzenie na sąsiednie łóżko, ale na szczęście Renata, pacjentka spod okna, miała słuchawki na uszach, bo oglądała jakiś film na laptopie, zaś druga sąsiadka drzemała, jak to miała w zwyczaju.

– Ale teraz jest inaczej. – Marek przeszedł do szeptu, i był to szept gorączkowy, namiętny. – Teraz odnaleźliśmy się na nowo i ja nie chcę tego stracić. Rozumiesz?

Tylko pokiwała głową, bo nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

– Ten lekarz powiedział, że przecież możemy się dotykać – dodał Marek, spuszczać wzrok jak zawstydzona panienka. – Że wiele par odkrywa dotyk właśnie podczas ciąży partnerki, bo...

– Dobrze – przerwała Beata, ponieważ chciała, żeby już poszedł i żeby ona mogła wreszcie sprawdzić, co jest w kopercie. – Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę do domu. A teraz już jedź, bo Jędrus nie może spędzać całych dni tylko z Marcysią.

– Wiem. Trzymaj się. Już niedługo.

Pocałował ją tak, że zakręciło jej się w głowie, ale to było dobre uczucie.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, rozerwała kopertę.

Moja Walentyńko!

Dobrze wiesz, że nie umiem pięknie pisać, w końcu znasz mnie jak nikt inny.

Przejrzałaś mnie na wylot, wiele razy zaglądałaś na samo dno mojej duszy. Niczym Cię nie zaskoczę – myślałem, że i Ty nie zaskoczysz mnie niczym. A jednak Ci się to udało. Ten dzień, kiedy obudziłaś się na zakrwawionej sofie, nawet jeśli tej krwi było tylko troszkę (plamy już wyszorowałem i naprawdę niemal nic nie widać) – kompletnie wytrącił mnie z równowagi.

Uświadomiłem sobie, że nie mam Cię na zawsze. Że mogę Cię stracić. Ciebie i tego malucha, który w Tobie rośnie. I że to byłaby zupełnie inna strata niż ta, przez którą już raz przeszedłem – bo tamtej towarzyszyła wściekłość, a ona jest bardzo energetyczna i daje siłę, żeby przetrwać. Tym razem nie byłoby wściekłości, tylko rozpacz i pustka. Nie dałbym rady.

Proszę, zróbmy wszystko, żeby się udało. Jestem gotów. Tak jak mówiłaś: zaczynamy od nowa. Chcę Cię poznać bliżej. Chcę wiedzieć o Tobie rzeczy, których dotąd nie mówiłaś. Ja nie mam żadnych tajemnic, jestem prosty i wszystko wywalam na wierzch, ale Ty – jak się okazuje – ukrywałaś przede mną bardzo wiele.

Mówmy sobie wszystko. Okazujmy. Bądźmy znowu tak blisko, jak wtedy, kiedy leżeliśmy zaplątani w swoje ciała i nie byłem pewien, czy dłoń pod moją głowę należy do mnie, czy do Ciebie.

Twój Walenty

– Mój Boże, przecież dzisiaj walentynki – wyszeptała Beata, kiedy już się uspokoiła i otarła łzy z policzków. – Zupełnie zapomniałam. Może właśnie o tym Marcelina chciała mi powiedzieć? Mam nadzieję, że dostała kartkę od jakiegoś miłego chłopca.

ROZDZIAŁ 27

Marcelina odebrała Jędrka ze szkoły, odsmażyła pierogi ruskie, które dostali od pani Leny, dopilnowała, żeby mały odrobił lekcje, odpytała go z angielskich słówek... A potem jeszcze zagrała z nim w warcaby, bo się nudził. Na koniec wstawiła pranie i wzięła się za prasowanie, ponieważ braciszek nie miał czystych ubrań na kolejny tydzień, a ona nie chciała zostawiać sobie tego obowiązku na weekend. Nie ma skuteczniejszej metody antykoncepcyjnej, pomyślała. Gdyby każda nastolatka musiała od czasu do czasu pobawić się w matkę, na pewno by się skutecznie zabezpieczała.

Miała dość, była zmęczona. Oczywiście nie kryły się za tym żadne pretensje – bo do kogo miałyby je mieć? Do mamy, że była taka słaba, bladziutka i omal nie poroniła? Czy do ojca, że musiał zarabiać na życie? Nie, Marcelina nie żywiła do nikogo żalu, a jednak w ostatnich dniach zdarzało się, że miała ochotę zwyczajnie rozkleić się jak dziecko. Dziś jednak nie było mowy o użalaniu się nad sobą.

Bardzo chciała z kimś porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Opowiedzieć, jak podeszła do Huberta po lekcjach, by wcisnąć mu do ręki pudełeczko zawinięte w szary papier i obwiązane sznurkiem. Jak spojrział na nią ze zdziwieniem, a ona uśmiechnęła się tylko i odeszła czym prędzej. I jak potem przyspieszała z każdym metrem, niemalże uciekała, żeby chłopak nie mógł jej dogonić na tych swoich długich nogach i powiedzieć czegoś, co zepsułoby jej misterny plan.

Nie dogonił jej. Zresztą pewnie nawet nie próbował. Marcelina wolała nie myśleć o jego reakcji, ponieważ wyobrażenia podsuwała jej niezbyt przyjemne obrazy: kpiący uśmieszek, zmrużone oczy, jakiś lekceważący gest. Poszła do domu i natychmiast zatelefonowała do mamy, żeby zmusić się do myślenia o czymś innym. Potem odebrała Jędrka ze szkoły i przez dobre dwie godziny zajmowała się tym, co zwykle działało się samoistnie... W każdym razie tak się dotąd dziewczynie wydawało. Teraz okazywało się, że wszystkie te rzeczy, które „działy się same”: odkurzanie, pranie, prasowanie i tak dalej, w gruncie rzeczy robiła zawsze mama. Tyle że nikt tego nie dostrzegał.

Tuż przed siódmą wieczorem zadzwonił telefon, a Marcelina aż podskoczyła, tak bardzo czekała na ten dźwięk i tak bardzo była spięta. Niestety, kiedy spojrzała na wyświetlacz, przekonała się, że dzwoni Kamil.

– Cześć, Walentynko – powiedział odrobinę bełkotliwie, z czego wywnioskowała, że musiał wypić kilka piw. – Wbijasz na bilard? Bo dziś mój kuzyn...

– Nie, nie wbijam. – Marcelina mówiła twardym tonem. – I chciałabym, żebyśmy sobie coś wyjaśnili. Ani ja nie jestem twoją Walentynką, ani ty moim Walentym.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, a potem dało się słyszeć mało eleganckie chrząknięcie.

– Ale co ty, kurwa, odwalasz? – zapytał Kamil głosem pełnym bezbrzeżnego zdumienia. – Załatwiłem dla nas bilard na walentynki. Chodzimy ze sobą, czy nie chodzimy?

– Nie chodzimy. I nie przeklinaj przy mnie.

– Zakonnica się odezwała. Sam słyszałem, jak rzucałaś jebanymi kurwami!

– Może i rzucałam, ale już nie rzucam. Ludzie się zmieniają, Kamil.

– I ty się właśnie zmieniłaś? Przedtem przychodziłaś pod halę, a teraz się macasz z pierdolonym szachistą?

Marcelina uświadomiła sobie, że nie ma sensu ciągnąć dłużej tej rozmowy.

– Z nikim się nie macam, a jeśli nawet, to nie twoja sprawa. Nie dzwoń do mnie więcej, bo i tak nie odbiorę.

– Pierdolona cnotka!

Rozłączyła się. Dopiero usiłując trafić w ikonkę czerwonej słuchawki, zauważyła, jak bardzo rozdygotane ma ręce. Rozpląkała się ze zdenerwowania, dziwnie wymieszanego z ulgą, więc poszła do łazienki, żeby zmyć i tak już rozmazany makijaż. Potem przez kilkanaście minut siedziała na obudowie wanny, zastanawiając się, co teraz robi Hubert.

Z zamyślenia wyrwał ją głosik brata.

– Marcysia, ktoś puka.

– Co takiego?

– Ktoś puka do drzwi.

– Niech tata otworzy.

– Tata poszedł do sklepu po płatki, bo się skończyły i nie będzie na jutro na śniadanie.

– No dobrze.

Marcelina wyszła z łazienki i skierowała się do drzwi. Spodziewała się, że to pani Lena przyniosła jakieś smakołyki, ale w progu stał Hubert. Na szyi miał wydziergany przez nią szalik.

W pierwszej chwili chciała się cofnąć. Zmyła przecież makijaż, no a wcześniej płakała... Na pewno miała zapuchnięte oczy. Nawet nie zerknęła w lustro, kiedy wychodziła z łazienki, więc nie była pewna, jak wygląda.

Hubert zauważył jej wahanie i zapewne zrozumiał je opacznie.

– Przeszkadzam ci – stwierdził. – Przepraszam, ja tylko na moment.

– Nie, wcale nie przeszkadzasz, tylko...

Jędrzek podszedł do drzwi i złapał siostrę za rękę.

– Marcysia – powiedział cichutko. – Ale nie zostawisz mnie?

– Oczywiście, że nie zostawię! To mój brat – wyjaśniła Hubertowi.

– Przecież pamiętam! Ustawialiśmy razem słoiki w szafce świątecznej.

– A, no tak.

Czuła się okropnie zakłopotana. Sama nie wiedziała, czy chciałaby, żeby chłopak już poszedł, czy właśnie został. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale jej wydawało się, że stoją w progu od godziny.

– Wejdz – powiedziała w końcu, odsuwając się od futryny.

Hubert zabawnie bujnął się do przodu, jakby chciał zajrzeć i upewnić się, że nikt nie ukrył się za drzwiami, a potem niepewnie wszedł do przedpokoju i rozpiął kurtkę.

– Dzień dobry – powiedział głośno.

– Rodziców nie ma – wyjaśniła zmieszana Marcelina. – Tata skoczył do spożywczego, a mama... Mama w szpitalu. Wejdz, proszę. Może herbaty?

– Nie, dzięki, ja naprawdę tylko na moment. A mama... Choruje? To coś poważnego?

– Będzie miała dzidziusia i leciała jej krew – wtrącił się Jędrak z powagą, wywołując nieznośny rumieniec na twarzy siostry. – Na kanapie były takie plamy, ale tata już wyszorował.

– Jędrus, już wystarczy. Włączyć ci bajkę? Może *Pingwiny...* albo *Epokę lodowcową* z płyty?

– Dobrze, *Pingwiny*.

Dziewczyna włączyła telewizor i usadziła Jędrka z pilotem w ręce, a sama skierowała się do swojego pokoju i skinęła na Huberta.

– Przepraszam cię za te szczegóły – mruknęła. – On to bardzo przeżywa.

Chłopak wszedł za nią do pokoju i zamknął drzwi. Marcelinie zrobiło się gorąco. Wiedziała, że powinna usiąść i zaproponować mu, żeby zrobił to samo, ale w jej pokoju nie było foteli, tylko łóżko, a siedzenie obok Huberta na łóżku wydało jej się nagle... zbyt śmiałe. Postanowiła więc przycupnąć na krześle komputerowym i dopiero wtedy poprosić, żeby i chłopak usiadł.

Zanim dążyła to zrobić, Hubert szepnął:

– Mogę zgasić światło?

Zdębiała. Co on ma na myśli?

– Chcę ci coś powiedzieć – wyjaśnił. – A kiedy patrzysz, to... tak trudno.

Skinęła głową. Nadal stała na środku pokoju, niepewna, co robić dalej. Hubert zgasił światło i przez chwilę słychać było jego ciężki oddech. Było prawie zupełnie ciemno, tylko wąziutki sierp księżycy zaglądał przez okno.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś, dlaczego mi dałaś ten szalik – szepnął wreszcie.

– Ale jeżeli to jakaś zabawa, jeśli się na przykład z kimś założyłaś albo to jakiś rodzaj wyzwania... To muszę cię prosić, żebyś przestała.

– Jakiego wyzwania? – zapytała z niedowierzaniem. – Sama go zrobiłam. Na drutach. O co ci chodzi?

– Ale dlaczego?

– Co: dlaczego?

– Dlaczego zrobiłaś? Nie... Dlaczego mi go dałaś? Dlaczego akurat mnie?

Marcelina milczała. Co miała odpowiedzieć: „Bo zaczynam się w tobie zakochiwać”? Przecież nie mogła ot tak wyznać mu czegoś, do czego nie przyznawała się dotąd sama przed sobą.

– Ten twój chłopak na studniówce... On powiedział, że mnie nawet nie lubisz. Ja już sobie wszystko poukładałem w głowie, a ty nagle... Dajesz mi szalik na walentynki. Po co?

Jego pytania brzmiały rozpaczliwie, błagalnie. Gdyby wyznał: „Kocham się w tobie od dawna”, wówczas mogłaby odpowiedzieć: „Ja w tobie też, to znaczy od niedawna, ale kocham się w tobie”. Ale skoro on nie powiedział nic o uczuciach, ona także nie mogła.

– Lubię cię, Hubert – odezwała się wreszcie. – To nieprawda, co mówił Kamil. On jest okropnym dupkiem.

– Wiem. Ale co ma szalik do dupka?

Roześmiała się w ciemności. Sądziła, że może Hubert także zacznie się śmiać, ale tak się nie stało. Miała nadzieję, że przynajmniej się uśmiechnął.

– Jak się kogoś lubi – dodała po chwili – to się przecież chce, żeby ta osoba nie zmarła, prawda? Żeby na przykład nie złapała kataru albo kaszlu.

– Po co? – zapytał chłopak, a Marcelina mimo ciemności zobaczyła, że zrobił kilka kroków w jej stronę.

Wyciągnęła rękę, on także to zrobił, i w wąłym świetle księżyca zdołali w końcu znaleźć drogę do siebie. Hubert stał teraz tak blisko, że jego oddech muskał jej włosy. Miał chłodne palce, które dotykały jej dłoni tak, jakby chłopak chciał zapamiętać każdy szczegół.

– Nie wiem, są tysiące powodów – wyszeptała głosem ciężkim od emocji. – Na przykład gdybym poszła z tym kimś do kina, a on by ciągle kichał, to okropnie by mi przeszkadzał. Albo gdyby ten ktoś chciał mnie pocałować, to nie chciałabym się zarazić...

– Marcelina, jednak nie chcę *Pingwinów* – rozległ się nagle głos Jędrka i drzwi uchyliły się, wpuszczając snop światła z korytarza.

Dziewczyna odsunęła się, ale Hubert nie poruszył się ani o centymetr, nadal trzymając ją za rękę.

– Mam nadzieję, że dokończymy tę rozmowę – szepnął. – A teraz już nie przeszkadzam, zajmij się braciszkiem.

Jeszcze raz mocno ucisnął jej palce, po czym wyszedł, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 28

Francesca starała się ukryć zdenerwowanie, które ogarnęło ją już w domu, podczas ubierania. Wszystko zaczęło się od tego, że rozpadał się deszcz ze śniegiem, więc strój, który zamierzała włożyć – beżowa dzianinowa sukienka i jasne pantofle – przestał pasować na wieczorne wyjście. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że od tego, w co ubierze się na spotkanie z Grzegorzem Wnukiem (tak się przedstawił podczas rozmowy telefonicznej), w gruncie rzeczy niewiele zależy. Znacznie istotniejsze będzie to, jak potoczy się rozmowa, czy będą się czuli swobodnie w swoim towarzystwie, czy mają podobne poczucie humoru... A jednak Francesca bardzo chciała dobrze wyglądać właśnie po to, by dobrze i swobodnie się poczuć na swojej pierwszej dorosłej randce.

Tak, właśnie pierwszej – bo jak daleko sięgała pamięcią, nie przypominała sobie wyjścia z mężczyzną do kawiarni czy restauracji. Poza tamtymi włoskimi spotkaniami z nieżonatym jeszcze Szczepanem, potem nie było już takich sytuacji. Kiedy Francesca zamieszkała w Polsce, zawsze widywała się z kochankiem we własnym mieszkaniu, za każdym razem w ukryciu, bo przecież ktoś znajomy z Żar mógłby akurat przyjechać do Lubka... A gdy Szczepan odszedł, przez jakiś czas nie wychodziła nigdzie, potem zaś spotykała się z bliższymi lub dalszymi koleżankami, które jednak zawsze po pewnym czasie znikaly z jej życia – zazwyczaj wtedy, gdy znajdowały sobie partnera lub powiększała się im rodzina. Z mężczyznami Francesca nie spotykała się nigdy, chyba że na gruncie zawodowym – widywała hurtowników, dostawców i kurierów, z niektórymi od lat była po imieniu – jednak ewentualne próby flirtu gasiła natychmiast z poczuciem, że stałoby się coś złego, gdyby pozwoliła sobie na to przyjemne uczucie bycia adorowaną.

Ostatecznie ubrała się zupełnie zwyczajnie: w dżinsy i bładoniebieski sweter z wiązaniem na plecach. Włożyła do torby gruby plik serwetek, musnęła perfumami nadgarstki, podmalowała usta. Po namyśle zostawiła samochód w garażu i poszła do kawiarni pieszo. Miała ochotę na spacer, a poza tym ten wieczór mógł się różnie potoczyć – po kawie mogli się przecież chcieć napić wina.

Kiedy weszła do lokalu, w pierwszej chwili wystraszyła się, że Grzegorz zapomniał, bo nie dostrzegła go przy żadnym ze stolików. Dopiero po chwili zauważyła, że stoi przy kontuarze i rozmawia z kimś z obsługi. Obejrawszy się, ruszył natychmiast w jej stronę i pomógł jej zdjąć płaszcz.

– Wziąłem czarną kawę, ale nie wiedziałem, czy lubi pani szarlotkę.

– Oczywiście, że lubię. Zaraz sobie zamówię.

– Nie, proszę mi pozwolić...

– Ależ skąd, panie Grzegorzu. Przecież to ja zaproponowałam spotkanie, nie ma mowy, żeby płacił pan za mnie.

Francesca doskonale wiedziała, że tym kategorycznym stwierdzeniem – a może jeszcze bardziej tonem, jakim zostało wypowiedziane – sprowadziła wspólną kawę do sytuacji oficjalnej. Jeśli coś między nimi zaiskrzy, pomyślała, to będą kolejne okazje, by on za mnie zapłacił. A jeśli chemii nie ma i nie będzie, to przynajmniej nie poczuję się głupio.

Zamówiła sobie szarlotkę z kulką lodów waniliowych, poprosiła o dopisanie kawy do jej rachunku, po czym usiedli przy stole i Francesca wyjęła z torby serwetki.

Mężczyzna patrzył na nią badawczo.

– Powiem panu szczerze – zaczęła – że zrobił pan na nas, na mnie i koleżance, ogromne wrażenie. Ludzie zazwyczaj wpadają po prezenty w pośpiechu, tuż przed urodzinami, imieninami i tak dalej. Nie mają czasu na wybieranie, więc kupują to, co im polecimy albo w ogóle pierwszy drobiazg z brzegu.

– Nie, ja tak nie chciałem. – Jej rozmówca zaczerwienił się nieco. – Widzi pani, żona przywiązywała wielką wagę do obdarowywania ludzi, których kochała. To nie musiały być cenne prezenty w sensie ich wartości materialnej, tylko... Dobierała je z takim namysłem, jakby coś bardzo ważnego w naszym życiu zależało od tego, czy trafi z upominkiem.

– Rozumiem. – Francesca ledwie zapanowała nad głosem, ponieważ wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – A teraz pan przejął te zwyczaje?

– Wie pani, to jest taka rozpaczliwa próba ratowania chociaż kawałków świata, do którego przywykliśmy. Ja jeszcze ciągle zapominam, że ona...

Grzegorz Wnuk urwał i zamrugał kilka razy, a Francesca stłumiła chęć położenia mu dłoni na ramieniu. Odczekała chwilę, a ponieważ najwyraźniej nie mógł mówić dalej, rozłożyła kilka serwetek.

– Proszę spojrzeć, każda z nich jest inna. Musi mi pan opowiedzieć o córkach, żebym mogła dobrać coś odpowiedniego. Tym bardziej po tym, co mi pan przed chwilą powiedział... Teraz stało się to bardzo ważne także dla mnie.

– Dobrze więc. Ania jest starsza, skończyła piętnaście lat. Ola ma czternaście, więc jest tylko nieco młodsza, ale nie ma pani pojęcia, jak wiele ta drobna różnica oznacza. Kiedy żona urodziła Anię, karmiła piersią dzień i noc, i była przekonana, że to wystarczające zabezpieczenie przed kolejną ciążą. Cóż, dość szybko okazało się, że to nie zawsze działa. Oleńka urodziła się rok po siostrze.

– Niech zgadnę – wtrąciła Francesca. – Ania jest odpowiedzialna, samodzielna i dorosła, a Ola znacznie bardziej beztroska i dziecinna?

– Strzał w dziesiątkę. Jednocześnie Ania bywa obrażalska, czasem zamyka się w sobie, nie zawsze lubi się dzielić... Taka troszkę zazdrośnica. Z kolei Ola nigdy nie żywi do nikogo urazy, wszystko bierze za dobrą monetę, z każdym podzieliłaby się ostatnim kęsem chleba.

– Rozumiem. Ja niestety nie mam rodzeństwa – rzekła Francesca, choć przecież nie o niej rozmawiali. – Ojciec zginął w wypadku jeszcze przed moim urodzeniem, a mama nigdy nie wyszła ponownie za męża.

– Ja też jestem jedynakiem. Może dlatego nie do końca rozumiem te siostrzane zależności, ten dziwny podział ról, połączenie rywalizacji z miłością. Ale miałem przecież mówić o córkach – zreflektował się Grzegorz. – Ania... Chyba najbardziej na świecie kocha konie.

– Jeździ konno?

– Jeszcze jak! Marzy jej się własna szkółka jeździecka, ale to chyba leży poza zasięgiem naszych możliwości. – Zaśmiał się jakoś wstydliwie. – Kiedyś chciała się

ścigać... Na szczęście wyrosła z mrzonek o karierze dżokeja.

– Dlaczego mrzonek? – oburzyła się Francesca. – Dzieci powinny marzyć, i wcale nie należy ich sprowadzać na ziemię. Życie robi to wystarczająco skutecznie.

– Pani nikt nie sprowadzał na ziemię, gdy marzyła pani o czymś nierealnym?

– Ja... Ja marzyłam o Polsce, panie Grzegorzu. O domu w Polsce, pod polskim niebem. Zabawnie to brzmi, prawda? – Francesca uśmiechnęła się smutno.

Zdziwił się, choć przecież dała mu wizytówkę; musiał zdawać sobie sprawę, że jej imię i nazwisko brzmią obco.

– Skąd pani pochodzi? – zapytał.

– Z Piedimonte. To niewielkie miasteczko we Włoszech.

– Niewiarygodne. I marzyła pani o polskim niebie? Przecież wszyscy wiedzą, że włoski błękit jest znacznie piękniejszy.

– Wtedy w to nie wierzyłam. Teraz, po latach, skłonna jestem przyznać panu rację. Wszystko, co włoskie, wydaje mi się teraz najcudowniejsze, najlepsze...

– Więc dlaczego pani nie wróci w swoje strony?

Zastanowiła się nad odpowiedzią. Ten mężczyzna nie wiedział o niej zupełnie nic, bo poza dwiema przyjaciółkami nikt tutaj nie znał jej historii. Przez tyle lat nosiła w sercu opowieść o miłości, samotności i upokorzeniu – lecz kiedy słowa wreszcie znalazły ujście, wszystko stało się jakby mniejsze. Wielki dramat przeobraził się w zupełnie przeciętną *love story*; niezwykle, głębokie uczucie zaczęło dziwnie przypominać trywialną mieszankę pożądania, przyzwyczajenia i lęku przed samotnością...

Mogę sobie ułożyć nową opowieść, przemknęło Francesce przez głowę, podczas gdy sympatyczna kelnerka stawiała przed nimi talerzyki z gorącą, obłędnie pachnącą szarlotką.

– Nie mam już do kogo wracać – odpowiedziała wreszcie Włoszka na tamto pytanie, nakładając łyżeczką lody na jabłka posypane cynamonem. – A poza tym, wie pan, z biegiem czasu człowiek zaczyna rozumieć, że pejzaż nie jest w gruncie rzeczy taki istotny. Tutaj mam miejsce, które nazywam domem, tam musiałabym budować je od nowa. A samotność jest wszędzie tak samo dotkliwa.

Widziała, że usta mu się układają do pytania. Może brzmiałoby: „Pani jest samotna? Dlaczego?”. A może: „Czy pani także jest wdową?”. Możliwości było wiele, ale Francesca nie miała odwagi kontynuować tej rozmowy.

– Tak czy owak, mój przyjazd do Polski to ciekawa historia, a jej korzenie sięgają drugiej wojny światowej i walk polskich żołnierzy we Włoszech. – Dostrzegła, że go zaciekawiła, a o to jej między innymi chodziło. – Ale o tym możemy porozmawiać innym razem, na przykład gdy będzie pan odbierał prezenty dla dziewczynek. Tymczasem wróćmy do Ani. Mam tu serwetkę z koźmi, ale nie jestem pewna, czy o taki styl panu chodzi, bo to są czarne sylwetki rumaków, tu mam jeszcze coś w rodzaju ruin zamczyska, takie dość mroczne...

Przez dobrą godzinę przeglądali serwetki, zastanawiali się nad kolorami bejcy do malowania herbaciarek, Grzegorz opowiadał Francesce o córkach, a ona spisała mu na kartce, jakie herbaty ziołowe powinien kupić w sklepie zielarskim. Kiedy odwiózł ją do

domu, czuli się już starymi znajomymi.

– Niech mi pan da mi czas do końca lutego – poprosiła. – Pierwszego marca proszę przynieść herbaty, napiszemy na papierze czerpanym informacje o każdej z nich i zamocujemy wewnątrz pudełek. A susz umieścimy w maleńkich lnianych woreczkach, mam tego sporo, każdy zawiążemy tasiemką w innym kolorze.

– Nie mogę zajrzeć wcześniej, przed pierwszym marca? – zapytał Grzegorz, odwracając wzrok, jakby musiał pilnie sprawdzić stan dźwigni biegów. – Zobaczyłbym, jak idzie praca... Żeby móc sobie to wszystko wyobrazić, wie pani.

– Tak, oczywiście. Może pan zaglądać choćby codziennie.

– Pani to będzie robić w sklepie?

– Najczęściej pracuję w domu, na zapleczu nie mam tyle miejsca. Ale jeżeli pan przyjdzie pod wieczór, kiedy zamykam, to mogę pana zabrać do mojego domowego warsztatu i pokazać, jak to wszystko wygląda.

– Nie chciałbym przeszkadzać...

– Ale w czym? – Roześmiała się szczerze. – Mieszkam sama, nie ma u mnie nikogo, kto potrzebowałby spokoju. Jeśli coś mi niekiedy przeszkadza, to ta dzwoniąca w uszach cisza. Wie pan, czasem człowiek wiele by dał za zwyczajną rozmowę, choćby o tym, jak idzie robota.

Grzegorz tylko spojrział poważnie i pokiwał głową, zaś Francesca pożegnała się, podziękowała za miły wieczór i poszła do siebie. Nie zapaliła światła od razu po wejściu do mieszkania. Stała przy oknie i przyłożyła policzek do chłodnej szyby. Samochód Grzegorza ruszył dopiero po chwili. Może o mnie myśli, przeszło jej przez głowę. Może tak samo jak ja ma wypieki na twarzy i próbuje sobie przypomnieć każdy szczegół naszej rozmowy?

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w ciemny sufit. Ilekroć zamknęła oczy, widziała męskie dłonie trzymające filiżankę z kawą. Następnego ranka, zanim zabrała się za bejcowanie pudełek na herbaciarki, spakowała do wielkiego foliowego worka starą kurtkę Szczepana.

– Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie – mruzczała do siebie, kiedy taszczyła zawiązany worek do bagażnika, by wywieźć go do „Wspólnej Szafy” – to przecież świat się nie kończy na jednym facecie. Jak to mawiała babka Roberta? W morzu jest wiele rybek.

ROZDZIAŁ 29

Lena wierciła się na krześle niczym niegrzeczny uczeń na nudnej lekcji. Wieczór walentynkowy dłużył się nie tylko dlatego, że Jakub przyniósł wino, które wcale jej nie smakowało – za to jemu bardzo, i w związku z tym był już nieco podchmielony. Tak naprawdę tym, co sprawiało, że dziewczyna chciała już zamknąć drzwi za Kubą i pójść do swojego pokoju, był fakt, iż w skrzynce pocztowej czekał na nią mail od Borysa.

Niepotrzebnie uruchamiałam komputer, denerwowałam się w myślach. Należało spokojnie poczekać, aż zostanę sama i będę mogła przeczytać list tyle razy, ile tylko zapragnę – a potem odpisywać choćby przez calutką noc.

Swoją drogą jak to świadczyło o jej związku z Jakubem i co właściwie mogło oznaczać? Odpowiedź na pierwsze pytanie była w miarę łatwa: żadnego związku tak naprawdę nie było. Lena wspominała swoje zauroczenie Kubą sprzed zaledwie kilku miesięcy. Czy wynikało ono z nudy, bo przecież po przyjeździe do Lubka nie znała tu nikogo? Czy może historia jej znajomości z Jakubem była typowym przykładem „gonienia króliczka”, o którym niedawno rozmawiała z Marceliną? Dopóki chłopak wydawał się nieosiągalny, pociągał Lenę i interesował, lecz w chwili, gdy sam zwrócił na nią uwagę, stracił cały urok i stał się po prostu jednym z wielu młodych mężczyzn, którym w głowie tylko seks i inne przyjemności natury cielesnej.

Jedno trzeba było mu przyznać – w tej dziedzinie był czuły i sprawny. A to dla Lenki, mocno wycofanej po swojej jedynej w życiu miłości, miało niebagatelne znaczenie. Jakub zdołał otworzyć jej ciało na nowo, przekonał ją, że jest bezpieczna i że w odczuwaniu przyjemności nie ma ani nic złego, że nic jej nie grozi ze strony tego, który obdarowuje ją pieszczotami. Czasem – rzadko, ale jednak – Helena rozmyślała o tym, że gdyby nie seks i rozluźnienie, jakie przychodziło zaraz po nim, zwariowałyby od napięcia i frustracji związanej z opieką nad babcią Mieczysławą. Poza tym, i to było nie mniej ważne, z Kubą miło się spędzało czas, nawet jeśli były to wieczory wypełnione wyłącznie pieszczotami, śmiechem i lekkimi pogawędkami o nic nieznaczących sprawach.

Ale przecież nie można być z kimś w związku tylko dlatego, że miło się z nim spędza czas i w łóżku jest przyjemnie, myślała teraz Lena, patrząc, jak Jakub nalewa resztki trunku do swojego kieliszka i wychyla jednym haustem. Nie powinno się, a nawet nie wolno ciągnąć znajomości i udawać, że ona coś znaczy, wyłącznie po to, by zapewnić sobie coś w rodzaju masażu po dniu pełnym stresu.

Tyle że to zdecydowanie nie był właściwy moment, aby Jakubowi o tym powiedzieć.

Po pierwsze, przyszedł elegancko ubrany, w błękitnej koszuli i pod krawatem, z bukietem kwiatów i winem. Po drugie, przez cały czas Lenkę komplementował i wyznawał jej, jak wiele znaczy dla niego to, co się między nimi dzieje. Paskudnie byłoby zerwać z kimś w walentynki, zreflektowała się dziewczyna. Sztuka odchodzenia była jej obca, jako że nie miała wprawy. Powinnam trochę odczekać, przez jakiś czas unikać spotkań, układała sobie w głowie; potem po prostu powiem mu, że znajomość nam się rozlała w szwach.

– Jedziesz w końcu do tej Włodawy? – Głos Jakuba wyrwał Helenę z zamyślenia.
– Bo może znalazłabym sobie zastępstwo i pojechałbym z tobą.

– Przecież wspominałam ci, że tata złamał nogę – odparła. – Nie mogę się wyrwać.

– A gdyby z babcią została ta pielęgniarka, pani Alina?

Dziewczyna zawahała się. Nie miała odwagi wypowiedzieć na głos tego, o czym pomyślała, gdy jakiś czas temu zastanawiała się nad taką opcją: że babcia mogłaby umrzeć, kiedy wnuczka będzie gdzieś daleko. Że odeszłaby w samotności, bez choćby jednej bliskiej osoby przy łóżku. Taka myśl była dla Leny nieznośna.

– Bałabym się – odpowiedziała wreszcie. – Gdyby akurat wtedy jej się pogorszyło, nie darowałabym sobie do końca życia.

– Ostatecznie można coś pokombinować, żeby ją przyjęli do szpitala – zaproponował lekko Jakub. – Wiesz, że niby jej gorzej, miała drgawki czy coś. Wtedy wezmą ją na obserwację, a my zdążymy skoczyć na wschód i wrócić. Jakby wygospodarować parę dni, to nawet można by coś pozwiedzać, jakiś przytulny hotelik zaliczyć...

Helena patrzyła na niego w milczeniu.

Wyjdź stąd, pomyślała. Nie jesteś ani trochę podobny do człowieka, z którym chciałabym spędzić walentynki. Pomijając fakt, że taki człowiek póki co nie istnieje – ty nie przypominasz nawet marzenia o nim.

Na głos powiedziała jedynie:

– Chyba mamy odmienne podejście do tych spraw. Mnie nie chodzi o to, żeby się pozbyć kłopotu, tylko żeby babcia nie czuła się samotna.

– Czy naprawdę sądzisz, że ona wie, kto przy niej siedzi? – Roześmiał się Kuba. – Przecież jej wszystko jedno. Nie kuma, co się dzieje, kto ją przewija i karmi. Lenuś, nie gniewaj się, ale twoja babcia jest już prawie roślinką.

– Być może. Ale pozwól, że ja jednak będę ją traktować jak człowieka. – Zdenerwowała się wreszcie Helena. – Zresztą roślinami też zajmuję się tak, jakby były czującymi istotami. Rozmawiam z nimi, choć zapewne tego nie zrozumiesz i wyda ci się to śmieszne.

– Bo jest śmieszne!

Jakub był już na tyle podchmielony, że nie zauważył, jak bardzo rozżłościł swoją dziewczynę. Miał rumieńce, nieporządnie rozwichrzone włosy, a oczy błyszczały mu nienaturalnym blaskiem.

– Wiesz co? – zaczęła Lena na pozór spokojnie, choć w środku aż kipiała ze złości.

– Skoro cię to śmieszy, proponuję, żebyś poszedł się pośmiać gdzieś, gdzie ludzie mają podobne poczucie humoru. Bo ja, jak się okazuje, mam zupełnie inne.

– Ależ Lenka... Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj. Przykro mi, że muszę być niemiła akurat dzisiaj, bo przecież przyniosłeś wino i kwiaty. Chociaż z drugiej strony wino i tak wyłopałeś sam, a kwiaty zawsze możesz zabrać i dać Marcie. Ucieszy się.

Jakub wstał gwałtownie od stołu. Nogi od krzesła wydały przenikliwy dźwięk i Lena wystraszyła się, że babcia się obudzi. Obejrzała się w stronę babcinego pokoju i nerwowo spłótła palce.

– Helena... – zaczął Kuba ostrzegawczym tonem. – Nie lubię takich żartów...

– Kiedy to wcale nie są żarty. Mówiłam, że mamy odmienne poczucie humoru. Usiłuję tylko powiedzieć, Jakub, że powinieneś już iść. Może kiedy alkohol wywietrzeje ci z głowy, porozmawiamy o tym wszystkim i wtedy przyznasz mi rację. Idź do domu, proszę.

– Nie rozumiem. O co ci właściwie chodzi?

Lena także wstała i podeszła do futryny.

– Chodzi mi o to... – starała się wyciszyć emocje i własne serce, które biło jak dzwon na trwogę – że nasz związek jest pomyłką. To wszystko nie tak. Nie jesteśmy do siebie ani odrobinę podobni. A ludzie, którzy uprawiają seks i spędzają ze sobą czas, chyba powinni być przynajmniej...

– Zaczekaj.

– Nie, nie chcę czekać. W każdym razie nie w tej chwili. Dziś nie mam na to siły. Po prostu zostaw mnie, pozwól mi ochłonać.

Patrzył na nią zaskoczony. Chyba nie wierzył, że mogłaby mówić poważnie.

– Dobranoc, Jakub. Przepraszam cię, ale teraz muszę iść sprawdzić, czy babcia nie potrzebuje do toalety. Bo te pampersy, sam rozumiesz, czasem nie wystarczają i wtedy muszę zmieniać pościel.

Wzdrygnął się i postąpił kilka kroków, potem zdjął z wieszaka kurtkę.

– Zadzwoń jutro – powiedział. – Lena, ja naprawdę... Dla mnie to wiele znaczy. Nie zrezygnuję z ciebie.

Helena westchnęła. Nie miała teraz ochoty analizować własnych uczuć. Chyba była zmęczona. I może odrobinę rozczarowana.

– Idź już – zakończyła stanowczo. – Dobranoc.

Babcia rzeczywiście nie spała, zapewne wybudzona dźwiękiem odsuwanej z impetem krzesła, ale na szczęście pościel była sucha. Po wyprawie do toalety Lenka troskliwie okryła staruszkę, zgasiła światło, po czym usiadła na brzegu łóżka i przez chwilę tkwiła w ciemności, gładząc suchą dłoń staruszki.

– Wiesz, babciu, właśnie pokłóciłam się z chłopakiem. Trochę to przeżywam, bo to był pierwszy raz. To znaczy nie pierwszy raz mam chłopaka, ale pierwszy raz się z kimś w ten sposób posprzeczałam. Właściwie niemal nie było powodów. Takich zewnętrznych, mam na myśli jakieś zdrady czy inne niegodziwości. Przeciwnie, młodzieniec sympatyczny, uczynny, dobrze wychowany...

Umilkła, bo kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczyła, że babcia patrzy na nią czujnie.

– Wydawało mi się, że jestem w nim zakochana – podjęła po kilku sekundach. – Wiesz, kiedy mnie przytulał, dotykał, całował... na chwilę robiło się bezpieczniej, cieplej na sercu. Ale teraz już wiem, że to nie była miłość. Ani z mojej, ani z jego strony. Z mojej to może... samotność, trochę strachu, jakiejś niepewności, rozumiesz... Natomiast on? Pewnie po prostu chciał mnie mieć. Nawet jeśli w gruncie rzeczy zupełnie nie potrzebuje kogoś takiego jak ja.

Babcia zamknęła oczy. Lena po cichutku wstała i poszła do swojego pokoju. Przez

chwilę udawała sama przed sobą, że nie wariuje z niecierpliwości, aby otworzyć list od Borysa, ale wreszcie skapitulowała i zalogowała się do skrzynki pocztowej.

Pani Leno!

I Pani mi dopiero teraz pisze, że babcia Mieczysława przeżyła jakąś tajemniczą historię na Syberii?! Przecież ja zdieram podeszwy w poszukiwaniu intrygujących opowieści – a oto jedna z nich jest na wyciągnięcie ręki! Proszę napisać coś więcej! Proszę napisać absolutnie wszystko, co Pani wie!

Pyta Pani, czy także czekam na zapach mokrej ziemi. Pisze Pani o cudach, wiosennych sukienkach i dziecięcym zachwycie.

Pani Leno, przez ostatnie miesiące tkwiłem w miejscu tak ciemnym, że nawet nie pamiętałem o tym, iż kiedyś jeszcze przyjdzie wiosna. Nie wiedziałem, że wciąż są na świecie zachwycone dzieci i kobiece sukienki. To ciemne miejsce znajdowało się we mnie i, mówiąc szczerze, sądziłem, że już tam zostanę. Ale wydostałem się i obiecuję, że spróbuję pozostać jednak tutaj, po jasnej stronie. Tylko proszę nie przestawać do mnie pisać, bo Pani listy dodają mi sił.

A co do widoku z okna, winnic i tak dalej, to już nie mieszkam we Francji.

Moja ostatnia książka została przetłumaczona na kilka języków, stała się międzynarodowym bestsellerem i na moim koncie pojawiła się kolejna absurdalna kwota. Postanowiłem więc wyruszyć w drogę, bo pieniądze zawsze uświadamiają mi, jak bardzo pozbawione sensu jest gromadzenie przedmiotów i przywiązywanie się do miejsc, które w każdej chwili mogą przestać być nasze. W tej chwili piszę do Pani z podróży. Gdzie i kiedy się zatrzymam? Tego jeszcze nie wiem, choć mam już pewne podejrzenia.

Przepraszam za to depresyjne zakończenie. Proszę pamiętać – czekam na opowieść o babci!

Pozdrawiam,

Borys

Lenka westchnęła. Chyba liczyła na coś innego. Sama nie była pewna, na co – może miała nadzieję na błyskotliwy, skrzący się dowcipem list o tym, jak cudownie jest na południu Francji, ale że jeszcze cudowniej byłoby móc pokazać ten słoneczny świat jej, Lenie?

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. – Pouczyła samą siebie, po czym zabrała się za opisywanie wszystkiego, co zdołała ustalić na temat pobytu babci na Syberii.

ROZDZIAŁ 30

Halinka umarła cztery dni po tym, jak wysiedli z pociągu. Od śmierci Tosi słabła i dosłownie kurczyła się w oczach, a w ostatnim tygodniu podróży dostała krwawej biegunki i odwodniła się niemal zupełnie. Miecia, żeby nie bać się tak bardzo i nie myśleć o tym, co ją czeka, jeśli zostanie sama, spędzała podróż z nosem przyklejonym do malutkiego okienka. Patrzyła na góry, liczyła wykute w skale tunele i zastanawiała się, jak będzie po śmierci. Czy jeśli się kilka razy skłamało lub jeżeli ktoś ukradł żonie felczera kawałek ciasta drożdżowego, to jeszcze trafi się do nieba, czy już nie? I jeśli do nieba, to czy spotka się tam mamę, tatę i Tosieńkę? Czy w niebie dzieci też potrzebują mleka? Czy tam każdy czuje się syty? Czy zawsze jest ciepło?

Wieczorami, gdy w wagonie zapadała ciemność rozjaśniana jedynie wątlm płomykiem piecyka, do Mieci przysiadł się Rysiek Skorek. Obejmował ją ramieniem i szeptał słowa pocieszenia, a czasem głąskał po włosach, aż zasnęła. Kilka razy z takiego snu wybudzał ją dotyk w okolicach piersi, innym razem w pobliżu ud, ale nigdy nie była pewna, czy jej się to śniło, czy też Rysiek, gdy tylko wyczuł, że dziewczyna nie śpi, cofał rękę.

Kiedy wreszcie pociąg stanął i kazano im wysiąść, nie dowierzali, że to już koniec. Halina nie mogła ustać na nogach. Położyła się w śniegu i Miecia bardzo się bała, że któryś z żołnierzy ją zastrzeli, ale oni patrzyli obojętnie na zesłańców. Najwyraźniej eskorta wojskowa miała tylko na celu dowieźć ich tutaj – co się z nimi stanie potem, żołnierzy nie obchodziło.

Dalej mieli jechać ciężarówkami. Miecia nie mogła sama dać sobie rady z tobołkami i słaniającą się Haliną, na szczęście z pomocą przyszedł Rysiek i dwóch innych chłopców. Rozalka rozglądała się, czy z sąsiedniego wagonu wysiądzie matka, starsza pani Skorek, ale nie dostrzegła jej. Musiała umrzeć już wcześniej i zostawiono ją pewnie na którymś wcześniejszym postoju. Szary koc Miecia zauważyła u pewnej biuściastej kobiety, która tuliła do siebie małe dziecko. Niech je nadal tuli, pomyślała niemal obojętnie. A jak dziecko umrze, ukradnę jej ten koc, bo on należy do nas.

Zakwaterowano ich w drewnianym baraku podzielonym na dwadzieścia niewielkich pomieszczeń. W tym ostatnim była wspólna kuchnia, pozostałe dziewiętnaście rozdzielono między przesiedleńców. Halinka i Mietka trafiły do jednego pokoju z Ryśkiem i Rozalią; poza nimi były tam jeszcze trzy rodziny z innego wagonu: Kopców, Szurzyńskich i Mitlików. Najstarsza kobieta, zwana babcią Kopcową, która miała tylko jeden ząb, od razu wzięła się pod boki i zarządziła, kto gdzie śpi, a młodych chłopców, Ryśka i Janusza Mitlika, wysłała po mech do uszczelnienia szpar w ścianach. Halinę, jako ciężko chorą, już następnego dnia przeniesiono do szpitala i Miecia widziała, że wszyscy się z tego cieszą, bo zrobiło się nieco luźniej. Znienawidziła ich za to, zresztą w ogóle nienawidziła całego świata, a najbardziej Ryszarda. Już nie tylko za tamto z kocem i małym Antosinym trupkiem, ale też za to, co robił jej wieczorami. Teraz nie czekał nawet, aż Miecia zaśnie. Dopadał ją w dzień, wykorzystując rzadkie chwile, gdy byli sami, głądził

ją po rozwijających się piersiach i wtykał palce między nogi, szepcząc, że jeśli będzie cichutka i miła, on nie da jej umrzeć, będzie dla niej jak starszy brat, bo przecież ona nie ma teraz nikogo i zginie marnie bez niego. A kiedy Mieczysława dorośnie i zacznie pracować, tak mówił, to on się z nią ożeni i zadba o to, żeby już nigdy nie była głodna.

Mietka znosiła jego dotyk, choć musiała z całej siły zaciskać powieki, by nie widzieć jego spoconej, czerwonej twarzy. Wcześniej wydawał jej się przystojnym, ładnym chłopcem, teraz stał się odrażający z tym wielkim nosem i nienaturalnie niebieskimi oczami. Nie ufała mu. Halinka wyzdrowieje w szpitalu, mówiła sobie w duchu, a wtedy przeniesiemy się obie do innego baraku i Rysiek już nigdy nie dotknie mnie w ten sposób.

Ale Halina Knus umarła. Podobno przed śmiercią oszalała zupełnie. Podczołgała się do łóżka pod oknem i jakimś cudem zdołała ukraść Stefie Sas nowo narodzone dzieciątko. Chłopczyk zaczął płakać i to obudziło Stefę, ale była osłabiona krwotokiem po porodzie, nie miała siły wstać, więc tylko krzyczała. Zaalarmowała w ten sposób pielęgniarkę i doktora, którzy wspólnymi siłami zdołali przekonać Halinę do oddania noworodka. Tak, to twoje dziecko, mówili uspokajająco, ale teraz oddaj nam, trzeba je przewinąć, przebrać, nakarmić, a ty nie masz mleka. Halinka umarła zaledwie kilka minut później. Ledwie doprowadzili ją do łóżka i okryli, bo w izbie szpitalnej było zimno, a ona długo czółgała się po podłodze, zanim wreszcie udało jej się dostać do dziecka.

Żeby choć umierała z maleństwem w ramionach, myślała sobie Miecicia, chlipiąc cichutko na pogrzebie. Wierzyłaby, że ma znów przy piersi swoją córeczkę, że jakimś cudem wszystko jest jak dawniej. I chociaż w godzinie śmierci byłaby szczęśliwa.

Pochówek był świecki. Nie ma żadnego Boga, powiedział komendant, kiedy poszły z Rozalką zapytać o księdza albo choćby popa.

– Ale przecież cerkiew tutaj macie – odważyła się wtrącić Rozalia.

– Jaka tam cerkiew, to jest dom kultury. Boga nie ma – upierał się. Śmierdziało od niego gorzałką. – Jest tylko wyższa siła przyrody, rozumiecie? I ta wyższa siła jest taka, że kto chory lub stary, umiera, a kto zdrowy i młody, żyje. Młody rodzi potomstwo, a potem starzeje się i też umiera, żeby zrobić miejsce następnym młodym. Taki to jest cykl, dziewczynki, i żaden Bóg nie ma tu nic do rzeczy.

ROZDZIAŁ 31

Kiedy Beata wróciła ze szpitala, najpierw spłakała się i uściskała mocno dzieci (Marcelina także dała się przytulić, choć dziwnie się czuła w objęciach matki), po czym zwołała rodzinną naradę.

– Musimy ustalić podział obowiązków – oznajmiła. – Mam od lekarza wyraźne zalecenia: leżeć, odpoczywać, nie martwić się niczym. Nie mogę robić tego wszystkiego, co robiłam dotychczas, no wiecie, ogarniać całego domu.

Ojciec zachnął się i chyba chciał przerwać, ale Marcelina go ubiegła.

– Dopiero kiedy trafiłaś do szpitala, zrozumiałam, ile spraw było na twojej głowie – wtrąciła. – Zgadnam się, musimy się podzielić obowiązkami. Ja mogę odbierać Jędrka ze szkoły.

– Ale ja mogę chodzić sam – oświadczył Jędrak, który z powagą uczestniczył w naradzie. – Mam już osiem lat. Przecież skoro mama jest w domu, nie muszę siedzieć w świetlicy.

– No tak, rzeczywiście.

– Ja przejmę zakupy – zaofiarował się tata. – Tylko musicie mi robić listę, co mam kupować, bo inaczej będzie na chybił trafił.

– Dobrze – odparła mama jakoś miękko, a Marcelina odetchnęła z ulgą. To była dawna mama z dawnym uśmiechem; ta zapamiętana jeszcze z dzieciństwa, kiedy rodzice się nie kłócili i świat wydawał się podobny do kolorowego widoczku z wakacyjnej pocztówki.

– W takim razie ja będę odkurzać. I w ogóle sprzątać.

– Dobrze, Marcysiu. I jeśli się zgodzisz, chciałabym cię trochę nauczyć gotować, bo z zupą nie ma problemu, ale już na przykład pierogów czy ciasta drożdżowego nie powinnam zagniatać, zresztą stanie przy naleśnikach albo plackach ziemniaczanych też nie wchodzi w grę.

– Dobra – burknęła dziewczyna, bo ta akurat propozycja niezbyt jej się podobała.

– Tylko żeby potem nie było pretensji, jeśli nie zdam matury.

– Ale przecież nie będziesz gotowała codziennie!

– W weekendy ja mogę pichcić obiady – zadeklarował tata.

– A ja będę pomagał – dorzucił Jędrak. – I umiem rozwieszać pranie. Pamiętasz, Marcysia, jak ci pomagałem?

– Pamiętam. Nawet skarpetki pięknie parowałeś.

Mama znów się uśmiechnęła i położyła dłoń na brzuchu. Wciąż był płaski, nic nie było widać. Marcelina czasem odnosiła wrażenie, że mama udaje tę całą ciążę. Chciała już widzieć jakąś wypukłość, żeby móc uwierzyć, iż będzie miała jeszcze jednego brata. A może siostrę? Sama nie wiedziała, kogo by wołała.

– W takim razie z całą resztą sobie poradzę – orzekła mama wesoło. – Wielkie porządki nie zdarzają się tak znowu często, jak zacznie się zbliżać Wielkanoc, to się zastanowimy, jak to zorganizować. Zresztą może wtedy już będę na chodzie, może mi się unormują te wszystkie witaminy i minerały? Zostały drobiazgi. Wstawić pranie to nie

kłopot, prasowaniem podzielimy się tak: tata prasuje swoje, Marcyś swoje, a ja swoje, Jędrkowe i domowe.

– Przecież nie powinnaś długo stać – wtrącił ojciec, patrząc znacząco na córkę.

– Mogę sobie podzielić na malutkie partie, codziennie po kilka ciuszków – uspokoiła go mama, a Marcelina odetchnęła, bo akurat prasowania szczerze nienawidziła.

– Dobrze, kochani. To teraz poproszę mojego synka o kocyk, bo mi się zrobiło zimno i sennie. Zdrzemniesz się ze mną, mały pomocniku?

– Nie, ja mam rozpoczętą rakietę z lego technic – odparł poważnie Jędrrek. – Ale może tata się zdrzemnie?

Ojciec spojrział na mamę znacząco, a ona oblała się rumieńcem.

Oho, pomyślała Marcelina, pewnie będą się miziać pod tym kocem. Kto by pomyślał, że po tym wszystkim, co przeszli, wciąż mają na to ochotę.

– Chodź – mruknęła do brata. – Ty się zajmiesz budowaniem rakiety, a ja zabiorę się do nauki. Muszę posiedzieć nad biologią.

Następnego ranka Marcelina nareszcie mogła dłużej zostać w łóżku. Spędziła upojne pół godziny, przeciągając się i wpatrując w sunące po zimowym niebie obłoki. Rozkoszowała się tym, że nic nie musi. Rozpoczęły się ferie zimowe – być może ostatnie w jej życiu, jeśli nie dostanie się na studia.

Myślała o tym, że poprzedniego dnia po rozmowie z mamą wcale nie zaczęła się uczyć, lecz spędziła zupełnie bezproduktywne popołudnie, wgapiając się w wyświetlacz komórki i czekając na telefon od Huberta. Czekala tak od pamiętnego walentynkowego spotkania, kiedy omal jej nie pocałował. Przez cały weekend, a potem poniedziałkowy poranek łudziła się jak głupia, że on zadzwoni i zaproponuje jej spotkanie, ale tak się nie stało. Powrót mamy ze szpitala oderwał ją na chwilę od tych myśli, ale potem, kiedy zamknęła się na powrót w swoim pokoju, uświadomiła sobie, jak bardzo zależy jej na tym chłopaku.

Kto by pomyślał, Hubert Ksyk skradł jej serce. Może i przystojny, ale w jakiś nienachalny sposób, zupełnie inaczej niż modele czy celebryci. Mądry, dojrzały, poważniejszy niż inni koledzy. I powściągliwy. Marcelina zrozumiała, że spodobał jej się między innymi dlatego, że nie próbował się do niej dobierać, nie całował jej jak wtedy Kamil na studniówce, a jeśli ich usta na chwilę dotknęły się w tańcu, to stało się to mimochodem, niemal niezauważalnie, tak że potem wielokrotnie zastanawiała się, czy to były przypadkowe, czy umyślne pocałunki. A może nie było ich wcale, tylko je sobie wyobraziła?

Wzięła telefon do ręki i sprawdziła, choć przecież wiedziała, że nie ma żadnego nieodebranego połączenia ani esemesa. Dlaczego on się nie odzywa? Przecież powiedział: „Mam nadzieję, że dokończymy tę rozmowę”. Spodziewała się telefonu już następnego dnia, a tu nastał wtorek, a on milczy.

Nagle przyszło jej do głowy, żeby napisać do niego w sprawie studiów. Przypomniała sobie, jak kiedyś rozmawiali na ten temat, tyle że ona zachowała się wtedy paskudnie i zażartowała sobie z Huberta, mówiąc, że sama zamierza zostać hostessą, kręcić tyłkiem, wypinać piersi i w ten sposób zarabiać na życie. Teraz, wspominając tamtą

głupią rozmowę, aż się spociła z nerwów. A jeśli on nie wyczuł, że to kpina? Jeśli naprawdę uwierzył, że Marcelina jest tak pusta?

Ratunku, bo się gubię. Gdzie w końcu idziesz na studia? Ja się waham między chemią a ochroną środowiska – napisała w końcu. Z bijącym sercem czekała na odpowiedź, ale telefon milczał. W końcu dziewczyna wstała i poszła do łazienki. Choć nie zamierzała wychodzić z domu, umyła i ułożyła włosy, zrobiła lekki makijaż, a potem zabrała się za szykowanie śniadania dla siebie i Jędrusia, który jeszcze spał. Mama siedziała przy komputerze w pokoju ojca; chrupała orzechy i migdały.

– Rano wpadła do nas Lena z ciastkami owsianymi. Właśnie szukam czegoś na prezent dla niej, bo jakoś musimy się jej odwdziaczyć za te obiady, które wam gotowała – wyjaśniła. – A wiesz? Podobno pani Klara jest chora i potrzebuje pomocy przy wyprowadzaniu psa.

– Co jej jest?

– Nie wiem dokładnie, chyba coś ze stawami. W każdym razie rano Lena wyprowadziła Nitkę, Francesca obiecała, że weźmie ją wieczorem, bo chce zacząć biegać i uznała, że to świetny pretekst, a ty byś mogła po obiedzie. Co ty na to?

– Pewnie, nie ma problemu. To może ja w takim razie odwiedzę teraz panią Klarę, posiedzę z nią trochę i potem pójdę z Nitką?

– Jeśli chcesz... Na pewno będzie jej miło.

Marcelina darzyła sąsiadkę z naprzeciwka ciepłymi uczuciami. Kochała ją tylko troszkę, taką cichą, przykurzoną, zapomnianą miłością, jaką kocha się kogoś rzadko widywanego, z kim wiążą się najpiękniejsze wspomnienia. Tak właśnie było – dziewczyna pamiętała najwcześniejsze lata dzieciństwa spędzone pod opiekuńczymi skrzydłami niani Klary jako raj na ziemi. Podczas spacerów wolno jej było robić wszystko to, czego zwykle zabraniała mama: nabierać pełne garście ziemi, tupać nóżkami w kałużach i śmiać się, kiedy kropelki błota trafiały na rajstopki. Mogła zbierać szyszki i układać z nich wzorki, a cierpliwa opiekunka przynosiła kolorowe kamyki i kawałki cegłówek, żeby pokazać małej Marcysi, że zupełnie inaczej nagrzewa się na słońcu kamień, cegła, drewno, a inaczej wilgotna ziemia.

Po śniadaniu dziewczyna pouczyła się trochę biologii, co chwila zerkając w stronę komórki – obiecała sobie, że sama nie zadzwoni i nie wyśle już żadnej wiadomości. Nie odpisał, drań jeden, myślała z żalem, usiłując zmusić swoje myśli do skupienia na rodzajach mutacji i krzyżówkach genetycznych. Pewnie przesadziłam wtedy z tym pocałunkiem. To znaczy z mówieniem o pocałunku. Może on jest z tych chorobliwie nieśmiałych w sprawach cielesnych, a ja palnęłam taką głupotę i poczuł się naciskany. Sama nie wiem.

Pomogła mamie przy obiedzie – obrała ziemniaki i ubiła filety z kurczaka na kotlety de volaille, potem we dwoje z Jędrusiem przygotowali surówkę.

– Zjem później, mamo – powiedziała. – Po spacerze będę miała lepszy apetyt, teraz jakoś nie chce mi się jeść.

– Jak chcesz. Ale wszystko w porządku? – zapytała mama nieuważnie.

Pewnie myśli o tym małym, pomyślała Marcelina i przez moment czuła coś paskudnego, co dopiero po chwili zidentyfikowała jako zazdrość. Kto by pomyślał,

prawie dorosła baba, a zazdrosna o mamusię, przemknęło jej przez głowę. Wzięła kurtkę, założyła buty i poszła do sąsiadki z naprzeciwka.

Pani Klara nie otworzyła drzwi, tylko huknęła swoim grubym głosem, żeby wejść. Pewnie spodziewała się Leny z parteru, bo na widok Marceliny ucieszyła się, ale i zdziwiła.

– Dowiedziałam się, że jest pani chora. – Uśmiechnęła się dziewczyna. – I wpadłam z wizytą. A jeśli pani chce, to mogę też zabrać Nitkę na spacer.

– Oj, tak, kochane dziecko, bardzo ci będę wdzięczna. Była tu Helenka, przyniosła mi zupy, a rano napiekła ciastek z owsa z rodzynkami. Ty wiedziałaś, że ona tak dobrze gotuje? Zupa krem z pora, z kluseczkami. Po prostu mistrzostwo świata. Ja sobie w zasadzie ze wszystkim radzę, bo jakoś tam kuśtykam, ale kostki mi popuchły, kolana też ledwo zginam, z psem nie dam rady pójść. Nitka jest przyzwyczajona do długich przechadzek, bo ja ją codziennie zabierałam na marsz z kijkami. Ale teraz nie dam rady – powtórzyła pani Klara.

– Nie ma problemu, naprawdę chętnie się przejdę. Pójdę tam, gdzie mnie pani prowadziła jako dziecko, pamięta pani? Koło trzciny za zalewem, a potem zakręcę w stronę Dłużka.

– Pamiętam, a jakże. Byłaś bardzo grzeczna, ale ciekawska, że hej...! Wszystko, co znalazłaś, musiałaś sobie obejrzeć, przełożyć z rączki do rączki, nawet polizać.

Marcelina roześmiała się na to wspomnienie.

– Rzeczywiście, pamiętam, jak plułam gliną.

– A jak chciałaś zjeść sarniego bobka?

– Nie, tego na szczęście nie zachowałam we wspomnieniach.

Teraz śmiały się obie. Marcelina miała ochotę przytulić się do obfitej piersi dawnej niani i na chwilę znów stać się małą dziewczynką.

– Jeśli zdrowie pozwoli, to będę się opiekowała twoim najmłodszym braciszkiem. Albo siostrzyczką – wyznała pani Klara. – Twoja mama przyszła tu do mnie wczoraj i zapytała, czy się podejmę tego zadania. Oczywiście, że się zgodziłam. Nareszcie znowu będę się mogła na coś przydać. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, kiedy człowiek nie jest nikomu potrzebny.

– Ale jak to: nikomu? Mnie zawsze była pani potrzebna. Tyle razy przychodziłam się tu wypłakać, kiedy nie dało się wytrzymać w domu...

Marcelina zamrugła szybko, żeby odgonić łzy wzruszenia. Na szczęście sąsiadka wykorzystała ten moment do bardziej prozaicznych celów.

– Ale teraz już chyba lepiej między rodzicami, prawda? – zapytała tonem starej plotkarki. – Już się tak nie kłóć, jak dawniej?

– Już nie, pani Klaro – Marcelina nachyliła się i poklepała starszą panią po pokrytej piegami dłoni. – Teraz się kochają jak króliczki. Czy tam jakieś inne puchate zwierzątka.

Nitka nie umiała chodzić przy nodze, więc trochę trwało, zanim się z Marceliną dogadały.

– Urywasz mi rękę, mała diabolic – strofowała ją dziewczyna, kiedy oddaliły się już od ostatnich zabudowań. – Do ciężkiej cholery, przestań ciągnąć.

Miała ochotę zakląć bardziej soczyście, ale nie była pewna, czy głos nie niesie po lodzie, a nie chciała, żeby usłyszały ją spacerujące po drugiej stronie zalewu matki z dziećmi.

Pani Klara prosiła, żeby spuścić suczkę ze smyczy, gdy tylko oddalą się od ruchliwej jezdni, ale Marcelina obawiała się, że Nitka natychmiast wbiegnie na cienką już o tej porze tafelę lodu.

– Puszczę cię dopiero za zalewem – mruknęła, a jamniczka, zupełnie jakby rozumiała, zaszczekała krótko. – No chodź, ptasi mózdzku, teraz ja z kolei muszę cię ciągnąć?

Przyspieszyła, bo zrobiło jej się zimno. Żałowała, że nie wzięła rękawiczek. Wkrótce znalazła się na skraju lasu na końcu zalewu, schyliła się i z ulgą odpięła smycz od obroży. Nitka natychmiast dała susa w trzciny rosnące po prawej stronie, a Marcelina obejrzała się, bo usłyszała kroki na asfalcie tworzącym alejkę spacerową wokół jeziora. Serce zabiło jej mocno. To był Hubert. Szedł w jej stronę szybkim krokiem. Nawet z daleka widziała, że był zarumieniony i zdyszany.

Odwróciła się, udając, że szuka psa. Właściwie nawet nie musiała udawać, bo jamniczka znikła jej z oczu.

– Nitka! – zawołała głośno Marcelina. – Niteczka! Chodź, Nitka!

Próbowała zagwizdać, ale nie potrafiła. Czowała, że Hubert jest tuż za nią, choć asfalt się skończył, a leśna ścieżka tłumiła odgłos kroków.

– Cześć – wysapał. – Dogoniłem cię.

– Cześć. – Zwróciła się wreszcie w jego stronę, choć nadal myślała o psie. – Przecież nie musiałeś gonić, wystarczyło odpisać na esemesa.

Wbrew jej woli zabrzmiała w tym pretensja. No dobrze, było jej przykro. I była na niego troszeczkę zła.

– Widzisz, w tym rzecz, że nie mam telefonu. Głupia sprawa. Na weekend byliśmy z ojcem u Julki, mojej siostry. I zostawiłem tam komórkę, cholera jasna, a ona mi dzisiaj pisze maila, że mam od ciebie wiadomość...

– A gdzie ta Julka...?

– W Poznaniu. Studiuje. Teraz akurat ma sesję i wpadliśmy na pomysł, że zawieziemy jej trochę domowego żarcia.

– Rozumiem.

Ładnie wyglądał z tymi rumieńcami, a szalik przyjemnie harmonizował z szarością tęczówek. W ogóle Marcelina zastanawiała się teraz, jak mogła kiedyś uważać, że Hubert nie jest przystojny. Bo przecież był. Interesujący i diabelnie pociągający. Gdyby tak jeszcze zechciał coś zrobić, wykonać pierwszy krok.

– No w każdym razie... Nic ważnego. Potrzebowałam rady w sprawie studiów.

– Tak, wiem. Czyli jednak nie hostessa?

– Przestań, wygłupiałam się wtedy.

Jak okropnie piekły ją policzki! Schyliła się, udając, że poprawia sznurówkę przy martensie, żeby ukryć zakłopotanie.

– Przecież wiem. Chciałaś mnie przepłoszyć – powiedział chłopak miękko, ale zaraz zmienił ton na rzeczowy. – W każdym razie świetnie się składa, bo Julka studiuje

chemię, tylko że wybrała specjalizację sądową. Jeśli chcesz, dam ci jej numer albo adres mailowy i podpytasz o konkrety.

– Brr, sądowa to nie za bardzo. Myślałam o analityce albo o chemii kosmetycznej.

– Dziewczyna całą siłą woli powstrzymała się od poprawienia chłopakowi włosów. Wiatr sprawił, że pojedyncze kosmyki zabawnie sterczały mu na czubku głowy.

– Ale i tak musisz zacząć od chemii ogólnej, wiesz? – podjął Hubert, ruszając razem z nią ścieżką, zupełnie nieświadom, że Marcelina marzy w tym momencie o dwóch rzeczach: żeby on wziął ją za rękę i żeby Nitka wylazła wreszcie z trzcin. – Dopiero po zrobieniu licencjatu trzeba podjąć decyzję, czy właśnie kosmetyczna, czy sądowa i tak dalej. Do tego czasu ci się wyklaruje.

– Może masz rację. Nitka!

Hubert rozejrzył się, spłoszony.

– Nitka to pies? – Upewnił się. – Gdzie polazła?

– No właśnie nie wiem, martwię się o nią.

– Nie mówiłaś, że masz psa.

– Bo nie mam. To jamniczka sąsiadki, mojej dawnej niani. Ma jakieś problemy ze stawami i nie mogła pójść z nią na spacer.

– Rozumiem. Gdzie polazła? To znaczy nie sąsiadka, tylko jamniczka?

Marcelina parsknęła śmiechem i pokazała ręką w stronę trzcin.

Hubert poszedł kilka kroków w tamtą stronę, ale w wielkich, zeschniętych kępach trawy lód był cienki i pod jego stopami zabulgotała woda.

– Wracaj, bo jeszcze się skąpiesz! – Marcelina chwyciła go za rękę i pociągnęła z powrotem na ścieżkę. – Nitka jest malutka i lekka, poradzi sobie. Chyba.

Wrócili na leśną drogę i pobiegli kilkadziesiąt metrów dalej, by zobaczyć, czy pies nie wyłoni się za zakrętem. Odetchnęli z ulgą, widząc Nitkę buszującą w resztkach śniegu. Hubert nie wypuścił już zmarzniętej dłoni dziewczyny, a kiedy się zatrzymali, przyciągnął Marcelinę do siebie i zamknął w objęciach. Był tak wysoki, że czuła jego gorący oddech na czubku głowy.

– Teraz potrzebuję trochę czasu – szepnął. – Po pierwsze, musi mi zwolnić serce, bo zaraz wyskoczy, i wcale nie dlatego, że biegliśmy.

– Moje też chce wyskoczyć – odszepnęła.

– Po drugie, chwilę potrwa, zanim do mnie dotrze, że to się dzieje naprawdę.

Tym razem nic nie powiedziała.

– A po trzecie – odezwał się Hubert po chwili – zamknij oczy, bo jeszcze nigdy nie całowałem dziewczyny i jestem koszmarnie stremowany.

Marcelina spełniła tę prośbę. Zamknęła oczy, odszukała dłońmi jego ciepłe policzki i usta, a potem pocałowała je delikatnie. Pokazała mu, jak pragnie być całowana, jak chce, żeby muskać wargami jej wargi, jak łagodnie mogą się dotykać języki. I to był zupełnie inny pocałunek niż tamten z Kamilem, niż jakikolwiek przedtem. Tak naprawdę, pomyślała, oboje całujemy pierwszy raz w życiu.

ROZDZIAŁ 32

Herbaciarki wyszły przepiękne. Dla Oli Francesca wybrała motywy podróżnicze, ponieważ Grzegorz opowiadał, że młodsza córka marzy o wozach. Na jej herbaciarce znalazła się więc stara walizka z nalepkami z Paryża i Nowego Jorku, stempel pocztowy, wieża Eiffla, Big Ben i jeszcze kilka widoczków z całego świata. Pudełko miało postarzone tło, całe było wykonane w sepii, tylko londyńska budka telefoniczna i parasolka francuskiej damulki cieszyły oko jaskrawymi kolorami. Wieczko od wewnątrz wyłożono czerwonym filcem, na którym została naklejona kartka papieru czerpanego z wypisanymi ręcznie „Poradami Cioteczki Helen”. Był to pomysł Leny – własnoręcznie, piórem napelnionym ciemnoczerwonym atramentem, napisała na przykład: *Herbatka lawendowa wycisza ciało i umysł, zalecana dla młodych panien przy nadmiernym wzburzeniu.*

Przyjaciółki bawiły się znakomicie, wymyślając podobne wskazówki dotyczące stosowania innych herbat. Grzegorz Wnuk zajrzał do „Cudeniek” już dwa dni po walentynkowym spotkaniu w kawiarni – przyniósł całą torbę herbatek ziołowych i poprosił o ich przechowanie, ponieważ, jak twierdził, w domu natychmiast wywęszyłyby je „wszędobylskie pannice”. Tak więc wkrótce Francesca miała już gotowy spis ziół i porad dotyczących ich stosowania. Ponieważ Beata została wypisana ze szpitala z zaleceniem: „odpoczywać, nie martwić się, nie płakać i zająć się czymś przyjemnym” – wszystkie trzy spotykały się codziennie wieczorem i obmyślały, co można by zrobić, żeby było lepiej.

Tak to właśnie ujęła Lena: zrobmy coś, żeby było lepiej.

– Ty już zrobiłaś – zauważyła wówczas Francesca. – Dzięki tobie jest lepiej nam wszystkim.

– O czym ty mówisz? – Zdumiała się dziewczyna.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Wszystko się zmieniło, odkąd tu przyjechałaś.

Beata pokiwała gorliwie głową. Lena patrzyła to na jedną, to na drugą przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami.

– Gdyby nie ty, nie zaprzyjaźniłabym się z Beatą – powiedziała Francesca, bo dotarło do niej, że tamta rzeczywiście nic nie rozumie. – No i z tobą. Nie opowiedziałabym nikomu o Szczepanie. Nadal spędzałabym samotne wieczory z butelką wina, tuląc się do jego starej kurtki.

– Francesca...

– Zaczekaj, nie przerywaj. Nie wprowadziłabym do oferty „Cudeniek” włóczkowych maskotek, nie przyszłoby mi do głowy, że coś można zmienić. Niby drobiazg, prawda? Szydełkowe zające, lale i miśki. Ale w gruncie rzeczy to jest metafora całego życia. Człowiek tkwi w swoim grajdołku, tak to się mówi? – Upewniła się, a Lena i Beata, zasłuchane, pokiwały głowami. – I nie przychodzi mu do głowy, że świat jest taki ogromny, a na tym świecie jest tyle możliwości... Tak wiele rzeczy można by zrobić inaczej, tylu nowych popробować... I trochę się nie ma odwagi, a trochę – chęci. Z lenistwa, z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z jakiejś głupiej niemocy nie robimy nic.

Lena miała dziwny wyraz twarzy. Jakby ktoś nią mocno potrząsał. Wyglądała trochę jak osoba wyrwana z głębokiego zamyślenia albo półsnu.

– Masz rację – rzekła cicho. – To znaczy... Co do tego tchórzostwa.

– A co do całej reszty to już nie? – spytała Włoszka czupurnie. – Mam rację od początku do końca.

– Nie. Mylisz się w tej jednej sprawie... – Zaśmiała się Helena. – Że niby to ja jestem w jakiś sposób odpowiedzialna za zmiany, jakie zaszły w twoim życiu.

– Nie w „jakiś”, tylko w bardzo konkretny. Owszem, jesteś. I będę ci za to wdzięczna do końca życia.

– Ale co ja takiego zrobiłam?

– Pokazałaś nam, jak bardzo odgrodziłyśmy się od świata – wtrąciła się Beata drżącym głosem i przez chwilę Francesca obawiała się, że doprowadziła przyjaciółkę do łez. – Pamiętasz? Babeczki, pizzerki, ciasto z powidłami. Słoiki z konfiturą i ogórki kiszzone. A za tymi podarunkami ty, zawsze uśmiechnięta, jednakowo ciepła dla mnie, dla mojej zbuntowanej córki i nieśmiałego Jędrusia.

– I dla zamkniętej w swoim sklepie Włoszki.

Lena miała wypieki jak po intensywnym treningu.

– Przestańcie, dziewczyny, bo będę beczeć – szepnęła.

– Mnie też się oczy pocą – przyznała Beata ze śmiechem. – Więc może rzeczywiście przestańmy. Franka, ty lepiej opowiadaj, co z tym przystojniakiem od herbaciarek.

– Nic, naprawdę nie ma o czym mówić. – Francesca zarumieniła się i uciekła spojrzeniem w sposób, który dowodził, że jednak miałyby o czym opowiadać. – Zajrzał parę dni temu do sklepu i pytał, jak idzie praca. Jutro ma przyjść po odbiór pudełeczek.

– I co?

– Co: i co?

– Na tym koniec? Nie zamierzasz nic z tym zrobić?

– A co miałabym zrobić? – Zdenerwowała się Włoszka. – Czego wy ode mnie oczekujecie? Mam mu znowu zaproponować randkę? Chyba przesadzacie.

– Dobrze, dobrze, nie wtrącamy się – powiedziała Helena ugodowo. – W końcu marne z nas specjalistki od spraw sercowych.

– A właśnie, skoro już o tym mowa, to jak tam u ciebie? Jak się układa między tobą a Jakubem? Będzie chleb z tej mąki?

Lena westchnęła. Wydawała się przygaszona i zakłopotana tym pytaniem. Francesca pożałowała, że w ogóle je zadała.

– Nie mam pojęcia – wyznała szczerze najmłodsza z przyjaciółek. – Niby jest dobrze: nie kłócimy się, dopasowaliśmy się w sprawach, no wiecie...

– Łózkowych – wtrąciła Beata. – A to już duży plus. Z perspektywy czasu widzę, że seks jest jedną z najważniejszych rzeczy w związku.

– Ale? – podpowiedziała Francesca, zwracając się znów do Heleny. – Co jest nie tak?

– Nie jestem pewna. Używając twojej metafory chlebowej, powiedziałabym, że nie ma drożdży. Nie rośnie. Rozumiesz?

– Podoba ci się ktoś inny? – chciała wiedzieć Beata. – Ten Łukasz z Jasienia?

– Dlaczego akurat Łukasz?

– Nie wiem, opowiadałaś, że czasem do siebie dzwonicie...

– Ale to tylko w sprawach syberyjskich. – Lena machnęła ręką. – A jeśli już...

Umilkła. Zrobiła minę, jakby zamierzała coś dodać, ale nie miała odwagi albo nie była pewna, czy na pewno chce to wyznać. W końcu dokończyła, lecz przyjaciółki odniosły wrażenie, że początkowo miała zamiar powiedzieć coś zupełnie innego.

– Jeśli już mowa o Łukaszu, to wydaje mi się, że on wie coś o Jakubie. Coś niedobrego.

– Dlaczego? – zapytały chórem Francesca i Beata.

– Nie umiem tego uzasadnić... Po prostu ci dwaj się nie lubią. Łukasz był jakby zniesmaczony faktem, że spotykam się z Jakubem. Z kolei Jakub, takie odniosłam wrażenie, nie chciał podać mi adresu Łukasza. Ech, to takie pokręcone... – Znów machnęła ręką, jakby odpędzała od siebie natrętnego owada. – W każdym razie powiem wam szczerze, że sprawy damsko-męskie wcale mnie nie zachwycają. Po co komu związki, zobowiązania, wszystkie te westchnienia i przytulańce?

– To znaczy, że nie trafiłaś dotąd na tego jedyne – orzekła autorytatywnie Beata.

– Nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że kiedy go spotkasz, wycofasz się z każdego słowa, jakie przed chwilą wypowiedziałaś.

Mina Leny dowodziła, że dziewczyna szczerze w to wątpi.

Francesca wspominała tę rozmowę, kiedy następnego dnia czekała na Grzegorza Wnuka. Oby tylko Lenka nie zaszła w ciążę, pomyślała; choć zazwyczaj myślała o macierzyństwie jako o darze z niebios, tym razem musiała przyznać, że to byłby najgorszy z możliwych scenariuszy.

Zamknęła sklepik już dobre dziesięć minut temu; zdążyła podliczyć pieniądze, posprzątać i podlać rośliny stojące przy oknie sklepowym. Obie herbaciarki stały na ladzie, przygotowane do zapakowania. Francesca chciała, żeby pan Grzegorz sam wybrał papier i tasiemki. Zresztą może zechce włożyć do środka jakieś kartki z życzeniami?

– Dzień dobry. – Odezwał się głęboki głos. – Przepraszam, że tak późno, dopiero zamknąłem u siebie, miałem jeszcze klientów.

Grzegorz Wnuk wszedł do sklepu bezszelestnie, zaskakując właścicielkę, pogrążoną w niewesołych myślach o związkach pozbawionych miłości.

– To te pudełka? – zapytał, a w jego głosie brzmiał szczery zachwyt. – Pani Francesco, są absolutnie przepiękne.

Ostrożnie uniósł wieczko pierwszej herbaciarki, tej z wieżą Eiffla.

– Ta jest dla Oleńki, prawda? – powiedział cicho. – Trafiła pani idealnie. Mój Boże, i ten środek; czy to jest pisane ręcznie?

– Tak – odparła Francesca i zamierzała dodać, że to Lena, nie ona, wymyśliła i napisała „Porady Cioteczki Helen”, ale Grzegorz chwycił ją za rękę i mocno uściśnął.

– Dziękuję! – Był wzruszony. – To jest wykonane tak ładnie, z taką starannością... Umawialiśmy się na sześćdziesiąt złotych, ale ja czuję, że powinienem pani zapłacić znacznie więcej.

– Ależ o czym pan mówi, panie Grzegorzu! – Oburzyła się zupełnie szczerze. – Zamówił pan upominki, ja je wykonałam, to moja praca! Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zrobić niedbale cokolwiek, nawet zwykły breloczek, a co dopiero prezenty dla córek.

– Nie to miałem na myśli. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że wkłada pani serce w każde z tych cudeniak...

– Nie mówmy już o tym. Płaci pan sześćdziesiąt złotych za każde z pudełek, bo tak się umawialiśmy.

Mężczyzna stropił się nieco i wyciągnął z kieszeni kurtki portfel.

– Jeśli pan chce, mogę przechować herbaciarki przez te parę dni, do ósmego marca – powiedziała szybko Francesca, ponieważ myśl, że on zapłaci i wyjdzie, była dla niej przykra. – Ale przede wszystkim proszę powiedzieć, jak mam to zapakować. Woli pan papier kolorowy czy szary? Tasiemki czy sznurek jutowy? A może torebki na prezenty?

– Nie wiem. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Nie mam za grosz zmysłu artystycznego. Zdaję się całkowicie na pani gust. Tu u pani wszystko mi się podoba, każdy drobiazg. Wyobrażam sobie, jak pięknie musi się prezentować pani dom.

Francesca roześmiała się i powiedziała lekko:

– Nic szczególnego. Wie pan, wnętrza nie są sumą sprzętów i ozdób. Poza ładnymi meblami, tkaninami i bibelotami musi być coś jeszcze... I ja chyba nie posiadam tego czegoś.

Nie wyjawiała mu, że nigdy nie dbała o to, jak urządzone jest jej mieszkanie – początkowo dlatego, że traktowała je jako miejsce chwilowego postoju. A potem, kiedy już zrozumiała, że Szczepan nigdzie jej nie zabierze i nie uwiją razem gniazdka, przez jakiś czas nie widziała sensu w ogóle w niczym, a co dopiero w tym, żeby wieszać w oknach ładne zasłonki.

– Chce pan włożyć coś do środka? Jakąś kartkę z życzeniami, dedykację...?

– Nie, nie... – Spłoszył się pan Grzegorz. – Jestem kiepski w pisaniu, wie pani? Nigdy nie potrafiłem dobrać odpowiednich słów. Zawsze wolałem mówić niż pisać. Nawet za esemesami nie przepadam.

– Ale życzenia...

– Ja im wszystko powiem – uciął. – Z mówieniem nie mam najmniejszych problemów.

Francesca tylko kiwnęła głową i zabrała się za pakowanie pudełek. Wybrała papier w drobną białą-czarną kratkę; rogi ozdobiła czarną aksamitką. Aby herbaciarki się nie pomyliły, na środku przykleiła serduszka wycięte z białego filcu i napisała na nich cienkopisem imiona dziewcząt.

– Gotowe. – Podniosła wzrok i zarumieniła się, bo Grzegorz przyglądał jej się z uwagą. – Razem sto dwadzieścia złotych. To jak, mam je przechować, czy zabiera pan już dzisiaj?

Odniosła wrażenie, że chciał wziąć pudełka, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wręczył jej pieniądze i rzucił okiem na zegar.

– Przechować, jeśli można, dziękuję. Odbiorę siódmego marca wieczorem, dobrze?

– Tak, oczywiście. – Francesca włożyła pieniądze do torebki i rozejrzała się

w poszukiwaniu kluczy.

– Pani Francesco... Czy jest już za późno na kawę?

– Słucham?

Przez chwilę sądziła, że chodzi mu o względy zdrowotne – czy o tej porze powinno się pić kawę. Odruchowo pokiwała głową, bo przecież owszem, było zdecydowanie za późno, ale po kilku sekundach dotarło do niej, że mogła to być nieporadna propozycja.

– Teraz jest pora herbaty albo... wina. – Uznała, że to brzmi bezpiecznie. – W każdym razie w mojej ojczyźnie o tej godzinie pija się wino.

– W takim razie czy da się pani namówić na lampkę wina w Café Czekadelo?

– Nigdy tam nie byłam – odparła, usiłując zebrać myśli.

– Ja też nie. Ale to tak blisko, że prawie moglibyśmy udawać, że mieliśmy po drodze.

Francesca roześmiała się. Rzeczywiście, kawiarnia znajdowała się niemal naprzeciwko.

– A co z samochodem? – zapytała, chociaż sama przyszła pieszo. Nigdy nie jeździła do pracy autem, bo przed jej sklepikiem nie było miejsca parkingowego.

– Pani przyjechała...? – Stropił się.

– Nie, myślałam, że pan...

– Ależ skąd. Mieszkam bardzo niedaleko. W takim razie nie ma żadnych przeszkód, pozostaje tylko pytanie, czy ma pani ochotę na wino.

– Włoszki się nie pyta o takie rzeczy – odparła Francesca. – Włoszka zawsze ma ochotę na wino. Chodźmy.

Kiedy usiedli przy kawiarnianym stoliku, poczuła się, jakby znów miała osiemnaście lat.

Wróciły do niej tamte emocje, znów śmiała się zalotnie, a siedzący naprzeciwko mężczyzna zaglądał jej w oczy; z tą jednak różnicą, że oboje byli ostrożni, oboje po przejściach. Wiedziała, że minie dużo czasu – i nie będzie to łatwy czas – zanim Grzegorz pozwoli sobie na miłość i zanim ona odważy się pokochać jego. Może nawet nie stanie się żadna z tych rzeczy? Może stchórzą oboje, może tylko jedno z nich, może wreszcie tchórzostwo czy odwaga nie będą tu miały nic do rzeczy?

Ale po raz pierwszy w tym życiu – tym po rozstaniu ze Szczepanem – naprawdę uwierzyła, że świat ma jeszcze dla niej w zanadrzu niejedną niespodziankę.

ROZDZIAŁ 33

Lena wymknęła się na poddasze, podlała kwiaty, po czym po raz kolejny przeczytała oba maile od Borysa. Czytała je w ciągu ostatnich dni raz po raz, do znudzenia. Właściwie wcale nie „do znudzenia”, ponieważ takie słowa nie mogły jej się znudzić. Znała je już prawie na pamięć.

Pani Leno – pisał Borys w liście z dwudziestego drugiego lutego. – Dziękuję za opowieść syberyjską. Wiele rzeczy jest tu niejasnych, ale domyślam się, że napisała mi Pani wszystko, co udało się Pani ustalić. W takim razie reszty poszukam sam. (Co mógł mieć na myśli? Gdzie zamierzał szukać?)

Znów jestem w podróży, za oknem pociągu migają mi pejzaże coraz bardziej podobne do tych, które zapamiętałem z dzieciństwa. Czy Pani wie, że choćby się człowiek nie wiem jak zestarzał (tak wewnętrznie, bo zmarszczki i cała reszta nie mają tu znaczenia), choćby stał się już emocjonalnym starcem, nadal zachowa w sobie kawałek dziecka? I to dziecko potrafi ni stąd, ni zowąd zaklaskać w ręce z radości, kiedy zobaczy coś, co mu się kojarzy z beztroską zabawą. Ten mały smyk rozpoznaje dawno zapomniane zapachy, na przykład to, jak pachniały kluski drożdżowe gotowane na parze albo aromat chwastów z dziadkowego podwórka... Kwitło to na fioletowo, listki miało trochę jak pokrzywa, a po deszczu pachniało jak... No właśnie nie wiem. Jak radość, wolność i wieczna frajda.

I jeszcze – ten brzdąc, naiwny chłopiec ukryty we mnie, cieszy się jak mały psiak, ilekroć dostaje list od Pani.

*Pozdrawiam Panią ciepło i ślę ukłony dla Babci,
Borys*

Helena odpisała wtedy bardzo krótko, bo babcia Miecia miała akurat gorszy dzień i trzeba było siedzieć przy niej, mówić albo nucić – dopiero wtedy przestawała wzdychać i trzepotać nerwowo dłońmi. Dziewczyna pisała więc list w pośpiechu. Zapytała tylko, co to za podróż, dokąd pan Borys zmierza. On jednak nie odpowiadał przez kilka dni, a potem pierwszego marca, napisał coś zupełnie nieoczekiwanego i nieprawdopodobnego.

Droga Pani Heleno, Leno, Lenko...

Siedzę w hoteliku, piję metaxę i piszę, a może na odwrót, piszę i piję, i siedzę... Zresztą jakie to ma znaczenie. Podpisałem dziś umowę na kolejną powieść kryminalną, choć tak naprawdę wolałbym się zająć syberyjską opowieścią babci Mieczysławy. Czuję jednak, że nie uchwyciłem jeszcze wszystkich nitek, zostało mi kilka podróży, telefonów, maili i wiadomości na Facebooku... Jeszcze trochę, Pani Leno, i będę gotowy.

W takie dni, jak dziś, byłbym gotów powiedzieć Pani wszystko. Byłaby to zupełnie niewiarygodna historia o tym, jak pewnego dnia napisała Pani do samotnego faceta, który powoli tężał jak lawa, zamieniał się w kamień – i ten Pani list obudził go, rozruszał w nim

coś, co ciągle było żywe pod stwardniałą skorupą. O tym, jak kolejne Pani listy sprawiały, że kruszyła się na mnie warstwa ironii i może nawet cynizmu; stawałem się coraz cieplejszy i – jak pisał Stachura – znowu ruszyły dla mnie noce i dni, i pory roku. A wreszcie przysłała mi Pani zdjęcia maskotek wykonanych przez siebie, pamięta Pani? Pamiętasz, Leno? Te maskotki, te jakieś reniferki i lale, trzymałaś w dłoni tak szczupłej, o palcach tak delikatnych, że chciałem wziąć je w swoje wielkie łapy i poczuć, jak bardzo są kruche. Zakochałem się w Twoich dłoniach, może najpierw w listach, ale zaraz potem w dłoniach, taka jest prawda. Jestem dojrzałym mężczyzną, sparzyłem się kiedyś, byłem głupi, ale zmądrzałem – więc takie rzeczy nie mają prawa mi się przytrafiać. Rozumiesz to, prawda?

Nie wyślę tego maila, nie obawiaj się, bo postawiłbym Cię w niezręcznej sytuacji. Przecież Ty masz kogoś, kto Cię przytula, dotyka, całuje i kocha. Pisałaś mi o tym, a ja złościłem się na Ciebie, choć wtedy jeszcze nie uświadamiałem sobie, że kasa mnie wściekła zazdrość. W dniu, w którym to sobie uświadamilem – kiedy zrozumiałem, że absurdalnie i beznadziejnie pokochałem dziewczynę, której nie widziałem na oczy – wystraszyłem się cierpienia, jakie to może ze sobą nieść, i napisałem do Ciebie tamtą głupią wiadomość: że będzie lepiej, jeśli przerwiemy naszą korespondencję. Naiwnie wierzyłem, że potrafię to zrobić. To tylko listy, mówiłem sobie. To tylko drobne palce jakiejś dziewczyny. Jej szczupłe kolana w granatowych dżinsach – bo oparłaś dłoń na nogach, gdy robiłaś zdjęcie, pamiętasz? Nie można się zakochać w tym, że ktoś pisze piękne listy i ma delikatne palce o różowych paznokciach. Nie można pokochać kogoś za to, że zrobił na szydełku lalę o imieniu Zuza i przysłał jej zdjęcie; mnie, samotnikowi, który nie pamiętał już o tym, że na świecie wciąż są dzieci bawiące się lalkami albo misiami. Nie można kochać dziewczyny młodszej o trzynaście lat, jeśli nie ma się pojęcia, kim ona właściwie jest, bo może się okazać, że pokochało się piękne złudzenie.

Zaraz wykasuję ten list i napiszę zupełnie inny, o czymś nieistotnym: na przykład o tym, co majaczy mi w zapadającym zmroku za oknem: że las wydaje się kosmaty, góry są garbate, a powietrze pachnie deszczem; chyba że wypiję jeszcze więcej metaxy, a potem jeszcze więcej, wówczas być może wyślę po pijaku tego maila, ale nie wierz w ani jedno słowo, bo kto by wierzył pijanemu; pijani kochają cały świat, zauważyłaś? Więc jeśli nawet go wyślę, udawajmy, że tak się nie stało, proszę Cię i zaklinam, ani słowa o tym, ani Ty, ani ja, bo przecież nigdy się nie dowiesz, ile słów w tym pijackim bełkocie było prawdziwych.

Zresztą nawet jeżeli rzeczywiście wyślę, to natychmiast usunę z wysłanych, żeby nazajutrz nic mi nie przypominało, jak wielkiego zrobiłem z siebie błazna; o ile w ogóle będę pamiętał, że cokolwiek do kogokolwiek napisałem.

Pozdrawiam Cię i przepraszam, Borys

Lena rozplakała się, czytając ten list po raz pierwszy. Najpierw długo nie mogła uspokoić serca, które tłukło jej się w piersi, zaś po pewnym czasie zrozumiała, że i ona zakochała się w listach Borysa. Teraz pojęła, dlaczego czekała na nie z takim utęsknieniem, dlaczego czuła się oszukana i zdradzona, gdy oznajmił, że powinni przestać do siebie pisać. Chciała mu to wszystko wyznać i nawet zaczęła:

Borys, ja też przecież nie wiem, jak wyglądasz, nie mam pojęcia, kim naprawdę jesteś, ale i ja zakochałam się w tych strzępkach informacji, które sobie poskładałam: w tym, że lubisz rośliny i że jak ja rozmawiasz z aniołami, w tym, że wierzysz w przyzwoitość i uczciwość, że zabraniałeś mi udawać w miłości, choć ja Ciebie, głupia, nie posłuchałam, ale teraz wiem, że to było na złość, na przekór, żeby Cię ukarać i jakoś z hukiem zakończyć to, co się przecież nawet nie zdążyło na dobre zacząć między nami – bo zostawiłeś mnie, przestałeś pisać, nie chciałeś już moich listów...

Oczywiście nie wysłała tego maila, skasowała go tak samo jak kilka kolejnych, które napisała, gdy już ochłonęła trochę i gdy dotarło do niej, że nie powinna tak od razu wyznawać mu wszystkiego. Nawet jeśli czuła zadziwiająco, niewytłumaczalną więź z tym człowiekiem, nawet jeżeli dotąd potrafili być ze sobą szczerzy, to jednak teraz był właśnie ten jeden moment, kiedy nie należało się spieszyć.

Prawda była taka, że Lena zupełnie nie wiedziała, jak postąpić. Po pierwsze, Borys mógł rzeczywiście nie pamiętać, co napisał i że w ogóle napisał taki list. Po drugie, mogła to być naprawdę pisanina upojonego metaxą faceta, który uległ nastrojowi chwili, poczuł się samotny i wyznał miłość komuś, o kogo na co dzień kompletnie nie dbał. Ta myśl była dla dziewczyny najbardziej przykra: że być może padła ofiarą pijackiego żartu. Jednak z drugiej strony istniała możliwość, że ten list był szczerzy. Tak jak szczerze były uczucia Leny, nawet jeśli dotąd nieuświadomiane.

Nie potrafiła się zwierzyć z tych pokreconych emocji ani Beacie, ani Francesce, ani tym bardziej rodzicom; nie miała kogo zapytać o radę, więc ostatecznie opowiedziała wszystko babci Miei.

– Udawałam, babciu. Wtedy, w zimie, podczas sylwestra. Udawałam, że zakochuję się w Jakubie, choć tak naprawdę czułam się po prostu zraniona przez Borysa. Sama przed sobą grałam rolę szczęśliwie zakochanej, bo nie potrafiłam się przyznać, że prawdziwym uczuciem darzę mężczyznę, którego sobie zapewne tylko wymyśliłam. Pokochałam jego słowa, melodię zdań i ich treść, pokochałam to, jak mnie łązał za wtrącanie się w nie swoje sprawy, i to, jak potem przeproszał za to, że był niemiły. Pokochałam jego drzewko pomarańczowe i poddasze, anioły i historię o aptekarzu... Kiedyś ci opowiem. Wiem, że to głupie, babciu, ale czy miłość zawsze jest mądra? I co to właściwie jest takiego, ta miłość? Skąd się bierze i gdzie mieszka? W sercu czy w głowie? Pomyśl, przecież nie widziałam tego człowieka na oczy, nie mam pojęcia, czy nie jest złośliwy, obraźliwy, zawistny, podły, nie mówiąc już o jego wyglądzie. No, o to ostatnie to mogę chociaż wypytać sąsiadów, ale wiesz, jakoś mi się to w tej chwili wydaje najmniej istotne. No więc co to jest ta miłość, babciu? Jak to jest, że się zakochujesz, że przychodzi to tak niepostrzeżenie, podstępnie; wcale o to nie prosisz, a jakieś diabelstwo oplata ciebie całą i nagle czujesz się bezradna, unieruchomiona, możesz patrzeć tylko w jedną stronę i myśleć tylko o jednym...

Babcia nie odpowiadała, zresztą przecież Lena nie spodziewała się, że usłyszy jakąkolwiek sensowną radę. Dziewczynie wydało się jednak, że na moment spojrzenie staruszki stało się czyste, jakby obudziła się z bardzo złego snu. Potem zamknęła powieki

i leżała cichutko, i tylko poruszające się na kołdrze palce świadczyły o tym, że nie śpi. A zresztą może porusza nimi we śnie, pomyślała Helena.

Tak więc ostatecznie nie odpisała Borysowi na tamten list, a on od tego czasu także nie się nie odzywał. Podróżuje, tłumaczyła sobie Lena, żeby nie oszaleć od tego czekania. Pewnie nie ma dostępu do internetu. Między dwudziestym drugim lutego a pierwszym marca także nie pisał, widocznie nie mógł – teraz zapewne znalazł się w podobnej sytuacji. Wreszcie, po tygodniu sprawdzania maili co godzinę, uznała, że dłużej nie wytrzyma. Trzeba coś z tym zrobić.

– Gdybym to ja któregoś dnia wypila za dużo nalewki, na przykład z panią Klarą, i napisała do niego taki szalony list – powiedziała do swojego odbicia w lustrze – to czego bym oczekiwała? Czy moja prośba, aby nie odpisał, aby udawał, że tego wcale nie było... Czy to byłaby szczerza prośba?

Nie, nie byłaby. Lena przeraziła się, bo nagle uświadomiła sobie, że za żadne skarby nie chciałaby, aby reakcją na taki list było milczenie. Nawet gdyby się wstydziła, gdyby marzyła o tym, by cofnąć czas – nawet wówczas wołałaby, żeby Borys do niej napisał. Cokolwiek, tylko nie brak odpowiedzi! Wybiegła z łazienki i pomknęła do swojego pokoiku, otworzyła laptopa i zaczęła pospiesznie stukać w klawisze.

Panie Borysie...

Zawahała się. Czy powinna – zgodnie z jego prośbą – udawać, że tamtego maila wcale nie było? A jeśli on nie pamięta już, co właściwie napisał? Jeśli rzeczywiście usunął go z folderu z wysłanymi listami? Wówczas ona, odnosząc się do jego wyznań, wyjdzie na kretynkę.

Ale jeżeli wyznanie było szczerze, a Borys wbrew sobie ma nadzieję na odpowiedź, codziennie z bijącym sercem sprawdza skrzynkę pocztową – a ona nie nawiąże do jego uczuć w żaden sposób?

... nie wiem, co napisać. Nie odpowiedział mi Pan na żadne z moich pytań. Dokąd Pan jedzie? Gdzie znajduje się cel Pańskiej podróży?

– To wszystko nie tak – wyszeptwała, zanim zdecydowała się na kolejne zdanie. – Omijam to, co najważniejsze, krążę wokół głównego tematu, a przecież nie wierzę, że on mógłby nie pisać szczerze. Nie. Takich listów nie pisze się pod wpływem alkoholu. To nie był bełkocący styl upojonego faceta, to były piękne, okrągłe zdania pisane na trzeźwo. Może tylko odwaga, aby wysłać, była nasączona tą całą metaxą.

Nie pisze Pan do mnie od tygodnia... – Stukała dalej, ostrożnie dobierając słowa. – A ja także zamilkłam, bo nie wiem, co myśleć. Pogubiłam się zupełnie. Niech mi Pan udzieli rady, proszę. Niech się Pan ze mną podzieli doświadczeniem życiowym. Czy mężczyźni pod wpływem alkoholu fantazjują? Kłamią? Robią sobie z przyjaciół okrutne żarty? Nigdy się jeszcze nie upiłam, w ogóle mało i rzadko piję – ale w ramach eksperymentu byłabym gotowa to sprawdzić, tyle że mam babcię pod opieką i nie mogę sobie pozwolić na upojenie alkoholowe. Więc może Pan pomógłby mi rozstrzygnąć: Czy mogę ufać człowiekowi, który wyznaje mi uczucie po alkoholu? Proszę na to spojrzeć obiektywnie.

*Tęsknię za Pana listami.
Pozdrawiam, Lena*

Zaledwie kliknęła „wyślij”, zapragnęła wszystko zmienić, poprawić. Ten mail wyszedł jej zbyt chłodny, suchy, niemal pozbawiony emocji. Jeśli Borys czekał na to, by ona odwzajemniła jego uczucia, poczuje się rozczarowany, zraniony, zamilknie na dobre. Ale z drugiej strony... To nie może być miłość. Nie ta prawdziwa. Ona nie rodzi się w świecie wirtualnym, gdzieś między listami, nawet między wysyłanymi zdjęciami. Lenka święcie wierzyła, że miłość musi wyrosnąć na zupełnie innym gruncie: codziennych problemów, które się ze sobą dzieli, a wtedy stają się mniejsze, błahe, nieistotne; wspólnego śmiechu, długich rozmów, powoli budowanej bliskości.

Nie odważyła się napisać nic więcej. Żeby o tym wszystkim nie myśleć i nie sprawdzać poczty co kilka minut, wyniosła laptopa na strych, podlała rośliny i zwierzyła się aniołom ze swoich rozterek, a następnie wróciła do babci i rzuciła się w wir codziennych obowiązków. Upiekła ciasto bananowe, poodkurzała, wypucowała kuchnię i łazienkę, po czym poszła do pani Klary, żeby zapytać, czy nie trzeba jej zrobić zakupów, bo starsza pani wciąż miała opuchnięte stawy. Ponieważ sąsiadka poprosiła o drobne sprawunki, Lenka pobiegła jeszcze do pobliskiego spożywczaka i właśnie wracając stamtąd, znalazła w skrzynce pocztowej list w długiej, popielatej kopercie. Widniało na nim jej nazwisko i adres mieszkania babci, nie znalazła natomiast danych adresowych nadawcy.

– Babciu, dostałyśmy list – wysapała dziewczyna, wpadając do pokoju Mieczysławy. – Taki zwykły, papierowy. Przypuszczam, że dla ciebie to nic dziwnego, ale ja już całe wieki nie miałam do czynienia z tradycyjną pocztą. Zaraz przeczytamy, tylko zaniosę pani Klarze zakupy.

Babcia mruknęła coś niezrozumiale.

Lena pobiegła na piętro jak na skrzydłach, na prośbę sąsiadki wyprowadziła jeszcze Nitkę na podwórko za domem, a potem wróciła do mieszkania i z niecierpliwością rozerwała kopertę. Kto mógł do niej napisać? W pierwszej chwili pomyślała o Borysie... Znał przecież adres, ale po pierwsze po co miałyby to robić, a po drugie: przy znaczku widniała pieczętka Urzędu Pocztowego w Żarach. Jediną osobą kojarzącą jej się z tym miastem był Szczepan Traszka, dawny ukochany Franceski, tyle że to przecież zupełnie nie miało sensu.

– Sprawdźmy... – Rozłożyła złożoną na czworo kartkę i zaczęła głośno czytać...

Dzień dobry! (Oficjalny nagłówek, nic osobistego!)

Pani Heleno, doszły mnie słuchy, że poszukuje Pani prawdy o historii swojej rodziny. Tak się składa, że jestem w posiadaniu pewnych informacji, jednak wolałbym przekazać je Pani osobiście, podczas rozmowy w cztery oczy. Jeśli jest Pani tym zainteresowana, zapraszam na kawę. Spotkajmy się ósmego marca o siedemnastej w Żarach, w kawiarence LaVenda. Ja niestety nie mogę przyjechać do Lubka, proszę o wyrozumiałość.

Pozdrawiam Panią serdecznie, Jan Woźniak

Babcia patrzyła w sufit, a jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Lena wiele by dała za wiedzę o tym, co działo się teraz w głowie staruszki. Czy zrozumiała? Zdawała sobie sprawę, że wnuczka grzebie w jej przeszłości?

– Znasz jakiegoś Jana Woźniaka, babciu? – zapytała nieśmiało dziewczyna. – Bo ja nie znam. Na oczy nie widziałam, na uszy nie słyszałam. To znaczy nazwisko, owszem, kilka razy, bo to popularne miano, coś jak Kowalski albo Nowak. Imię Jan też częste, choć raczej w twoim pokoleniu niż w moim. No i list tradycyjny, a nie mail. To by wskazywało, że autor jest starszym panem. Teraz inne pytanie: Skąd pan Jan zna mój (właściwie twój) adres? Skąd wie o moim istnieniu? Odpowiedzi mogą być różne, ale mnie przychodzi do głowy następujące wyjaśnienie: szperając w historii i pytając lubskich oraz jasięńskich sybiraków, bezwiednie potrafiłam jakąś strunę, a jej brzmienie dotarło do owego Woźniaka. Co do adresu, prawdopodobnie znał ciebie, twój adres. Dowiedział się, że opiekuje się tobą wnuczka Helena. Ale więcej o mnie nie wie, bo pamiętałby, że nie lubię, gdy się do mnie zwraca pełną formą mojego imienia. I teraz ostatnie pytanie, babciu: Czy ja mam pojechać ósmego marca na to spotkanie?

W odpowiedzi babcia zamrugła dwukrotnie powiekami, a potem zacisnęła kościste dłonie na brzegu kołdry i zdradziła poufałym szeptem:

– Tak naprawdę wcale nie mam szesnaście.

Cokolwiek to znaczyło, Lena uniosła lekko głowę staruszki i wlała jej do ust kilka łyżeczek herbaty ziołowej. Następnie poszła opowiedzieć o wszystkim Beacie.

ROZDZIAŁ 34

Początkowo miała chyba nadzieję, że z żalu można umrzeć – tak jak zrobiła jej siostra Halinka. Że da się odejść bez wielkiego bólu, bez choroby, która nazywałaby się inaczej niż smutek; bezszelestnie i niezauważenie, po prostu zrezygnować z życia na tym złym świecie. A jednak się nie dało. Młody organizm Mieczysławy był silny, każde włókienko jej ciała trzymało się kurczowo istnienia. Choroby się jej nie imały. Im bardziej była zmęczona i głodna, tym częściej odczuwała, jak łapczywie pragnie żyć. Jak wiele zrobiłaby, do jak wielu rzeczy byłaby zdolna, byle przetrwać.

Z biegiem czasu codzienność w posesji Timluj stała się znośna, nawet jeśli tak bardzo różniła się od tego, co dziewczyna pamiętała z poprzedniego życia.

Okazało się, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, zaś ludzie wykazują nieprawdopodobną zdolność do przystosowania się. Jak karaluchy, mówił Staszek Sas, który przed wywózką interesował się biologią i nawet podobno chciał zostać zoologiem.

Zaraz na początku poinformowano przesiedleńców, że w razie ucieczki czeka ich dwadzieścia lat katorgi, bez sądu. Mieczysława słuchała tego, zerkając na twarze towarzyszy niedoli. Nikt raczej nie myślał o ucieczce. Nikt także nie wyglądał jak ktoś, kto dałby radę przejść choć kilometr w tym przeklętym syberyjskim śniegu. Ludzie myśleli o tym samym, co ona – żeby przetrwać, jakkolwiek i za jakąkolwiek cenę. Kto chciał jeść, musiał pracować. Większość mężczyzn znalazła zatrudnienie w cementowni i fabryce pustaków, zresztą kobiety także: rąbały kilofami szlakę, kopały rowy pod fundamenty domów, harowały przy wycinie drzew albo budowie wodociągu.

Miecia i Rozalia Skorek były za młode, żeby pracować, zostały więc zapisane do szkoły, a wraz z nimi Anatol Sas, młodszy brat Staszka. Polskie dzieci nazywano pszekami, bo ich język szeleścił w uszach Rosjan. Ale dyrektor Kaszyrichin i jego dobra żona Ludmiła szybko ucięli te przezywanki; pilnowali, żeby wśród uczniów nie było lepszych i gorszych. Czy Polak, czy Buriat, czy Ukrainiec, mówili, u nas wszyscy są równi.

Rozalka słabo radziła sobie z rosyjskim, więc, choć starsza, musiała iść do szóstej klasy, bo w siódmej nie dałaby rady. Mietka, dzięki temu, że wcześniej niańczyła Paszkę, synka rosyjskiego felczera z Leplówki, rozumiała dużo więcej. Wraz z innymi dziewczynkami z Domaczewa: Jadzią, Olą i Lusią, a także gromadką chłopców, wśród których najlepszym kolegą okazał się Tolek Sas, chodziły po lekcjach zbierać orzeszki cedrowe, bo głód coraz bardziej dawał się we znaki. Dziewczęta trzymały się razem, pomagały sobie, czasem wymieniały się jakimiś drobiazgami: a to wstążką do włosów, a to chustką w kwiaty. Razem też chodziły po wodę, bo gdy już stopniały śniegi i nie można było dojechać saniami do rzeki Timlujki, trzeba było nosić wodę w koromysłach prawie dwa kilometry. Początkowo nie potrafiły, połowa zawartości wiader wylewała się po drodze, życiodajny płyn wsiąkał w ziemię, a wraz z nim dziewczęce łzy. Ale potem nauczyły się tej sztuki tak, że nie roniły już ani kropli.

Wspólnie uczyły się także szyć, bo wymyśliły, że kiedy skończą szkołę, będą pracować w szwalni, nie chciały iść do ciężkiej pracy w lesie albo w cementowni. Babcia Kopcowa za pieniądze ze sprzedaży kozucha kupiła maszynę do szycia – uczyła

dziewczynki w zamian za odrobinę jedzenia. Jako najstarsza w baraku nie miała możliwości, by pracować i zarobić na siebie, a chciała choć trochę odciążyć rodzinę.

Rysiek Skorek rzadziej teraz nachodził Mietkę. Był wycieńczony pracą przy rąbaniu szlaki, nie w głowie mu były amory, więc dziewczyna przestała zachowywać się jak zastraszone zwierzątko, uspokoiła się trochę, nie żyła już w ciągłym napięciu. Wiedziała, że chłopak nadal wodzi za nią wzrokiem, raz i drugi podglądał przy kąpieli w rzece, przynosił bukietki kwiatów, czasem garść jagód. Jego stosunek do niej zmienił się, jakby nie miał już śmiałości bezwstydnie pchać ręki pod jej spódnicę. Musiał zauważyć, że ona nie jest już małą dziewczynką, wydorosłała, rozwinęła się, jej ciało się zmieniało; z jednej strony napawało ją to wstydem, ale z drugiej stanowiło źródło jakiejś grzesznej dumy.

Dni mijały, łączyły się w tygodnie, miesiące i pory roku, a różniły się tylko tym, ile udało się zdobyć jedzenia i jak bardzo dokuczyły człowiekowi niedogodności syberyjskiego życia – zimą mróz, a latem roje muszek. Na wiosnę Miecia i Rózia wygrzebywały z ziemi stare, przemarznięte ziemniaki, nauczyły się z nich robić słodkawe placki. Od wielkiego święta Ryškowi udawało się kupić chleb; choć czarny i gliniasty, wydawał im się rarytasem. Zimą kupowali też zamrożone mleko od Buriatów, a raz na Wielkanoc mama Oli z Domaczewa podarowała im kubek śmietany – bo rodzice Oli mieli własną krowę.

Wreszcie – choć wydawało się, że nie nastąpi to nigdy – nadszedł taki dzień, kiedy Mieczysława znów roześmiała się radośnie, kiedy zapragnęła tańczyć i bawić się jak inne dziewczęta. W domu kultury urządzono tańce, na harmonii grał młodzieutki brygadzysta Sasza Smiertin, który wodził za nią wzrokiem zupełnie innym niż Rysiek; nie tak lepkiem i pożądlivym. Miecia miała na sobie spódniczkę w drobne kwiaty, którą sama uszyła, wiosenne słonko grzało i po raz pierwszy od dawna chciało jej się żyć.

Niestety, dobre dni przeminęły równie szybko, jak szybko przekwitły cudne krzewy bagulnika. Rysiek zachorował na płuca i trafił do szpitala, a wówczas głód znowu zajrzał dziewczętom w oczy. Rozalka zarabiała trochę szyciem, ale nie wystarczało tego na utrzymanie ich obu. Miecia uznała, że to odpowiedni moment, żeby się usamodzielnic – a przy okazji na dobre uwolnić od natrętnego wzroku Ryśka. Zrezygnowała z dalszej nauki, zgłosiła się do pracy, a komendant powiedział, że albo pójdzie do wyrębu drzewa w tajdze, albo na budowę.

– Jak myślicie, Aleksandrze Iwanowiczu, nada się do tajgi? – zapytał kpiąco brygadzystę, który przysłuchiwał się rozmowie.

– Ile macie lat? – zapytał brygadzysta Sasza, mierząc ją wzrokiem, jakby nie dowierzał, że ta drobna dziewczyna o czarnych lokach i oczach jak dwa węgielki nadaje się do jakiegokolwiek pracy.

– Szesnaście – skłamała Miecia, choć miała dopiero piętnaście.

– Dajcie ją do mnie, towarzyszu komendancie – powiedział Sasza z udaną obojętnością. – Toć ona chudsza niż ta pila do cięcia drzewa. U mnie do kopania fundamentów każda para rąk się przyda, a machać kilofem nawet taki drobiazg potrafi.

– A bierze ją. – Machnął ręką komendant. – Tylko pamiętaj, norma to norma, nie ma taryfy ulgowej.

– Tak jest! – zasalutował Sasza, a na Mieczę spojrzał tak miękko, że spłonęła rumieńcem.

W ten oto sposób Mieczysława trafiła do brygady Aleksandra Smiertina. Przez następne pięć lat wraz z innymi zesłańcami kopała rowy, zalewała fundamenty, budowała cementownię, dwie cegielnie oraz fabrykę azbestu. I codziennie, kawałek po kawałeczku, jej serce rozrywało się na dwoje. Jedna część, z dnia na dzień słabsza, umierająca, coraz mniejsza, mówiła jej: jesteś Polką, nie wolno ci kochać Rosjanina. Nie teraz, nie tutaj. Nikt nie poda ci ręki, nikt się do ciebie nie odezwie.

Druga część – ta, która z każdym dniem rosła – nie mówiła nic. Kochała z całą siłą, jaką ma w sobie młodość, z całym żarem i bezmyślną wiarą, że nikt się nie dowie, nikt nie zauważy potajemnych spojrzeń, uśmiechów, uścisków spracowanych dłoni, że nikt nie usłyszy gorączkowych szeptów i nie dostrzeże ust poczerwieniałych od całowania.

ROZDZIAŁ 35

Beata siedziała na odwróconym wiaderku i rozkoszowała się ciepłem pierwszych marcowych promyków. Tegoroczna zima była mokra i długa – tym bardziej więc teraz, kiedy wreszcie zapachniało wiosną, odczuwało się każdy słoneczny dzień jak święto. Plecy same się prostowały, na twarzy pojawiał się uśmiech – i dziwnie chciało się śpiewać.

– Jaką decyzję w końcu podjęłaś? – zwróciła się do Leny, która usiłowała usunąć chwasty z rabatki kwiatowej. – Pojedziesz do tych Żar?

– Pojadę. Prosiłam Jakuba, żeby został z babcią, ale nie mógł, ponoć wypadło mu dziś po południu coś ważnego. Więc ostatecznie zatrudniłam panią Alinę, tę pielęgniarkę. Dwie godzinki i będę z powrotem, tak sądzę.

– A jeśli ten Jan Woźniak to jakiś zboczeniec? – zapytała Beata, która od początku odradzała Lenie uczestnictwo w czymś tak zwariowanym. – Pomyśl, zaproponował ci spotkanie w miejscu, gdzie w razie czego nikt ci nie przyjdzie z pomocą...

– Przecież nie na odludziu, tylko w kawiarni, w samym centrum miasta! – Roześmiała się Helena. – Czy ty się nie naczytałaś za dużo kryminałów?

– Ale dlaczego on nie może przyjechać do Lubka? – Upierała się przyjaciółka. – Wydaje mi się to bardzo podejrzane.

– Może to starszy pan, który porusza się z trudnością? Albo nie ma samochodu? Jest mnóstwo możliwych powodów.

Przez chwilę milczały. Beata miała wielką ochotę pomóc Lenie w usuwaniu perzu, który rozrastał się po całym ogródku. Kiedy patrzyło się z boku, odnosiło się wrażenie, że to bardzo przyjemna praca: Lena spulchniała i rozgarniała ziemię małą, ostrą haczką, a potem ostrożnie wyciągała długie, białe kłaczka.

– A propos Jakuba. Zerwałaś z nim w końcu? Wspominałaś coś, że teraz już nie masz żadnych wątpliwości.

Trudno było stwierdzić, czy rumieńce na twarzy dziewczyny wywołał ten temat, czy może były one wynikiem zapału, z jakim pracowała w ogrodzie.

– Gdyby to było takie proste. – Westchnęła. – Dopóki go nie ma, wszystko wydaje mi się oczywiste. Przyjdzie, ja poproszę, żeby usiadł i powiem mu wszystko: przepraszam, Kuba, pomyliłam się, nic do ciebie nie czuję... Nawet już próbowałam. Oświadczyłam mu, że nas dwoje to pomyłka, że nie jesteśmy do siebie ani trochę podobni. Ale on zwyczajnie nie przyjmuje tego do wiadomości, wiesz? Kiedy poruszam ten temat, obejmuje mnie i prosi, żebym się uspokoiła; mówi, że wrócimy do tego tematu, ale błaga, żeby nie dziś, bo był właśnie u pacjenta z nowotworem i tak bardzo potrzebuje odrobiny ciepła...

– Manipuluje tobą.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście! – Beata nie lubiła Kuby, zwłaszcza od dnia, kiedy minęli się z nim całą rodziną na schodach i wydawało jej się, że chłopak Leny spojrział lepkim wzrokiem na Marcelinę. – Może po prostu zadzwoń do niego i powiedz, co ci leży na wątrobie.

– Mam zrywać przez telefon? Nie wydaje ci się to trochę bezduszne? – Lena otarła sobie pot z czoła. – To prawie tak jak esemesem.

– Wiesz co? Miałam w szkole takiego nauczyciela od zajęć praktyczno-technicznych, tak się to kiedyś nazywało. Mawiał: nie liczy się styl, liczy się skuteczność.

– Ciekawe powiedzonko. Ale ja myślę, że styl ma jednak znaczenie.

– No jasne! On to mówił podczas lekcji, na której wbijałyśmy gwoździe w deseczkę i jedna z nas walnęła się młotkiem w palec.

– Słodziak.

– Żebyś wiedziała. A gdy skręcałyśmy coś śrubokrętem, mówił: Pamiętajcie, nie liczy się grubość ani długość, liczy się figlarność.

Lena roześmiała się serdecznie.

– Dzisiaj pewnie wyleciałby z pracy za podobne podteksty – zauważyła. – W każdym razie wskazówka godna zapamiętania. A co do Kuby, to jednak spróbuję się z nim rozstać w cywilizowany sposób.

Tego dnia na obiad był gęsty, aromatyczny krupnik z lubczykiem (Beata chętnie teraz gotowała zupy, ponieważ nie trzeba było przy nich długo stać; większość czynności mogła wykonywać, siedząc na niskim stołeczku). Marcelina sprawiała wrażenie dziwnie rozkojarzonej, jadła w pośpiechu i co chwila zerknęła na zegar.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała Beata. – Nie powinnaś się trochę pouczyć?

Nastolatka przewróciła oczami dokładnie tak, jak to robiła w najgorszych czasach – gdy nieustannie warczały do siebie, zamiast rozmawiać, albo nie odzywały się wcale. Mama roześmiała się na to wspomnienie.

– Z czego się śmiesz? – Zdziwiła się dziewczyna. – Jeszcze nie zdążyłam odpowiedzieć.

– Po prostu zrobiłaś taką minę, jak wtedy, gdy byłaś w samym rozkwicie cieleńczego wieku.

Marcelina prychnęła.

– Cieleńcy wiek – powtórzyła. – A jak się nazywa odpowiednik cieleńczego wieku dla dorosłych? Wołowy? Krowi?

Beata zamrugnęła, jakby ktoś sypnął jej w oczy piaskiem.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz. „Cieleńcy” ma oznaczać, że jesteśmy wtedy niedojrzali, nie dostrzegamy pewnych rzeczy, nie rozumiemy ich. A jeśli ktoś zdradza takie same objawy w okolicach czterdziestki? Jest na to jakaś nazwa?

Na chwilę zapadła ciężka cisza. Marcelina grzebała łyżką w resztkach zupy, jakby chciała skrupulatnie oddzielić kaszę od całej reszty. Beata cieszyła się, że Marka nie ma przy tej rozmowie i że Jędrzek, który już zjadł, poszedł się pobawić.

– Masz rację – szepnęła po chwili. – Przepraszam. Wydawało mi się, że już cię przeprosiłam, ale chyba nie. Chyba tylko ciągle przepraszałam tatę, a ciebie nie. Wiem, że twoje dojrzewanie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie my. Gdyby nie ja. Wybacz mi. – Na dno pustego talerza kapnęły jej łzy.

Marcelina podniosła się szybko i podeszła do matki.

– Nie płacz, mamó. Nie chciałam... Tylko jakoś tak samo mi się palnęło. Już nie mam do ciebie żalu.

Objęły się mocno i, choć było im w tym niezręcznym uścisku niewygodnie, Beata bardzo chciała, żeby trwał jak najdłużej.

– Postarajmy się być dla siebie przyjaciółkami – szepnęła. – Proszę, zapomnij o tych głupich rzeczach, których narobiłam, o wszystkich moich błędach, a ja zapomnę o twoich. Opowiadaj mi o swoich marzeniach i planach. Obiecuję, że zawsze wysłucham i jeśli zechcesz, doradzę, ale nie będę cię pouczać. Wcale nie wiem o życiu więcej niż ty. W każdym razie niewiele więcej.

– Tak, mamó – chlipnęła Marcelina. – To akurat prawda. W każdym razie o antykoncepcji chyba wiesz niewiele, a ja właśnie chciałam się poradzić...

Kiedy Beata doszła już do siebie, poprosiła o zeszyt w kratkę, linijkę i długopis.

– Uważam, że zanim rozpoczniesz współżycie – zaczęła, choć z trudem przechodziło jej to przez usta – powinnaś najpierw poznać swój cykl. Jak sądzę, do tej pory nie mierzyłaś temperatury i nie prowadziłaś notatek?

– Nie, skądże. – Marcelina wzruszyła ramionami. – Mamó, nie zrozum mnie źle... To nie jest tak, że bzykam się na prawo i lewo.

– Kochanie – powiedziała Beata cicho, lecz dobitnie. – Proszę cię bardzo, zachowajmy pewien poziom. Chcę być twoją przyjaciółką, ale jestem też twoją matką. Nie używaj słowa „bzykać”. Nie mogę nawet myśleć bez mdłości o tym, że ktoś miałby cię bzykać.

– Dobrze. No więc: nie uprawiam seksu.

– Wcale?

– Wcale.

– Więc po co pytałaś...?

– Mamó! – Rumieniec na twarzy córki zdradził Beacie więcej niż słowa.

– Zakochałaś się? – Woląła się upewnić. – Powiesz mi w kim? Znam go?

– Znasz. To Hubert, ten wysoki z mojej klasy.

– Aha, ten, z którym byłaś na studniówce? Jego tata cię odwiózł, prawda?

– Nie przypominaj mi... – Rumieniec na twarzy Marceliny stał się jeszcze wyraźniejszy. – Dałam wtedy plamę, wiem.

– Ty wtedy z nim...? Mam na myśli alkohol i...

– Nie, absolutnie. To znaczy... Nie wiem, jaki jest stosunek Huberta do alkoholu – odparła dziewczyna, a Beata wzdrygnęła się na dźwięk słowa „stosunek”. – Ale nie mam wątpliwości, że nie pali. A na studniówce w ogóle nie pił.

– W takim razie z kim wtedy popijałaś? Z koleżankami?

– Mamuś... Są takie rzeczy, o które lepiej nie pytać. Mogłabyś?

– Mogłabym – zgodziła się Beata, w porę przypominając sobie, że ona też ma w życiorysie takie punkty, które wołałaby z niego wymazać. – No dobrze. Wracając do tematu: kiedy planujesz najbliższą randkę tylko we dwoje?

Chwilę trwało, zanim dziewczyna wyszeptwała:

– Dzisiaj. Zaraz.

Teraz rumieńce wstąpiły także na bladą ostatnio twarz matki.

– Okej, rozumiem. Postaram się nie panikować. Skoro dzisiaj, to cały ten kalendarzyk możemy sobie wsadzić w... Ale i tak ci pokażę, co i jak. Właściwie dlaczego przysłaś z tym do mnie tak późno?! Nie uczyli was tego w szkole? Pewnie nie, nie te czasy, nie ten trend. Okej, spokój, tylko spokój. I tak zrobisz, co zechcesz, prawda? Nawet jeśli ci zabronię... To nic. Kupimy ci termometr, będziesz rano mierzyć temperaturę, jeszcze w łóżku, i zapisywać. A dziś... No cóż, po prostu dziś dobrze byłoby się jednak powstrzymać... Albo kupić prezerwatywy. Rany boskie, nie wierzę, że to powiedziałam!

ROZDZIAŁ 36

Lena z niecierpliwością zerkała na zegar. Minęła szesnasta. W kawiarni w Żarach miała być o piątej, a potrzebowała trochę czasu na dojazd i znalezienie lokalu, w którym przecież nigdy nie była. Pani Alina spóźniła się już dziesięć minut.

Kiedy w końcu rozległo się pukanie, dziewczyna aż podskoczyła. Szybko zdjęła kurtkę z wieszaka, drugą ręką jednocześnie otwierając drzwi. Niestety, to nie była pielęgniarka – w progu stał Jakub.

– Niespodzianka, kochanie! – zawołał z irytującym entuzjazmem. – Zabieram cię na koncert!

– Na jaki znów koncert? Przecież ci mówiłam, że jadę do Żar...

– No właśnie! A o siódmej w Żarach jest koncert „Czesław śpiewa”. Nie mów, że nie chciałabyś pójść.

– Ależ ja nie uzgodniłam z panią Aliną...

– Nie martw się, już to zrobiłem. – Jakub ogarnął ją ramieniem i pocałował w czoło.

– Wszystko załatwione, zgodziła się zostać dłużej. Planuję małe zakupy w Żarach, więc ty odbębnisz to swoje śmieszne spotkanie, ja załatwię swoje sprawy, a potem cię zgarnę z tej kawiarni i pojedziemy na Czesława. Może być?

– Może...

– Chodź, bo się spóźnisz na randkę w ciemno.

– To nie żadna randka w ciemno – odparła Lena. – A poza tym jak możemy już iść, skoro jeszcze nie ma pani Aliny?

Jakub nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym samym momencie dały się słyszeć kroki na schodach i rozległo się energiczne pukanie. Pielęgniarka wtargnęła do mieszkania jak tajfun, gdy tylko Lena uchyliła drzwi.

– Przepraszam – wydyszała. – Musiałam jeszcze podjechać do małej pacjentki na zastrzyk. Niech już państwo jadą. Kolacja jest?

– Jest. Zupa krem z dyni i kluseczki. Babcia niedawno zasnęła...

– Dobrze, dobrze – przerwała kobieta. – Przecież dam sobie radę. Jeszcze raz przepraszam, że trochę nawaliłam.

Jakub uparł się, żeby jechać jego samochodem. Lena nie oponowała, ponieważ nie знаła Żar na tyle, by móc szybko znaleźć kawiarnię LaVenda, nie mówiąc już o jakimś parkingu w pobliżu. Była nieco podenerwowana, ponieważ po raz pierwszy w życiu brała udział w czymś tak zwariowanym: spotkanie z osobą, której się nie widziało na oczy, a która w zagadkowy sposób sugeruje, że jest w posiadaniu jakichś ważnych informacji o przeszłości rodziny Botulów.

Kuba uparł się, że odprowadzi Lenę do samej kawiarni. Próbowала się z nim pożegnać przed wejściem, ale szarmancko otworzył drzwi i wszedł wraz z nią do środka. Dziewczyna uświadomiła sobie, że jest to wyraz zaborczości; nawet jeśli Lena miała się spotkać ze starszym panem, Jakub chciał zaakcentować, że ona należy do niego.

Ta myśl wprawiła ją w buntowniczy nastrój. Zwłaszcza że przecież nie „należała”

do niego – nie tylko dosłownie, ale nawet w przenośni. Tylko Kuba jakoś nie chciał przyjąć do wiadomości, że Helena go zwyczajnie nie chce.

– Zostaw mnie już, proszę – powiedziała pośpiesznie. – Potrafię sama zamówić kawę. Zadzwońię do ciebie, kiedy skończymy.

– Dobrze, kochanie.

Nachylił się i chyba miał zamiar ją pocałować, ale odsunęła się w taki sposób, że tylko musnął ustami jej policzek.

Kiedy wyszedł, Lenka rozejrzała się po lokalu, oczekując, że któryś z gości ukloni się jej albo wstanie od stolika. Nic takiego się jednak nie wydarzyło, toteż dziewczyna usiadła i zamówiła ciastko z jabłkami oraz czarną kawę.

W sumie to trochę zastanawiające, że Jan Woźniak nie napisał mi, w jaki sposób go rozpoznam, pomyślała. Mógł wspomnieć na przykład, że założy kapelusz albo że ma, dajmy na to, rude wąsy. Cóż, pozostaje mieć nadzieję, że on wie, jak ja wyglądam. Chociaż w sumie skąd miałby to wiedzieć?

Im dłużej nad tym rozmyślała, tym dziwniejsza wydawała jej się cała ta sytuacja. Pociągnęła łyk gorącej kawy i dyskretnie przyjrzała się obecnym w lokalu klientom. Jeden stolik zajmowała grupa przyjaciół obu płci, prawdopodobnie młodzież licealna. Tych Lena wyeliminowała od razu. Przy oknie siedział przystojny mężczyzna w nieokreślonym wieku – mógł mieć dwadzieścia kilka lat, ale równie dobrze być o dziesięć lat starszy. Modnie ubrany i uczesany, ze starannie przystrzyżoną bródką i wypielęgowaną cerą. Przeglądał jakąś książkę albo może notatnik. Lena pomyślała, że nie pasuje do jej wyobrażeń o Janie Woźniaku. Ktoś tak młody zdobyłby jej numer telefonu i napisał esemesa, zamiast wysłać tradycyjny list.

Przy stoliku w rogu piła herbatę atrakcyjna kobieta, prawdopodobnie czekająca na kogoś, bo co chwilę odwracała głowę w stronę drzwi. Naprzeciwko niej, najdalej od wejścia, a najbliżej baru, zajął miejsce mężczyzna w wyświechtanej marynarce, który najwyraźniej szukał czegoś w internecie, ponieważ nerwowo przesuwiał palcem po ekranie smartfona. Nie zareagował na spojrzenie Leny, a więc i jego wyeliminowała z kręgu podejrzanych.

Może przyjdzie nieco później, zastanowiła się dziewczyna. Zerknęła na zegarek – dochodziło dziesięć po piątej. Wprawdzie spóźniła się tylko parę minut, ale kto wie, być może autor listu poszedł sobie urażony, nie chcąc dłużej czekać. Taki scenariusz wydawał jej się mało prawdopodobny. Jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, by napisać list do nieznajomej dziewczyny i wysłać go tradycyjną pocztą, zaczekałby chyba kilka minut, zwłaszcza że doskonale wiedział, iż Lena musi dojechać na spotkanie z Lubską.

Poczekam kwadrans, postanowiła sobie w duchu. Jeśli cały ten Woźniak się nie pojawi, to po prostu pójdę pochodzić po mieście, potem zadzwonię po Jakuba i będę się świetnie bawić na koncercie. Po co ja tu w ogóle przyjechałam?!

Była rozżalona i rozczarowana. Zjadła ciastko, z nerwów nie czując w ogóle jego smaku, potem najwolniej, jak tylko się dało, wypila kawę. Zamierzała właśnie wybrać się na spacer po żarskim rynku, ale przez okno zobaczyła pierwsze krople wiosennego deszczu. Tylko tego brakowało, pomyślała z irytacją, po czym wyciągnęła komórkę i zadzwoniła po Jakuba.

– Już po ciebie idę. – Usłyszała. – A jak rozmowa?

– Dobrze – skłamała, bo nie miała ochoty wysłuchiwać komentarzy w stylu: „A nie mówiłem?”. – Wprawdzie nie dowiedziałam się niczego nowego, lecz przynajmniej potwierdziło się to, co już wiem.

– Okej. Zaraz będę.

– Mogę wyjść ci na spotkanie, tylko powiedz mi, gdzie cię szukać.

– Nie, czekaj, ja też chcę się napić kawy.

– Dobrze, w takim razie zamówię dla ciebie, żeby było szybciej.

Kiedy Lena wstała, obaj obecni w lokalu mężczyźni spojrzeli na nią badawczo. Może jednak jeden z nich to Jan Woźniak, przemknęło dziewczynie przez myśl, tylko, sugerując się moim staroświeckim imieniem, spodziewa się kobiety w średnim wieku? Podeszła do kontuaru i zwróciła się do kelnerki:

– Czy nikt o mnie nie pytał? Nazywam się Helena Botula, umówiłam się tu z kimś...

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozumiem. W takim razie proszę o jeszcze jedną kawę.

Torty, makaroniki i rozmaite smaki lodów kusily kolorami, ale Lena zupełnie straciła apetyt. Rzuciła ostrożne spojrzenia w stronę obu klientów – młodszy z nich przyglądał się jej w zamyśleniu, natomiast starszy, ten w marynarce, odłożył telefon i poświęcił całą uwagę fusom na dnie filiżanki. Nagle drzwi otworzyły się i do lokalu wszedł staruszek, jednak zaraz za nim ukazała się dziewczynka. Na wszelki wypadek Lena uśmiechnęła się do mężczyzny, ponieważ przyszło jej do głowy, że może Jan Woźniak nie miał z kim zostawić wnuczki i dlatego się spóźnił, ten jednak rzucił jej zdziwione spojrzenie i zachęcił małą, żeby wybrała sobie smak lodów.

Nic z tego, pomyślała zrezygnowana Lena, wracając do stolika. Zdażyła postawić kawę na blacie, gdy drzwi kawiarni otworzyły się ponownie i do wnętrza wkroczył dumnie Jakub z wielkim bukietem róż.

– Wszystkiego najlepszego w Dniu Kobiet – wyszeptał, pochylając się i namiętnie całując ją w ucho. – Moja ty subtelna, cudowna kobietko.

– Dziękuję. – Lena poczuła się bardzo zmieszana, ponieważ nie lubiła takich manifestacji uczuć w miejscach publicznych. – Piękne kwiaty. No, usiądź już i wypij kawę. Chciałabym się przejść przed koncertem, jeśli przestanie padać.

Jakub zajął się kawą, a dziewczyna zapatrzyła się w szary widok za oknem. Paskudna marcowa pogoda i rozczarowanie, że Jan Woźniak zakpił sobie z niej, wprawiły ją w depresyjny nastrój. Dawniej nigdy nie miewałam chandry, uzmysłowiła sobie. Dawniej...

Jej życie dzieliło się teraz na dwa wyraźne etapy: przed przyjazdem do Lubka i po nim. Tamto odległe życie było niczym niekończąca się zabawa, może nie zawsze huczna, czasem spokojna i cicha, ale jednak zabawa. Teraz Lena czuła się wreszcie dorosła. W jej codzienności pojawiły się choroba, śmierć, miłość i jej brak, rozczarowanie, samotność i konieczność dokonywania wyborów... Na przykład Jakub. Czy rzeczywiście powinna z nim zerwać? W tym związku nie ma ognia, ale jest poczucie bezpieczeństwa i sporo czułości, której przecież każdy potrzebuje. Tymczasem jej się roi miłość do mężczyzny,

którego nie widziała na oczy, a jedyną rzeczą, jakiej Lena może być pewna, jest to, że pisze piękne listy.

Westchnęła. Rozsądek rozsądkiem, lecz serce wiedziało swoje. Patrząc teraz na twarz Jakuba, Lena – niczym w nagłym błysku olśnienia – zrozumiała, że w tej chwili pragnie tylko jednego: dostać list od Borysa albo przynajmniej napisać do niego. Kuba ze swoimi kwiatami i całą resztą był jej nie tylko obojętny – więcej: stał się nagle odpychający.

– Pamiętasz naszą rozmowę sprzed paru tygodni? – zapytał chłopak, wyrwijąc dziewczynę z zamyślenia.

Lena nie miała pojęcia, o czym mowa, więc pokręciła głową. Chłopak sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął niewielkie czerwone pudełeczko. Szepnął coś, ale jego słowa zagłuszył odgłos odsuwanego krzesła. Lena podniosła wzrok. To facet w marynarce wstał z nienacka od stolika i zmierzał właśnie do wyjścia. Na chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się i dziewczynie wydało się, że we wzroku tamtego dostrzega ironię. Może podobnie jak ja nie lubi takiej ostentacji, przemknęło jej przez myśl. Co ten Jakub wyprawia?

– Kocham cię – powtórzył tymczasem Kuba, zupełnie nieświadom uczuć Leny. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. – Mam dla ciebie pierścionek zaręczynowy, proszę, przyjmij go, choć wiem, że na razie nie możemy zamieszkać razem... Wprawdzie nadal jeszcze mam nadzieję, że to przemyślisz... Ale, Lenka, proszę, obiecaj mi już teraz, że za mnie wyjdiesz. Mogę zaczekać, aż... – Urwał.

Pewnie chciał dodać, „aż babcia umrze”, pomyślała dziewczyna. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Po co tak długo z tym zwlekała? Należało zerwać już dawno – albo jeszcze inaczej: należało w ogóle nie pchać się w ten nieporadny związek. Trzeba było pisać do Borysa i czekać na jego listy, nie unosić się honorem i nie szukać pocieszenia w ramionach Kuby.

– Szukałam pocieszenia... – Wypowiedziała na głos swoją ostatnią myśl. – Przepraszam cię, ale ty to wszystko opacznie rozumiałeś. Nie przyjmę od ciebie pierścionka i nigdy razem nie zamieszkamy.

– Co takiego?

Twarz Jakuba ściągnęła się. W tej chwili nie wydawał się już wcale przystojny.

– Czuję się samotna – tłumaczyła Lena, starając się zachować spokój. – Wybacz mi... Nie jestem z tego dumna, ale teraz widzę wyraźnie, że nigdy nawet nie byłam w tobie zakochana.

– O czym ty mówisz?! – Głos chłopaka stał się piskliwy. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że szukałaś pocieszenia? Był ktoś inny?

W ostatnim pytaniu zabrzmiało tyle niedowierzania i urazy, że Lena, chcąc nie chcąc, prychnęła śmiechem.

– Czy to ci się wydaje takie dziwne? – zapytała.

– Tak, wydaje mi się dziwne! – wyrzucił z siebie Jakub z nagłą złością. – A co myślisz? Że jesteś jakaś superlaska? Spójrz na siebie, zero makijażu, ciuchy jak z lumpeksu. Ale ja nie patrzyłem na samo opakowanie, szukałem czegoś więcej.

– Dziękuję. Doceniam to. – Głos jej drżał, zresztą odnosiła wrażenie, że wszystko się w niej trzepocze, serce i cała reszta. Rozdygotanymi dłońmi zapięła kurtkę. – Chyba

powinniśmy zakończyć tę rozmowę w tym właśnie momencie – powiedziała, starając się nie rozplakać. – Spróbujmy się rozstać w zgodzie, Kuba. Wiem, że w tej chwili czujesz się rozżalony, może nawet oszukany. Ale jeśli się nad tym zastanowisz, przypomnisz sobie, że od jakiegoś czasu usiłowałam ci powiedzieć... Chciałam zerwać z tobą jakoś delikatnie, tyle że ty wciąż nie dawałeś mi dojść do słowa. Nie traktowałeś poważnie tego, co starałam ci się powiedzieć.

Jakub nie odpowiedział. Wstał i gwałtownym ruchem zasunął za sobą krzesło.

– Jadę na koncert – mruknął. – Wybacz, że jednak cię nie zaproszę, bo to by chyba było idiotyczne w zaistniałej sytuacji. – Odwrócił się i wyszedł, zarzucając na głowę kaptur, bo wciąż kropiło.

Nie rozbeczę się, nie rozbeczę się, powtarzała sobie w myślach Helena. Nie oddał mi nawet za kawę. Nie zapytał, jak wrócę do domu. Po prostu obrócił się na pięcie i sobie poszedł. Niech go diabli. To zwykły dupek i pozostaje mi sobie pogratulować, że nie zakochałam się w kimś takim.

Wyszła z kawiarni, kuląc się odruchowo, gdy poczuła na twarzy kropelki deszczu. Teraz już mogę płakać, nikt nie zauważy, przeszło jej przez myśl, ale zdążyła wprawić się w tak wojowniczy nastrój, że łzy nie chciały płynąć.

Ruszyła przed siebie. Trzeba kogoś zapytać o drogę do dworca autobusowego, pomyślała. Przede wszystkim muszę wrócić do babci, o resztę będę się martwić potem. Zresztą o co tu się martwić. Kłopot z głowy. Wprawdzie babcia straci rehabilitanta, ale oklepywanie i oszcypywanie mogę robić sama, a pozostałych ćwiczeń i tak staruszka już od jakiegoś czasu nie wykonywała.

Przed witryną pobliskiej księgarni stał jakiś wysoki mężczyzna.

– Przepraszam – zagadnęła go Lena. – Którędy dojdę do dworca autobusowego?

Odwrócił się i wówczas dziewczyna spostrzegła, że to ten sam facet w marynarce, który siedział przedtem w kawiarni. Dopiero teraz zauważyła jego wielkie, smutne, szarzielone oczy.

– Trzeba dojść do rynku... – zaczął, po czym urwał nagle i popatrzył na nią przeciągle. – Trochę to skomplikowane, chyba musiałbym pani pokazać drogę – podjął po chwili. – A pani nie wraca z narzeczonym?

– No tak, widział pan tę żalną scenę... – Lena zarumieniła się leciutko. – Rzecz w tym, że to nie jest mój narzeczony.

– Wyglądało na to...

– Że się oświadczył, wiem. Tylko że ja nie jestem zainteresowana zamążpójściem.

– W takim razie pozostaje mi pani pogratulować ocalonej wolności – powiedział mężczyzna po chwili milczenia. Miał miły, niski głos. – A co do dworca... tędy. – Pokazał ręką kierunek. – Zaprowadzę panią na rynek, bo i tak zmierzam w tamtą stronę. Z rynku to już prosta droga do pekaesu.

– Dziękuję panu bardzo.

– A wracając do sceny, której niechcący byłem świadkiem... Nie jest pani zainteresowana, bo...? – zapytał ostrożnie. – Nie zamierza się pani z nikim wiązać, czy po prostu jest ktoś inny?

Było to niewątpliwie wtykanie nosa w nie swoje sprawy, ale Lena wcale nie miała

mu tego za złe. Poczwała się nagle dziwnie swobodnie w towarzystwie tego obcego człowieka i zapragnęła mu się zwierzyć.

– Sama nie wiem – wyznała. – Widzi pan, mam takiego znajomego, nazwijmy to... korespondencyjnego. I mimo że nigdy go nie widziałam, czuję, że mamy ze sobą znacznie więcej wspólnego niż ja i ten... bubek. Mam na myśli Jakuba. Tego z kwiatami.

– A właśnie, gdzie kwiaty? – zatroskał się mężczyzna.

– Zostawiłam je w kawiarni.

– Pierścionek także?

– Pierścionek zabrał. – Zaśmiała się Lena. – Podobnie jak bilet na koncert. Bo mieliśmy iść na koncert Czesława Mozila. Jakub nalegał, żebyśmy pojechali jego samochodem... A teraz mnie zostawił. Czyż to nie jest dupek żołądny? Przepraszam za wyrażenie, ale...

– Nie, to jest bardzo trafne określenie. Duppek. Szczeniak.

– O, właśnie, to też pasuje.

– Proszę się nim kompletnie nie przejmować. – Mężczyzna zatrzymał się nagle. Lena, by spojrzeć na niego, musiała zadrzeć głowę, a wtedy jedna z kropli deszczu trafiła jej do oka i dziewczyna zamrugwała szybko. – Niechże pani nie płacze!

– Ależ nie płaczę! To deszcz – powiedziała i niespodziewanie rozplakała się naprawdę. – Znacznie bardziej przejmuję się tym, że niepotrzebnie tu przyjechałam. Mogłam zostać w domu i napisać list... No wie pan, do mojego przyjaciela.

– Rozumiem – odparł stłumionym głosem, z czego wywnioskowała, że i on się wzruszył. Pewnie należał do tych mężczyzn, którzy nie mogą patrzeć na cudze łzy. – Jesteśmy na rynku. Stąd już łatwo trafić, ale tak sobie myślę, że lepiej będzie, jeśli zaprowadzę panią na sam dworzec.

– Dziękuję – chlipnęła Lena, która pod wpływem dobroci zupełnie przeciw obcego człowieka rozkleiła się jeszcze bardziej.

Do dworca było rzeczywiście bardzo blisko. Nie rozmawiali już. Lena próbowała nie płakać, a nieznajomy pozwolił jej milczeć, co chwila zerkając z troską na jej zapłakaną twarz. Kiedy wreszcie doszli na miejsce, okazało się, że autobus do Lubuska stoi właśnie na stanowisku, nie było więc nawet czasu porządnie podziękować. Lena pobiegła do pojazdu, w ostatniej chwili kupiła bilet u kierowcy i zdążyła tylko pomachać przez szybę swemu przypadkowemu towarzyszowi, zanim autobus ruszył.

ROZDZIAŁ 37

To nie jest jakiś szczególnie ważny dzień, mówiła sobie w duchu Francesca, ozdabiając drewnianą tacę motywem bratków wyciętym delikatnie z serwetki. Takie sobie podrzędne święto, które wymyślili mężczyźni po to, by pozbyć się wyrzutów sumienia wobec swoich partnerek.

Poprzedniego wieczoru Grzegorz Wnuk wpadł do „Cudeniek”, by odebrać prezenty dla córek. Wydawał się podekscytowany, może nawet odrobinę nerwowy. Francesca oczekiwała, że porozmawiają chwilę, choćby o tym, jak minął dzień, ale tak się nie stało. Grzegorz zabrał herbaciarki, najwyraźniej myśląc tylko o tym, gdzie je przechowa i jak zareagują jego córki.

– Skądże, nie zakochałam się w nim – odparła na pytanie Beaty, która przyglądała się procesowi nakładania kolejnej warstwy satynowego lakieru. – Wiesz, to zupełnie nie o to chodzi. Nie jest mi przykro ani nic z tych rzeczy. Po prostu przedtem byliśmy raz i drugi w kawiarni, fantastycznie nam się rozmawiało, więc traktowałam go... No, może nie jak przyjaciela, na to potrzebowalibyśmy jeszcze wielu takich wyjść... Ale jak bardzo dobrego znajomego. A tymczasem wczoraj wieczorem stał się po prostu jednym z klientów. Przyszedł, wziął herbaciarki, podziękował, wyszedł.

– Daj mu jeszcze szansę. Może miał jakiś kiepski dzień, rozumiesz. Są takie dni, że człowiek nie ma ochoty z nikim rozmawiać.

Francesca pokiwała głową. Owszem, ona też miała gorsze dni. Delikatnie nabrała odrobinę lakieru na szeroki pędzel i starannie pokryła cieniutką warstwą rączki tacy, po czym odłożyła ją do wyschnięcia.

– No nic, idę do domu. – Beata wstała powoli. Wszystko ostatnio robiła w zwolnionym tempie. – Marek szykuje jakąś niespodziankę w kuchni i mam nadzieję, że już kończy, bo umieram z głodu.

– Może skosztujesz trochę sałatki z fetą? – Francesca poderwała się z krzesła.

– Nie, skądże, specjalnie niczego nie miałam w ustach od obiadu, żeby móc bezkarnie zjeść kolację. Wiesz, zaczynam tyć. Zawsze sporo przybierałam w ciąży, ale teraz, kiedy mam zakaz wszelkiej aktywności, tylko wciąż albo leżę, albo pomalutku snuję się z kąta w kąt, to już naprawdę zaokrąglam się w trybie przyspieszonym.

– Nie przesadzaj, nic nie zauważyłam.

– Ale moje ubrania zauważyły. – Zaśmiała się kwaśno Beata. – Szczególnie spodnie, jakoś tak ciężko je przekonać, żeby się dopięły. Nie zaprzeczaj, bo ci nie uwierzę. Pa, kochana. Do jutra.

Włoszka została sama. Przebrała się w dres i założyła jeszcze bluzę z polaru, bo wieczory były wciąż bardzo zimne, po czym poszła do pani Klary, by zabrać Nitkę na spacer. Starszej pani wprawdzie polepszyło się na tyle, że zaczęła już wyprowadzać psa, ale Francesce tak spodobały się wieczorne przebieżki z jamniczką, że poprosiła o możliwość „wypożyczenia” czworonoga.

Bieganie stało się jednym z elementów „wielkiej odmiany”, którą zaplanowała

sobie w życiu. Zmiana fryzury, parę nowych fatalaszków, inicjatywa w kontaktach z mężczyznami i właśnie odrobina ruchu; tak to wymyśliła – i już od dwóch tygodni nie opuściła ani jednego treningu. Biegła zawsze tą samą trasą, dobrze oświetlonymi uliczkami, gdzie tylko z rzadka przejeżdżał jakiś samochód. Nitka truchtała obok niej na swych krótkich nóżkach, co jakiś czas zwalniając, kiedy zainteresował ją jakiś ponętny dla psiego nosa zapach. Francesca patrzyła w okna mijanych domów. W większości były zasłonięte; tylko raz czy dwa mignęła jej czyjaś sylwetka. Lubiła patrzeć na cienie na zasłonach i wyobrażać sobie toczące się wewnątrz życie – dzieci odrabiające lekcje, kobiety malujące paznokcie i mężczyźni oglądających jakiś mecz. Niby nic, takie samo spokojne, nieco nudne życie, jakie wiodła ona sama. Tyle tylko, że w tamtym, wyzierającym zza zasłon i rolet, pulsowały powolutku jakieś emocje. Francesca bardzo tęskniła za tym rytmem, chciała poczuć go jeszcze raz. Pewnie dlatego teraz tak się uczepliła myśli o Grzegorzu, pomyślała. Nawet jeśli on potraktował naszą znajomość wyłącznie w kategoriach handlowych, to przecież te kilka rozmów wystarczyło, by na nowo rozruszać moje dawno wystygłe serce.

Kiedy przebiegała koło szkoły, w kieszeni jej polaru rozdzwonił się telefon. Niechętnie wyjęła komórkę, spodziewając się litościwego zaproszenia od Beaty, której pewnie zrobiło się głupio, że przyjaciółka siedzi samotnie w Dzień Kobiet. Jednak na wyświetlaczu widniało imię „Grzegorz”.

– Tak, słucham. – Starła się brzmieć sympatycznie, choć po wczorajszym spotkaniu nadal czuła coś w rodzaju żalu.

– Dzień dobry, pani Francesco. Jestem... Jestem pod pani domem. Domyślam się, że pani nie ma?

– Rzeczywiście, nie ma mnie, wysłałam trochę pobiegać z psem.

– Ma pani psa?

– Nie, to sąsiadka... W każdym razie wypożyczam go od niej na wieczorne przebieżki.

Chciała mu zaproponować, żeby zaczekał na nią pod domem, ale nie była pewna, czy nie wpadł tylko na moment. Może na przykład chce złożyć reklamację, bo któryś zawias herbaciarki okazał się felerny albo wieczko się nie domyka?

– Długo pani będzie biegać?

– Nie, już zawracam. Zaczeka pan? – Odważyła się wreszcie.

– Nie, myślę, że już pójdę. Właściwie nie wiem, dlaczego przyszedłem. To znaczy wiem... – Grzegorz zaczął się plątać. – Przyniosłem... – Urwał, a po chwili zmienionym głosem dokończył: – To ja jednak zaczekam. Do widzenia.

I rozłączył się. Francesca z niedowierzaniem popatrzyła na telefon. To był niewątpliwie jeden z najdziwniejszych dialogów, jakie w życiu przeprowadziła. Zwalczyła pokusę, by oddzwonić i kontynuować rozmowę. Schowała telefon do kieszeni i przyspieszyła nieco, chcąc jak najszybciej znaleźć się na ulicy Bukowej.

Kiedy dobiegła pod kamienicę z mansardowym dachem, Grzegorz Wnuk, zadzierając głowę, przyglądał się ciemnym sylwetkom aniołów.

– Piękne – powiedział. – I ten bluszcz je tak ładnie oplata. To stary budynek?

– Tak, jeszcze sprzed wojny. Ale przeszedł gruntowny remont, dosłownie od

podszewki.

– Kto mieszka na samej górze?

Chyba nie przyszedł tu, żeby rozmawiać ze mną o mieszkańcach kamienicy, pomyślała Francesca, zaś głośno powiedziała:

– Artysta. Ale więcej go nie ma, niż jest.

Była ciekawa, czy ta odpowiedź mu wystarczy; większość ludzi, słysząc takie zdanie, poczułaby się zaintrygowana, ale Grzegorz najwyraźniej wcale nie słuchał, bo podszedł do drzwi i otworzył je szeroko przed Francescą.

– Postawiłem tutaj – bąknął niewyraźnie, a ona przez chwilę nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Dopiero kiedy zapaliła światło na klatce schodowej, zauważyła rattanową osłonkę z różowymi fiołkami, ustawioną przy wycieracze.

– Z najlepszymi życzeniami z okazji Dnia Kobiet. – Grzegorz podniósł doniczkę i wręczył kwiaty Francesce. – Byłem w sklepie, ale przyszedłem za późno, już pani zamknęła. Sądziłem, że krząta się pani jeszcze na zapleczu...

– Nie, dzisiaj uporałam się ze wszystkim na czas. Przepraszam pana na chwilę, tylko odprowadzę Nitkę.

Miał dziwny wyraz twarzy, zapewne nie zrozumiał, że Nitka to imię jamniczki, ale Francesce nie chciało się wyjaśniać. Była w nietypowym dla siebie nastroju – jakby nieco naburmuszona, z pretensjami do świata. Poza tym krępował ją fakt, że spociła się podczas biegu i zapewne na jej policzkach widniały wielkie rumieńce.

– Zapraszam – powiedziała, kiedy wróciła na parter, i otworzyła drzwi przed stojącym tam Grzegorzem. – Może napijemy się herbaty?

– Bardzo chętnie.

Wszedł i rozejrzał się ostrożnie, jakby obawiał się, że ktoś jeszcze jest w mieszkaniu.

– Tak jak to sobie wyobrażałem – powiedział, kiedy zdjął kurtkę i wszedł do pokoju. – U pani jest inaczej. Artystycznie.

– Czy artystycznie, to nie wiem – odparła Francesca. – Ale na pewno kolorowo. Czasem czuję się przytłoczona tymi barwami i wtedy planuję wielką przemianę mojego mieszkania... Na przykład czerń i biel. Albo tylko beże w różnych odcieniach. Ale na dłuższą metę chyba byłoby smutno.

– Tak, smutno – potwierdził Grzegorz z ożywieniem. – Niech pani niczego nie zmienia. Tu jest mnóstwo ciepła. W pani jest coś... słonecznego. Żywioł, moc, energia. Nie wiem, jak to opisać. Zresztą widać to u pani nawet w kolorze włosów.

Francesca zarumieniła się, ale komplement nie poprawił jej nastroju. Wciąż czuła się poirytowana.

– Zapraszam do kuchni, zrobię herbatę – powiedziała. – Mam też pyszną sałatkę z fetą.

– Nie, dziękuję, nie będę nic jadł – spłoszył się Grzegorz, który w międzyczasie usiadł przy stole. – Wie pani, nie chciałbym przeszkadzać. Naprawdę miałem zamiar tylko wstąpić do sklepu i złożyć pani życzenia.

Nie musi tego tak podkreślać, pomyślała Francesca. Jakby za żadne skarby nie chciał się spoufalać.

– No, jeśli chodzi tylko o to, to wystarczyło zostawić kwiaty na wycieracze i wsunąć w drzwi karteczkę, żebym wiedziała, od kogo. – Uśmiechnęła się ironicznie.

– Pani Francesco, pani mnie chyba źle zrozumiała. – Grzegorz zerwał się z krzesła.

– Ja... Źle się wyraziłem. Chciałem się z panią zobaczyć, złożyć pani życzenia... Powiedzieć, jak bardzo...

– Tak, wiem. Jest pan wdzięczny za herbaciarki. Już mi pan przecież dziękował. Nie trzeba było sobie robić kłopotu, naprawdę. Teraz pana na moment przeproszę, muszę się przebrać, bo zgrzałam się tak, że aż ze mnie paruje.

Nie dała mu czasu na odpowiedź, poszła do sypialni, a potem wstąpiła jeszcze na chwilę do łazienki. Kiedy wróciła, ubrana w miękkie zielony pulower i džinsy, Grzegorz stał przy blacie i przeglądał znaną tam książkę kucharską.

– Pani Francesco... – Ściszył głos, nie przestając się przyglądać, jak gospodyni wyciąga z szafki czajniczek i nasypuje do niego herbacianych liści. – Nie chodzi mi o podziękowania. Proszę się nie odwracać, proszę na mnie popatrzeć... Czy pani ma do mnie żal o coś? Jest pani smutna?

W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta, jakby fakt, że ona rzeczywiście może żywić do niego urazę, był dla niego czymś strasznym. Francesca odważyła się spojrzeć mu w oczy, ale natychmiast odwróciła wzrok, bo czuła się okropnie skrępowana.

– Tak, jestem smutna – przyznała po chwili, nalewając gorącej wody i przykrywając czajniczek. – Ale sama nie rozumiem, dlaczego. Wie pan, z jednej strony ten głupi ósmy marca... Takie kobiety, jak ja, samotne, po czterdziestce, niekoniecznie lubią to święto. I nawet nie jestem pewna, czy bardziej mi smutno, że nie dostałam od nikogo kwiatów, czy że wreszcie dostałam je od pana, bo pomyślał pan... Pomyślał pan, że jestem samotna i zrobiło się panu...

Nie dokończyła. Grzegorz położył nagle rękę na jej dłoni spoczywającej na blacie kuchennym. Nic więcej, nie splekli ze sobą palców, nie poruszyli się, tylko oboje patrzyli w to samo miejsce, jakby dziwiło ich, że jego dłoń jest większa niż jej. Francesce słowa uwięzły w gardle.

– Ja nie miałem prawa... – odezwał się w końcu mężczyzna. – Pół roku to za mało, wiem o tym. Powinienem być ciągle w żałobie. Nie miałem prawa się w tobie zakochać.

– Nie mów tak – szepnęła tak cicho, że nie była pewna, czy usłyszał.

Najpierw zapadła cisza, a oni oboje trwali bez ruchu, jakby ich ktoś zaczarował. Potem Grzegorz zagarnął Francescę w ramiona i wtulił twarz w jej szyję. Nie pocałował jej, tylko tulił bardzo długo, szepcząc:

– Nie myśl, że to łatwe. Nie, nie jest łatwe. Ewelina umierała bardzo długo, to znaczy na początku chyba sądziliśmy, że z tego wyjdzie... Nie byliśmy szczególnie zakochani, to było przyzwoite małżeństwo, ale od dawna pozbawione namiętności. Tyle że kiedy ktoś choruje, nie myśli się o takich sprawach. Nie myśli się o czułości, bliskości fizycznej, liczy się tylko kolejna wizyta u lekarza, wyniki badań, zdrowa dieta i takie inne sprawy. Ja już nawet nie pamiętałem, jakie to uczucie, gdy człowiek się zakocha.

Francesca milczała.

Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać, pomyślała. Niczego nie musisz wyjaśniać. Po prostu tul mnie najmocniej, jak potrafisz.

– Kiedy umarła, nie czułem rozpacz – podjął Grzegorz. – Wiem, że to okropne, ale tak właśnie było. Chyba nawet przyniosło mi to ulgę. Nikomu tego nie mówiłem; myślałem nawet, żeby wybrać się do psychiatry, bo to chyba nienormalne, prawda? – Odsunął Francescę od siebie na moment, żeby zajrzeć jej w oczy, ale ona przyłgnęła do niego znowu całym ciałem. – Te ostatnie miesiące przed jej śmiercią były koszmarne. Dziewczynki pewnie też na swój sposób odetchnęły, oplakały jej odejście, a potem życie wróciło na dawne tory. Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek... Nie szukałem. Gdybym nie zajrzał wtedy do twojego sklepu, gdybym na przykład poprzestał na kwiatkach albo zabrał córki na zakupy, żeby sobie wyszukały jakieś fatalaszki...

– Ale zajrzałeś – szepnęła Francesca. – I przewróciłeś mój świat do góry nogami.

Objął ją jeszcze mocniej i zanurzył twarz w krótkich, rudych lokach.

– Chcesz mnie? – zapytał. – Mimo wszystko? Chcesz mnie, chociaż będę się z tobą spotykał w tajemnicy przed Anią i Olą? Chociaż będę to ukrywał przed znajomymi, bo nie jestem gotów zobaczyć potępienie w ich spojrzeniach? Chociaż będę opowiadał o żonie i jej chorobie, bo nie potrafię jeszcze tego nie robić? Chcesz mnie, nawet jeśli będziesz musiała na mnie czekać?

Francesca zamknęła powieki, a po jej policzkach spłynęły wielkie łzy. Czekać to ja akurat umiem, pomyślała. Jestem w tym najlepsza.

– Chcę – powiedziała.

ROZDZIAŁ 38

Marcelina przekroczyła próg domu państwa Ksyków na drżących nogach. Czowała się tak samo, jak wiele lat temu – przed egzaminem na kartę pływacką. Zupełnie jakby z nerwów miało jej zabraknąć powietrza. Przecież to nic takiego, tłumaczyła sobie w myślach. Zwyczajna randka. Tyle że po raz pierwszy z kimś, w kim jestem zakochana. I po raz pierwszy u niego. Bez rodziców. A do tego jest pokój Huberta, łóżko, wieczór, i kto wie...

Na dalsze rozważania zabrakło jej słów i odwagi. Chłopak otworzył drzwi z rumieńcami na pół twarzy, najwyraźniej tak samo przejęty jak ona. Kiedy weszła i zaczęła najwolniej, jak tylko się dało, rozpinąć kurtkę, stanął kilka metrów od niej. Jakby nadmierna bliskość mogła być niebezpieczna, pomyślała Marcelina. Jakby groziło nam, że rzucimy się na siebie i zrobimy coś absurdalnie głupiego, a jutro w szkole nie będziemy mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy.

Sama nie wiedziała, czy pragnie, aby się stało to „coś absurdalnie głupiego”, czy wolałaby odsunąć to w czasie. Na pewno bała się tego – to jedno było absolutnie pewne... Ale czy jednocześnie chciała? Jak każda osiemnastolatka miewała sny erotyczne, marzyły jej się gorące pocałunki i pieszczoty. Z drugiej strony – również jak niemal każda dziewczyna w jej wieku – chciała, by ten pierwszy raz był czymś magicznym, szczególnym. Innym niż wszystkie pierwsze razy, jakie zdarzyły się dotąd. Jednym słowem: pragnęła, by spełniło się coś, w co sama nie wierzyła.

– Tata zabrał mamę do kina – wyjaśnił Hubert, choć przecież Marcelina już o tym wiedziała, z tego właśnie powodu umówili się tego wieczoru w domu Ksyków.

– Musi być romantykiem – odparła, byle się odezwać. Z wrażenia zaschło jej w gardle i zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. – Często tak robi?

– Czy ja wiem? Chyba niezbyt... Ale może to i lepiej? Pewnie by im spowszedniało, gdyby to weszło w nawyk, nie uważasz?

Marcelina nie wiedziała, co właściwie sądzi na ten temat, więc tylko wzruszyła ramionami. Wsunęła stopy w góralskie papcie, które podsunął jej Hubert, myśląc przy tym, że to takie uroczo małomiasteczkowe – po pierwsze, że ona zdjęła buty, a po drugie, że on jej dał kpacie swojej mamy.

– Wiesz, że w Japonii byłoby świętokradztwem, gdyby ktoś wszedł w butach do czyjegoś domu? – zapytał Hubert, jakby usłyszał jej myśli. – A u nas to taki krępujący temat.

– Krępujący? – powtórzyła. – W wielkich miastach to być może rzeczywiście wiocha, zdejmować buty... Wiesz, te wszystkie eleganckie imprezy i tak dalej. Ale tu u nas, na cichej prowincji, można mieć w nosie savoir-vivre. To przecież oczywiste, że nikt nie chce mieć w domu błota.

Hubert pokiwał głową, po czym poprowadził ją do obszernego salonu i pokazał ruchem ręki miejsce na sofie przy kominku. Następnie z namaszczeniem wręczył jej bukietik miniaturowych, bladoróżowych różyczek z okazji Dnia Kobiet.

– Zaraz podam do stołu – powiedział z dumą, która sprawiła, że Marcelina miała

ochotę się roześmiać. Na szczęście w porę uświadomiła sobie, że ma do czynienia z wrażliwym chłopakiem i nie jest pewna, jak u niego wygląda poziom poczucia humoru i autoironii.

Kiedy Hubert krzątał się w kuchni, wstawiła kwiaty do przygotowanego wcześniej wazonika i rozejrzała się po pokoju. Ładnie, nowocześnie i ze smakiem, podsumowała w myślach. Na ławie leżała książka z zakładką. Marcelina sięgnęła po nią i zdumiała się, widząc dziwny tytuł: *Trzech panów w łódce, nie licząc psa*. Otworzyła na chybił trafił i po chwili pograżyła się w lekturze.

– Lubisz angielski humor? – Głos chłopaka wyrwał ją z lektury.

– Właściwie... nie wiem – odparła nieśmiało, bo nie miała w tym względzie żadnych doświadczeń poza tym jednym; książka, którą trzymała w rękach, już zdołała rozbawić ją i zainteresować. – To mi się podoba, ale nie mam pojęcia, czy polubiłabym też inne...

– Nie oglądasz *Latającego Cyrku Monty Pythona*? – zdumiał się Hubert. – Nie lubisz absurdu?

– Lubię – powiedziała ostrożnie Marcelina. Z Montym Pythonem kojarzyła jej się bzdurna, ale w sumie dość zabawna komedia *Rybka zwana Wandą*, którą kiedyś anglista, chyba w przypływie dobrego humoru, włączył im na lekcji, aby uświadomili sobie różnice kulturowe między Brytyjczykami a Amerykanami. – Ale o tej książce dotąd nie słyszałam.

– Jest znakomita! – Ożywił się Hubert. – Zwłaszcza scena, w której bohaterowie próbują otworzyć puszkę z ananasem. – Wziął od Marceliny książkę i zaczął przeglądać. Przez chwilę wyglądało na to, że zamierza przeczytać na głos wspomniany fragment, ale w porę się zreflektował. – Zresztą, jeśli chcesz, to ci pożyczę.

Skąd się biorą tacy jak on, myślała Marcelina, przyglądając mu się, kiedy znów szedł do kuchni. Nie dość, że inteligentny, sympatyczny i w sumie niebrzydki, to w dodatku ma zainteresowania, pasje, hobby, ambicje... I czyta książki. Myślałam, że na świecie nie ma takich chłopaków.

– Zapraszam do stołu. – Rozległ się głos gospodarza. – Nie wiem, czy lubisz... Zrobiłem filety z dorsza pod kołderką ze szpinaku.

– Co takiego?

– Filety. Z dorsza – powtórzył.

– Rany Julek, jakie ekskluzywne danie.

– Jakie tam ekskluzywne, przecież to ryba z Biedronki. – Hubert zarumienił się lekko. – Lubię gotować, ale nie zawsze mi wychodzi, więc eksperymentuję raczej na tańszych produktach...

– Rozumiem. Dla mnie to i tak ekskluzywne, naprawdę. U nas jada się raczej tradycyjnie: żurek, krupnik, klopsiki...

– Uwielbiam takie jedzenie. – Westchnął chłopak. – Ale moja mama jest bezglutenowcem, zatem większość dań z tradycyjnego menu odpada.

– No tak. – Marcelina nie mogła się dłużej powstrzymać, nabrała na widelec odrobinę delikatnego mięsa. – Pyszne. O rany, naprawdę niebo w gębie. Tylko mi nie mów, że całkiem sam to przyrządziłeś...

– Sam, naprawdę. Kucharzenie mi wychodzi, przyznaję to nieskromnie. U nas w rodzinie się mówi, że umiem zrobić coś z niczego. I że jestem niezłym materiałem na...
– Urwał. – No, w każdym razie mama zawsze powtarza, że nie umrę z głodu.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Marcelina zastanawiała się, jak mogła być tak głupia i choć przez chwilę sądzić, że Hubertowi chodzi o randkę „łózkową”. Przykładała do niego tę samą miarkę, co do Kamila i jego kolegów, a tymczasem Hubert był jakby o klasę wyżej.

– Co w końcu postanowiłaś w sprawie studiów? – zapytał chłopak. – Bo tak sobie pomyślałem, jak fajnie by było, gdybyś też poszła do Poznania... No wiesz, zawsze to różniej. – Zmieszał się, ale wytrzymał jej uważne spojrzenie.

– Pewnie, że różniej – odparła cicho. – I wiesz, rzeczywiście złożę papiery do Poznania.

– Żeby...? – pociągnął Hubert łamiącym się głosem. – Żeby dać nam szansę?

A więc tak to jest, pomyślała Marcelina, kiwając głową i drżącą ręką sięgając po szklankę wody. Tak wygląda ta prawdziwa pierwsza miłość. Serce tłucze się w klatce piersiowej, jakby chciało uciec z przerażenia, że stanie się coś wielkiego i tak pięknego, że nie będzie można tego znieść. W gardle zasycha i gubią się gdzieś wszystkie słowa, choć przecież przedtem miało się ich pełną głowę. Człowiek nie jest pewien własnych dłoni, mimika odmawia posłuszeństwa, na twarz wypełza głupi uśmiech albo właśnie na odwrót, chcesz się uśmiechnąć, a usta cię nie słuchają.

– Odpocznimy przed deserem? – zaproponował Hubert, zupełnie nieświadom potoku myśli, z którym usiłowała sobie poradzić dziewczyna. – Może partyjka szachów?

– Ale ja nie umiem... To znaczy wiem, jakie ruchy wykonują figury, ale taktycznie jestem do niczego.

– Tym lepiej. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Bo to są specjalne szachy. Kiedy zbijasz przeciwnikowi pionka, możesz mu zadać pytanie, a on musi odpowiedzieć szczerze. Jeżeli strącisz figurę, możesz sobie czegoś zażyczyć.

– Na przykład czego?

Hubert w odpowiedzi spojrział na nią w taki sposób, że Marcelina zarumieniła się i przez dłuższy czas nie była w stanie podnieść wzroku.

Rozłożyli te „specjalne szachy”. Grali bez pośpiechu, stracili rachubę czasu. Odpowiedzieli sobie na wszystkie zadane szeptem pytania, a kiedy przyszło do spełniania życzeń Huberta, bo to głównie on zbijał figury, poświęcili się temu do tego stopnia, że zupełnie zapomnieli o deserze.

ROZDZIAŁ 39

– I co ja mam właściwie o tym myśleć? – zastanawiała się na głos Lena następnego dnia, po raz kolejny czytając maila od Borysa Magury. – Jak można napisać dwa tak kompletnie różne listy w przeciągu zaledwie dwóch godzin?!

Pierwszy mail został wysłany ósmego marca o siedemnastej dwadzieścia dwie.

Pani Leno – pisał Borys. – Pyta mnie pani, czy można wierzyć pijanemu mężczyźnie? Sądzilem, że jest Pani rozsądniejsza. Oczywiście, że nie można. Ani na jotę! Zresztą wierzyć nie należy także kobietom. Ostrożność jest zawsze lepsza aniżeli zbytnia łatwowierność, ponieważ tej ostatniej dziwnie blisko jest do głupoty, zauważyła Pani? I to głupoty z gatunku najgorszych, bo naiwnych i budzących politowanie. Zresztą która głupota go nie budzi?

Proszę się nie gniewać, prosiła Pani o szczerość. Borys

Zapewne po dwukrotnym przeczytaniu tego maila Lena wcale nie otworzyłaby kolejnego, gdyby nie to, że otworzył jej się sam. Kiedy już rozplakała się ze złości i rozczarowania, usunęła nieprzyjemny list, a wówczas automatycznie wyświetliła jej się treść następnego. Ósmy marca, godzina dziewiętnasta zero trzy. Prawie dwie godziny później...

Pani Leno, Lenko kochana, przepraszam.

Nie wolno mi było tego napisać. Niejeden raz już myślałem, że z mailami jest jakoś paskudnie – powinny najpierw trafiać do czegoś w rodzaju poczekalni i dopiero po zaakceptowaniu na chłodno, dajmy na to po dwunastu godzinach, frunęłyby do adresata. Zauważyłaś, że często piszemy pod wpływem impulsu, który mija bez śladu – gdy tymczasem treść maila pozostaje, wędruje swoją drogą i trafia do czyjegoś serca, umysłu, do czyjegoś świata?

Zatem jeszcze raz: oczywiście, że powinnaś wierzyć, Leno. Powinnaś wierzyć zarówno pijanemu, jak i temu, który tylko udaje pijanego – kiedy wyznaje Ci coś niełatwego; coś, z czym być może sam nie potrafi się uporać. Kiedy okazuje się niemodnie sentymentalny i otwiera się przed Tobą niczym ślimak pozbawiony skorupki, rozwija się jak miękki brzuszek jeża. Jeden Twój ruch, jedno słowo może zranić to bezbronne miejsce, ale też jeden ciepły gest może tego człowieka uratować – sprawić, że nie zamknie się, nie zaskorupi nigdy więcej. Masz go w garści, Leno, razem z tymi uczuciami, które Ci wyznał. Masz go w dłoni jak pisklaka. Zrób z nim, co zechcesz.

Helena pogubiła się zupełnie. Poszła do pokoju babci, usiadła na brzegu łóżka i zamyśliła się głęboko.

– Nigdy nie mówić prawdy – odezwała się babcia Miecia swoim chropowatym głosem. – Pamiętaj, nigdy.

– Gdyby to było takie proste, babciu. – Westchnęła Lena, choć dobrze wiedziała, że te słowa odnoszą się do czegoś, co rozgrywało się w głowie staruszki. – Ale widzisz,

coś mi się wydaje, że znaleźliśmy się w impasie. On troszkę się otworzył, naprawdę odrobinę, ale zaraz potem schował się znowu, poprosił, żebym udawała, że tamtego listu nie było. W porządku, udawałam. Teraz myślę, że zachowałam się głupio, ale wtedy wydawało mi się, że tak właśnie należy postąpić. I wiesz co, babciu? Teraz żałuję. Bo w sumie co bym straciła, wyznając mu, że zupełnie bez sensu się w nim zakochałam? Zadurzyłam się w jego listach. Czy to mądrzejsze, czy głupsze niż zakochać się w czyjejś twarzy, w ładnym ciele, „atrakcyjnym opakowaniu”, jak to nazwał mój były chłopak? Jak uważasz?

– Wszędzie wszy – odparła babcia Miecia. – Wszędzie.

Lena westchnęła i poprawiła staruszce poduszkę.

– Nie narzekaj, babciu, nie jest tak źle – powiedziała pogodnie. – Czasem się trafi wesz, czasem pluskwa, ale w zasadzie otaczają nas dobrze ludzie.

Mieczysława Botula spojrzała na wnuczkę ze zdumieniem. Może to jest jakiś sposób, pomyślała Lena. Może trzeba rozmawiać z nią tak, jakby była całkiem przytomna? Kiedyś i ja będę staruszką, którą ktoś się będzie zajmował. Pewnie wolałabym, żeby mówił do mnie z sensem, nawet gdyby był to sens dość pokrętny, niż żeby próbował mi uświadomić, jak bardzo nie pasuję do świata.

– Myślę, że najwyższa pora, żebym mu to teraz wyznała, nie uważasz? – Podjęła poprzedni wątek. – Napiszę mu wszystko, całą prawdę. Niech z tym zrobi, co zechce. Niech teraz on się głowi, jak postąpić.

Babcia skinęła głową z najwyższą powagą.

Helena westchnęła ciężko, wstała i udała się do kuchni, gdzie zaparzyła sobie herbatę, a potem otworzyła laptopa i po krótkim namyśle zaczęła stukać w klawisze.

Tej nocy spała dobrym, mocnym snem, zupełnie jakby rozstanie z Jakubem – nawet jeśli przykre i zostawiające gdzieś na dnie duszy sporo gorzkości – przyniosło jej spokój, z jakim potrafią zasypiać tylko dzieci. Może też pomogła jej ulga, którą odczuła, gdy wyznała Borysowi całą prawdę – o powoli budzącym się uczuciu, o własnych obawach i nawet o rozstaniu z chłopakiem.

Żałuję tylko, że zwlekałam tak długo – napisała. – Powinnam była załatwić to jednym ruchem, a nie rozrywać powoli; ostre cięcie zawsze mniej boli. Nie mnie, oczywiście (mówiąc szczerze, mnie nie bolało wcale), ale jego. Bo wbrew temu, czego się spodziewałam, nie jest mi wszystko jedno, co ten chłopak teraz myśli. Wstydzę się, jest mi przykro i żałuję – lecz tylko tego, że w ogóle całą tę sprawę zaczęłam i ciągnęłam.

Kiedy patrzę wstecz, znajduję dla siebie tylko jedno usprawiedliwienie: nie zdawałam sobie sprawy ze swoich prawdziwych uczuć. To, że pokochałam Twoje listy, stało się jakoś niepostrzeżenie i nieświadomie. Czy zawsze tak jest z miłością? Masz w tym względnie większe doświadczenie, już przecież kochałeś prawdziwie, napisz mi, opowiedz.

Kiedy przestałeś do mnie pisać, zbliżał się właśnie sylwester. Weszłam w Nowy Rok z wielkim smutkiem, którego źródła nie potrafiłam wówczas zidentyfikować. Wydawało mi się, że to zmęczenie, zimowa depresja, zniechęcenie tym, że stan babci się nie poprawia. Wszystko to razem sprawiło, że łaknęłam czyjejś bliskości. To był wielki błąd, że

poszukałam jej w ramionach niekochanego człowieka.

Odpowiedź od Borysa nadeszła w nocy, ale Lena odczytała ją dopiero w południe następnego dnia, ponieważ rano przyniósł pogorszenie się stanu zdrowia jej podopiecznej. Kiedy wnuczka zajrzała do pokoju, by zmienić starszej pani pampersa, okazało się, że babci nie można dobudzić. Oddychała, ale nie otwierała oczu, nie reagowała na dotyk – jednym słowem, zgodnie z ponurą przepowiednią Jakuba, zamieniła się w „roślinkę”.

Lena natychmiast zadzwoniła po pogotowie, ale trochę trwało, zanim przyjechała karetka i zabrano babcię do szpitala w Żarach, choć lekarz mruknął pod nosem, że według niego ludzie powinni umierać w domu, w otoczeniu bliskich. Lena zalała się łzami, usłyszawszy tę prognozę, ale gdy ambulans odjechał, zadała sobie pytanie, czy przypadkiem ten niemiły człowiek nie miał racji. Śmierć i narodziny to awers i rewers monety o nazwie życie, pomyślała. Dlaczego przenieśliśmy i jedno, i drugie z domu do szpitali? Boimy się krwi, bólu, cudzego cierpienia... Zamiast zająć się tymi, którzy potrzebują naszej obecności, wolimy powierzyć opiekę nad nimi ludziom, którzy podejść do sprawy bez emocji. Ale może te emocje są właśnie niezbędne?

Gdybym miała wybierać, gdzie chcę się pożegnać ze światem, postawiłabym na własny dom, uświadomiła sobie. Nawet jeżeli miałyby temu towarzyszyć łzy ludzi, którzy mnie kochają. Może zresztą te łzy są potrzebne tak samo jak słowa pożegnania, jak uścisk kochającej dłoni? Istnieją takie doznania, którym nie należy zaprzeczać ani przed nimi uciekać. Zamiast tego trzeba spojrzeć im w oczy. Jedną z takich spraw jest śmierć.

– Jutro porozmawiam z lekarzem – zwierzyła się Lena aniołom, bo oczywiście natychmiast po odjeździe karetki pobiegła na poddasze, żeby się uspokoić. – Jeżeli mi powie, że jego zdaniem babcia już z tego nie wyjdzie, zabiorę ją do domu. Lepiej, żeby odeszła tutaj, przy mnie, we własnym pokoju, niż w otoczeniu zimnych, białych ścian i ludzi, dla których jest tylko kolejnym pacjentem.

Podlała rośliny, jak zwykle poświęcając szczególną uwagę drzewku pomarańczowemu, którego lśniące, lakierowane liście stanowiły dla niej dowód, że nigdy nie należy się poddawać.

– Pamiętasz? – szepnęła Lena do rośliny, zanim wyszła. – Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, wyglądało na to, że nie ma dla ciebie nadziei. A teraz, spójrz tylko! Rośniesz bujnie i jesteś piękniejsze niż wszystkie kwiaty w tym mieszkaniu. Kto wie, może tak będzie i z innymi sprawami? Może tak stanie się i z babcią Miecią oraz z moją dziwną znajomością z Borysem? Nigdy się nie wie takich rzeczy, prawda? I to jest właśnie najwspanialsze.

Pani Leno, Leno kochana.

Sama widzisz, nie mam jeszcze śmiałości spoufalać się z Tobą, odruchowo mi się pisze „pani”. To nie znaczy, że nie chcę. To znaczy, że się boję.

Niemęskie, prawda? – przyznawać się do strachu. Ale właśnie taka jest prawda: panicznie boję się postawienia kropki nad naszym wspólnym „i”, lękam się spotkania z Tobą, obawiam się Twojej reakcji na moją zmęczoną twarz, na moje wielkie cielsko, na

to, że nie jestem młodym chłopcem i nie mam do zaoferowania nic świeżego, bezczelnie odważnego z samej tylko racji bycia młodym.

Pytałaś o moją miłość do żony... Nie gniewaj się, ale nie opowiem Ci o tym. Nie ma zresztą o czym. To nie jest ładna historia. Byłaby to opowieść dość gorzka, więc lepiej darujmy ją sobie. Co do istoty Twojego pytania: nie, uczucie nie narastało powoli, było podobne raczej do eksplozji aniżeli do budowania czegokolwiek na solidnym fundamencie; zapewne też dlatego ta budowla tak szybko runęła. Nie było w tym też za grosz magii, znacznie więcej namiętności, która, gdy wygaśnie, pozostawia dość paskudny smak (albo raczej: niesmak). Zauważyłaś?

A teraz, Leno, zmiana tematu. Całkiem, o sto osiemdziesiąt stopni. Zaskoczę Cię pewnie, choć wcześniej to i owo przemyślałem między wierszami. Otóż moje ostatnie podróże miały związek ze zbieraniem materiałów do nowej książki, właściwie nie tyle jeszcze nowej – co planowanej. Marzy mi się powieść zupełnie inna, niż te napisane pod pseudonimem – tę jedną mógłbym wydać pod własnym nazwiskiem i czuję, że nie miałbym nawet problemów z ujawnieniem się czytelnikom. Byłaby to powieść o młodziutkiej Mieci, pewnego listopadowego dnia w roku czterdziestym ósmym wyrwanej brutalnie z życia, które nie było może wygodne ani łatwe, ale przynajmniej znajome, oswojone, a przez to – na swój sposób bezpieczne. Myślę, że ta powieść mogłaby mieć kilku narratorów. Jednym z nich zapewne byłaby Mieczysława, ale udzieliłbym także głosu niejakiemu Anatolowi Sasowi spod Włodawy, człowiekowi o niespotykanym wręcz darze opowiadania. Zaś trzecim narratorem (i tu już zupełna niespodzianka) byłby bardzo już wiekowy pan, Rosjanin mieszkający obecnie w Wielkich Łukach w obwodzie pskowskim. Niestety, nie mam pojęcia, jak u niego ze swadą w snuciu opowieści, dysponuję natomiast całkiem obszernymi relacjami, które przekazał swemu wnukowi, Aleksandrowi Smiertinowi. Ten zresztą nazywa się dokładnie tak samo jak dziadek.

Co o tym sądzisz? Czy to dobry pomysł?

Lena czytała ten list z poczuciem winy, ponieważ czuła, że powinna już się znaleźć przy babci w szpitalu. Nawet jeśli staruszka wydawała się pogrążona we śnie, nie było przecież pewności, że nie słyszy. Może właśnie rozumie wszystko? Może boi się, czuje się samotna i łaknie obecności kogoś, kogo zna? Dlatego dziewczyna zamierzała czym prędzej pojechać do szpitala i resztę dnia spędzić na oddziale – przeczytawszy jednak nazwisko „Sas”, znieruchomiała. Więc Borys pojechał aż pod Włodawę i spotkał się z dziadkiem Janusza Sasa? Ta historia musiała bardzo poruszyć jego pisarską wyobraźnię!

Natomiast końcówka listu, ta o jakimś Rosjaninie, nic Lenie nie mówiła. Nie rozumiała, co ma do rzeczy czyjś wnuczek, ale nie była teraz w stanie zastanawiać się nad tym dłużej.

Wzięła laptopa pod pachę i poszła do samochodu. Zapinając pasy, zatelefonowała jeszcze do Franceski, by ją uprzedzić, że nie przyniesie dziś obiecanych wianków wielkanocnych (miała je już wprawdzie wydziergane, ale należało jeszcze przyszyć do nich kolorowe jajeczka).

– Niczym się nie przejmuj. – Uspokoila ją przyjaciółka. – Wianki nie uciekną, ty teraz myśl o pani Mieci i może troszkę o samej sobie. Jesteś kłębkim nerwów.

– Pewnie masz rację – potulnie zgodziła się Lena. – Posiedzę trochę przy babci,

uspokoję się, odsapnę. A kiedy wrócę do domu, spokojnie zabiorę się za szycie.

– Nawet jeśli odłożysz to do jutra, też nic się nie stanie.

– Gdyby mi nie szło, wezmę jakieś wino i zwałę ci się na głowę.

Z ciszy, jaka na moment zapadła w słuchawce, Lena wywnioskowała, że to nie był najlepszy pomysł.

– Nie zwałę się, no coś ty – poprawiła się szybko. – Chciałam cię tylko nastraszyć. Ale potem opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

– Oczywiście, że ci opowiem. – Roześmiała się Francesca. – Chociaż w sumie pewnie nie będzie o czym. Znów będziemy się z Grzegorzem nieśmiało tulić i mówić o wszystkim, co nam przyjdzie do głowy. Wiesz, jak to jest, kiedy ludzie dopiero się poznają; chcą sobie opowiedzieć cały świat, od najwcześniejszych wspomnień, przy czym nie zawsze chronologicznie.

– Interesujące, ale przecież nie o takie szczegóły mi chodzi – zażartowała Lena. – No dobrze, koniec głupot, muszę jechać. Bawcie się dobrze.

– Uważaj na siebie.

Babcia wybudziła się ze swojego dziwnego snu dopiero późnym popołudniem.

Od kilku godzin Lena cierpliwie siedziała przy łóżku i przemawiała do chorej. Zrobiła sobie jedynie krótką przerwę, którą wykorzystała na szybkie zakupy (wyskoczyła do sklepu i kupiła sobie banany oraz soczek, bo przecież od rana nic nie jadła). Kiedy wróciła, odpisała szybko Borysowi:

Brzmi ciekawie... Wszystko, co piszesz, tak dla mnie brzmi. Nie mam pojęcia, kim jest Aleksander Smiertin, za to domyślam się, o czym rozmawiałeś z Anatolem Sasem i dokąd (w sensie geograficznym) zawiodły Cię Twoje podróże. Jesteś niesamowity!

Niestety, nie wiem, czy nie będzie za późno na odkrywanie tajemnic babci Mieci – to znaczy w zasadzie na to nigdy nie będzie za późno, ale nie mam pojęcia, czy zdążę z nią o tym porozmawiać. Z babcią jest coraz gorzej, nie obudziła się od wczoraj ani na chwilę. Martwię się, Borys. Bardzo się martwię.

Wkrótce po wysłaniu tego maila Lena zauważyła, że staruszka ma otwarte oczy i patrzy na wnuczkę, a w jej wzroku malowało się tyle bezradności i lęku, że dziewczyna w pierwszym odruchu pobiegła po lekarza. Niestety, był akurat potrzebny przy przyjmowaniu nowego pacjenta, przy łóżku babci Mieci zjawiała się więc młodziutka stażystka, kobieta o mysich włosach spiętych w wątlą kitkę, wielkich, zielonych oczach i lekko odstających uszach. Od razu wzbudziła w Lenie sympatię. Wprawdzie nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z pytań, które cisnęły się dziewczynie na usta, ale za to mówiła rzeczy, których wcześniej nikt jej nie powiedział.

– Wie pani, z problemami neurologicznymi jest trochę jak z loterią. Ślepy traf. Uda się albo nie. Nie potrafimy ingerować w procesy samoleczenia, które zachodzą w mózgu. I w sumie, powiem pani tak zupełnie od siebie, może to i dobrze. Ja akurat jestem zdania, że im mniej lekarz ingeruje, tym lepiej.

– Czyli co? Nie należy leczyć? – Nie zrozumiała Lena.

– Nie o to mi chodzi. Leczyć, owszem, trzeba, ale tylko wtedy, gdy wiemy

konkretnie, jaka jest przyczyna problemów. Tymczasem w wielu wypadkach nie mamy pojęcia, co właściwie szwankuje. Znamy jedynie objawy i właśnie objawy możemy leczyć.

Lena wpatrywała się w stażystkę jak urzeczona.

– Wie pani, ja właściwie interesuję się medycyną niekonwencjonalną, na przykład chińską – wyznała tamta, rumieniąc się, jakby to było coś wstydliwego. – Tyle że takiego kierunku nie ma w Polsce na żadnej uczelni medycznej. Bardzo mocno wierzę, że człowieka należy leczyć holistycznie, bo przecież jesteśmy całością, a nie zbiorem luźno podoczepianych do siebie organów. A najlepiej byłoby nie tyle leczyć, co zapobiegać, utrzymywać w zdrowiu. Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, że większość przewlekłych schorzeń ma swoje źródło w niewłaściwym odżywianiu. Konkretnie w nieprawidłowym wchłanianiu. Zły stan żołądka i jelit powoduje, że mimo obfitości jedzenia jesteśmy niedożywieni. Mamy niedobory witamin i minerałów, a to prowadzi do chorób. Ponadto mnóstwo ludzi cierpi na nietolerancje pokarmowe, a ponieważ nie mają o nich pojęcia, codziennie powoli się trują, jedząc żywość, która im szkodzi...

– Ale jak mogłabym to sprawdzić? – zawołała Lena impulsywnie, aż babcia skierowała na nią zdziwione spojrzenie. – Przecież ja nie mam pojęcia, co dawać babci jeść... No, pomijam już fakt, że ona prawie niczego nie chce, dziobie jak ptaszek, albo raczej ja ją karmię jak ptaszka... Może trzeba wykonać jakieś testy?

– Spokojnie, niech się pani nie denerwuje. Powiem pani, jak to było u nas w rodzinie, bo od tego zresztą zaczęły się moje zainteresowania tą dziedziną. Ciocia Arleta cierpiała z powodu koszmarnego bólu stawów. Byłam wówczas nastolatką z nosem w książkach, marzyłam o karierze naukowca. Ciotkę leczono na setki chorób, rozmaite zapalenia stawów, dnę moczanową, reumatyzm i tak dalej; co lekarz, to inna teoria, dlaczego ona tak cierpi, skąd ten ból i obrzęki. Wie pani, co się okazało? Że nie tolerowała warzyw psiankowatych. Codziennie na obiad ziemniaki, na każdej kanapce pomidor, sos pomidorowy do klopsików. Odkryliśmy to przypadkiem, kiedy pojechała w odwiedziny do jakiejś dalszej rodziny, w której było alergiczne dziecko. Stosowali tam dietę eliminacyjną i, proszę sobie wyobrazić, że akurat byli na etapie eliminowania psiankowatych. Ciocia czuła się znakomicie przez cały czas pobytu poza domem, a kiedy wróciła...

– Zjadła pomidora? – zapytała Lena, ponieważ stażystka zawiesiła głos, jakby czekała na odpowiedź.

– Żeby tylko! – odparła tamta triumfalnie. – Ziemniaczki z gęstym sosem pomidorowym, a na dodatek duszonego bakłażana. Bakłażan też należy do psiankowatych – dodała, widząc, że ta informacja nie spotkała się z należytych zrozumieniem.

– O rany!

– Tak, właśnie. O rany. Następnego dnia cała była jednym wielkim obrzękiem. I wie pani, paradoksalnie okazało się to wybawieniem, bo przynajmniej wreszcie wpadła na rozwiązanie zagadki. Po wyeliminowaniu wszystkich produktów, które były dla niej reaktywne, ustały zupełnie nie tylko bóle stawów, ale też wiele innych dolegliwości, pozornie niezwiązanych, na przykład bóle głowy i zapuchnięte oczy.

Lena zamyśliła się. Pierwszy raz słyszała o takich reakcjach na produkty spożywcze. W ogóle niewiele dotąd myślała o zdrowym odżywianiu. W jej rodzinie jadało się niewiele, ale bardzo tradycyjnie.

– Czyli nie trzeba robić żadnych testów? – zapytała po chwili. – Ale skąd będę wiedzieć, czym karmić babcię Miecię? Ona nie ma obrzęków, wysypek i tak dalej.

– Testy można wykonać, ale są bardzo drogie, kosztują około dwóch tysięcy złotych. Moim zdaniem wystarczyłoby, gdyby zastosowała pani dietę eliminacyjną. Czyli na początek postawiłabym na ryż oraz podstawowe warzywa i owoce, na przykład jabłka, gruszki, sałatę, ogórka kiszzonego i kapustę (bo kiszonki są idealne dla jelit), brokuły, jarmuż, marchewkę. Może pani z tego robić sałatki, gniesć na papkę, miksować, gotować zupy.

– A skąd pewność, że babcia nie jest na przykład uczulona na brokuły?

– Pewności nigdy nie ma. Ale coś jeść musi.

– No tak – przyznała Lena. – Czyli trochę działamy na ślepo.

– Czasem człowiek nie ma wyjścia.

– Dobrze, rozumiem. Zatem miksuję jej zupy, karmię tartymi owocami i tak dalej.

A co później?

– Potem wprowadza pani po jednym produkcie co trzy dni. I obserwuje reakcję.

– Skąd będę wiedziała, że coś jest nie w porządku? – dopytywała.

Młodziutka lekarka zamyśliła się na moment.

– Najlepszym wskazaniem jest waga – odparła. – Zwykle po spożyciu produktu reaktywnego następuje wyraźny, choć niewielki skok, na przykład o trzysta gramów, bo pod wpływem stanu zapalnego organizm zatrzymuje wodę. Ale w przypadku babci myślę, że wystarczyłoby mierzyć temperaturę. Rano, zanim cokolwiek zje lub wypije. Skok ciepłoty ciała będzie wskazywał na reaktywność produktu, który pani wprowadziła. A kiedy babci polepszy się na tyle, że zacznie chodzić, to sugerowałabym dodatkowo prowadzić ją na wagę.

Lena zwróciła uwagę, że stażystka nie powiedziała „jeśli się polepszy”, lecz „kiedy się polepszy”. Brzmiało to bardzo pewnie i niewątpliwie dodało dziewczynie otuchy.

– Dziękuję pani – powiedziała z mocą. – Pierwszy raz odkąd zajmuję się babcią, dostałam jakieś konkretne wytyczne. Nawet jeśli to nie zadziała, to przynajmniej będę miała wrażenie, że coś zrobiłam, cokolwiek, żeby jej pomóc. Bo do tej pory wyłącznie beczynnie czekałam. A z beczynnością to ja mam okropny problem.

Zanim wyszła ze szpitalnej sali, pochyliła się nad łóżkiem i cmoknęła babcię w czoło. Pewnie staruszka nie życzyłaby sobie takich gestów, ale Lena była tak przepelniona nadzieją i radością, że zwyczajnie nie wytrzymała.

– Nie masz pojęcia, babciu – wyszeptła – ile człowiekowi przybywa sił, kiedy znajduje drogowskaz. Najgorzej jest poruszać się po omacku. Idziesz i idziesz, i nie masz zielonego pojęcia, czy posuwasz się choć trochę do przodu. Koszmar.

Czarne jak węgielki oczy starszej pani patrzyły rozumnie, choć sennie.

– A wiesz – przypomniała sobie dziewczyna. – Nasz wspólny znajomy, Borys z poddasza (pamiętasz go?) odnalazł Anatola Sasa. Może go kojarzysz z Syberii. I jeszcze

wspomniał o jakimś Aleksandrze. Aleksander Smiertin, tak to chyba brzmiało. Ale nie mam pojęcia, kto to taki. Jakiś Rosjanin. Znasz jakiegoś Rosjanina, babciu?

Powieki babci Mieci rozchyliły się szerzej, a w jej spojrzeniu pojawiło się coś, czego Lena nie umiała nazwać: zupełnie jakby staruszka była zarazem przerażona i uradowana.

– Przysięgam – wyszeptała drżącym głosem. – Na wszystkie świętości przysięgam.

Ale choć wnuczka błagała o wyjaśnienie, czego dotyczy przysięga, babcia nie powiedziała już nic więcej.

ROZDZIAŁ 40

Im lżejsze stawało się życie w posiołku – może nawet nie tyle lżejsze, ile normalniejsze, bo z jednej strony zesłańcy przywykli do syberyjskich warunków, a z drugiej, rozluźniła się nieco atmosfera wokół nich – tym bardziej Mietka czuła się nieszczęśliwa. A wszystko z dwóch powodów: po pierwsze, już od marca mówiło się wśród zesłańców o powrocie do Polski, a po drugie: Rysiek Skorek, który wykaraskał się z choroby płuc i odzyskał siły, wyszedł jej schadzki z Saszą Smiertinem.

– Ty myślisz, że ja nie wiem? – wydyszał dziewczynie prosto w usta, kiedy któregoś dnia dopadł ją za barakiem. Jego wściekle niebieskie oczy były zimne jak lód. – Wiem wszystko, widziałem. I jak cię całował, i jak łapy pchał pod sukienkę.

– Nieprawda! – Zarumieniła się Miecia, bo to rzeczywiście było kłamstwo, Saszka nigdy nie robił takich rzeczy. Dotykali się bardzo nieśmiało, delikatnie, całowali się i szeptali do siebie, ale oboje chcieli poczekać do ślubu z „tymi sprawami”.

Do ślubu, którego pewnie nigdy nie będzie, myślała z rozpaczą dziewczyna. Bo przecież jemu władza radziecka nie pozwoli pojechać za Mietką do Polski, a ona nie może tu zostać. Przysięgła siostrze, że wróci i zadba o grób mamy.

– Saszeńka, ja do ciebie przyjadę – obiecywała mu podczas tych nielicznych gorączkowych rozmów, kiedy byli tylko we dwoje. – Zobaczę tylko, co się stało z domem, kwiaty posadzę na grobie mamy i wrócę...

– A ja będę czekał – odpowiadał Saszka. – Dam ci adres matki staruszki, ona mi prześle twoje listy, pisz na Wielkie Łuki, bo tu list z Polski może nie dojść, przepadnie, a ja umrę od tego czekania.

– A gdzie te Wielkie Łuki?

– Niedaleko Pskowa, nad Łowacją. Ciebie w szkole nie uczyli? U nas była wielka bitwa z wami, Polakami, wasz król Batory dowodził.

– Nie uczyli. – Zmartwiła się Mietka. – Ja w Polsce do szkoły nie chodziłam, pracować musiałam; a tu to sam wiesz, jaka nauka.

– No, nie smuć się, Miecia, na wszystko jeszcze przyjdzie czas, i żeby się uczyć, i żeby książki czytać. Kiedyś będziemy mieli dobre życie, zobaczysz. Tylko mnie kochaj.

– Będę cię kochała – obiecywała i całowała jego szaroniebieskie oczy. – Choćby mnie stąd na koniec świata wywieźli, będę kochać i nie zapomnę.

Któregoś dnia komendant obozu kazał spisać wszystkich zesłańców, którzy mieli polską narodowość potwierdzoną dokumentami. Nie podał terminu transportu, ale starsi gadali, że to będzie jakoś jesienią. Póki co był lipiec, wylęgły się oblepiające całe ciało muszki i komary, jednak wszyscy cieszyli się ciepłem, bo po siedmiu zimach na Syberii wiedzieli już, że lato oznacza życie, a potworny syberyjski mróz niesie śmierć, głód i cierpienie.

W sobotni wieczór Mietka poszła nad Timlujkę. Po pierwsze, wypadła jej kolej nanosić wody, po wtóre zaś chciała się wykapać po skwaronym dniu. Odkryły z Rozalką

takie miejsce, z trzech stron niedostępne z powodu mokradel, gdzie mogły się w spokoju obmyć, niepodglądane przez chłopców. Tego dnia Rozalia gotowała kapustę z okrasą na kolejny dzień; miała wyznaczoną godzinę w kuchni barakowej, a ponieważ Ryśkowi udało się zdobyć słoninę na skwarki, cieszyła się na suty i smaczny niedzielny obiad.

Mieczysława biegła szybko ścieżką przez las. W tę stronę było lekko, z powrotem będzie szła ciężkim krokiem, dźwigając na ramionach wodę w koromysłach. Jednak teraz, dopóki mogła, cieszyła się chwilą samotności. Rozpamiętywała ostatnią rozmowę z Saszą, czule pocałunki i obietnice, że dochowa jej wierności. Tolek Sas, jedyny, który od początku wiedział o miłości Mieci i Aleksandra – i nie dlatego, że mu się zwierzyła, lecz czujnie obserwował dziewczynę, bo sam początkowo był nią zainteresowany – twierdził, że i tak nic z tego nie wyjdzie. Saszki nigdy nie wypuszczą ze Związku Radzieckiego, on także był przecież zesłańcem. Na Sybir nie trafiało się ot tak, trzeba było mieć coś na sumieniu – i niekoniecznie chodziło o sprawy kryminalne (dla więźniów kryminalnych były osobne obozy), ale polityczne.

Aleksander nigdy nie chciał o tym mówić. Z nielicznych zwierzeń wyciągniętych z niego błaganiami i łzami dziewczyna wniosowała, że problem był nie tyle z politycznymi przekonaniami Saszy, ile poglądami jego brata. Ojciec Aleksandra po prostu pewnego dnia zniknął, nie wrócił z pracy, zaś Saszę, jako że był pionierem i miał doskonałe wyniki w nauce, „tylko” zesłano do Timluja, aby tu przyczyniał się do rozkwitu socjalistycznej ojczyzny.

Zaczeka na mnie, mówiła sobie w duchu Miecia. Pojadę do Polski tylko na trochę, zobaczę, jak tam teraz w Leplówce jest. Czy nasz dom jeszcze stoi, czy Edwarda pochowali. Posprzątam maminy grób, kwiatów nasadzę i wrócę tu do niego, jeśli mi jeszcze pozwolą.

Rozmyślania przerwał jej gwałtowny szelest z prawej strony, tuż przy ścieżce. To musiało być jakieś duże zwierzę. Miecia bardzo się bała niedźwiedzia ludojada, o którym zimą opowiadali chłopcy. Twierdzili, że widzieli zakrwawione strzępki odzieży jakieś cztery kilometry od obozu. Musiała należeć do uciekiniera z łagru dla kryminalistów, powiedział wtedy Saszka, jakby to mogło dziewczynę uspokoić.

– Miecia, zaczekaj! – Rozległ się stłumiony szept w zaroślach, a po chwili spomiędzy liści wyłonił się Rysiek.

Mieczysława wcale nie miała zamiaru się zatrzymać, ale złapał ją za rękę i mocno przytrzymał. Koromysła spadły jej z ramion, a wtedy chłopak chwycił ją w tali.

– Nie myśl już o nim – powiedział zduszonym głosem. – Przecież słyszałaś, co mówił Staszek Sas. Na jesieni wracamy do Polski! Jesteś moja, Mietka, pamiętasz? Ja się o ciebie troszczyłem od początku. Kto cię przygarnął, jak Halina umarła, kto cię wtedy wziął do siebie jak siostrę rodzoną, jak przyszłą żonę?

Oddychał coraz szybciej i coraz mocniej ścisnął ją w pasie, aż żebra bolały i brakowało tchu.

– Puść mnie, Rysiek – pisnęła Miecia, ale chłopak wpił się łapczywie w jej usta.

Na podbrzuszu poczuła twardy kształt, który pamiętała z tamtych pierwszych lat; wtedy Rysiek często dotykał jej pod spódniczką i miętosił piersi, a jego męskość napierała na jej uda.

Teraz Miecia wiedziała już, co to oznacza, bo raz i drugi natknęła się nad rzeką na parę pogrążoną w czułościach, zresztą rozmawiały o tym z dziewczętami, chichotem maskując wstyd i ciekawość.

– Ty nie rozumiesz – wydyszał Rysiek. – Czekałem na ciebie tak długo... Nie mogę cię teraz oddać temu Ruskowi. Ja cię nigdy nie wypuszczę z rąk. Jesteś moja. Z nikim nie zamierzam się tobą dzielić.

Jakby dla przypiętowania tej złowrogiej obietnicy pchnął ją z całych sił, a kiedy upadła, pociągnął głębiej w zarośla, zatkał usta szeroką, twardą dłonią, przycisnął do ziemi swoim spoconym ciałem i podniósł spódnicę.

Przez chwilę manipulował przy spodniach, a przerażona Mietka wiła się jak piskorz, usiłując podrapać, ugryźć go w rękę, kopnąć w krocze. Nic z tego. Był zbyt silny, miażdżył jej wargi palcami, rozgniatał o zęby, aż krwawiły.

Gdzieś głęboko między nogami poczuła przenikliwy ból, który unieruchomił ją na kilka minut. Chłopak wciąż dyszał, szepcząc jej w ucho, że kocha, że jej nie zostawi, że choćby przed nim uciekła, znajdzie ją wszędzie. Potem zamilkł i odkrył wreszcie usta dziewczyny. Uniósł się na rękach i rytmicznie poruszał biodrami, a drewniany krzyżyk, który zawsze nosił pod koszulką, kołysał się w tym samym rytmie nad twarzą oniemiałej z przerażenia Mieci.

Kiedy Rysiek skończył, opadł na ciało dziewczyny i przez chwilę leżał nieruchomo. Mieczysława zaczęła bezgłośnie płakać; szloch odbierał jej oddech.

– Przecież ja cię kocham – powiedział chłopak ze złością. – Dlaczego płaczesz?

Nie odpowiedziała, bo i co tu było gadać. Między nogami czuła wilgoć, ale nie wiedziała, czy to krew, czy to drugie, o czym rozprawiały dziewczyny. Rysiek wstał, zapiął spodnie i otrzepał kolana.

– Jeśli chcesz, pomogę ci z wodą.

Miecia nie odpowiedziała. Postanowiła już nigdy nie widzieć i nie słyszeć Ryśka. Nigdy go nie było, wcale nie istniał, powtarzała sobie, kiedy podnosiła się z suchej ziemi i poprawiała spódnicę, kiedy powoli, na sztywnych nogach szła nad Timlujkę i potem, gdy wymywała zimną rzeczną wodą to, co zostawił po sobie Rysiek wewnątrz jej obolałego ciała.

ROZDZIAŁ 41

Lena wróciła do domu zmęczona i nieco skołowana po rozmowie o nietolerancjach pokarmowych, ale zarazem znacznie bardziej pozytywnie nastawiona do świata niż przed wyjazdem do szpitala. Po drodze zrobiła zakupy, uzupełniła zapasy jabłek i cynamonu (bo przyszło jej do głowy, że po powrocie babci przyrządzi jej zapiekanekę z ryżu), a przy okazji odwiedziła Francescę w sklepiku.

Mieszkanie wydało się dziewczynie okropnie ponure, toteż niemal od razu, gdy tylko coś przekąsiła, pobiegła na piętro do Beaty, wysłuchała opowieści Jędrusia o tym, jak to w szkole pani omal nie zamknęła go w klasie podczas przerwy (bo schylił się po ołówek akurat w chwili, gdy zamykała drzwi, i o mały włos by go przeoczyła) – potem jeszcze chwilę pogawędziła z Marceliną o studiach w Poznaniu, a na koniec zajrzała do pani Klary, żeby zapytać, czy nie trzeba wyprowadzić Nitki.

– A żebyś wiedziała, kochana, dziękuję ci bardzo – powiedziała tubalnie sąsiadka.

– Wprawdzie opuchlizna prawie zesza, a zresztą Francesca wzięła sunię na przebieżkę po powrocie z pracy... ale nie zaszkodzi, żeby Nitka jeszcze przed snem posiusiała.

– Właśnie, pani Klaro – przypomniała sobie Lena. – A propos opuchlizny: rozmawiałam dziś z taką młodziutką lekarką...

I opowiedziała starszej pani historię obrzęków cioci Arlety i jej uczulenia na warzywa psiankowate.

– Może by i pani zechciała spróbować diety eliminacyjnej?

– Ale chyba lekarz jakoś by to zasugerował – powątpiewała pani Klara. – Nikt mi nigdy nie mówił, że stawy mogą puchnąć od jedzenia.

– Ja się na tym kompletnie nie znam – odparła szczerze Lena. – Powtarzam pani tylko, co twierdziła ta stażystka. Ale wie pani, tak sobie myślę, że co to szkodzi spróbować. W każdym razie ja się zastosuję do tych rad. Babcia Miecia i tak niewiele jadła, co to za różnica; będę jej teraz gotować ryż z owocami, krupniczek z jarzyn i ryżu, delikatną ogórkową bez śmietany i tak dalej. Nic nie stracimy, a możemy coś zyskać. Choćby lekką poprawę. No, już pani głowy nie zawracam, biorę Nitkę i idziemy. A potem muszę stawić czoła rzeczywistości i wrócić do pustego mieszkania.

Wyszła przed dom, pozwalając jamniczce ciągnąć na smyczy. Kiedy suczka z zapalem zabrała się za obwąchiwanie dorodnego krzewu tamaryszku w kącie podwórka, Lena zadarła głowę i spojrzała w gwiazdy. Po tej stronie budynku nie było widać aniołów, nie mogła więc wyszeptać swojej prośby o zdrowie dla babci. Przez chwilę oddychała głęboko chłodnym wiosennym powietrzem, a potem nagle znieruchomiała. Miała wrażenie, że na moment cały świat się zatrzymał, nawet krew przestała krążyć w żyłach.

Poddasze, którego okna dachowe wychodziły właśnie na podwórze, było rześkie oświetlone. Ktoś był w mansardzie.

Najpierw – przez dobre pięć minut – Lena próbowała uspokoić rozszalałe serce i wyciszyć gonitwę myśli. Borys przyjechał?! Całkiem możliwe, bo przecież był w Polsce; rozmawiał z Anatolem Sasem pod Włodawą, zebrał materiały do książki, więc

teraz logiczne, że wrócił do domu i zabierze się za porządkowanie danych.

Musiał mieć drugi klucz. W tym także nie było w sumie nic dziwnego. Nie zostawia się przecież sąsiadce jedyne komplety; gdyby zgubiła, trzeba by wyważać drzwi. I tak po prostu przyjechał?! Wrócił bez słowa, bez zapowiedzi, bez jakiegokolwiek znaku, choćby sugestii, żeby Lena przygotowała się jakoś na to spotkanie?!

Dziewczyna odprowadziła psa do pani Klary.

– Dziękuję ci, kochana. – Westchnęła sąsiadka. – To aż nie do wiary, że tyle dobra mnie spotyka od was, młodych. Chodź, wejdź jeszcze na kieliszeczek pigwówki, będzie ci się lepiej spało.

– Nie, dziękuję, pani Klaro. A wie pani może... Czy ten z góry, ten pisarz, wrócił? Bo nie wiem, czy mam mu te kwiatki dalej podlewać...

Kobieta zrobiła zdziwioną minę. Wydawała się zaniepokojona i urażona, jakby fakt, że coś jej umknęło, stanowił coś w rodzaju plamy na honorze.

– Nie mam pojęcia! Słyszałam, że ktoś tam dzisiaj coś przesunął, ale byłam pewna, że to ty.

– Owszem, to prawdopodobnie byłam ja. – Uspokoila ją Lena. – Przed wyjazdem do szpitala spędziłam trochę czasu na poddaszu i chyba rzeczywiście obracałam donice, żeby roślinki zyskały lepszy dostęp do światła.

Pożegnała się i wróciła do mieszkania babci.

Mogę po prostu wziąć klucz i pójść na górę, pomyślała. Zapewne wyjaśnienie jest bardzo proste: kiedy poszłam podlać kwiatki, odruchowo zapaliłam światło, a ponieważ dzień był słoneczny, nie zauważyłam świecących lamp i potem zapomniałam zgasić.

Otworzyła laptopa.

Jeśli Borys wrócił, na pewno czeka na nią mail, a w nim wyjaśnienie i zapowiedź spotkania. Jeżeli listu nie ma, sprawa jest prosta – ona sama zostawiła światło, więc teraz musi pójść na górę, żeby je zgasić. Serce tłukło jej się w piersi, kiedy otwierała skrzynkę. Był. List od Borysa, króciutki jak nigdy.

Myślałem, że jestem gotów, ale chyba jeszcze nie. Daj mi trochę czasu.

Ale o co mu chodziło? Przyjechał w końcu czy nie przyjechał? Lena zrozumiała, że nie ma mowy: nie odważy się pójść na górę, by zgasić światło, dopóki nie nabierze pewności, że Borysa tam nie ma.

– Zachowuję się jak zakochana smarkula – szepnęła do siebie, po czym kliknęła „odpowiedz”.

Jesteś? Wróciłeś?

Żeby nie czekać, wgapiając się w ekran jak sroka w gnata, poszła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Nie minęło nawet pół minuty, a już była z powrotem, zaalarmowana charakterystycznym dźwiękiem oznaczającym nadejście nowej wiadomości.

Jestem, Lena. Przyjechałem.

Kiedy pisałaś ostatniego maila, tego zakończonego słowami „martwię się”, siedziałem właśnie w autobusie z Zielonej Góry. Nie umiem opisać, co się we mnie kotłowało, gdy czytałem... gdy potem biegłem na Bukową, żeby Cię przytulić, wziąć za

rękę i pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Ale nie było Cię w domu i cała moja odwaga, cała pewność, że mam Ci coś do zaoferowania, że jesteśmy sobie bliscy – przysła jak bańka mydlana.

Najpierw pomyślałem, że poszłaś na spotkanie z Jakubem, ale zaraz potem dotarło do mnie, że w takim wypadku w mieszkaniu zostałaby opiekunka. Więc może jesteś z babcią u lekarza albo nawet w szpitalu, pomyślałem. Czekałem przy oknie, ale zjadały mnie nerwy; żeby się czymś zająć, przeorganizowałem książki i płyty na półkach. To zajęcie, choć kompletnie bezsensowne, już kilka razy w życiu ratowało mnie przed szaleństwem.

Słyszałem Twój głos na korytarzu. Wiem, że byłaś u Markiewiczów, a potem odwiedziłaś tę panią z psem. Podglądałem Cię nawet przez okno, gdy wyszłaś na podwórko, ale szybko się schowałem, bo spojrziałaś w niebo. Widziałaś mnie?

Nie gniewaj się za to moje niemęskie tchórzostwo. Bardzo się boję, że będziesz rozczarowana. Może to błąd, że przyjechałem. Może jednak lepiej będzie pozostać Twoim przyjacielem od listów.

W pierwszym odruchu Lena zerwała się i chciała natychmiast biec do Borysa na poddasze, żeby mu wytłumaczyć, że przecież nie ma mowy, nie będzie rozczarowana, bo przez te ostatnie miesiące podświadomie czekała na dzień, w którym wreszcie spotkają się w prawdziwym życiu, a nie tylko w listach. Po chwili jednak jej entuzjazm przygasł. Po pierwsze, pomyślała, przecież ja kompletnie nie wiem, jak on wygląda. Jak się zachowam, jeżeli otworzy mi łusy jak kolano grubas, spocony i różowy na twarzy? Albo wręcz przeciwnie: mały, chudy facecik z haczykowatym nosem i zaczesaną na bok pożyczką, z niechlujną brodą, w której zachował resztki makaronu z obiadu?

Tak łatwo jest zakochać się w pięknych słowach, w czyjejś wrażliwości, lirycznej duszy, w wizerunku, który się sobie stworzyło w myślach, że skoro nieszczęśliwy, samotny i romantyczny, to musi być także pociągający fizycznie. Przecież wcale nie musi.

Po drugie, zastanawiała się, co jeśli ja nie spodobam się jemu? Żadna ze mnie piękność, zwłaszcza dziś: bez makijażu, w starych dżinsach i byle jakim swetrze. A jednak przebieranie się i malowanie specjalnie na okoliczność spotkania z Borysem wydało jej się dziecinne. Tak jakby chciała go oszukać, zamydlić mu oczy.

Wypiła cały kubek herbaty z konfiturą z żurawiny, zanim dotarło do niej „po trzecie”.

– Po trzecie – powiedziała na głos – skąd on, do diabła, zna imię Jakuba?! Przecież ja mu nigdy w żadnym mailu nie napisałam, jak nazywał się mój chłopak.

Na wszelki wypadek przejrzała całą korespondencję jeszcze raz.

Miała rację. Zawsze pisała bardzo oględnie, nigdy nie użyła żadnej formy imienia. Zatem teraz pozostawało tylko jedno pytanie: Skąd Borys wie? Czy z kimś o mnie rozmawiał? Przeprowadził swoje „śledztwo”, tak jak w sprawie babci Mieci? Poczula się okropnie, jakby padła ofiarą stalkera.

Jestem dla ciebie „materiałem do książki”? – napisała pod wpływem impulsu. – *Śledziłeś mnie, obserwowałeś, zbierałeś informacje?*

Odpowiedź przysła natychmiast, widocznie Borys czekał przy komputerze.

O co Ci chodzi?! Co masz na myśli?

– Nie mam zamiaru bawić się w to dłużej! – krzyknęła Lena. – Idę do ciebie, do cholery!

I poszła. Wzięła z wieszaczki klucz z breloczkiem w kształcie delfina, żeby oddać go Borysowi. Złość i rozczarowanie dodały jej odwagi. Nie starała się wcale zachowywać cicho, więc za drzwiami mieszkania pani Klary rozszczękała się Nitka, ale Lena miała to w nosie. Wspięła się na najwyższe piętro i zapukała do starych, drewnianych drzwi. Przez chwilę panowała za nimi cisza, a wtedy dziewczyna wyraźnie usłyszała szaleńcze bicie własnego serca. Co ja wyprawiam, pomyślała. Ale było już za późno.

Choć zgasił górne lampy, zostawiając jedynie delikatne światło kinkietu, i tak go poznała. Tym razem nie miał na sobie podniszczonej marynarki, tylko luźny sweter w kolorze dojrzałego kasztana i błękitne dzinsy. Był starannie ogolony i patrzył na nią przepaszająco tymi swoimi wielkimi szarymi oczami.

– To pan? – wyszeptała Lena. – Więc to pan wtedy... w tej kawiarni...?

– Tak, to ja byłem Janem Woźniakiem – przytaknął, a potem odsunął się od drzwi i zaprosił ją gestem do środka.

Kiedy szła w stronę ulubionego kraciastego fotela, drżały jej kolana.

– Dlaczego nie podszedł pan wtedy? Dlaczego nie podszedłeś? – poprawiła się.

– Zrobię ci herbaty – zaproponował Borys, wpatrując się w nią przepaszająco – i wtedy wszystko wyjaśnię.

– Nie chcę herbaty. – A ponieważ zabrzmiało to bardzo ostro, dodała: – Przed chwilą piłam. Wolę, żebyś od razu mi wytłumaczył...

– Więc może kieliszek wina?

– Tak, wino może być. Francesca twierdzi, że nie ma to jak wino do zwierzeń. A ty musisz mi się chyba z czegoś zwierzyć.

Był bardzo wysoki, wyższy niż zapamiętała. Chyba wybrał się do fryzjera, bo wyglądał dużo lepiej niż tamtego dnia w Żarach. Kiedy nalewał wina, zauważyła, że leciutko drżą mu dłonie.

– Wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej – zaczął, wręczając Lenie kieliszek. – Owszem, chciałem cię zobaczyć, byłem ciekaw, jak wyglądasz i chyba obawiałem się też własnej reakcji na twoją fizyczność, nie wiem, czy mnie rozumiesz...

Urwał, patrząc na nią z niepokojem.

Lena przypomniała sobie własne obawy sprzed paru minut, rozmyślania o tym, czy Borys nie okaże się różowym, łysym tłuscioszkiem... Pokiwała głową. Rozumiała doskonale.

– Uznałem, że rozmowa o syberyjskiej przeszłości babci Miecei będzie idealnym pretekstem. Nie chciałem podglądać cię z ukrycia, bo takie metody kojarzą mi się z okresem w moim życiu, o którym wolałbym zapomnieć... Ale pomyślałem sobie, że jeśli przyjdiesz na spotkanie i porozmawiamy, i okażesz się tą kobietą, którą sobie wyobrażałem przez te ostatnie tygodnie, wówczas zdradzę ci, kim jestem. Taki miałem zamiar. Nie przewidziałem tylko, że przyjdiesz z chłopakiem.

– Gdybyś zaproponował spotkanie w Lubsku...

– Tak, wiem. Ale chciałem być anonimowy. Tutaj ktoś mógłby mnie rozpoznać,

podejść, przywitać się i zepsuć mój misterny plan.

– W Żarach też mógł cię ktoś rozpoznać. Mieszkałeś tam dłużej.

– Ależ nie! Mieszkałem pod Żarami, willa mojej żony znajduje się poza miastem. Zresztą to dużo większa miejscowość, tam nie ma się tego wrażenia, że wszyscy przeszywają cię wzrokiem na wylot.

– Ja w Lubsku też nie mam takiego wrażenia! – Lena poczuła się nagle urażona, choć przecież jej związki z miasteczkiem były wciąż bardzo luźne.

– Czy wiesz, że właśnie zaliczamy pierwszą sprzeczkę? – zapytał nagle Borys, uśmiechając się do niej smutno znad wina.

– Nie chcę się sprzeczać. Ani teraz, ani nigdy. Wyjaśnij dalej, bo to, co mówisz, nadal nie tłumaczy twojego zachowania. Pojawiłam się w kawiarni z chłopakiem, ale on od razu sobie poszedł.

– Tak. Wcześniej próbował cię pocałować.

– O ile pamiętam, uchylłam się.

Borys zamilkł na chwilę. Poruszał leciutko kieliszkiem, przyglądając się wirującemu trunkowi.

– Nie gniewaj się – szepnął. – To było wkrótce po tym moim wariackim liście, w którym wyznałem ci miłość i z tchórzostwa zwałem tę szczerość na metaxę. Najpierw przez kilka okropnych dni nie odpowiadałaś, a potem nagle napisałaś coś tak chłodnego... Zapytałaś, czy można ufać facetowi, który wyznaje uczucia pod wpływem alkoholu.

– Bo prosiłeś, żebym udawała, że tego listu wcale nie było! – zawołała Lena z zalem. – Jak można było postawić mnie w takiej sytuacji, pomyśl! Przecież kompletnie nie wiedziałam, co powinnam zrobić!

– Przepraszam.

Zamilkli oboje. Lena dyskretnie przyglądała się Borysowi, podczas gdy on zerkał na nią przez szkło kieliszka. To naprawdę on, myślała dziewczyna. To naprawdę Borys Magura, mężczyzna, o którym myślę nieustannie od wielu dni, którego usiłowałam sobie wyobrazić, z którym łączy mnie coś nieuchwytnego, nienazwanego...

– Nie jesteś ciekawa? – zapytał, przerywając milczenie, które wcale Lenie nie ciążyło.

– Czego?

– Opowieści Jana Woźniaka – wyjaśnił. – Tego wszystkiego, co odkryłem, co opowiedział mi Anatol Sas spod Włodawy.

– Jestem bardzo ciekawa. Nalej mi jeszcze wina i opowiedz.

Borys wstał i delikatnie wziął od niej kieliszek. Wcale się o to nie starała; samo się tak stało, że ich palce dotknęły się na moment. Lena zapragnęła przedłużyć tę chwilę, ale zabrakło jej odwagi.

– Naprawdę zamierzasz napisać o tym książkę? – zapytała, aby pokryć zmieszanie. Pokiwał głową.

Miał ładny profil. Lena dostrzegła też pojedyncze niteczki siwizny na skroniach i wówczas przypomniała sobie, co mówił o nim Jędrus: że jego broda była czarno-biała. Dobrze, że ją zgolił, pomyślała.

– Nawet już zacząłem pisać. Na razie przypomina to raczej opowiadanie, takie

luźne fragmenty. Próbowałem odtworzyć to wszystko, co stało się udziałem twojej babci, ale wciąż zbyt mało wiem. Znam jedynie fakty, które ty mi podałaś w listach, uzupełnione opowieścią pana Anatola; nadal jednak brakuje zakończenia. Bardzo liczę na tego Rosjanina, o którym ci wspomniałem.

– Pisałeś, że dziadek przekazał mu jakieś swoje wspomnienia...

– No, nie tyle przekazał w sensie materialnym, ile po prostu opowiedział to i owo. Ale Aleksander nie chce mi zdradzić wszystkiego. Stara się o wizę, zamierza przyjechać i najpierw porozmawiać z twoją babcią.

– Żartujesz? Przecież babcia prawie nie mówi, pisałam ci przecież...

– Wiem. – Borys podszedł, wręczył Lenie lampkę wina i uspokajająco się uśmiechnął. Dziewczyna odniosła wrażenie, że chciał jej dotknąć, ale mogło to być tylko jej pobożne życzenie. – Wczoraj dostałem od niego wiadomość, uparł się i chyba nie ma szans mu tego wyperswadować.

– A jak ty go właściwie znalazłeś?

– Jego nazwisko przypomniał sobie pan Anatol. Twierdził, że niejaki Aleksander Smiertin, rosyjski zesłaniec, był bardzo bliskim przyjacielem twojej babci. Poszperałem trochę w internecie i natknąłem się na człowieka o tym samym imieniu i nazwisku, tyle że urodzonego raptem trzydzieści lat temu. Znalazłem go na Facebooku, na szczęście zna angielski. Wiesz, co się okazało? Że jego dziadek, obecnie schorowany wdowiec, od lat bezskutecznie poszukuje Mieczysławy Botuli...

Teraz, kiedy siedzieli razem, popijając dobre, czerwone wino, a Borys opowiadał o swoich poszukiwaniach, wydawał się Lenie młodszy o kilkanaście lat od tamtego mężczyzny, który w Żarach odprowadził ją na dworzec autobusowy. Gdy się uśmiechał, jego rysy stawały się miękkie; w szarych oczach dostrzegła mądrość, pasję i zapał.

– Po śmierci Haliny zamieszkali razem w baraku. Rozalia i Mieczysława były jak siostry, Rysiek niczym brat, ale taki z ciągotami. Zdaje się, iż rzeczywiście miał poważne zamiary wobec Mieci – mówił. – Zresztą mój rozmówca, pan Anatol, także się w niej podkochiwał. Określił ją mianem najpiękniejszej małej czarnulki, jaką w życiu widział. Ale nie miał szans, odkąd spotkała Aleksandra Smiertina. Sasza – brygadzysta – grał na harmonii i oczarował Miecię swoim niebieskim spojrzeniem. Przepadli dla siebie oboje.

Lena złapała się na tym, że wpatruje się w usta Borysa i przestaje słuchać. Zbikowałam albo właśnie zaczynam się upijać, pomyślała. Nie mogę się zakochać tak całkiem po wariacku. Najpierw powinnam go lepiej poznać.

– Nie słuchasz mnie – zauważył miękko Borys.

– Słucham – odparła. – To tylko zmęczenie. Miałam ciężki dzień. I nie zapominaj, że ciągle jestem... w czymś w rodzaju szoku. Ty wiedziałeś, że mnie dziś spotkasz, dla mnie było to ogromne zaskoczenie.

– Wcale nie wiedziałem – szepnął, odwracając wzrok. – Stchórzyłem. Nie poszedłbym do ciebie. Gdybyś nie zauważyła światła na poddaszu...

– Ale zauważyłam – przerwała Lena, bo naprawdę zupełnie opadła z sił i potrzebowała nieco ochłonać. – Słuchaj, Borys, chyba pójdę teraz do siebie, przetrawię to wszystko i trochę się zdrzemnę. Jutro, jeśli zechcesz, dokończymy tę rozmowę.

– Bardzo chcę.

Helena wstała, odstawiła kieliszek i podeszła do drzwi. Czowała bliskość jego ciała tuż za plecami, ale nie odwróciła się, dopóki nie przekroczyła progu. Sama nie wiedziała, czy czeka na jakiś gest z jego strony, czy raczej się tego gestu boi. Borys stał, oparty o futrynę, i patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

– Powiedz mi prawdę – szepnął, zanim odeszła. – Jesteś rozczarowana? Tak troszkę, troszeńkę?

Chciała zadać mu to samo pytanie, ale tego nie zrobiła.

– Nie – powiedziała zupełnie szczerze. – Ani odrobinę. Dobranoc, Borys.

– Dobranoc. I dziękuję za troskę o rośliny. Zapomniałem, a przecież od tego powinienem był zacząć.

Powinieneś był zacząć od czegoś zupełnie innego, pomyślała Lena, schodząc po schodach. Powinieneś był dotknąć mojej dłoni, założyć mi kosmyk włosów za ucho, może pocałować mnie w policzek. Tak to robią amanci w filmach. Tylko z jakiegoś powodu w życiu taki początek znajomości dziwnie nie wchodzi w grę. Nic nie wydaje się takie proste, nic nie przychodzi naturalnie. Może gdyby ktoś nam wcześniej napisał scenariusz i dał czas, żeby nauczyć się ról na pamięć... A tymczasem musimy sobie radzić bez próby, bez wyuczonych dialogów. Pewnie dlatego wszystko wychodzi niezupełnie tak, jak byśmy chcieli.

ROZDZIAŁ 42

Wbrew obawom Lena zasnęła kamiennym snem, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Rano, ledwie zerwała się z łóżka, natychmiast zaparzyła sobie kubek kawy, otworzyła laptopa i odczytała list, który – tak jak się spodziewała – przyszedł późnym wieczorem.

Bardzo się bałem tego spotkania i bardzo go pragnąłem, wiesz? Wiedziałem już, jak wyglądasz, jaka jesteś śliczna, krucha i delikatna; po tamtym spotkaniu w Żarach miałem czas, by przywyknąć do myśli, że mierzysz i ważysz połowę tego, co ja, i wyglądasz na piętnastolatkę. Obawiałem się jednak, że nie będzie między nami tego czegoś, co sprawia, że ludzie natychmiast łapią wspólny wątek, rozmowa toczy się gładko, słowa płyną naturalnie, a nawet jeśli zapadnie milczenie, to ono nie uwiera jak kamyk w bucie. Tak właśnie jest z nami, zauważyłaś? Umieemy razem milczeć i umieemy rozmawiać. To dobry znak. Teraz jeszcze tylko przemyśl dobrze, czy na pewno chcesz w to brnąć. Bardzo się boję, że się rozmyślisz i zechcesz wycofać wtedy, gdy dla mnie nie będzie już ratunku. Wolę, żeby to się stało jak najprędzej.

Lena bardzo chciała odpisać, że czuje się tak, jakby dla niej już teraz nie było ratunku, jednak rozsądek nakazał jej wstrzymać się z takimi deklaracjami choćby kilka godzin. Najpierw obowiązki, powiedziała sobie, potem przyjemności.

Zjadła śniadanie i zeszła na podwórko, całą siłą woli powstrzymując się od zerkania w owalne okienko na poddaszu. Zanim pojechała do szpitala, odważyła się wreszcie i rzuciła szybkie spojrzenie na anioły.

– Dbajcie o niego – szepnęła samymi ustami. – Niech się wyśpi i zje porządne śniadanie, i niech cierpliwie czeka na mój powrót.

Kiedy opowiadała babci, co udało się ustalić Borysowi, Mieczysława patrzyła na nią swoimi czarnymi jak węgiel oczami, a w jej spojrzeniu czaił się lęk.

– Nie bój się, babciu. – Dziewczyna wzięła staruszkę za rękę. – To już przeszłość. Wojna już dawno się skończyła, a ja wspominam o tym nie po to, żeby cię wystraszyć, tylko żebyś odzyskała spokój. Pamiętasz? Mieszkałaś pod Domaczewem, twój tata zginął na wojnie, miałaś siostrę i brata, a potem zostałaś wywieziona na Syberię i tam był taki Ryszard Skorek, a poza tym jeszcze Anatol Sas, i Sasza, ten Rosjanin...

Babcia słuchała opowieści z pewnym skupieniem, tak się w każdym razie Lenie wydawało. Odezwała się tylko raz. Powiedziała wyraźnie:

– Skurwysyn.

Lena aż się zatchnęła.

– Co takiego? – zapytała z niedowierzaniem. – Babciu, co ty mówisz?

Mieczysława spojrzała na nią hardo. Nie powtórzyła wprawdzie wulgarnego słowa, ale też nie wyglądała jak ktoś, kto chciałby się z niego wycofać. Ciekawe, czy to się odnosi do Anatola Sasa, Ryszarda Skorka, czy do Aleksandra Smiertina, pomyślała Lena.

Po powrocie ze szpitala usmażyła sobie naleśniki i zjadła je z powidłami, które przyniosła z piwnicy babci Mieci. Dopiero potem zasiadła do odpisywania na list Borysa. Mogłaby wprawdzie pójść do niego na górę i powiedzieć mu wszystko, ale zabrakło jej odwagi; pisanie wydawało się znacznie łatwiejsze. Przemyślała sobie wszystko, ułożyła każde zdanie w wyobraźni i obracała je potem na wszystkie strony, aż wygładziło się i stało się idealne – a mimo to teraz, kiedy siedziała z palcami nad klawiaturą, w głowie miała kompletną pustkę.

Chcę w to brnąć, na pewno – napisała w końcu. – Nie mam żadnych wątpliwości. Nie wiem o Tobie niemal nic, ale przecież kiedy ludzie zaczynają się spotykać, startują z tego samego pulapu. Są siebie ciekawi i spragnieni, ryzykują, że się sparzą, a mimo to zamykają oczy i skaczą na główkę, dokładnie tak samo, jak my. Różnica polega na tym, że na ogół najważniejsze rzeczy o sobie szepczą w intymnych chwilach, podczas gdy my mamy to za sobą – to, co najważniejsze, już wyrzuciliśmy z siebie w listach. To chyba dobrze, prawda?

Wpadniesz na herbatę?

Żeby nie czekać na odpowiedź albo chociaż nie zwariować od tego czekania, zrobiła dokładnie to, co poprzedniego dnia Borys: zabrała się za porządkowanie półek w pokoju. Ustawiła książki alfabetycznie, a potem wyniosła ostatnie słoiki i puszki do piwnicy.

Wreszcie nie miała już nic do roboty, a odpowiedzi w skrzynce ciągle nie było. Dziewczyna wzięła szybki prysznic, ponieważ nieco się zakurzyła przy przestawianiu książek, i zabrała się za szydełkowanie. Najwyższa pora skończyć kurczaki, zajaczki i wianki wielkanocne, postanowiła, nawet jeśli serce mam rozdygotane i nie mogę jasno myśleć. Taką właśnie – w polarowym dresie, ze schnącymi włosami i nawiniętą na palec żółtą włóczką, zastał ją Borys, kiedy wreszcie zapukał do drzwi.

– Byłem w Poznaniu, w wydawnictwie – wyjaśnił, wchodząc do środka i rozglądając się ostrożnie, jakby w obawie, że babcia Miecia wyskoczy z któregoś kąta. – Przy zjeździe z autostrady zrobiłem sobie postój, bo zacząłem przysypiać, i dopiero wtedy odczytałem twojego maila.

– Więc wpadłeś na herbatę? Zdejmij kurtkę, rozgość się. Usiądziemy tu, w kuchni.

– Bałem się, że nie odpiszesz, bo nie jesteś pewna...

– Wariat. Jestem pewna.

Usiadł. Lena zaparzyła herbatę i postawiła przed nim na stole. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło; każde radziło sobie ze uczuciami na własny sposób. Wreszcie odezwał się Borys.

– Co robisz? Lalkę Zuzę, reniferka, czy jeszcze inne cudo?

Patrzył na jej palce w takim napięciu, jakby od odpowiedzi zależało coś niezmiernie ważnego. Lena zrozumiała, że chciał zapytać o coś zupełnie innego.

– To akurat będzie kurczaczek – wyjaśniła ostrożnie. – Mamy teraz ofertę wielkanocną. Dziergam także zajaczki i wianki, do których przyszywam pisanki

z kolorowych szmatek. Zapomniałeś, że idą święta?

– Zapomniałem – przytaknął potulnie.

Podobał jej się z każdą chwilą coraz bardziej. Urzekały ją te szare oczy i płytkie, ale już zarysowane zmarszczki na czole, a nawet malutkie kurze łapki, które uwidaczniały się tylko przy uśmiechu. Z upodobaniem wpatrywała się w jego ciemne włosy, równe zęby i uśmiech oraz wsłuchiwała w niski głos. Wszystko jej się podobało.

– Robię dobry bigos – powiedziała jakoś zaczepnie. – I sos tatarski.

– Nie ma mowy – odparł, podnosząc wzrok, w którym było całe morze czułości. – Sos tatarski należy do mnie. Wykorzystam do niego prawdziwki, które mi podarowałeś. Wyjdzie najlepszy na świecie.

– Niech ci będzie. Ale bigos zostawisz mnie?

– W tym roku ewentualnie mogę się zgodzić na taki podział ról – uznał po namyśle.

– A później się zobaczy.

Wcale nie było łatwo oswoić się ze sobą. Przegadali całe popołudnie, aż wreszcie zorientowali się, że zapadł zmrok, a oni nadal siedzą w ciemności nad kubkami z fusami po herbacie. Kiedy Lena wstała, żeby zapalić światło, Borys zrobił to samo, i wtedy ich dłonie po raz pierwszy splotły się ze sobą. Wszystko działo się powoli, bez pośpiechu. Tego dnia tylko trzymali się za ręce, ale na pożegnanie Borys zrobił wreszcie to, o czym Lena marzyła skrycie – pocałował ją delikatnie, przelotnie. Ten krótki pocałunek rozpałił dziewczynę znacznie bardziej niż jakiegokolwiek pieszczoty Jakuba.

Następnego dnia babcia została wypisana ze szpitala, a Helena rzuciła się w wir kuchennej rewolucji. Zaczęła pichcić jarskie potrawy, wyrzuciła z kuchni nabiał, mięso, jajka i wszelkie produkty, o których wyczytała, że są częstymi alergenami. Nie miała pojęcia, po jakim czasie może się spodziewać poprawy i czy ona w ogóle nastąpi, ale podobało jej się to, że ma jakikolwiek plan i wie, jak się zabrać za jego realizację. Odkąd pamiętała, najgorzej znosiła bezczynność.

– Dziś na obiad będzie zupa krem z brokułów – wyjaśniła staruszce, kiedy odcedziła zielone różyczki i przełożyła je do kielicha blendera. – Zmiksujemy, dodamy mleka ryżowego i gotowe. A wiesz, pani Klara też postanowiła spróbować. Najpierw psioczyła trochę, że kto to widział na stare lata zmieniać przyzwyczajenia, ale ostatecznie postanowiła dać sobie szansę. A jak myślisz, co ją przekonało?

Babcia prychnęła w odpowiedzi. To dodało Lenie animuszu, bo nic jej tak nie deprymowało, jak milczenie rozmówcy.

– Aha, więc przynajmniej wiem, że słuchasz tego, co mówię. Nie przepadasz za panią Klarą, prawda? No więc wyobraź sobie: zmotywowała ją obawa, że mając spuchnięte stawy, nie będzie mogła się zajmować dzidziusiem Markiewiczów. Na pewno pamiętasz, mówiłam ci, że Beata jest w ciąży.

Oczy Mieczysławy zwężyły się, a na twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

– Trzeba było spędzić ciężę – mruknęła. – Pozbyć się dzieciaka.

Lena aż się zachłysnęła.

– Co ty mówisz, babciu?! Jak mogłaś to powiedzieć?

Ale starsza pani zamknęła oczy, jakby chciała odgrodzić się od potępienia w głosie wnuczki.

Dziewczyna westchnęła głęboko. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiła się porozumieć z babcią. Nie była nawet pewna, czy zdoła ją kiedykolwiek szczerze polubić.

– Nie mów tak – powiedział Borys, kiedy wieczorem, przy kolacji, zwierzyła mu się z tych rozterek.

Siedzieli u niego na poddaszu, na stole płonęły świece, w kieliszkach połyskiwało wino, a na talerzach pyszniły się polędwiczki w sosie z zielonego pieprzu. Borys okazał się niezłym kucharzem.

– Wiesz, cała ta syberyjska przeszłość musiała odcisnąć straszliwe piętno na ludziach, którzy stamtąd wrócili.

– Oczywiście, ja to wszystko rozumiem. Ale sam zobacz, te osoby, z którymi rozmawiałam wcześniej, pani Skindzier, pani Karmelita, są niesamowicie ciepłymi, pełnymi optymizmu osobami. Albo ten pan Anatol, z którym się spotkałeś... Sam mówiłeś, że to cudowny gawędziarz. A babcia? Zgorzkniała, zła, zaskorupiona w jakichś złych emocjach. Dlaczego?

– Nie wiem – odparł spokojnie Borys. – I ty też nie masz pojęcia. To jedyne, co jest w tej chwili pewne. A dopóki nie wiemy, nie wydawajmy sądów.

– Dobrze – przytaknęła Lena. – Na to jestem w stanie się zgodzić. Ale nic nie poradzę, że jest mi trochę przykro. Inna sprawa, że czuję się winna. Masz rację, powinnam być lepszym człowiekiem, powinnam więcej rozumieć. Tymczasem okazuję się zachłanna, chciałabym już teraz, już, natychmiast widzieć efekty moich starań.

Borys wstał i powoli obszedł stół. Lena cała stała się oczekiwaniem. Bardzo chciała, żeby wziął ją w ramiona. Zamiast tego odgarnął jej włosy, położył dłonie na karku i zaczął delikatnie masować.

– Jesteś zmęczona – szepnął. – Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie to obciążenie: opiekować się kimś, kto z dnia na dzień miewa się gorzej zamiast lepiej. Jak to jest, kiedy mówisz do kogoś, a on nie odpowiada. Ty okazujesz ciepło, a on odpowiada ci wrogością.

Nie rozbeczę się, powtarzała sobie w myślach Lena. Nie będę się nad sobą rozczulać. Ale niech on się jeszcze poroczula. I niech nie przestaje mnie dotykać.

– Jesteś kruchą dziewczyną – kontynuował Borys – a oczekujesz sama od siebie, że okażesz się twarda, wytrzymała, odporna. Nie wolno wymagać tak wiele. Znasz *Dezyderatę*? Jest tam takie zdanie: „Obok zdrowej dyscypliny bądź dla siebie łagodny”. Bądź łagodna, Heleno, bądź dla siebie dobra i czuła.

Kiedy powiedział „Heleno”, to imię wydało jej się nagle najpiękniejsze na świecie.

Zapra gnęła, żeby w ślad za jego dłońmi poszły usta, żeby pocałował jej kark, a potem przeszedł do warg, do szyi, do piersi. Jego powściągliwość doprowadzała ją do szaleństwa, któremu jednak dziwnie blisko było do przyjemności.

Nagle Borys zabrał ręce, westchnął ciężko, po czym wrócił na swoje miejsce.

Gdy w końcu usiadł i sięgnął po wino, nie patrzył na Lenę. Wyglądał na zmieszanego. Dziewczyna także poczuła się zakłopotana. Dokończyła posiłek, przez chwilę czekała, aż i on zje swoją porcję, a potem wstała z ociąganiem.

– Dziękuję – szepnęła. – Za wszystko. Za pyszną kolację i za to, że potrafisz wygonić ze mnie poczucie winy. I za ten uspokajający masaż.

Borys wstał także i oparł dłonie na oparciu krzesła. Zachowuje się, jakby musiał ich pilnować, uświadomiła sobie Lena. Jakby stał na straży własnych, spragnionych dotyku rąk.

– Dobranoc – pożegnał się. – Do zobaczenia jutro.

– Zajrzysz rano na kawę?

– A nie będę przeszkadzał?

– Skądże. – Roześmiała się Lena. – Wręcz przeciwnie, staniesz się wielką atrakcją w codziennej rutynie. Pamiętaj, że odeszła mi jedyna wielka przyjemność, jaką dotychczas miałam, czyli pisanie listów do ciebie. Czymś muszę to zastąpić.

Borys zachnął się. Chyba nie zrozumiał jej intencji.

– Jeśli wolisz kontakty listowne...

– Ależ nie! – zawołała Lena impulsywnie i podeszła do niego szybko. – Ach, do diabła z konwenansami, nie zamierzam czekać dłużej. – Wspięła się na palce i pocałowała go długo, namiętnie. – Jestem w tobie zakochana, Borys. Dlaczego uparcie trzymasz ręce z dala ode mnie?

– Bo się boję – zdołał odpowiedzieć między pocałunkami. – Nie chcę niczego zepsuć.

Lena chciała mu wyjaśnić, że nie jest delikatnym urządzeniem, które zepsuje się od byle dotknięcia. Zresztą chciała wytłumaczyć jeszcze wiele innych rzeczy, ale uznała, że w obecnej sytuacji wszystkie te kwestie mogą poczekać.

ROZDZIAŁ 43

Saszka nie mógł zrozumieć, dlaczego Miecia stała się milcząca.

– Powiedz, nie kochasz mnie już? – dopytywał się. – Przykrzy ci się ze mną, męczą cię moje czułości?

– Nie, Sasza, nie, najdroższy – odpowiadała, wtulając się w niego. – Nie o to chodzi. Nie pytaj mnie.

– Nie mogę nie pytać. – Obruszył się. – Jesteś moją kobietą, moją przyszłą żoną, muszę wiedzieć. U nas w rodzinie było tak, że jak u jednego był kłopot, to u wsiech był kłopot.

Ale Mieczysława bała się wyznać prawdę. Po tamtym pierwszym razie, kiedy Rysiek Skorek zgwałcił ją w krzakach, zdarzyły się następne. Dopadł ją potem jeszcze trzy razy i wziął siłą, za każdym razem szepcząc te swoje ohydne wyznania miłości i grożąc, że jeśli Miecia piśnie choć słówko, on doniesie na Aleksandra, nakłamię komendantowi, ot, takie niewinne kłamstewko, bardzo zresztą podobne do prawdy: Smiertin planuje ucieczkę z obozu, za Polką, chce uciec z ojczyzny sowieckiej. Miecia była przekonana, że jeżeli Rysiek rzeczywiście dotrzyma słowa, to Saszę przeniosą karnie do innego obozu i ona go już nigdy nie odnajdzie.

Mijał dzień za dniem, a dziewczyna drżała ze strachu i obrzydzenia każdej nocy. Spała wtulona w Rozalkę, starała się nie wychodzić nigdzie bez niej, siłą rzeczy ograniczyła także kontakty z Aleksandrem, byle tylko nie prowokować Ryśka. A jednak któregoś jesiennego dnia prawda wyszła na jaw – i wcale nie dlatego, że Miecia podświadomie tego chciała. O wszystkim, co się wydarzyło, zdecydował przypadek, i Mieczysława jeszcze wiele razy w swoim długim, smutnym życiu miała wracać do tego dnia i pytać w myślach, jak potoczyłyby się losy ich trojga, gdyby nie ów zbieg okoliczności.

Nadeszła wreszcie jesień – wyczekiwana przez Polaków, którzy mieli nadzieję na rychły powrót do domu, a znienawidzona przez zakochaną Mieczę.

Tego dnia dziewczyna wymknęła się z baraku, żeby niby przypadkiem natknąć się na Saszkę wracającego z Timlujki. Przy każdej takiej schadzce umierali oboje ze strachu, że to ostatni raz, więc całowali się i tulili łapczywie, ale nie wystarczało im odwagi na nic więcej. Tym razem, obiecała sobie Miecia, poproszę go, żeby to ze mną zrobił. Jeśli zdarzy się tak, że wyjadę i nigdy nie wrócę, że się nie odnajdziemy – nie chcę przez resztę życia żałować, że to się nigdy między nami nie stało. Pragnęła ten jeden raz być z nim jak żona z mężem. I choć nie umiała nawet sformułować tej myśli, doskonale wiedziała, że akt płciowy może i powinien wyglądać zupełnie inaczej niż szarpanina z Ryśkiem. Chciała zaznać z Saszą prawdziwej miłości.

Nie miała pojęcia, że tego właśnie dnia Ryszard Skorek postanowił się oświadczyć. Wyszedł do lasu wkrótce po tym, jak zobaczył, że czarnooka Mietka zmierza w tamtą stronę. Szybko nazbierał ostatnich jesiennych kwiatów, które tu i ówdzie ubarwiały jeszcze poszycie. Początkowo szedł za dziewczyną, ale prędko opuścił wygodną ścieżkę i skrócił sobie drogę, by wyjść jej naprzeciw. Zaczaił się w zaroślach na skraju mokradeł,

a kiedy wreszcie się zjawila, wyciągnął przed siebie rękę z bukiecikiem.

– Miecia, ja wiem, że niedobrze jest między nami – zaczął. – Wiem, ty mi nieprędko wybaczysz, że cię zniewoliłem. Ale zrozum, wracamy do Polski, będziesz potrzebowała domu. Kto cię przygarnie, jeśli nie my z Rózią? Pamiętasz, jak my tu przyjechali? Bez nas byś umarła tak jak ta wasza malutka Tosia, jak twoja Halinka. Tylko dzięki mnie żyjesz, Mieciu.

Wiedział, że ona go nie kocha, więc próbował choć w ten sposób kupić sobie jej przychyłność.

Mietka skrzywiła się, bo nie zostało w niej zupełnie nic z tamtej wdzięczności. Teraz czuła do Ryśka wyłącznie nienawiść i obrzydzenie.

– Odejdź – wycodziła przez zęby i zacisnęła drobne pięści. – Choć jestem słaba, zabiję cię, wydrapię ci oczy. Nie tkniesz mnie więcej.

– Wyjdź za mnie – odparł niezrażony. Oczy błyszczały mu dziko, jakby nie słyszał wcale jej słów albo jakby usłyszał coś zupełnie innego, niż ona powiedziała. – Kocham cię i ty mnie też pokochasz. Jeśli nie chcesz teraz, to ja poczekam, w Polsce się z tobą ożenię. Miecia, słyszysz?

Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie. Kwiaty, które zamierzał wręczyć dziewczynie, rozsypały się po mchu. Szarpnął jej drobne ciało, przewrócił na ziemię, zakrył jej usta ręką i zadarł spódnicę.

– Czekałem na ciebie – powiedział, majstrując przy spodniach. – Czekałem tak długo... Czego ty ciągle do tego Ruska łazisz? Nie wolisz swojaka? Polski chłop nie będzie dla ciebie lepszy?

Mieczysława próbowała się wyrwać, rozdarła mu koszulę na piersiach, ale nie dała rady. Wreszcie zacisnęła powieki. To się nie dzieje, tego nie ma. Nie istnieje żaden Rysiek, nie może mnie skrzywdzić. Wyjadę stąd, skoro muszę, ale potem odłączę się od Skorków i wrócę. A nawet jeżeli Saszy już nie odnajdę, to Rysiek nie znajdzie mnie także. Nigdy.

Nagle ciało przygważdżające ją do ziemi znieruchomiło. Miecia leżała przerażona, niemal nie oddychając, bojąc się tego, co nastąpi. Może nie tylko będzie gwałcił, może zacznie się znęcać, może zabije? Dopiero charczenie Ryśka wybudziło ją z tego letargu. Otworzyła oczy i oniemiała z przerażenia. Ujrzała nad sobą siną twarz chłopaka z nienaturalnie obrzmiałymi rysami. Nagle zrozumiała: to Sasza klęczał za nim i dusił go paskiem od spodni.

– Sasza, nie nada, nie trzeba! – krzyknęła. – Zostaw go, nic mi nie zrobił!

Ale było za późno. We wzroku Aleksandra widniało jakieś tępe oszołomienie; chyba niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Oblicze Ryszarda stało się ciemniejsze, jego policzki nabrzmiały, jakby lada chwila miała z nich trysnąć krew. Oczy niemal wyszły mu z orbit. Mieczysławie wydawało się, że trwa to godzinę, ale jednocześnie nie zdążyła się poruszyć ani krzyknąć. Wreszcie ciało Ryszarda zwiotczało, a wówczas Aleksander, stękając z wysiłku, odepchnął je na mech, na te rozsypane kwiaty.

– Ukrzywdził cię? – zapytał Sasza, dysząc ciężko. – Powiedz mi, Miecia.

Nie chciała, żeby wiedział, ale nie umiała go okłamać. Rozplakała się, bo dopiero teraz poczuła się naprawdę zbrukana. Już nie mogła udawać, że to wszystko się nie wydarzyło.

– Ukrzywdził – wyszlochala. – Niejeden raz. Ja nic nie mówiłam, bo groził... Groził, że doniesie komendantowi. Że cię przeniosą do łagru za spiskowanie z Polką. Że niby chcesz ojczyznę porzucić.

– No już, już. – Sasza rzucił się do pocieszania. – Nie płacz, miłaja, nie nada. Nigdy więcej cię nie dotknie, toć widzisz, już po wszystkim. My teraz musimy podumać, co z nim zrobić.

Miecia uspokoiła się po chwili, wytarła łzy i smarki w rękaw i podniosła się wreszcie z mchu. Rysiek leżał na plecach z wytrzeszczonymi oczami, sprawiając wrażenie, jakby wpatrywał się w niebo z gniewnym zdumieniem. Spod rozdartej koszuli widać było krzyżyk na rzemyku. Miecia nie mogła na to patrzeć. Odwróciła wzrok.

– Trzeba go stąd zabrać – szepnął Sasza. – Może zakopimy go na tym waszym cmentarzyku?

Miał na myśli miejsce za barakami, nieco w stronę strumyka, gdzie była piaszczysta gleba, więc łatwo było kopać. Przez ostatnie siedem lat przybyło tam grobów.

– Ale przecież poznają, jak rozkopujemy... – jęknęła Mietka. – Trawa porośla... Nie, tam nie można. Saszka, co my teraz zrobimy?

Rozpłakała się znowu. Proszę cię, Matko Boża, modliła się w duchu, niech on wstanie, niech nawet robi mi znowu krzywdę, nich robi krzywdę nam obojgu, żeby tylko żył, żeby to się nie stało.

– Naznosisz kamieni – powiedział nagle Aleksander. – Wiesz, tam, gdzie Rybakow kopał latrynę, leży mnogo kamieni. Ty naznosisz je pod spódnicą. A ja poszukam szmat i sznurka. Obłożymy jego ciało kamieniami, obwiążemy i do rzeki. W nocy go wrzucę, nikt nie zobaczy, ty się nie martw, Miecia, rzeka ciało zabierze, a nawet jeśli wypłynie, to nie tutaj, tylko daleko stąd. Nikt się nie dowie, słyszysz? A my tajemnicę zabierzemy ze sobą do grobu.

Mietka pokiwała głową i bez słowa pobiegła we wskazane miejsce. Przynosiła po dwa kamienie, aż wreszcie ubierało się tego sporo. Aleksander owinął wciąż jeszcze wiotkie ciało Ryszarda starymi szmatami, które w międzyczasie przyniósł z któregoś baraku. Nawet w usta nakładł trupowi kamyków, po czym ciasno obwiązał szmatą. Miecia, widząc to, zwymiotowała.

– Tak trzeba – wyjaśnił Sasza, blady jak ściana. – Bo głowa ma dużo powietrza i wypłynie, zanim ją ryby obskubią. Trzeba, żeby trup płynął pod wodą. Musi być ciężki.

Kiedy skończyli, z wysiłkiem odciągnęli zwłoki w krzaki nad rzeką i ukryli pod gałęziami. Oboje byli zdyszani, mokrzy od potu, oblepieni igliwem, drobinkami mchu i liści. Krew pulsowała im w skroniach, ogarnęło ich dziwne podniecenie: mieszanina strachu, zapalczywości i żądzy. Czy była to żądza życia, czy ta druga, tego nie wiedzieli.

Miecia odgarnęła włosy z wilgotnego czoła. Zanim Saszka obrócił trupa na brzuch, żeby przestał wreszcie tak patrzeć z wyrzutem, dziewczyna w jakimś odruchu zerwała jeszcze krzyżyk z szyi Ryśka. Nie mogła sobie wyobrazić, że zgnije w wodzie. Ścisła go w garści, aż jej dłoń zrobiła się zupełnie wilgotna. Jeśli pochowam go w ziemi, to będzie tak, jakby Rysiek miał pogrzeb, pomyślała. Wybacz mi, Matko Boska. Wybacz nam obojgu.

– Zniewolił cię – powiedział nagle Sasza, wciąż oddychając ciężko. – Ja ciebie chciałem, a nie dostałem. On chciał i sobie wziął.

– Ty możesz dostać, co tylko zechcesz – odparła Mietka. – I nie musisz brać siłą. Jestem twoją kobietą, a ty moim mężczyzną. Chcę cię na zawsze.

– I ja chcę cię na zawsze – powtórzył Aleksander.

Podszedł do niej i nieśmiałym gestem położył jej ręce na piersiach. Dziewczyna zamknęła oczy. Tym razem nie będzie bolało, pomyślała. Boli tylko wtedy, kiedy się nie kocha, nie chce. Bo miłość nie może boleć.

O tym, jak bardzo boli miłość, Mieczysława przekonała się już wkrótce, kiedy wyjeżdżała z Syberii. Obok niej w rytm stukotu kół kolebała się przeraźliwie smutna Rozalka, która od kilku dni bezskutecznie poszukiwała zaginionego brata. Na nasypie kolejowym został Saszka z poszarzałą twarzą. Stał jak skamieniały, nawet nie pomachał ręką.

– Wrócisz? – zapytał tylko, zanim się rozstali.

– Wrócę – obiecała Mietka. – Tylko dogładnę wszystkiego w domu, zajdę na grób mamy, sprawdzę, gdzie pochowali Edwarda. Wyślę list na Wielkie Łuki, do twojej matki, a kiedy mi napisze, gdzie jesteś, czy ciągle w Timluju, czy może już w domu, wtedy przyjadę. Czekał na mnie.

ROZDZIAŁ 44

Lena słuchała opowieści młodego Aleksandra Smiertina z szeroko otwartymi oczami. Dobrze, że Borys objął ją ramieniem i mocno tulił, bo chwilami odnosiła wrażenie, że rozsypie się na kawałki.

– Ale dlaczego babcia nie wróciła w końcu do Timlujka? – zapytała po kilkunastu minutach ciszy i ocierania łez spływających po policzkach.

Siedzieli na kanapie na poddaszu: ona, Borys i Aleksander, który po kilku tygodniach oczekiwania na wizę wreszcie przyjechał do Polski.

– Właśnie to chcemy ustalić – odparł Borys. – Cierpliwości.

Lenie podobał się jego spokój (zresztą nie było w nim rzeczy, która by jej się nie podobała). Ona sama, jako osoba w gorącej wodzie kapana, chciałaby natychmiast poznać odpowiedzi na wszystkie pytania. Tymczasem Borys cierpliwie – bo Aleksander nie znał angielskiego w takim stopniu, jak oczekiwali – tłumaczył wszystkie wątpliwości.

Po długiej rozmowie, prowadzonej w najdziwniejszym języku świata (zawierającym elementy polskiego, rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego, francuskiego, a nawet łaciny) zdołali ustalić tyle: Mieczysława i Sasza zabili Ryszarda Skorka, kiedy usiłował po raz kolejny zgwałcić Miecię, po czym pozbyli się ciała, wrzucając je nocą do rzeki Timlujki. Obciążone kamieniami i owinięte szmatami, wypłynęło zapewne gdzieś dalek i nigdy nie zostało znalezione przez zesłańców.

Lena była zszokowana. Zastłaniała dłonią usta, niepewna, czy nie zwymiotuje. Bardzo powoli docierało do niej, że nie wolno jej do tamtych zdarzeń przykładać dzisiejszej miary. Wojna zmienia spojrzenie na wiele spraw, a to przecież była wojna, nawet jeśli formalnie nie trwały działania militarne. Kiedy człowiek walczy o przetrwanie, kieruje się innymi prawami, zaś najważniejszym z nich jest to jedno: prawo do życia. Ktoś inny zgotował im ten los, myślała, przywołując motto *Medalionów*, które wciąż przypominało jej się podczas słuchania tej strasznej opowieści. Moja babcia była ofiarą, nie sprawcą zła. Nie ją należy osądzać za tamte koszmarnie wydarzenia.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego Mieczysława nie wróciła do posiołka Timluj, poznali ostatecznie dopiero po tym, jak młody Rosjanin poprosił o możliwość rozmowy z babcią w cztery oczy.

Lena nie wierzyła, że starsza pani będzie w stanie powiedzieć mu cokolwiek znaczącego. Wprawdzie po kilku tygodniach odżywiania się produktami roślinnymi fizycznie czuła się znacznie lepiej, jednak wciąż nie sprawiała wrażenia, jakby odzyskała w pełni pamięć i sprawność umysłową. Tym większe było zdziwienie Leny, kiedy Mieczysława podjęła zupełnie przytomną, sensowną rozmowę. W dodatku – po rosyjsku.

– Twoja babcia była pewna, że rozmawia z moim dziadkiem – opowiadał potem zaaferowany Aleksander przy delikatnym likierze kawowym, który Lenka dostała od pani Klary (w dowód wdzięczności za pomysł z dietą eliminacyjną, bo po odstawieniu jajek sąsiadce całkowicie zesła opuchlizna). – Dla niej czas się cofnął. Jest przekonana, że to ukochany Sasza przyjechał. Wiele razy słyszałem, że jestem do dziadka bardzo podobny. Mam podobno identyczne spojrzenie i to coś w uśmiechu. Szkoda, że nie zabrałem

zdjęć...

Lena zadumała się, patrząc na niego. Pierwszego dnia, kiedy tylko przyjechał, odniosła wrażenie, że kogoś jej przypomina, nie miała jednak pojęcia, kogo. Teraz też odgoniła tę myśl, ponieważ Aleksander opowiadał dalej swoją łamaną angielszczyzną, a ona nie chciała uronić ani słowa.

– Wspominała coś o liście. Dlaczego nie odpisałem, i że ona czekała tak długo. Ja jej na to, że żadnego listu nie było. Zdziwiła się, że nie doszedł. „Wysłałam potem drugi i trzeci” – tak powiedziała.

– Ale jaki list? Do Timluja, do twojego dziadka?

– Nie. Twierdzi, że pisała na Wielkie Łuki. Tyle że dziadek dopiero trzy lata po rozstaniu z Mieczysławą wrócił do rodzinnego domu. Może te listy odesłali, czy ja wiem?

– Ale wtedy babcia dostałaby zwrot. Pytałeś, co w nich było?

– Pytałem, a jakże, ale nie wszystko zrozumiałem. Pani Mieczysława nie mówi czystym rosyjskim, to taki język posklejany, trochę po waszemu, trochę po naszymu. Tyle wyłapałem, że chciała mi powiedzieć o dziecku. To znaczy: dziadkowi Saszy.

Lena spojrzała na Borysa, a on na nią.

– Myślisz o tym samym, co ja? – zapytała Lenka po polsku.

– Pewnie tak. – Pokiwał głową. – O ile ty myślisz o tym, że twój tata może być synem Aleksandra.

– Zgadza się.

Zamilkli na kilka minut.

W głowie Leny rozpętał się prawdziwy chaos myśli; jedno przez drugie kłębiły się pytania: Czy to możliwe, że Sasza, który właśnie siedzi tu i popija likier, to mój kuzyn? Czy naprawdę odnalazłam brakujący element rodzinnej układanki? A jeśli tak – jak zachowa się tata? Jak zareaguje? Kolejny Aleksander w tej historii. Nie za dużo ich? I nie za dużo tych znaków zapytania?

– Mój tata też ma na imię Aleksander – powiedziała po angielsku. – I nigdy nie poznał swojego ojca. Z tego, co wiem, babcia była w ciąży, kiedy wracała z Syberii.

Borys przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale zatrzymał te słowa dla siebie. Lena doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– Oczywiście mogło też być tak, że to Ryszard Skorek był ojcem, prawda?

Zadała to pytanie ot tak, w powietrze, nie skierowała go do nikogo konkretnego. Mimo to obaj mężczyźni pokiwali głowami.

– A najgorsze jest to, że babcia pewnie sama nie wiedziała, czyje dziecko nosi – zakończyła Lena.

Tym razem żaden z nich nie zareagował, obaj pogrążyli się w myślach.

Dziewczyna wstała.

– Pójdę do niej – oznajmiła. – Już za długo jest sama. Zajrzę do was za jakiś czas.

Borys wstał prędko i mocno ją przytulił, ale delikatnie wyswobodziła się z jego objęć. Chciała zostać sama – albo raczej chciała pobyć z babcią – i przemyśleć to wszystko, czego dowiedziała się tego dnia.

Mieczysława Botuła nie spała. Miała szeroko otwarte oczy i wydawała się pobudzona.

– Wszystko dobrze? – zapytała ją wnuczka, siadając na brzeżku łóżka. – Chcesz do łazienki?

– Nie. Był tu Sasza. Ale gdzieś sobie poszedł.

– Tak, wiem. Jutro jeszcze do ciebie zajrzy.

– To dobrze. – Odetchnęła z ulgą babcia. – Bo ja mu jeszcze nie powiedziała o krzyżyku.

Lena nadstawiła uszu.

– Ja go zakopała – wyznała staruszka, zaciągając po kresowemu. Lena nigdy wcześniej nie słyszała, żeby babcia miała taki śpiewny akcent. – Ale ty nikomu nie mów, dobrze? Żeby Różia nie znalazła, bo znów by zaczęła pytać. Więc ja mu zrobiła pogrzeb, zawinęła w czyste płótno, zakopała, a potem posadziła tamaryszek.

Zapadła cisza. Helena nie mogła zebrać myśli. Zbyt dużo się wydarzyło, zbyt wiele sensacji. Czuła, że jej serce tego nie znieśie.

– Babciu – szepnęła. – Czyje było dziecko? Kiedy dokładnie... Czy próbowałaś to jakoś obliczyć?

Twarz Mieczysławy zmieniła się, czarne oczy patrzyły czujnie i wrogo.

– Ciebie Rozalka przysłała, co? Powiedz prawdę. Wszędzie to gadaństwo węszy... I te same niebieskie oczy, co u Skorków. Wynoś mi się stąd, nie będziesz tu, cholero, na przespziegi przychodzić!

Dziewczyna aż wstała i odeszła kilka kroków. Ręce jej się trzęsły, jakby rzeczywiście miała coś na sumieniu. W głosie babci brzmiała czysta nienawiść.

– Niebieskie oczy ma także Sasza – powiedziała szybko. – Ja do niego jestem podobna, nie zauważyłaś? Nie do Skorków.

Nie miała pojęcia, jak wyglądał Rysiek, nie widziała też pani Rozalii, ale aparycja Łukasza dawała jej jakieś wyobrażenie o tej rodzinie. Owszem, był blondynem, lecz zupełnie innym niż Lena i jej tata, jaśniejszym: Łukasz miał włosy jakby wypłowiałe, a oczy najbardziej błękitne z błękitnych. Teraz, rozważając to dokładnie, doszła do wniosku, że Aleksander miał w sobie coś z jej ojca: jakiś nieuchwytny szczegół w rysunku ust, brwiach i spojrzeniu. Westchnęła z głębi serca i znów przysiadła na łóżku. Starsza pani wciąż wyglądała na wzburzoną, ale powoli się uspokajała.

– Myślę, że przez całe życie robiłaś dokładnie to, co ja teraz – szepnęła Lena, nieśmiało gładząc babciną pomarszczoną dłoń. – Doszukiwałaś się podobieństwa, prawda? Usiłowałaś sobie wmówić, że twój synek jest podobny do Saszy, że ma jego oczy, ale potem pojawiała się Rozalia i przypominała ci o Ryśku. A wtedy wydawało ci się, że urodziłaś jego dziecko. I nigdy nie zyskałaś pewności. Tak było, babciu?

Mieczysława zamknęła oczy. Przez chwilę Lena sądziła, że staruszka zasnęła, bo leżała cichutko, nieruchomo. W świetle małej, nocnej lampki dziewczyna nie od razu zauważyła, że po pomarszczonych jak rodzyńki policzkach powolutku płyną łzy.

– Sama nie wiem, babciu – szepnęła dziewczyna – co z tym wszystkim teraz zrobić. Co począć z prawdą, którą odkryłam. Czy tata będzie szczęśliwszy, jeśli się dowie? Co postanowi? Może zechce wykonać badania genetyczne? Może odszuka twój Saszkę, bo wiesz, on tak samo jak ty jest przykuty do łóżka. A co, jeśli się okaże, że to jednak Ryszard był ojcem? Wówczas Łukasz Gawryła będzie moim kuzynem... No właśnie, co

ja mam właściwie powiedzieć Łukaszowi?! Ech, babciu, takie to wszystko trudne...

Aleksander musiał wracać do Rosji już po trzech dniach, bo tylko tyle dostał urlopu. Obiecał, że spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej na temat listu, choć od razu zastrzegł, że szanse są niewielkie – nie bardzo wiedział, kogo miałby pytać o wydarzenia sprzed sześćdziesięciu lat.

Po jego wyjeździe w kamienicy pod aniołami wszystko wróciło do niespiesznego rytmu. Borys pracował nad nowymi książkami – jednocześnie pisał krwisty kryminał, na który podpisał umowę jakiś czas wcześniej, i szkicował treść powieści obyczajowej z tłem syberyjskim. Lena żartowała sobie, że jak tak dalej pójdzie, to wszystko mu się pomiesza i ostatecznie napisze obyczajowy kryminał rozgrywający się w tajdze.

– W zasadzie to by nie było dalekie od prawdy. – Patrzył na nią poważnie. – Wszystko, co spotkało twoją babcię, bardzo przypomina kryminał, nie uważasz?

– To były straszne czasy. – Westchnęła Helena, odłożyła szydełko z włóczką i przytuliła się do niego. – Wiesz, ostatnio sporo o tym myślałam. W takich sytuacjach, kiedy stawia się człowieka na krawędzi człowieczeństwa, na samiułtkim skraju wytrzymałości, on przestaje być sobą. Kiedyś dziwiłam się, że babcia Miecicia była taką zimną matką, że izolowała się od rodziny... Teraz dziwię się raczej, że w ogóle zdołała wychować mojego tatę na porządnego człowieka, który, choć nieco zamknięty w sobie, przecież nawiązuje normalne relacje, założył rodzinę, jest cudownym ojcem...

– I ma jeszcze cudowniejszą córkę. – Borys pocałował ją delikatnie. – A skoro jesteśmy przy córce, to chciałbym z tobą o niej poważnie porozmawiać.

– O kim? – Nie zrozumiała Lenka.

– O tej córce. Bo wiesz, nie mam pewności, co o tym wszystkim myśleć. Jest jeszcze bardzo młoda, a ja dobiegam czterdziestki z ilomaś tam doświadczeniami na karku... I nie wiem, czy mam prawo do tej miłości. Powiedziała, że się we mnie zakochała. Dla mnie to wiele znaczy, nie liczyłem już chyba na nic w tej sferze życia. Ale pomyśl, dzieli nas przecież taka różnica wieku... Czy to się może udać?

Helena spoważniała.

Wstała z kanapy, sięgnęła po leżącą na ławie robótkę i udała, że zamierza wyjść.

– Skoro masz jakiegokolwiek wątpliwości – powiedziała chłodno – to chyba powinnam już pójść. Co do mnie, nie waham się ani trochę. Pokochałam cię w listach, a potem na żywo, jakkolwiek to głupio brzmi. Pokochałam twoje myśli, słowa, usta, dotyk twoich rąk... Nie przerywaj mi – dodała, opędzając się od jego pocałunków, bo oczywiście natychmiast wstał i próbował wziąć ją w ramiona. – Skoro uważasz, że jestem dla ciebie za smarkata, to trudno, możemy ewentualnie poczekać, aż się zestarzeję. Tylko trochę mi szkoda życia na takie czekanie, szkoda mi każdej chwili. Bo wolę zwyczajnie być z tobą, Borys.

Jeśli nawet zamierzała dodać coś jeszcze, nie zdołała. To, co robili przez następne kilkanaście minut, było na tyle absorbujące, że nie znaleźli czasu na dokończenie rozmowy – a zresztą z zapалу Borysa i jego zaangażowania wynikało wyraźnie, że w gruncie rzeczy on także nie ma absolutnie żadnych wątpliwości.

EPILOG

Babcia Miecia wydobrzała wkrótce na tyle, że mogła samodzielnie jeść oraz raz dziennie wybrać się na krótki spacer z balkonikiem. Nadal jednak wymagała stałej opieki. Jej charakter się nie zmienił: pozostała opryskliwa, szorstka i niewdzięczna. Lena, która mimo wszystko przywiązała się szczerze do staruszki, nadal codziennie się nią zajmowała, tyle że przeprowadziła się do Borysa na poddasze. Jak twierdziła, to pozwoliło jej zachować dystans do przykrości, jakie sprawiała jej babcia.

Po długim namyśle i burzliwych dyskusjach z przyjaciółkami Lena zdecydowała się wyjawić ojcu prawdę. Aleksander Botula przeżył głęboki szok, dowiedziawszy się, że może być dzieckiem Ryszarda Skorka. W pierwszej chwili chciał natychmiast wykluczyć taką ewentualność, dowiadywał się nawet o możliwość wykonania badań genetycznych, sprawdzenia rzekomego pokrewieństwa z Rozalią lub Łukaszem Gawryłą; jednak ostatecznie zrezygnował.

– Wolę wierzyć, że moim tatą jest Aleksander Smiertin – wyjaśnił córce. – Że moje życie zaczęło się w wyniku aktu miłosnego, a nie gwałtu. Może to i bez znaczenia, ale tak jest mi łatwiej.

Lena doskonale wiedziała, że ta zmiana jest efektem wielogodzinnych rozmów z mamą, i była jej za to bardzo wdzięczna. Gdyby tata uparł się na badania, trzeba by wyjawić całą prawdę Łukaszowi, a tego postanowiła nie robić. Trudno – uznała, że będzie to kłamstwo w słusznej sprawie.

– Dotarliśmy do tego Anatola Sasa – opowiedziała młodemu Gawryle przez telefon. – Ale on także nie wie, co się stało z twoim wujkiem Ryszardem. Pamięta go doskonale... Mówił o nim bardzo ciepło. Zdaje się, że i Rozalia, i Miecia przetrwały na Syberii tylko dzięki jego opiece. Niestety jednak pan Anatol nie potrafił wyjaśnić, co się wydarzyło. Potwierdził tylko, że ostatni raz widziano Ryśka w lesie. Wspomnił coś o jakichś mokradłach nad rzeką. Może wujek po prostu się utopił?

– Może... – Westchnął Łukasz z rezygnacją. – No trudno, Lena, dziękuję ci za te poszukiwania. Zdaje się, że babcia Różia dowie się wszystkiego dopiero po drugiej stronie.

Tylko nie to, pomyślała Lena. Są takie rzeczy, których wolałaby nie wiedzieć.

– Wpadnij na kawę, gdy będziesz w Lubsku – dodała jeszcze.

– Lepiej nie – odparł Łukasz jakoś ostrożnie. – Nie chciałbym natknąć się na twojego... przyjaciela.

– A co dokładnie masz na myśli?! – oburzyła się Lena, myśląc o Borysie.

– Przecież musiałaś zauważyć, że nie lubimy się z Jakubem.

– A, chodzi ci o Kubę! – Roześmiała się Lena, ale natychmiast spoważniała, kątem oka łowiąc zaniepokojone spojrzenie Borysa. – To już przeszłość, w dodatku taka, o której nie lubię myśleć.

– To dobrze. – Odniosła wrażenie, że jej rozmówca odetchnął z ulgą. – Bo ja... Nie chciałem ci mówić, Lenka, ale ten cały Jakub to straszny sukinkot. Zawsze był okropnym lekkoduchem, wiesz, z kwiatka na kwiatek, ale ostatnio jego rodzina wpadła w finansowe

tarapaty, są bardzo zadłużeni i zdaje się, że grozi im eksmisja. Chodzą słuchy, że Jakub gorączkowo szuka panny z mieszkaniem. Kiedy to usłyszałem, od razu pomyślałem o tobie...

– I bardzo dobrze, że pomyślałeś, choć trzeba mi to było powiedzieć już dawno. Na szczęście sama wyczułam niebezpieczeństwo, chyba jakimś szóstym zmysłem. Tak czy owak, na kawę możesz wpadać śmiało.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie. Zajrzę na pewno. Cześć, Lena.

Dziewczyna rozłączyła się i westchnęła głęboko. Nie było sensu mówić Łukaszowi, jakim draniem okazał się wujek Ryszard. Z drugiej strony, pomyślała, czarna owca zdarza się w każdej rodzinie. A taki kuzyn jak Łukasz nie byłby wcale nieszczęściem.

Wspaniale byłoby zakończyć tę historię happy endem – napisać, że Mieczysława i Aleksander spotkali się po latach, by przeżyć resztę życia w miłości i szczęściu. Tak się jednak nie stało. Życie rzadko przypomina romantyczne powieści.

Sasza Smiertin zmarł wkrótce po tym, jak jego wnuk wrócił z Polski.

Młody Aleksander przysłał list, w którym drobiazgowo opisał Lenie i Borysowi reakcję dziadka. Na wieść o tym, że Mieczysława odnalazła się żywa, że nigdy nie wyszła za mąż i być może urodziła mu syna, staruszek rozszlochał się jak dziecko. Nie miał pojęcia o żadnych listach. W pięćdziesiątym szóstym, tak mówił, czyli wtedy, kiedy Miecica wróciła z Sybiru, w ich rodzinnym domu w Wielkich Łukach mieszkała tylko matka i kuzynka Wiera, którą osierocili rodzice. Miała wtedy może dwanaście lat. Jaka Wiera? – zapytał młody Aleksander. Ta babcia Wiera, co mieszka w Pskowie i mimo swoich siedemdziesięciu lat ćmi papierosa za papierosem? Ta sama, odparł dziadek. Ona może coś wiedzieć o listach, ale przecież gdyby przyszły, coś by mi chyba powiedziała.

Wiedziała, a jakże. Doskonale pamiętała, że listy odbierała ciocia Żenia, że wszystkie spaliła i zabroniła mówić o nich Sasze, kiedy wróci do domu. Bo że wróci, było już wówczas niemal pewne; po śmierci Stalina ci, którzy przeżyli, wracali prędzej czy później. Co było w tych listach, gorączkował się młody Aleksander. Ano nie wiem dokładnie, odparła babcia Wiera. Przecież nikt mi czytać nie pozwolił. Ale tyle wiem, co ciocia Żenia mruczała: że jakaś Polaczka chce Saszę za męża, dzieciaka jej niby zrobił, że czeka na niego tu i tu, adres podała i obiecała, że czekać będzie choćby i do śmierci.

Lena spłakała się serdecznie, czytając tę relację, a potem oglądając zeskanowane zdjęcia starszego pana. To mógł być jej dziadek – i jeśli nie wmawiała sobie tego, był nim rzeczywiście, ponieważ z każdą obejrzaną fotografią dziewczyna upewniała się co do podobieństwa ojca do Rosjanina.

– Pojedźmy do Rosji – poprosiła Borysa. – A kiedy się upewnię, że to nie są tylko moje urojenia, wówczas zabiorę tam także tatę.

Borys zgodził się bez wahania, zresztą zapewne takie spotkanie byłoby interesujące również dla niego, ze względu na książkę – ale właśnie wtedy nadeszła smutna wieść, że Aleksander Smiertin nie żyje. Umarł we śnie i to było spełnienie jego życzenia, bo jak sam mówił, nade wszystko bał się powolnego umierania, które zamienia człowieka w kłębek bólu i strachu. Więc pewnie należało się cieszyć, że odszedł właśnie w taki

sposób.

Co do Mieczysławy, nigdy nie dowiedziała się o śmierci ukochanego. Czekwała na niego, zgodnie z obietnicą daną w listach, aż do własnej śmierci, która nastąpiła w czerwcu, niedługo po tym, jak babcia uparła się, by wyjść do ogródka. Awanturowała się tak długo, aż wreszcie Lena i Borys wzięli ją pod rękę i krok za krokiem zaprowadzili do kwietnego rajku.

– Zaniedbałaś lilie – zrzędziła staruszka. – Mają poskrzypkę, trzeba było zbierać larwy albo chociaż popryskać.

– Ale ja nie wiedziałam, babciu. – Broniła się Lena. – Nie znam się na roślinach, a już na pewno nie na robalach.

Posadzili staruszkę na ławeczce pod krzewem tamaryszku. Borys poszedł na górę po koc, bo mimo słonecznej pogody wiał chłodny wiatr. Lena zapytała, czy zrobić herbaty, a ponieważ Mieczysława łaskawie się zgodziła, dziewczyna pobiegła do mieszkania. Kiedy wracała, niosąc na tacy dzbanek i trzy kubki, już z daleka zobaczyła babcię leżącą w nienaturalnym skręcie na wyłożonej płytkami chodnikowymi ścieżce między herbacianą różą a kępkami bodziszków. Okazało się, że starsza pani postanowiła wypławić rabatkę i upadła tak nieszczęśliwie, że złamała sobie kość udową.

Po tygodniu spędzonym w szpitalu Mieczysława Botuła doczekała się wreszcie spotkania ze swoim Aleksandrem – na tamtym świecie. W każdym razie tak myślała Helena, kiedy zapłakana załatwiała sprawy związane z pogrzebem. Borys chciał jej pomóc, ale poprosiła, żeby został w domu. Wiedziała, że musi poradzić sobie sama.

– Czas wreszcie dorosnąć – powiedziała, ocierając łzy. – Pora przestać być małą dziewczynką, którą wszyscy chronią przed przykrościami.

Pogrzeb babci Mieci odbył się w ciepły, czerwcowy dzień. Oprócz Leny, jej rodziców i Borysa za trumną szła garstka wiekowych mieszkańców Lubska i okolic, a także sąsiedzi z kamienicy pod aniołami. Beata z okrągłym brzuszkiem, w którym – już wiedzieli! – spała spokojnie malutka Zuzia, Marek troskliwie podtrzymujący żonę pod ramię, przejęty Jędrus i zarumieniona Marcelina trzymająca za rękę tyczkowatego, sympatycznego Huberta. Przyszła też Francesca, ale bez Grzegorza, bo ten ze względu na córki wciąż ukrywał swój nowy związek. Pani Klara szlochała, jakby przez całe życie była najserdeczniejszą przyjaciółką zmarłej.

Śpij dobrze, babciu, myślała Lena, rzucając garść ziemi na trumnę. Niech ci na tamtym świecie będzie lepiej niż tu. Obyś już nigdy nie zaznała zimna ani głodu. Oby już nigdy nikt cię nie skrzywdził. I obyś przypomniła sobie, jak pięknie jest kochać i być kochaną.

Koniec

KILKA SŁÓW OD AUTORKI

Pomysł napisania tej książki zrodził się podczas spotkania autorskiego w Bibliotece Publicznej w Jasieniu. Dwie przesympatyczne Panie: Urszula Hryniewicz i Irena Ludwig – którym niniejszym bardzo za to dziękuję – podsunęły mi nieśmiało plik wspomnień miejscowych sybiraków, zatytułowany *Syberiada jasięńska*, z sugestią, bym przejrzała i pomyślała o powieści z historią w tle. Ponieważ pracowałam wówczas nad serią „Wszystkie smaki życia”, odmówiłam grzecznie, wymawiając się brakiem czasu. Jednak raz zasiany pomysł zaczyna kiełkować w najmniej oczekiwanym momencie. Jakieś pół roku później pojawiłam się w Jasieniu z prośbą o wypożyczenie *Syberiady*... Podczas lektury tych wstrząsających relacji, napisanych prostym językiem ludzi, którzy zamiast chodzić do szkoły musieli walczyć o przetrwanie w tajdze, niejednokrotnie rezygnowałam z podjęcia tej tematyki. Cóż z tego, skoro ona nie chciała zrezygnować ze mnie. Te opowieści nie dawały mi spokoju, śniły się i przypominały na jawie. Czyjeś odmrożone stopy, czyjś głód i strach, miłość na przekór wszystkiemu, miękki kocyk zabrany ze stacji, bo maleńkiemu trupkowi już na nic się nie przyda... Takie historie sprawiły, że „*Mansarda pod Aniołami*” po prostu zaczęła pisać się sama.

Bohaterowie tej powieści, opisane w niej miejsca i zdarzenia to w większości wytwory mojej wyobraźni. Nie mam jednak wątpliwości, że zarówno te, jak i znacznie gorsze rzeczy mogły zdarzyć się naprawdę.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką: oprócz wspomnianych pań, Uli i Irenki, nisko kłaniam się też paniom Halinie Skindzier i Ilonie Mrowińskiej, wyrażając wdzięczność za życzliwość i chęć niesienia pomocy; moim Koleżankom z pracy dziękuję za burzę mózgów w sprawie tytułu serii, a Rodzinie i Przyjaciołom za to, że jakoś ze mną wytrzymali w chwilach, gdy nie miałam weny. Helenie Świdorskiej z Wrexham w Walii ślę uściski w podziękowaniu za użyczenie imienia głównej bohaterce. Kiedy zastanawiałam się, jak powinna się nazywać ciepła i bezinteresowna osoba, natychmiast przyszła mi do głowy właśnie Helenka.